

MARCIN CISZEWSKI

www.ru2012.pl

Koniec

30/31 sierpnia 2007, Bogdanka

Nazywam się Jerzy Grobicki. Mam czterdzieści jeden lat i właśnie umieram.

Melodramatyczne, wiem. Nic nie poradzę. To po prostu fakt. Jedni dożywają setki, inni nie są w stanie przebrnąć przez okres niemowlęcy. Mnie przypadło w udziale zajęcie miejsca nieco poniżej połowy stawki.

Z przodu, o kilka kroków, mający niewyraźna sylwetka człowieka. Idzie szybko, wprawnie pokonuje nierówności terenu, narzuca szybkie tempo. Nic dziwnego: jest ode mnie o pięć lat młodszy, dużo ćwiczy, jego formie fizycznej niewiele można zarzucić. Zna teren, nie musi pytać o drogę. Podałem mu cel, więc po prostu prowadzi.

W przeciwieństwie do niego moja forma zarówno fizyczna, jak i psychiczna pozostawia bardzo wiele do życzenia. Serce wali w tempie właściwym sprinterom, dreszcze niemal zwalają z nóg, trawi mnie gorączka; choć jest wiernym towarzyszem od kilku dni, wcale się do niej nie przyzwyczailem. Nie mogę skupić wzroku. Przed oczami latają kolorowe plamy, obraz chwieje się, pole widzenia to rozszerza się, to zawęża.

Choroba poczyniła znaczne spustoszenia, szykuje się do ostatecznego ataku. Nie będzie czekać: już czuję przygotowanie artyleryjskie, już czuję gorączkowe działania zwiadowców, pokonywanie przez oddziały saperskie ostatnich linii obronnych stawianych przez mój umierający organizm.

Mam w kieszeni lekarstwo, środek, który z pewnością pokona dolegliwości: luger P08, popularne parabellum. Okres świetności tej broni minął dawno temu, ale pełen magazynek dziewięciomilimetrowych naboí potrafi całkiem dobrze posprzątać bałagan, który sprokurowałem. Szczerze mówiąc, pełen magazynek jest całkowicie zbędny. Wystarczy jeden, dobrze ulokowany pocisk.

Zatrzymuję się. Każę stanąć mojemu towarzyszowi. Staram się upewnić, że właściwie zrozumiał to, co mu przez ostatnie kwadransy opowiadałem. Jego chaotyczne odpowiedzi nie napawają optymizmem. Nie ma żadnej pewności, że okaże się mądrzejszy ode mnie, że uniknie błędów, że pokieruje swoim życiem w sposób właściwy.

Nie mam jednak na to wpływu. Zrobiłem, co należało, wykorzystałem wszystkie możliwości, by go przekonać. Moja rola się kończy. On będzie dalej postępował wedle własnej woli i własnej oceny sytuacji.

Pistolet drży. Ręka wędruje w górę.

Człowiek przede mną krzyczy coś niezrozumiale. Już czas. Przyspieszam ruch, stabilizuję broń.
Nazywam się Jerzy Grobicki, mam czterdzieści jeden lat.

Strzelam.

Prosto we własną skroń.

ROZDZIAŁ I

Cargo

25 września 2012, Warszawa

1

– Tato, jakie fajne rzeczy tu są – usłyszałem donośny głosik. Mały człowieczek z impetem wpakował mi się na kolana. – A kiedy przyjdzie mama?

– Mama? – zapytałem, patrząc jak zafascynowany na maleńką buzię o rysach tak bardzo podobnych do Nancy, że ilekroć spoglądałem na to radosne oblicze, ścisnęło mnie w dołku. – Mama nie przyjdzie. Ale my pójdziemy do mamy.

– Hurra! Idziemy do mamy.

Podniosłem się, po czym wziąłem ze stojącego obok krzesła ogromny pęk krwistoczerwonych róż.

Poczułem w dłoni ciepło małej łapki.

– Idziemy – powiedziałem.

Pochód ruszył.

Mały Johny, róże i ja w szpicy, za nami duży Johny Wieteska z Rozalką i Stasiem, a na końcu Kurcewicz i Galaś, uśmiechnięci i radośni niczym goście weselni opijający szczęście kumpla, ale przede wszystkim zachwyceni faktem, że póki co sami wymigali się od podobnych zaszczytów.

Wieteska hołdował ostatnio modzie à la David Beckham. Ubrany był w biały T-shirt, który niczym się nie wyróżniał, poza tym że kosztował pięćset dolarów, marynarkę Dolce & Gabbana, wąskie czarne spodnie i skórzane buty. Stroju dopełniały okulary przeciwsłoneczne od Gucciego. Dziwę się, że gładko przeszedł przez kontrolę paszportową. Bez wątpienia wyglądał na kogoś, kto maskuje się na tyle sprytnie, by zwracać na siebie powszechną uwagę, co z kolei nasi doświadczeni pogranicznicy powinni rozpoznać bez pudła.

Ale, nie wiedzieć czemu, nie rozpoznali.

Wzmiankowany wyżej sposób maskowania się nie dotyczył żony Johny ego, Rozalki. Należała ona do tego rodzaju dziewczyn, które wzbudzają tęskne westchnienia mężczyzn i pełne zawiści spojrzenia

kobiet, niezależnie od tego, co mają – lub czego nie mają – na sobie. Ubrana w proste dżinsy i okulary założone niedbałym gestem na ściągnięte w koński ogon pszeniczne włosy, wzbudzała szmer podnieconych głosów w promieniu kilkudziesięciu metrów od naszego skromnego pochodu, powodując u Wieteski zwykłą w takich razach mieszaninę dumy i wściekłości.

Rozalka, rocznik 1921. Wiek: dwadzieścia trzy lata. Dobrze, no nie?

Pewnie, że dobrze. Nieustannie wpadam w zadumę, gdy o tym myślę.

Zerknałem na nią przez ramię; kompletnie oszołomiona, chłonęła rzeczywistość z rozszerzonymi ze zdumienia i podziwu oczami. Miałem wrażenie, że nawet nie wie, o co zapytać, jak ubrać w słowa przebiegające przez głowę myśli. Nie rozumiała nie tylko występujących w naszym świecie zjawisk. Nie rozumiała także przyczyn, z powodu których owe zjawiska występowały. Widać było wyraźnie, czym jest siedemdziesiąt lat postępu: w kulturze, technologii, sposobie życia. Ot, prosty przykład: spódniczka mini. Rozalka – choć z ludu i bez wykształcenia, obdarzona naturalną, żywą inteligencją i tą mądrością życiową, której nie sposób się nauczyć, trzeba ją bowiem mieć we krwi, w swoich czasach z pewnością osoba, można rzec, postępową – ze zdumieniem, zgorszeniem i obrzydzeniem patrzyła na dziewczyny bez żadnego skrupowania pokazujące nogi i pępki. A do tego: telewizja, muzyka rockowa, internet, łączność komórkowa, reklamy, pornografia w każdym kiosku...

Jeżeli chodzi o Kurcewicza i Galasia, ci dwaj zaprawieni w boju, doświadczeni mężczyźni postanowili na siebie nie zwracać uwagi w nieco odmienny sposób niż para podążająca za moimi plecami. Obaj włożyli ciemne, konserwatywne, szyte na miarę garnitury i gdyby nie dzieląca ich różnica wzrostu, mogliby uchodzić za braci. Opaleni, identycznie ubrani, z poważnymi, wręcz uroczystymi minami.

Słowem: szczęśliwy orszak, ze szczęściem rosnącym proporcjonalnie od początku do końca pochodu.

Obok mnie przeszedł jakiś facet, a ja, bez jakiegokolwiek przyczyny, bez najmniejszego racjonalnego powodu, pożałowałem, że, nieco przygarbiony, w jednej ręce ściskam pęk róż, a w drugiej trzymam maleńką dłoń mojego syna. Gdybym nie miał kwiatów i dziecka, a w zamian dzierzył karabin szturmowy M-4, swojskiego beryla, niechby i glocka czy nawet parabellum – wskutek ostatnich wydarzeń czasami myliło mi się, co jest współczesnością, a co przeszłością – poczułbym się zdecydowanie pewniej. Facet niczym się nie wyróżniał, nie wyglądał groźnie, nawet na mnie nie patrzył. Ale złe przeczucia odezwały się niczym dzwon.

Przyjrzałem się gościowi dokładniej, nim mnie minął. Niewysoki, szczupły, w nieco złachanej marynarce, o zmęczonej twarzy, bez żadnych wyróżniających cech w sylwetce albo w sposobie zachowania.

Wtedy uświadomiłem sobie kilka następnych rzeczy.

Po pierwsze, facet wyglądał jak tajniak, zwyczajny tajniak na służbie. Po drugi – już go widziałem – kilka minut wcześniej przeszedł nieopodal naszego stolika. Po trzecie, najpewniej w końcu stało się to, czego podświadomie oczekiwałem, odkąd dwa tygodnie temu wylądowaliśmy w samym sercu Ameryki Anno Domini 2012. Od początku wydawało mi się niezbyt prawdopodobne, żeby udało nam się uciec stamtąd bez zostawiania żadnych śladów. Skoro są ślady, pojawiają się i tropiciele. Zbyt wielu ludziom nadepnęliśmy swą ucieczką na odcisk, zbyt wiele interesów naraziliśmy, zbyt zuchwałe były nasze poczynania. Paradoksalnie, typa w przechodzonej marynarce

powitałem bez obaw. Zagrożenie konkretyzowało się, a to zawsze lepsze, niż mieć do czynienia z czymś kompletnie nieznanym, co może wyskoczyć zza najbliższego rogu.

Mężczyzna minął nasz orszak z obojętną miną. Wyglądał tak, jakby w ogóle nas nie zauważył. Bardziej niż kiedykolwiek poczułem się bezbronny. Ponieważ jednak nie dysponowałem żadnym ze wspomnianych wyżej wojskowo–policyjnych atrybutów, a facet szybkim krokiem podążał w stronę dokładnie przeciwną niż my, na własny użytek wzruszyłem pocieszająco ramionami, poprawiłem uchwyt na wyslizgującym się pęku róż i ruszyłem żwawo przed siebie.

Grunto to zagadać rzeczywistość.

Dookoła kręcił się zaaferowany tłum. Ludzie szli lub biegli w różnych kierunkach, dzieci z piskiem witały powracających z zagranicy tatusiów, ci z kolei rzucali się na stęsknione małżonki. Witryny licznych butików kusiły kolorowymi szyldami, lotniskowy megafon bełkotał coś niezrozumiale. Przyspieszyłem kroku. Przez wielkoformatowe tafle szklanej ściany terminalu ciągnące się od poziomu podłogi przeszło pięć metrów w górę dostrzegłem zaparkowany przy chodniku, zamówiony jeszcze w nowojorskim oddziale Avisa samochód: siedmiomiejscowy chrysler voyager. Wygodny, nudny i, a jakże, amerykański. Obok ze zblazowaną miną stał facet z wypożyczalni, niedbale żując gumę i mający kluczykami zawieszonymi na krótkim łańcuszku. Poczułem coś w rodzaju ulgi.

Przedwcześnie, jak się okazało.

Możliwe, że tajniak mijający nas minutę temu skierował moje myśli w nieodpowiednią stronę. Możliwe, że rozluźniłem się, widząc samochód i szybką perspektywę opuszczenia tego miejsca. Prawda być może nawet wyglądała tak, że się zestarzałem i po prostu nie dostrzegłem zawczasu tego, co powinienem był dostrzec. Wyłuskałem z tłumy tajniaka, a przeoczyłem coś dalece ważniejszego, zagrożenie o nieporównywalnie większym ciężarze gatunkowym.

Z naprzeciwka nadchodził dwuosobowy patrol Straży Granicznej. Mężczyzna i kobieta, uzbrojeni, pewni siebie, sprawiający wrażenie dobrze wyszkolonych, acz nieco znudzonych codzienną patrolową rutyną funkcjonariuszy. Rozglądali się dokoła, oczy uważnie taksowały przewalający się we wszystkich kierunkach tłum.

Czasem jednak bywa tak, że nawet najlepsze wyszkolenie, uzbrojenie i czujność nie wystarczą. Idący za patrolem mężczyzna, ani wysoki, ani niski, na twarzy nijaki, o szarej cerze i szurzących, czujnych oczach, płynnym ruchem wyciągnął z kieszeni pistolet. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, ba, nawet zorientować się, że ruch tego człowieka zwiastuje jakiejkolwiek niebezpieczeństwo, broń plunęła ogniem.

Poczwórny huk wystrzału...

Dźwięczący odgłos upadających na ziemię łusek...

Echo...

Dziewczyna oberwała pierwsza. W jednej chwili miała pogodną twarz, ubraną w barwy młodości i życiowego optymizmu; w następnej przebiegając przez oblicze zaskoczenie,

niedowierzanie i ból, wszystko w ciągu ułamka sekundy; potem życie zgasło. Funkcjonariuszka poleciała na twarz i upadła niemal u mych stóp.

Jej towarzysz miał niezły refleks i wyczucie sytuacji. Nim jeszcze pod kobietą zaczęły ugiąć się kolana, trzymał dłoń na rękojeści służbowej broni, kciukiem odwodząc zabezpieczenie kabury. Ale dwie następne kule posłane prosto w kark nie dały mu żadnej szansy. Facet upadł tuż obok koleżanki.

Okazało się, że szczurzooki zabójca ma towarzyszy, którzy przystąpili do akcji w sposób równie stanowczy, skoordynowany i precyzyjny. Kilkunastu ludzi w różnych miejscach hali sięgnęło do kieszeni, upewniwszy się, że zatyczki tkwią głęboko w ich uszach, wyciągnęło podłużne cylindryczne przedmioty i rzuciło przed siebie, po czym upadło na ziemię.

Huk był ogłuszający, wrywający bębni, nieporównanie donośniejszy niż poczwórna pistoletowa salwa. Ułamek sekundy później dopadł mnie potężny oślepiający błysk. Zaskoczenie i szok spowodowały, że padłem – wszyscy w polu widzenia zrobili to samo – na ziemię. Zanim się z nią zetknąłem, kątem jeszcze widzącego oka – chwilę później oślepiłem na jakiś czas – zobaczyłem, że facet od kluczyków gapi się z niedowierzaniem na hałą przylotów, starając się coś zrozumieć z otaczających go wydarzeń, a potem, pchnięty jakąś tajemniczą siłą, uderza plecami o maskę voyagera, przelatuje przez nią i spada po drugiej stronie, definitywnie znikając mi z pola widzenia.

Gdy się ocknąłem, może po dwóch sekundach, a może po dwudziestu, poprzez koszmarnie dzwonienie w uszach usłyszałem gwałtowną strzelaninę. Ktoś pruł długimi seriami w głąb budynku (kałasznikow – zanotowałem beznamiętnie – jeden z tych nowych), wtórowało mu kilka innych, gdzieś dalej. Terkot serii nie był bynajmniej osamotniony – występował z towarzyszeniem potężnego chóru przerażonego wrzasku, oszalałego ryku, wyrażającego najwyższy strach i najwyższą niezgodę. Ludzie krzyczeli, wywracali się, rozbijali głowy i łamali ręce, spadali ze schodów i ginęli od kul. Szok spowodowany działaniem granatów powodował panikę i zanik racjonalnego myślenia. Serie skutecznie wybiły ludziom z głów myśl o ucieczce..

Choć w uszach nadal rozlegał się dźwięk wszystkich kościelnych dzwonów świata, usłyszałem płacz Johny ego. Rodzić takie rzeczy słyszy, mimo że teoretycznie nie powinien. Instynktownie przyciągnąłem go do siebie i przykryłem ciałem. Uznałem, że pozycja, jaką zajmujemy obecnie, wtuleni w granitowe płyty podłogi, nie gwarantuje niczego, ale stwarza choć iluzję bezpieczeństwa; gdybyśmy próbowali wstać, kule ścięłyby nas w sekundę.

Ostrożnie otworzyłem oczy.

Obok mnie w dziwnie wykręconej pozycji zobaczyłem Wieteskę. Żył, bo zwłoki nie sapałyby tak wściekle. Za nim Staś wtulał się w Rozalkę. Kurcewicz i Galaś leżeli nieco dalej i prezentowali również pewną aktywność życiową – rozglądali się na boki równie dyskretnie jak ja i próbowali, z równą jak ja ciekawością, dowiedzieć się, w co takiego tym razem wdepnęliśmy.

Szczurzooki stał nieopodal, otwierając usta i starając się wyrównać ciśnienie w uszach. Nadal trzymał w ręku pistolet i bacznie rozglądał się dookoła. Jego mina wskazywała, że najprawdopodobniej jest dość zadowolony z dotychczasowego przebiegu wydarzeń.

Niespiesznie w naszą stronę zbliżał się następny facet, tym razem uzbrojony w kałasznikowa. Wyglądał paskudnie, miał nalaną śniadą twarz, kruczoczarne włosy, obwisły wąs i rozbiegane, nienawistne oczy. Ale karabin trzymał pewnie, łagodnymi ruchami omiatając lufą tę część hali. Ludzie leżeli pokotem, tam gdzie zastały ich serie i wybuchy, nierówną mozaiką pokrywali podłogę, bojąc się podnieść głowę czy nawet energiczniej poruszyć.

Facet z kałachem metodycznie lustrował wzrokiem tłum i nie sądzę, by jego uwadze cokolwiek mogło umknąć. Sprawiał wrażenie zawodowca.

Podszedł do Szczurzoookiego i zaczął z nim półgłosem dyskutować.

Jeżeli chodzi o mnie, uwagę dzieliłem pomiędzy nich a szlochającego rozpaczliwie syna, próbującego za wszelką cenę wydostać się spode mnie. Stałem się być łagodny i stanowczy zarazem, ze stanowczością rosnącą wprost proporcjonalnie do uwagi poświęcanej mi przez ludzi z bronią; nie chciałem dawać im żadnego pretekstu.

Udało się w ostatniej chwili.

Mały nabrał głęboko tchu, jakby zbierając siły przed jeszcze głośniejszym płaczem. Zakryłem mu buzię dłonią i zasłoniłem ciałem przed wzrokiem obu mężczyzn. Johnny szarpał się i wiercił, a ja szeptałem mu w ucho najbardziej uspokajające i kojące słowa, jakie tylko mogłem znaleźć w swej skolatanej i przestraszanej mózgownicy. W końcu coś do chłopaka dotarło; może wszedł do akcji instynkt, najlepszy w takich sytuacjach doradca. W każdym razie, nim ktokolwiek zainteresował się nami na dobre, Johnny przestał się wyrywać. Mogłem ponownie skoncentrować uwagę na tym, co działo się wokół.

Po krótkiej dyskusji Wąsaty i Szczurzoooki postanowili ruszyć tyłek. Przeszli obok niespiesznym krokiem, po czym zajęli stanowisko przy drzwiach wejściowych.

Zarzykowałem dokładniejsze spojrzenie dookoła.

Różnobarwny sterroryzowany tłum leżał niczym skoszony łan. Ale moją uwagę przykuli ci, którzy stali: mężczyźni rozmieszczeni w różnych miejscach lotniska, w głównej hali, na antresoli, u szczytu ruchomych schodów prowadzących na niższą kondygnację. Ubrani w cywilne ciuchy, z jakiegoś jednak powodu sprawiające wrażenie mundurów, jednolicie uzbrojeni w rosyjskie karabiny szturmowe, obwieszeni granatami, spokojni, kompetentni i dążący prosto do celu, bez tracenia czasu na zbędne niuanse. Niemal wszyscy w typie facetów, którzy przed chwilą przeszli obok nas.

W polu widzenia dziesięciu. Może jedenastu.

Ich widok przyprawiał o dreszcze i zwiastował dalsze kłopoty.

Oto pierwszy z nich: zmierzająca w naszą stronę grupka czterech facetów z bronią maszynową. Poruszali się powoli i dokładnie mierzyli wzrokiem leżących na kamiennych płytach podłogi nieszczęśników. Niekiedy jeden z nich zatrzymywał się, lufą dźgał w bezbronne plecy, zmuszał do podniesienia głowy, przez chwilę przypatrywał się zastraszonej fizjonomii, po czym cofał broń i szedł dalej, przez cały czas dbając, by szereg był wyrównany.

Ci ludzie najwyraźniej szukali czegoś lub kogoś...

2

Najbliższy terrorysta z obrzydzeniem opuścił głowę jakiegoś staruszka; nie miał w rękę fotografii ani wykonanego przez specjalistę portretu pamięciowego, ale widać było, że doskonale wie, kogo chce odnaleźć; żadne zdjęcie nie było najwyraźniej potrzebne. Jednym z elementów, które to współczesne Einsatzkommando ćwiczyło przed akcją, było dokładne zrozumienie i zapamiętanie, jakiego typu zadania podjęli się jego członkowie.

Zacząłem przygotowywać sobie w głowie scenariusze wyjścia z sytuacji, rozważałem różne błyskotliwe operacje, zakończone pełnym sukcesem. Jednak, szczerze mówiąc, żaden wariant nie nadawał się do niczego. Mogłem tylko mieć nadzieję, że się srodze pomyliłem, że przecież ich cel jest inny, że...

Jeden spojrzał w naszą stronę. Zerknąłem kątem oka. Wrażenie się spotęgowało. Facet wyraźnie mi się przyglądał. Mały Johnny zaczął się wiercić i nabrał oddechu do kolejnej dawki ekspresyjnie wyrażonej niezgody na rzeczywistość.

Krzyk był straszny, rozpaczliwy, rozdzierający. Przenikał do szpiku kości.

Rozległ się jednak nie pode mną, lecz w głębi hali, i bez wątpienia należał do kobiety. Razem z nim zabrzmiał inny głos, rozkazujący, władczy, groźny. Kobieta przerwała na chwilę, być może tylko dla zaczerpnięcia tchu, po czym kontynuowała, wrzeszcząc jeszcze głośniejsze i przechodząc w coraz wyższe rejestry. Kiedy już zdawało się, że dłużej tak nie można, że natężenie hałasu wyszło poza ludzkie możliwości, rozległ się odgłos uderzenia, a potem plaśnięcie czegoś miękkiego o beton. Chwilę po hali dudniło echo, dźwięk kilkakrotnie odbił się od sufitów i ścian, po czym wszystko ucichło.

Martwa, kamienna cisza.

Trwała bardzo krótko. Leżący na ziemi tłum zafalował. Niektórzy podnosili głowy, by lepiej przyjrzeć się temu, co się stało, inni zaczęli na głos komentować rozwój sytuacji. Najwyraźniej, wedle nieubłaganej logiki rozwoju sytuacji, nadszedł czas buntu.

– Jeśli wiać, to teraz. Oni się za chwilę zbiorą do kupy i może się nie udać – usłyszałem z tyłu głos Galasia.

– A teraz niby się uda? – wyręczył mnie w wyrażeniu sceptycyzmu Kurcewicz.

– Teraz nie musi. Potem się nie uda na pewno.

– Szanse są niewielkie – powiedziałem na wszelki wypadek.

Johnny Wieteska uśmiechnął się drwiąco.

Miał zupełną rację – byłem hipokrytą. Od pewnego czasu bardzo intensywnie rozpatrywałem możliwości ucieczki.

– Nie mamy broni – dodałem.

Krzyki ucichły, zamachowcy najpewniej zaczęli na powrót panować nad sytuacją.

– Zdobędziemy ją – odparł Galaś.

– Są z nami chłopcy i Rozalka.

– Ochronimy ich – dorzucił Wieteska.

– Dobry plan – ucieszyłem się. – Nic tylko przystąpić do realizacji.

– No, myślę. – Wieteska przystąpił. Odwrócił głowę i zaczął obserwować ludzi na galerii.

– Jest nas czterech – powiedział Galaś, jakby nie słyszał mego im-pertynenckiego wtrętu. – Zaatakujemy dwóch najbliższych, załatwimy tych przy drzwiach i pozostałych dwóch przeszukiwaczy. Wycofamy się do samochodu i zwiemy.

– Godna podziwu umiejętność syntezy – uśmiechnąłem się lekko. Mój syn zaczął płakać. Przytuliłem go. – Działamy?

Wszyscy kiwnęli głowami. No dobrze, trochę ubarwiam rzeczywistość: wszyscy mężczyźni kiwnęli głowami, natomiast Rozalka wprost przeciwnie: pokręciła nią. Rozalka, żona Wieteski, obdarzona niezwykłą urodą i włoskim temperamentem towarzysza naszej wojennej doli-niedoli, była najwyraźniej wściekła.

– Chcecie tym ludziom zabrać broń? – syknęła.

Wśród naszej pstrokatej gromadki zapadła niezręczna cisza. Wieteska poruszył się niespokojnie.

– Nie ma innego wyjścia. – bąknął.

– Nie zgodzę się, byście zaatakowali tych ludzi gołymi rękoma.

– Ależ Rozalko...

– Nie zgadzam się – podniosła nieco głos. Gdyby mogła, zapewne tupnęłaby nogą.

– To nasze jedyne wyjście – powiedziałem łagodnie.

Odwróciła się, a ja dojrzałem w jej oczach mądrość. Piękno, mądrość i rozsądek. Wieteska był cholernym szczęściarzem, być może nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wielkim.

– Rzucenie się na nich z gołymi rękoma to pewna śmierć. Też wiem, że mogą strzelać przy byle okazji. Zaatakujecie ich, zaczną strzelać i zginieją wszyscy.

Trudno było cokolwiek zarzucić temu rozumowaniu. I sam nie wiem, jak skończyłaby się ta krótka wymiana zdań, możliwe, że Rozalka przekonałaby nas i odstąpilibyśmy od realizacji planu, gdyby nie pewien facet, który postanowił ułatwić nam decyzję.

Nie dalej jak dziesięć metrów od nas leżała para, której głowa – to znaczy gnojek, który pretendował do roli głowy rodziny – protestowała najgłośniej, przynajmniej w tej części lotniska. Mężczyzna, silnie zbudowany trzydziestolatek, jeden z tych zdobywców świata, którzy sądzą, że bębniaste bicepsy i ładna kobieta u boku dają prawo do ustanawiania własnych reguł, wstał, zaczął wrzeszczeć i nawet wymachiwać pięściami. Stojący najbliżej Brat Bliźniak Klon Szczurzooskiego, taki sam szary na twarzy, niezbyt pokaźnej postury facecik, trzymający broń lufą do góry jak w jakimś niezbyt wyrafinowanym amerykańskim filmie sensacyjnym, postąpił kilka kroków, po czym znalazł się na wprost krzykacza.

Mięśniak, widząc przed sobą nie jakieś abstrakcyjne niebezpieczeństwo, ale konkretnego człowieka, podniecił się jeszcze bardziej. Podkreślił amplifikację wokalną, podwyższył tonację i zaczął jeszcze gwałtowniej gestykulować, całkowicie jednoznacznie wymachując pięściami coraz bliżej nosa Brata Bliźniaka Klona.

Tamten stał przez krótką chwilę bez ruchu, jakby oceniając sytuację. Najpewniej wyszkolenie i wpojone reguły postępowania w podobnych sytuacjach – o ile terroryści stosują się do jakichś reguł – podpowiedziały mu, że krokiem numer jeden powinien być uspokajający cios łufą karabinu w brzuch oponenta, toteż szybkim ruchem opuścił prawe ramię, lewą ręką złapał za łożę broni i energicznie dźgnął na wprost, czyniąc jednocześnie wyrok lewą nogą.

Lufta trafiła wprost w splot słoneczny Gnojka Zdobywcy Świata, letnia marynareczka oczywiście niczego nie zamortyzowała, facet stęknął potężnie, niemal na granicy wymiotów, i cofnął się, zgięty w całkiem poważnym przechyle.

Mimo wszystko nie zrezygnował. Był silny i odporny, opatrność najwyraźniej zaopatrzyła go w różne przydatne w życiu cechy, wyjąwszy odrobinę rozumu, niestety. Stęknął ponownie, ze świstem wciągnął powietrze, po czym zaatakował, z głową nisko pochyloną, niczym doprowadzony do ostateczności byk podczas korridy.

Strzał zabrzmiał wysoko, wbijając się w uszy ostrym dźwiękiem. Na czubku głowy atakującego rozkwitł szkarłatny kwiat, krew trysnęła na boki, facet chrapnął głucho, co zresztą w mgnieniu oka zniknęło we frenetycznym, opętańczym, prowadzonym na jednej nucie wrzasku jego towarzyszkę. Zamachowiec ponownie nacisnął spust. Na letniej kolorowej sukience zaczerwieniły się dwa niewielkie otwory.

Krzyk urwał się w najwyższej nucie, po czym bezwładne ciało zważyło się wprost na swego równie martwego towarzysza.

Cisza, która zapadła zaraz potem, nie da się opisać. Było nas, rozsiadanych nieregularnie na eleganckiej podłodze warszawskiego lotniska, pewnie z tysiąc osób, może nawet więcej. Każdy, wliczając moich towarzyszy i mnie, było nie było, weteranów dwóch poważnych wojennych kampanii, bał się jak cholera. Każdy miał ochotę zwać z tego miejsca, nie oglądając się specjalnie na bliźnich. Adrenalina wyzwalała w ludziach najrozmaitsze instynkty. Wszelako demonstracja brutalnej bezwzględności, jaką było przeprowadzone z zimną krwią i z naprawdę błahego powodu podwójne morderstwo, sprawiła, że ludzie zamilkli jak zamurowani. Najwyraźniej musiało upłynąć jeszcze trochę czasu, nim uporają się z nowym zwrotem fabularnym tej niezwykle wrześniejszej rzeczywistości.

Zamachowcy nie mieli jednak zamiaru dawać czasu komukolwiek na uporanie się z czymkolwiek. Ten, który strzelił, Brat Bliźniak Klon Szczurzookiego, może szef, a może po prostu gość mówiący najlepiej po angielsku, potrząsnął dymiącym jeszcze karabinem i krzyknął:

– Leżeć na ziemi i nie wstawać. – Akcent miał nie najgorszy, głos przyjemny i kulturalny. Coś mi się zdaje, że musiał odebrać w Anglii edukację, może nawet wszystkich szczebli. – Jeden ruch i będziemy strzelać.

Rzeczywiście, w ciągu najbliższych stu dwudziestu sekund strzałów padło aż nadto.

3

Przeszukiwacze powrócili do swego podstawowego zadania, przerwanego przez bezrozumnego krzykacza. Ponownie ustawili się w szeregu i ruszyli naprzód.

Sekundę później Galaś zaczął się krztusić. Dłonie splótł na brzuchu, poczerwieniał na twarzy, po chwili dźwignął się do przykłęku, jakby taka pozycja zapewniała mu ulgę w cierpieniu. Żadnych wątpliwości: padł ofiarą reakcji organizmu, spowodowanej strachem, adrenaliną, niezwykłością sytuacji. Można powiedzieć: w tych okolicznościach nawet normalnej. Stanowił klasyczny przykład faceta, który po prostu porzygał się ze strachu.

Znajdujący się najbliżej napastnik, z miną nie wróżącą niczego dobrego, wykonał kilka energicznych kroków i dźgnął Galasia lufą w bok. Ekskapral nie zwrócił na to uwagi – najpewniej dotyczyło go cierpienie zbyt wielkie, by taki drobiazg jak lufa sprawdzająca wytrzymałość żeber był w stanie odwrócić uwagę od procesów zachodzących wewnątrz organizmu. Facet szturchnął ponownie, powiedział coś po angielsku, czego właściwie nie usłyszałem, i zamachnął się, żeby zadać następny cios; sądząc z energii, jaką wkładał w ruch, znacznie mocniejszy niż poprzedni.

Całe zdarzenie obserwowałem kątem oka, koncentrowałem się bowiem na nieco innym aspekcie wydarzenia.

Drugi z tyraliery, towarzysz zajmującego się Galasiem terrorysty, zatrzymał się nie dalej niż o krok ode mnie, zwrócony bokiem, i bez specjalnego zainteresowania oglądał widowisko z byłym kapralem nadterminowym w roli głównej. Broń, zwróconą lufą ku dołowi, trzymał pewnie w obu rękach.

Popełnił błąd.

Rzuciłem się na niego niczym wyskakująca z zegara sprężyna. Owszem, z racji wieku czasy najlepszego refleksu oraz piorunującej szybkości niewątpliwie miałem za sobą, jednak determinacja i dzika furia z powodzeniem zrównoważyły fizyczne niedostatki.

Pchnąłem go: efekt zaskoczył nawet mnie samego. Facet upadł, huknął tyłem czaszki o granit i do tego póki co ograniczył się jego udział w zdarzeniu. O ile nie złamał sobie karku, stracił przytomność na tak długo, by przez dłuższy czas nie sprawiać ani nam, ani nikomu innemu najmniejszych kłopotów.

Nim jeszcze bezwładne ciało znieruchomiało, rzuciłem się w przód, wyrwałem z bezsilnej już ręki karabin i niemal bez celowania, bez sprawdzania, czy broń jest odbezpieczona, skierowałem lufę w stronę towarzysza powalonego przeze mnie mężczyzny, po czym pociągnąłem za spust.

Okazało się, że karabin został nastawiony na ogień ciągły. Starałem się jednak w miarę możliwości kontrolować sytuację, więc ku napastnikowi poleciało nie więcej niż pięć pocisków. Cel znajdował się blisko, moja koncentracja sięgnęła zenitu, ręka nie drgnęła. Klatka piersiowa faceta zabarwiła się krwawo, jego broń zatoczyła szeroki łuk i poleciała w tył, upadając na ziemię z nieprzyjemnym traskiem. Także i ten zamachowiec przestał stanowić jakiekolwiek zagrożenie.

Kątem oka widziałem rozwój sytuacji po prawej stronie. Galaś najwyraźniej skończył już odgrywać komedię z bezbronnym trapiącym dolegliwościami żołądkowymi fajtlapą w roli głównej i zajął się wrywaniem karabinu z rak osłupiałego terrorysty, sekundę wcześniej powalonego na ziemię przez spółkę Wieteska & Kurcewicz. Facet upadł jak ścięty, Galaś sfinalizował transfer uzbrojenia, krótką serią posłał do diabła czwartego i ostatniego z przeszukiwaczy i tak się zakończył naszej ucieczki etap pierwszy.

Niezwłocznie przystąpiłem do realizacji etapu drugiego.

Wedle planu miałem zająć się Szczurzookim i Wąsatym, dwoma cerberami pilnującymi wejścia. Obróciłem się szybko. Bliski paniki dostrzegłem, że obaj są gotowi do strzału. Wbijane im do głowy scenariusze przewidywały możliwość obecnego rozwoju sytuacji, bo ani trochę nie wyglądali na zaskoczonych. Nie zwracając sobie głowy celowaniem, pociągnąłem za spust, niemal go wyginając, podświadomie modląc się o celność i szybkość.

Prawie się udało.

Pierwszych kilka pocisków poszło w szklaną ścianę, w jednej chwili roztrzaskując całkiem pokaźny jej kawał i obsypując obu terrorystów szklanym, upiornie hałaśliwym konfetti. Ponieważ skorygowałem ustawienie lufy, następne pociski gładko weszły w Szczurzookiego i rzuciły go na drzwi. Kałasznikow upadł na ziemię, nie wystrzeliwszy ani razu.

Nie można tego powiedzieć o broni Wąsatego. Zdążył on bowiem w jednym płynnym ruchu złożyć się, wycelować i otworzyć ogień.

Wystrzelił trzy razy, zanim końcówka mojej serii zakończyła jego popisy. Facet upadł, jednocześnie gdzieś z boku usłyszałem jęk, który natychmiast utonął w huku następnej serii. To Galaś zgodnie z umową – jak się Galaś na coś umówi, nie ma takiej siły, która odwiodłaby go od realizacji postanowień porozumienia – ostrzeliwał terrorystów zajmujących stanowiska na galerii.

Skutków tych działań nie dostrzegłem, zajęty byłem bowiem łapaniem pod pachę krzyczącego ze strachu Johnyego i inicjowaniem ucieczki. Miałem przed sobą kilkanaście metrów hali i wyjście z dwoma strzegącymi go trupami; zacząłem biec. Z ulgą w przerwach pomiędzy seriami usłyszałem za sobą tupot kilku par nóg, założyłem zatem, że nie uciekam sam. Przemknąłem koło martwych napastników, odrzuciłem precz broń, pustą i niepotrzebną, po czym wybiegłem wprost w upalne wrześniowe słońce.

Chodnik, voyager, spokój.

Rozalka ze Stasiem, oboje bladzi i rozdygotani, na granicy hysterii. Za nimi Kurcewicz z Wieteską.

Wojtek biegł niezdarnie; by posuwać się do przodu, musiał być mocno podtrzymywany przez swego o głowę niższego towarzysza. Przyczyna była łatwa do odgadnięcia: postrzał w bark. Rana krwawiła obficie i z pewnością sprawiała ból.

Obiełem samochód. Tuż przy drzwiach kierowcy kucał facet z wypożyczalni, biały na twarzy i wyraźnie drżący. Widać uznał, że samo zniknięcie z oczu znajdującym się wewnątrz hali przylotów ludziom jest wystarczająco skuteczne, by nie próbować bardziej przedsiębiorczych środków zaradczych.

– Kluczyki – krzyknąłem, za wszelką cenę starając się uspokoić płaczącego i wyrywającego się Johnyego.

Bezskutecznie. Rozpaczliwy krzyk ojca to nie jest czynnik uspokajający, w żadnych, nawet o wiele bardziej sprzyjających warunkach.

Pracownik wypożyczalni spojrzał przerażonym wzrokiem. Byłem pewien, że nie zrozumiał, co mówię.

Być może w ogóle mnie nie słyszał.

– Kluczyki, człowieku – krzyknąłem ponownie, po czym dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, jak z jego punktu widzenia wygląda sytuacja.

Stał nad nim niemal dwumetrowy facet z wyrywającym się wrzeszczącym dzieckiem pod pachą i z wściekłą miną (nie była wściekła, tylko przestraszona, ale możliwe, że moja mimika bywa w takich razach mocno niezróżnicowana), a za jego plecami rosła kanonada.

Facet umierał ze strachu.

Wsadziłem mu rękę do kieszeni i wyciągnąłem pojedynczy klucz z doczepionym pilotem. Nacisnąłem żółty guzik, centralny zamek z traskiem otworzył drzwi. Szarpnąłem za klamkę. Zgodnie z umową na jednym z siedzeń w środkowym rzędzie zamocowany był dziecięcy fotelik

Zignorowałem go. Niemal wrzuciłem Johnyego na podłogę pomiędzy fotelami.

– Masz tu zostać. Masz leżeć.

Małe ramiona i główka aż trzęsły się ze strachu i rozpacz. Podniósł na mnie załzawione oczy. Nie rozumiał, co się dzieje. Nie rozumiał, dlaczego tak głośno krzyczę.

– Musisz się mocno trzymać, synku. Będziemy bardzo szybko jechać.

– Mieliśmy jechać do mamy – powiedział cicho, a mnie po raz kolejny raz tego dnia ścisnęło się serce.

Rozalka wskakiwała właśnie razem z przybranym synem na tylne siedzenie.

Do samochodu dotarli też Wieteska i Kurcewicz.

Strzelanina narastała niczym fala tsunami.

Drżącymi rękoma staram się umieścić kluczyk w stacyjce, Kurcewicz zajmuje miejsce na tylnej kanapie, Wieteska krzyczy coś niezrozumiale do Rozalki, Galaś wybiega przez drzwi wejściowe i biegnie niczym sprinter na zawodach Golden League.

Z wnętrza budynku padają coraz gęściejsze serie... Kaprał dopadł samochodu i pośpiesznie wskoczył na fotel pasażera. Przekręciłem kluczyk i trzylitrowy silnik zagrał równym dźwiękiem. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi, w lusterku wstecznym w ekspresowym tempie dokonałem lustracji, stwierdziłem, że wszyscy są na swoich miejscach, przesunąłem dźwignię zmiany biegów na pozycję „D”, wcisnąłem gaz i ciężkie auto skoczyło do przodu.

Żeby zniknąć z oczu potencjalnej pogoni, wystarczyło przejechać sto metrów, może nawet mniej.

Dalej droga wyginała się łukiem w lewo i opadała wiaduktem w dół; można było skryć się za zakrętem. Udało się pokonać może dwie trzecie dystansu, gdy ponownie zaterkotały serie.

Usłyszałem płacz Johnyego, czyjś okrzyk: „Na podłogę!”, dodałem gazu i niemal na dwóch kołach pokonałem łuk ślimaka, ryzykując upadek z kilkumetrowej wysokości. Ale van dobrze trzymał się drogi, żadna z kul nie trafiła w opony ani układy jezdne. Wrzuciłem wyższy bieg, przyspieszyłem, auto zakołysało się, jednak nie wypadło z toru jazdy.

Zjechałem z betonowej estakady. Przede mną rozciągała się prosta droga, samochód osiągnął prędkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Ktoś jeszcze strzelił w oddali, raczej dając wyraz swej frustracji, niż mając na uwadze konkretny cel, i na tym zakończył się nasz udział w napadzie na największy polski port lotniczy.

Precyzyjnie: zakończył się, jeśli chodzi o lotnisko i terrorystów. W samochodzie bowiem wybuchł istny wulkan emocji. Obaj chłopcy szlochali, Rozalka, pochlipując, bez większego powodzenia starała się ich uspokoić, a mężczyźni gadali jeden przez drugiego.

4

– Co to, do cholery, miało być? – wydarł się Wieteska.

W takich razach zwykle ponosił go lotniczy temperament. No cóż, nie dziwię się: nie trzeba było mieć lotniczego temperamentu, by dać się ponieść.

– Atak terrorystyczny – odparłem. – Wszyscy cali?

Galaś zlustrował uważnie członków przestraszonej ekipy. Jeszcze dyszał ciężko i był, pomimo wysiłku, blady jak papier.

– Cali.

– Wojtek?

– Jeszcze żyję – powiedział Kurcewicz słabo.

– Jedziemy do lekarza.

– Tak? Masz ochotę na pogawędkę z policją?

Zwolniłem. Zbliżaliśmy się do skrzyżowania z ulicą 17 Stycznia. W przeciwną stronę pędziły wyjące syrenami forpoczty sił prawa i porządku.

– Potrzebujesz opieki lekarskiej – mruknąłem bez przekonania.

– Nic mi nie będzie.

– Stracił trochę krwi, ale kula przeszła płytko – powiedział Wieteska. Zdjął Wojtkowi marynarkę i starał się zatamować krwotok.

– Jedziemy po kontener – powiedział Kurcewicz.

Miałem nieodparte wrażenie, że sporo wysiłku kosztowało go nadanie głosowi energicznego brzmienia.

– Dobry pomysł – poparł go Wieteska.

– Musi zobaczyć cię lekarz. To rana postrzałowa. Może się wdać zakażenie.

– Lekarz ma obowiązek zgłosić postrzał policji. Będziemy się musieli gęsto tłumaczyć – dodał Galaś.

Odwróciłem lekko głowę i napotkałem jego wzrok. Martwił się.

Nie on jeden. Nie tak wyobrażaliśmy sobie powrót.

Światło zmieniło się z czerwonego na zielone. Trzeba się było na coś zdecydować.

– Jedźmy do hotelu. Znam jednego lekarza, który nie pochwali się policji. Potem zajmujemy się kontenerem – powiedział Wieteska.

– Ale... – zaprotestowałem.

– Dla mnie okej. – Kurcewicz mimo wszystko miał decydujący głos.

Poddąłem się.

– Weźmy inny hotel. Ten zarezerwowany może być trefny – powiedział Galaś.

Kiwnąłem głową. Mnie również to przyszło do głowy. Po tym, co się stało, lepiej być przesadnie ostrożnym.

– Może być – powiedziałem.

Przez lata wyrobiliśmy w sobie nawyk działania zespołowego i szybkiego podejmowania decyzji. Ruszyłem.

Gdy minąłem skrzyżowanie, w przeciwnym kierunku z rykiem przejechała długa kolumna samochodów policyjnych, wojskowych i medycznych. Konsekwencje napaści na lotnisko zataczały coraz szersze kręgi.

5

W warszawskim hotelu Sheraton spędziliśmy nieco ponad dwie godziny.

Z podziemnego garażu przetransportowaliśmy Kurcewicza do jednego z wynajętych apartamentów. Znajomy lekarz, który na całe szczęście przez pięć lat nie zmienił adresu i numeru telefonu prywatnej praktyki, w zamian za pokaźną sumę pieniędzy przybył szybko na miejsce, opatrzył ranę, nie zadawał żadnych pytań, a także zobowiązał się zachować powściągliwość również w przyszłości. Gdy Kurcewicz leżał już w łóżku opatrzony i nafaszerowany środkami przeciwbólowymi (na szczęście diagnoza Wieteski okazała się trafna: kula rozorała skórę, nie uszkadzając niczego istotnego), medyk zajął się Rozalką i dziećmi: wyglądało na to, że nic im nie będzie, ale na wszelki wypadek cała ekipa otrzymała sporą dawkę środków uspokajających.

Zeszliśmy do garażu, wyczyściliśmy tapicerkę chryslera z plam krwi, po czym ponownie wyjechaliśmy na ulice naszej rozgorączkowanej środkowoeuropejskiej metropolii.

Ponieważ wszędzie panował chaos, w dużej mierze spowodowany przez uzbrojone w długą broń i wyrывkowo kontrolujące samochody patrole policji, jazda zajęła nam znacznie więcej czasu niż poprzednio. W końcu jednak skręciliśmy z Puławskiej w Poleczki i po pokonaniu kilku ostrych zakrętów dojechaliśmy, o dziwo, bez przeszkód, do kompleksu budynków terminalu cargo. Fakt: nieopodal stały trzy policyjne furgonetki, z oddali dochodziło wycie syren i mamrotanie zawieszonego gdzieś w przestworzach śmigłowca, a kilku funkcjonariuszy kręciło się tu i tam, jednak na pierwszy rzut oka ruch odbywał się normalnie. Terrorysty terrorystami, a biznes biznesem.

Zaparkowałem przed jednym z budynków, zajmowanym przez znaną na całym świecie firmę kurierską.

Poprosiłem towarzyszy, by na mnie poczekali, po czym wysiadłem z samochodu.

Pchnąłem szklane drzwi. W głębi obszernego holu, ku mojemu niemałemu zdziwieniu, ponieważ w gruncie rzeczy oczekiwałem podobnej jak na zewnątrz martwej pustki, za obszerną elegancką ladą siedział facet w służbowym uniformie i wpatrywał się w ekran komputera.

Energicznym krokiem podszedłem do blatu. Urzędnik był młody, miał przystojną pociągłą twarz i znudzoną minę.

– Chciałbym odebrać przesyłkę – powiedziałem, kładąc na ladzie dokumenty.

Młody człowiek niespiesznie zaczął kartkować paszport. Na stronie z danymi osobowymi i zdjęciem zatrzymał się.

– George Walicki? – zapytał matowym głosem.

Był wściekły lub czegoś się bał. A może jedno i drugie.

– Tam jest wszystko napisane. – Wysunąłem podbródek.

Facet nawet na mnie nie patrzył.

– Jest pan Amerykaninem?

– To pytanie ma związek z przesyłką? – Poczułem złość. Narastało we mnie dojmujące poczucie uciekającego bezpowrotnie czasu.

Odłożył paszport, wziął do ręki list przewozowy i zaczął go studiować z jeszcze większym namaszczeniem. Po chwili odłożył papier i zabrał się do przeszukiwania przepastnych zasobów sieci informatycznej.

– Obawiam się, że nie mamy przesyłki o tym numerze – powiedział w końcu.

Starannie unikał mojego spojrzenia. Może mi się tylko wydawało, ale pobał na twarzy.

– Nie macie? – zdziwiłem się sztucznie.

Syreny policyjne wyły coraz głośniej, facetowi w zauważalny sposób zaczęły drżeć ręce. Poczułem jeszcze mocniejszy niż do tej pory ścisk żołądka.

– Nie mamy przesyłki o tym numerze – powtórzył z naciskiem. Być może uznał, że mnie tym przekona.

– A list? – zapytałem.

– To bardzo dziwne. – Wystukał na klawiszach wściekle crescendo, wchodząc do coraz to nowych aplikacji.

– Proszę zawołać przełożonego.

– Przełożonego? – zapytał. W końcu podniósł wzrok. W jego oczach był strach, rozpacz i poczucie klęski.

Nie zdążyłem się dowiedzieć, co zdrożnego jest w odwołaniu się do zwierzchnika urzędnika nie mogącego doszukać się przesyłki wielkości sporego kontenera, który z pewnością dotarł do Warszawy (jeszcze w Nowym Jorku osobiście nadzorowałem start samolotu transportowego z drogocennym ładunkiem na pokładzie; bez żadnych międzylądowań miał po kilkunastu godzinach osiągnąć warszawskie lotnisko), gdy za oknem zapiszczały opony gwałtownie hamujących samochodów. Postąpiłem krok do przodu, gdy do pomieszczenia wpadło kilku ubranych w czarne kombinezony, zamaskowanych i uzbrojonych ludzi.

– Gleba. Ręce do tyłu – krzyknął jeden z nich akcentem, o ile mnie słuch nie mylił, rodem z warszawskiej Pragi.

Cztery lufy niezawodnych w takich sytuacjach pistoletów maszynowych Heckler & Koch MP-5 patrzyły mi prosto w twarz.

Ci ludzie nie żartowali. Najwyraźniej koszmar naszego pobytu w starym kraju wkroczył w nową fazę. Z braku lepszego wyjścia posłuchałem polecenia. Położyłem się na zimnych płytach podłogi i splotłem ręce na plecach. Starłem się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, po prostu zrobiłem, co kazali. Jeden podszedł ostrożnie.

Wyjął z kieszeni jednorazowe kajdanki, po czym wprawnym ruchem zamontował je na moich przegubach. Byłem unieruchomiony na amen.

Do sali weszło dwóch następnych mężczyzn. W odróżnieniu od pozostałych nie byli zamaskowani i mieli na sobie cywilne ubrania. Pierwszy dość niski, szczupły, niebieskooki i ogorzały na twarzy. Drugi wielki jak góra, o złej, zaciętej twarzy, na której widok można było wyciągnąć

wniosek, że jej właściciel jest osobnikiem skorym do nadużywania przemocy i nie zastanawiającym się nad zastosowaniem tej że dłużej niż pół sekundy.

Podeszli szybkim krokiem, uważając, by nie wejść w linię ognia Czarnym Kombinezonom, zatrzymali się metr od malowniczej składającej się z mojej skromnej osoby oraz kajdanek instalacji, której zaczęli się przyglądać z ogromnym zainteresowaniem.

Nim do głowy przyszła mi jakaś błyskotliwa, adekwatna do okoliczności fraza, która jednocześnie podsumowałaby sytuację i postawiłaby mnie ponad tymi brutalnymi, zdecydowanymi facetami, przemówił niższy z cywili.

– Pan wraca z lotniska? – zapytał. A właściwie nie pytał. Twierdził.

– Pomyłka – odparłem po dłuższej chwili. Poczułem się stary, zmęczony i przegrany. Mimo to próbowałem nadal. – Nie byłem na lotnisku.

– Naprawdę? – Nieznajomy uśmiechnął się przelotnie. Spojrzał na stojącego obok wielkiego towarzysza. Tamten wzruszył ramionami. – Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się sukcesu przy pierwszym podejściu.

– Sukcesu? – zapytałem z głupia frant.

Już wiedziałem, że przegrałem. Po przylocie pogranicznik wbił w paszport pieczętkę. Była w niej dzisiejsza data. Wystarczyło teraz poprosić mnie o dokumenty.

– No cóż, może w takim razie zaczniemy od drugiego końca – westchnął teatralnie. Wyglądało na to, że uwielbia takie przedstawienia. I nie kończy ich zbyt prędko. – Nazywam się Jakub Tyszkiewicz, mam stopień podinspektora i jestem szefem wydziału antyterrorystycznego Centralnego Biura Śledczego. – Podsunął mi pod nos legitymację, żebym nie podejrzewał go o konfabulację. Facet na zdjęciu był przystojniejszy niż w rzeczywistości. – A to – wskazał na chmurnego olbrzyma – nadkomisarz Stanisław Krzeptowski, mój zastępca. Musimy poprosić, aby udał się pan z nami.

ROZDZIAŁ II

Przesłuchanie

9 września 2012, okolice San Antonio

Otworzyłem oczy i wróciło wrażenie znane sprzed pięciu lat. Obraz był zamazany i niewyraźny, pozbawiony kolorów, szary. Głowa bolała upiornie, ból czułem również we wszystkich mięśniach. Na próbę poruszyłem ręką. Palce drżały i prawie ich nie czułem.

Ponownie zamknąłem oczy. Ból nieco zelżał, co przypisywałem zapadłej wskutek zamknięcia oczu ciemności. Postanowiłem przez chwilę poleżeć spokojnie i zobaczyć, czy będzie mi się polepszało.

Pomału przypominałem sobie, co się stało. Dlaczego leżałem na plecach na czymś twardym i niezbyt wygodnym, dlaczego boli mnie całe ciało, dlaczego zmysł wzroku nie informuje o tym, gdzie się znajduję...

... technicy, Brest i Simmons, z namaszczeniem umieszczają emiter pola siłowego na uprzednio przygotowanym maszcie...

... Galaś manipuluje przy komputerze (chyba nie było na świecie peceta z taką mocą obliczeniową; złożona z kilku innych maszyna mogła przetworzyć naprawdę znaczącą ilość danych) ustawionym na połowym stoliku...

... Brest i Simmons schodzą z platformy, po czym podłączają pięcio-centymetrowej grubości kabel zasilający system w energię elektryczną. To jest krytyczny parametr, na dodatek wyliczony zgoła prowizorycznie. Oryginalnie emiter był zasilany miniaturowym reaktorem atomowym, podobnym do urządzeń napędzających okręty podwodne, tyle że o znacznie większej mocy, a jednocześnie mniejszych rozmiarach. My musieliśmy się obejść bez niego; reaktor przepadł w zawierusze wojennej.

Sposób wymyślony przez Galasia był diabelnie prosty i sprowadzał się do kradzieży na ogromną skalę energii elektrycznej z przebiegającej kilka kilometrów dalej linii przesyłowej zasilanej przez znajdującą się nieopodal Houston nowoczesną elektrownię. Podłączyliśmy się do jednego z gigantycznych słupów, kabel biegł przez kilka kilometrów pustyni i wychodził spod ziemi na naszym stanowisku. Tam ginął we wnętrzu stacji transformatorowej, wykonanej na specjalne zamówienie zgodnie z dostarczoną przez nas specyfikacją...

... całą gromadką siadamy na suchym piasku teksańskiej pustyni, starannie ułożywszy obok zapasy, sprzęt i elementy wyposażenia...

... Galaś klika myszką, emiter buczy, pole siłowe otacza nas niewidoczną kopułą. Gdy uznajemy, że jesteśmy naprawdę gotowi i nie mamy w tej pięknej epoce historycznej niczego więcej do zrobienia, kapral klika jeszcze raz...

Tracimy przytomność. I odzyskujemy ją.

Tak to się mniej więcej odbyło.

Ponownie otworzyłem oczy. Ból ustąpił. Mięśnie reagowały bez protestu na polecenia wysyłane przez mózg. Usiadłem.

Moi towarzysze także odzyskiwali formę. Mały Johny oczywiście najszybciej: już szarpał swojego przyszywanego starszego brata Stasia za rękaw, gotów do następnej psotozabawy. Staś jeszcze oganiał się od niego jak od natrętnej muchy, ale wiedziałem, że za chwilę obaj zaczną szaleć; dzieci są niezniszczalne.

– Jesteśmy na miejscu? – zapytałem.

– Prawdopodobnie – odparł Brest. Zerkał w ekran komputera. – Odczyt wskazuje, że operacja przebiegła według założonych parametrów.

Musiałem mu wierzyć na słowo. Trudno na pierwszy rzut oka orzec, czy rzeczywiście wylądowaliśmy zgodnie z planem w roku 2012. Pustynia, rozgwieżdżone niebo i piasek wyglądały tak samo jak przed półgodziną, czy, jak kto woli, sześćdziesiąt osiem lat temu. Może księżyc był nieco jaśniejszy, ale tego nie byłem pewien; całkiem możliwe, że nie odzyskałem jeszcze całkowitej sprawności wszystkich zmysłów.

– Jureczku, zmywamy się stąd czy będziemy tak patrzeć na siebie? – zapytał Wieteska, otrzepując Rozalkę z piasku. Robił to przede wszystkim w tak zwanych miejscach strategicznych.

Rozejrzałem się. Galaś i Kurcewicz właśnie wstawali na nogi. Uśmiechnięci od ucha do ucha.

– W podskokach – odparłem.

Gdy dwa tygodnie temu okazało się, że powrót jest możliwy, zaczęliśmy się intensywnie zastanawiać nad jego organizacją. Na przykład: w jaki sposób zatrzeć ślady lądowania? W jaki sposób oddalić się z tego miejsca, biorąc pod uwagę całkiem pokaźną ilość ludzi, rzeczy i sprzętu do zabrania? Jakimi dokumentami się posługiwać w okresie przejściowym, zanim nie zorganizujemy porządných papierów? Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyliśmy, było aresztowanie przez pierwszy lepszy patrol policji, dokonujący rutynowej kontroli drogowej.

To tylko kilka pierwszych punktów z naprawdę bardzo obszernego katalogu zagadnień do rozwiązania.

Kwestię transportu załatwiliśmy prosto. Korzystając z ogromnych zasobów finansowych i organizacyjnych naszego imperium biznesowego, przysposobiliśmy do podróży dwie trzyosiove ciężarówki wojskową marki Studebaker, a także dwa kabriolety marki Ford. Wszystkie te pojazdy zostały starannie wystylizowane na odpicowane do maksimum pojazdy zabytkowe, a my, w nowej epoce, mieliśmy udawać miłośników i kolekcjonerów uroczych gruchotów, przy których spędzamy każdą wolną chwilę. Pewne kłopoty sprawiło nam przygotowanie praw jazdy. Nie na wiele się zdały próby podrobienia dokumentu na podstawie oryginału należącego ongiś do Nancy; za pomocą urzędów, które mieliśmy do dyspozycji, nie udało nam się odtworzyć zaawansowanej technologii materiałowej. Ustaliliśmy więc, choć nie bez oporów samych zainteresowanych, że Brest i Simmons, jako posiadacze oryginalnych praw jazdy z naszych czasów, będą nam towarzyszyć w roli kierowców do miejsca, w którym zamierzaliśmy się zakotwiczyć na dłużej, by zdobyć odpowiednie dokumenty (stawialiśmy na Houston, jako dobrze znane Simmonsowi). Również Rozalka, korzystając z farby do włosów i nożyczek, upodobniła swoją fryzurę do fryzury Nancy, widocznej na małym zdjęciu wtopionym w plastik prawa jazdy. Od biedy mogła uchodzić za moją zmarłą żonę; mieliśmy nadzieję, że policjant w razie ewentualnej kontroli nie zwróci uwagi na szczegóły.

Jako ludzie udający miłośników militariów mieliśmy na sobie ubranie imitujące kombinezony wojskowe i buty za kostkę. W walizkach natomiast leżały starannie złożone szyte na miarę garnitury, może nieco staroświeckie, ale absolutnie do zaakceptowania w roku 2012. Rozalka włożyła prostą

sukienkę nieco za kolana i buty na płaskim obcasie. Wydawało nam się, że krawiec stworzył dzieło ponadczasowe, choć tego zupełnie nie byliśmy pewni. Rozalka, która w tej sprawie powinna mieć najwięcej do powiedzenia, była osobą urodzoną na początku lat dwudziestych XX wieku: moda z roku 2012 była dla niej abstrakcją równą podróży na Marsa. Pozostałą część naszej skromnej wyprawy stanowili mężczyźni, tak się składa, sami wojskowi. Żaden z nas ani przed wojną, ani w jej trakcie na temat damskiej garderoby wolał się nie wypowiadać, a tym bardziej decydować o jej kształcie; ten aspekt interesował nas tylko o tyle, o ile szybko da się tę że garderobę z niewiasty ściągnąć.

W tej materii, tak jak w wielu innych, musieliśmy zatem zaufać intuicji i zdać się na twórczą improwizację.

Gdy uznaliśmy, że możemy funkcjonować bez pojękiwania z bólu, zgodnie zabraliśmy się do pracy. Emiter pola siłowego został zdemontowany, elegancko zapakowany w wykonaną na zamówienie wzmocnioną stalową blachą skrzynię, po czym ustawiony na platformie załadowniczej ciężarówki. Tę część kabla zasilającego, która znalazła się w obrębie pola siłowego i wraz z nami przyfrunęła do nowej epoki, zwinęliśmy i wrzuciliśmy na drugą ciężarówkę, na której zainstalowana była stacja transformatorowa. Nie potrzebowaliśmy więcej tego urządzenia; postanowiliśmy przetransportować je kilka kilometrów na zachód i porzucić wraz z samochodem w grocie skalnej, którą wypatrzyliśmy podczas jednego z licznych rekonesansów odbytych przed podróżą. Okolica była dzika i bezludna. Najbliższe osiedle znajdowało się trzydzieści kilometrów stąd.

Groźba, że ktoś znajdzie transformator, była znikoma; prawdopodobieństwo, że nawet jeżeli znajdzie, skojarzy go z nami – bliska zeru.

Po dwudziestu minutach od odzyskania przytomności byliśmy gotowi do odjazdu. Usiadłem za kierownicą ciężarówki dźwigającej transformator. Reszta ekipy zajęła miejsca w pozostałych samochodach. Wyregulowane silniki zagrały niemal równocześnie. Wrzuciłem jedynkę i ruszyłem na zachód. Niewielka kawalkada podążyła wyżłobionym w piasku śladem.

Oto zadanie: zapamiętać smak chwili. Czekałem na nią pięć długich lat. Pięć lat walki, nadziei, tęsknoty. Powinienem być zadowolony. Powinienem skakać z radości. Powinienem się cieszyć, że wracam do własnej epoki, w której nareszcie będę się czuł jak u siebie w domu. Od pewnego czasu dążyłem do tego powrotu z uporem godnym lepszej sprawy; w końcu osiągnąłem cel.

A jednak nie czułem nic poza smutkiem...

(Wracałem bez Nancy. Ona nawet fizycznie została tam. Jej ciało, pogrzebane w piwnicy pewnej mokatowskiej willi, leżało w niej już niemal siedemdziesiąt lat).

... i głębokim, naprawdę głębokim niepokojem.

Odkąd tylko wyładowaliśmy, miałem bowiem nieodparte wrażenie, że jesteśmy obserwowani.

Wrażenie?

Pewność.

25 września 2012, Warszawa

Droga nieco się dłużyła.

Bolały mnie skute kajdankami ręce, ale oprócz tego nie czułem jakiegoś szczególnego dyskomfortu. Tylne siedzenie samochodu było wygodne, wciśnięty obok czarno odziany funkcjonariusz nie uwierał za bardzo, kierowca opanował sztukę płynnej jazdy.

Wielki jak Góra Pomocnik Tyszkiewicza siedział na przednim siedzeniu i natarczywie mi się przyglądał. Nie odwzajemniałem jego spojrzeń – miałem dość własnych kłopotów i szermierka na marszczenie brwi jakoś nie znajdowała się na szczycie listy moich priorytetów tego pogodnego wrześniowego przedpołudnia. Nie przejawiałem również skłonności do pogawędki; Krzeptowski dostosował się do konwencji, co mogło świadczyć o swoistym wyczuciu stylu: patrzył, ale nic nie mówił.

Ponieważ facet siedzący obok, a także kierowca również nie należeli do specjalnie rozmownych, dojechalśmy na miejsce w całkowitym milczeniu. Gdyby ktoś mnie spytał, czy podróż trwała dziesięć minut, czy dwie godziny, nie umiałabym odpowiedzieć. Myślałem bowiem o tylu rzeczach, że ocknąłem się dopiero, gdy stanęliśmy. Samochód zatrzymał się przed niezbyt okazałym budynkiem z dwoma strażnikami przed drzwiami. Krzeptowski wysiadł, energicznym ruchem otworzył drzwi, szarpnął mnie za łokieć – odczułem to, choć nie jestem przesadnie wątpliwy i delikatnie zbudowany – po czym wysiadłem i ja. Poprowadzono mnie w głąb budynku. Na korytarzach panował wzmożony ruch, co mnie nie dziwiło. Najprawdopodobniej znajdowaliśmy się w królestwie Tyszkiewicza, czyli wydziale antyterrorystycznym Centralnego Biura Śledczego (czy jak tam się ta biurokratyczna struktura nazywała, mogłem z nerwów niedokładnie zapamiętać), więc napad z bronią w rękę na centralne polskie lotnisko musiał stanowić wystarczający powód do wzmożonego ruchu, a także malującego się na twarzach biegających funkcjonariuszy profesjonalnego zatroskania połączonego z żelazną wolą działania.

Krzeptowski otworzył jedno z drzwi, wepchnął mnie do środka, po czym drzwi z głośnym hukiem się zatrzęsęły, z Krzeptowskim po zewnętrznej stronie.

Pokój miał niewielki metraż i był bardzo skromnie wyposażony. Stół, dwa niezbyt wygodne krzesła, stojący na stole czuły mikrofon, w kącie kamera na statywie, koniec. Asceza wspomagająca skupienie. Nie znałem się na tym, ale moim skromnym i niefachowym zdaniem to była całkiem słuszna koncepcja.

Nie dane mi było w pogłębiony sposób kontemplować architektonicznych niuansów wnętrza, gdyż zgrzytnął klucz w zamku, drzwi ponownie otworzyły się i do środka wszedł Tyszkiewicz. Gestem poprosił mnie, bym usiadł – nie wspomniał o kajdankach, ale może przyjdzie czas i na nie – a sam zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu.

Zapomniałem dodać, że nim znalazłem się w tym pokoju, zostałem dokładnie obszukany. Pozbawiono mnie wszystkich rzeczy osobistych, z portfelem i zegarkiem włącznie. Teraz kupka tych szpargałów leżała przed podinspektorem, a sam podinspektor uważnie studiował mój paszport.

Robił to na tyle długo, że miałem sposobność przyjrzeć mu się nieco dokładniej.

Trzydzieści parę lat. Przystojny, ciemny zarost, piwne oczy, niewysoki. Typ raczej wysportowanego, żylastego faceta o dużej wytrzymałości niż napakowanego mięśniaka. Ostre spojrzenie, myśląca twarz, te rzeczy. Bardzo, wręcz przesadnie, starannie ubrany w ciuchy, których ceny z pewnością wykraczały poza możliwości policyjnej pensji, co mogło być obserwacją znaczącą, ale równie dobrze nie musiało świadczyć o niczym szczególnym.

Sprawiał wrażenie bystrego faceta.

Co gorsza, ten bystry, wymuskany goguś coś do mnie miał.

Przedmiot mej obserwacji westchnął, odłożył paszport i spojrzał na mnie uważnie. Już otwierałem usta, by rzucić jedną z tych ostrych odzywek, które z reguły puszczają w takich sytuacjach twardziele w amerykańskich filmach, kiedy facet pochylił się nieznacznie, nacisnął przycisk na leżącym na stole panelu i duży, co najmniej czterdziestocalowy ekran wiszący na jednej ze ścian rozblysnął przytłumionym blaskiem. Po chwili na ekranie pojawił się obraz. Gdyby nie to, że drgał lekko, jego jakości nie można by wiele zarzucić: wyraziste, żywe kolory, pierwszorzędna ostrość, ładna budowa kadru.

Na niemym filmie kilka postaci wskakiwało do opalizującego metalicznie samochodu. Po chwili samochód ruszył gwałtownie, pomknął ostrym łukiem w lewo, na prostej przyspieszył. Nim pokonał zakręt, w prawym dolnym rogu kadru przez sekundę mignęło kilka innych ludzkich sylwetek, które sprawiały wrażenie, jakby chciały ruszyć za samochodem w pościg. Szybko zniknęły, bowiem kamerzysta skoncentrował się na umykającym szeroką trzypasmową aleją wehikule. Ten po jakichś ośmiuset metrach zatrzymał się na światłach. Wtedy śmigłowiec, z którego pokładu najprawdopodobniej film został nakręcony, wyprzedził go. Kamerzysta zrobił zbliżenie; przednia szyba samochodu rosła w kadrze, aż wypełniła go niemal po brzegi.

Tyszkiewicz wcisnął pauzę, po czym zaczął przyglądać mi się z zainteresowaniem. Jeśli o mnie chodzi, z nie mniejszym skupieniem obserwowałem zatrzymany w ruchu obraz.

Tablica rejestracyjna. Wyraźne, wybite na białym tle czarne litery i cyfry. Ostro uchwycona twarz kierowcy. Garnitur, szara koszula, krótko przycięte, nieco już niestety szpakowate włosy, skupione spojrzenie...

Pierwszorzędna technika – pomyślałem. I pierwszorzędny kamerzysta. Wysokość co najmniej pięćset metrów, helikopter...

No, no.

Film przedstawiał uliczną fazę naszej ucieczki z lotniska oraz moją skromną osobę, zgrabnie prezentującą się za panoramiczną szybą voyagera.

– A więc twierdzi pan, że nie był dziś na lotnisku – zagaił Tyszkiewicz.

Patrzył na mnie życzliwie. Gdyby nie kajdanki, moglibyśmy pewnie zostać kumplami.

– Nazywam się George Walicki. Jestem obywatelem amerykańskim. Przyleciałem rannym lotem British Airways z Nowego Jorku – powiedziałem, nieco bez związku. Pierwszego seta przegrałem z kretešem. Pora powalczyć w drugim.

Kiwnął głową. Najwyraźniej wydałem mu się człowiekiem rozsądnym, a to niemało jak na początek przesłuchania. Darował sobie również sekwencję typu: „Jak pan widzi, wiem wszystko. Kręcenie nie ma sensu”, co zapisałem mu na plus.

– Przyleciał pan z Nowego Jorku – powiedział i nawet się lekko uśmiechnął.

– Owszem. Razem z przerażonym dwuletnim synem, który czeka na mnie w hotelu – dodałem najbardziej stanowczym tonem, na jaki mnie było stać.

– Przykro mi. Z pewnością jest pod dobrą opieką...

– Nie wątpię. Na pewno jest mu lepiej niż u ojca – wtrąciłem.

– ... a ja postaram się zrobić wszystko, by zobaczył się pan z nim jak najprędzej.

– Właśnie, skoro już przy tym jesteśmy – zaczynałem powoli odzyskiwać kontenans. Błogosławieni niech będziemy obaj z Galasiem z naszą przytomnością umysłu, która kazała wyrzucić broń precz. I błogosławione niech będą zwichrowane celowniki tych strzelców wyborowych z bożej łaski, których serie goniły nas podczas ucieczki, tyle że popruły wrześnie niebo zamiast naszych skromnych żywotów lub karoserii auta. Samochód nie nosił śladów uszkodzeń ani nie było w nim broni. Wojtek krwawił, ale umyliśmy tapicerkę przed wyjazdem z hotelu. Facet nie miał na mnie nic. – Co jest powodem zatrzymania? W istocie, nie powiedziałem panu prawdy. Byłem nieco roztrzęsiony. Ale to chyba nie powód, by zakuwać mnie i moich kolegów w kajdanki i więzić bez podania przyczyny.

– Za chwilę... – Podniósł rękę, ale nie pozwoliłem mu skończyć.

– Jestem o coś oskarżony? – Tak chyba powinien zachowywać się obywatel amerykański polskiego pochodzenia George Walicki, który przyjeżdża do kraju przodków z pewnością nie po to, by rzucano go pod lufą na ziemię i skuwano kajdankami, po czym przesłuchiowano, nie stawiając żadnych zarzutów.

– Na razie chciałbym prosić, aby pan udzielił kilku wyjaśnień –oznajmił.

Z trudem powstrzymałem się, by nie wydać głośnego westchnienia ulgi. Wyjaśnienia to coś o niebo lepszego niż odpieranie oskarżeń.

Moje aktywa: oryginalny, starannie wymiętoszony amerykański paszport, prawo jazdy z Teksasu, plik kart kredytowych, kilka stu-dolarowych banknotów, nienaganna angielszczyzna ze skrupulatnie zamaskowanym brytyjskim akcentem, niewinny uśmiech i szczere spojrzenie.

Pasywa? Nawet nie warto wspominać: ostatnie siedemdziesiąt lat historii, o której trąbią zapewne wszystkie podręczniki przedmiotu, począwszy od podstawówki. Nie byłem pewien, czy figurują w nich zdjęcia, ale nie wykluczyłbym tego. „Jerzy Grobicki, dowódca Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, nowocześnie wyposażonej jednostki Wojska Polskiego,

która w wyniku pewnego nieudanego eksperymentu technologicznego dokonała skoku w czasie, włączyła się do walk z armią niemiecką 1 września 1939 roku...” I obok moja fotka, oderwana od wojskowej legitymacji. Zawsze wyglądałem na niej idiotycznie.

Oraz przyłapanie na kłamstwie na dzień dobry. Prosty wniosek: jeśli w pierwszym odruchu nie chciałem powiedzieć, że byłem na lotnisku, na którym aktualnie odbywała się największa operacja terrorystyczna w dziejach naszego kraju...

... nawiasem mówiąc, którą Tyszkiewicz powinien osobiście nadzorować...

... dlaczego więc traci czas na pogawędki, zamiast organizować akcję posłania terrorystów do wszystkich diabłów?

Czegóż chce ode mnie, weterana jesiennej wojny obronnej i powstania warszawskiego ten wysoki rangą funkcjonariusz policji?

W jaką grę gra z człowiekiem, który wedle praw biologii powinien już nie żyć, a jednak żyje i nie bardzo może skoncentrować się na rzeczywistości, jego myśli bowiem krążą nieustannie wokół dwuletniego syna i żony, którą osobiście pochował niespełna dwa miesiące temu?

– Może mi pan powiedzieć, co robił dziś od rana? – zapytał Tyszkiewicz i spojrzał na mnie bystro. Był opanowany, ale nie flegmatyczny; raczej powściągliwy w ruchach. Przyszło mi do głowy, że maska gogusia stanowi raczej pozór; najprawdopodobniej to niebezpieczny facet. Należało za wszelką cenę przekonać go, że nie jestem jego przeciwnikiem.

– Leciałem samolotem – odparłem.

– Ten etap pomijmy – skrzywił się, nie doceniwszy żartu.

Najwyraźniej mieliśmy różne poczucie humoru.

– Wylądowałem, wraz z synem i przyjaciółmi.

Miałem wrażenie, że stara się odgadnąć, czy celowo wystawiam jego nerwy na próbę.

– Przeszliśmy przez kontrolę paszportową.

– Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan skupić się na istocie sprawy. A zatem przeszedł pan przez kontrolę paszportową. Co dalej?

– Spędziłem pół godziny w barze. Moi przyjaciele i ja byliśmy zmęczeni lotem. Doszliśmy do wniosku, że kawa dobrze nam zrobi.

– A potem?

– Zapłaciliśmy i poszliśmy w stronę wyjścia. Mieliśmy zamówiony samochód z wypożyczalni. Wyszliśmy, zapakowaliśmy się...

– Tak? – Minę miał taką, jakby rozmawiał o pogodzie.

– Wtedy usłyszeliśmy strzały i kilka głośnych eksplozji – zmarszczyłem nos, jakbym poczuł drażniący smród materiału wybuchowego.

– Skąd dochodziły?

– W wnętrza budynku – powiedziałem.

– Jakieś konkretne miejsce?

– Wie pan, nie znam tak dokładnie topografii lotniska. Ostatnio sporo się zmieniło. Kiwnął głową, jakby moje wyjaśnienie go usatysfakcjonowało.

– A potem?

– No cóż, przestraszyliśmy się. Czym prędzej wsiedliśmy do samochodu i odjechalismy.

– Uciekliście – stwierdził.

– Skoro tak pan woli... Nie jesteśmy policjantami. Nie chcieliśmy sprawdzać, co się dzieje.

Zaczął mi się przyglądać, a ja poczułem, że stąпам po bardzo kruchym lodzie. Na lotnisku jest monitoring. Służby ochrony najpewniej mają możliwość zdalnego podglądu na odległość, więc dysponują obrazem sytuacji na lotnisku w czasie rzeczywistym. Wniosek: Tyszkiewicz, z pewnością należący do osób z najwyższymi priorytetami dostępu do wszelkich informacji, które mogły być pomocne w przełamaniu kryzysu, już wie, albo za chwilę się dowie, że nasza ucieczka z miejsca zdarzenia (jak to się określa w policyjnych raportach) wyglądała nieco inaczej, niż opisałem.

Chyba że...

... terroryści, którzy byli w stanie zaplanować i przeprowadzić taki atak, pomyśleli i o tym, by zneutralizować system monitoringu; odciąć lotnisko od jakiegokolwiek podglądu. Nie sposób skutecznie negocjować spełnienia żądań, wiedząc, że każdy ruch jest śledzony. Ci ludzie nie wyglądali na idiotów. Z nami im nie poszło, dali się zaskoczyć, ale sądzę, że akcję jako całość mieli dobrze zaplanowaną.

Siedzący naprzeciw oficer w żadnym stopniu nie dał do zrozumienia, że zna inną niż podana przez mnie wersję wydarzeń.

– A zatem pan i pańscy przyjaciele przeszliście przez kontrolę paszportową, spędziliście około pół godziny, pijąc kawę, po czym udaliście się do samochodu. Słyszając strzały, odjechaliście. – Spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Tak to mnie więcej wyglądało – potwierdziłem.

– A co robiliście na cargo?

– Mamy do odebrania kontener pełen sprzętu elektronicznego. Nasza firma produkuje pewne zaawansowane systemy informatyczne...

– Po prostu pojechał pan na cargo? Na lotnisku odbywała się strzelanina, a pan pojechał załatwiać interesy? Jakby nic się nie stało?

Nie pytał. Stwierdził. I patrzył na mnie z niesmakiem. Ciekawe, czy prawdziwym. Cała ta rozmowa stawała się coraz bardziej idiotyczna.

– Ma pan do mnie o coś pretensje? – Podjąłem tę grę: który z nas ubierze się w grubszy pancerz pozorów.

– Nie – westchnął. – Właściwie nie.

– No dobrze. – Uznałem, że pora nieco podnieść głos. Więc podniosłem go. – Cała nasza rozmowa nie prowadzi do niczego. Nie byłem naocznym świadkiem strzelaniny. Żadne z nas nie było. Jeżeli pan sądzi, że przydamy się do czegoś, jest pan w błędzie. Przyznaję: na terminalu cargo

skłamałem, mówiąc, że nie byłem na lotnisku. Nie mogłem opanować zdenerwowania. Nie wiedziałem, co mówię. Moja wina. Przepraszam.

Inteligentne niebieskie oczy świdrowały mnie na wylot. Wiele dałbym, by odgadnąć, o czym myślał ich właściciel.

Nie było mi dane. Tyszkiewicz wstał i bez słowa wyszedł z pokoju.

Może zapadłem w jakiś rodzaj letargu lub drzemki, ale zgrzytu przekręcanego w zamku klucza nieusłyszałem. Wydawało mi się, że w jednej sekundzie nikogo nie było w pokoju, a w następnej już stał nade mną Olbrym o Górnej Chmurnej Facjacie i coś do mnie mówił.

Włączyłem fonię.

– Może pan iść – usłyszałem. I zarazem miałem wrażenie, że się przesłyszałem. – No już.

Wstałem powoli. Facet podszedł i niespodziewanie delikatnym ruchem zdjął mi kajdanki. Uśmiechnął się i klepnął mnie w ramię. Miałem ochotę dać mu w zęby; zdawał się na to czekać.

Podjąłem w końcu decyzję, że szkoda czasu na pokazy siły, przyglądałem nieco wymiętą marynarkę i ruszyłem przed siebie. Korytarz był tak samo wypełniony rozgorączkowanym tłumem funkcjonariuszy jak wcześniej, miałem nawet wrażenie, że chaos nieco się pogłębił.

Gdy wyszedłem na zewnątrz, Krzeptowski bez słowa wskazał voyagera zaparkowanego nieopodal i przyozdobionego dwójką moich niezłomnych, z przejęciem dyskutujących przyjaciół. Zastępca Tyszkiewicza nie odprowadzał mnie. Nie zaszczyciłem go nawet przelotnym spojrzeniem.

Podszedłem do samochodu, po czym zająłem miejsce na tylnym siedzeniu. Obaj moi niegdysiejsi podkomendni przerwali rozmowę, Galaś bez słowa siadł za kierownicą, zapalił silnik i ruszył z ogromnym impetem, wzbudzając pełne dezaprobaty spojrzenia znajdujących się na parkingu funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego. Wyglądało na to, że były kapral nadterminowy nie wierzy naszym nowym znajomym za grosz; ponieważ jednak jego odczucia co do joty pokrywały się z moimi, nie protestowałem przeciwko tej wariackiej jeździe. Tempo spadło dopiero po kilku minutach, gdy upewniliśmy się, że nikt nas nie śledzi. Galaś zwolnił i zaczął jechać zgodnie z przepisami.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Wieteska ostrożnie. Nie krzyczał, nie gestykulował, nie wściekał się. Był inny niż zwykle.

– To świetne pytanie – odparł Galaś. Obejrzał się i przez moment spoglądał mi prosto w oczy. W niektórych sytuacjach nie trzeba słów. – Może pan pułkownik odpowie?

– Pan pułkownik wie tyle ile wy – odparłem.

– Jak zwykle – mruknął Galaś.

Miał minę, jakby mógł codziennie toczyć walki z terrorystami i dać się aresztować policji. Nie robiło to na nim specjalnego wrażenia.

– Poważnie – powiedziałem.

– No, to o czym gadałeś godzinę z tym, jak mu tam, szefuńciem od terrorystów? – zapytał Wieteska.

– Pytał mnie, co porabialiśmy od rana – odparłem.

– I co mu powiedziałeś?

– Prawdę. Wyszliśmy z lotniska, usłyszeliśmy strzały, przestraszyliśmy się, odjechaliśmy, chcieliśmy odebrać przesyłkę, wpadła policja, koniec.

– Powiedziałeś mu, że byliśmy na lotnisku?

– Początkowo zaprzeczyłem. Ale potem gość puścił mi piękny film nagrany ze śmigłowca, na którym widać było nasz wyścigowy bolid chwacko zmierzający w stronę wolności, i jakoś głupio mi było iść dalej w zaparte.

– Skąd mieli nagranie? – zainteresował się Galaś.

– Od momentu ataku tych świrów upłynęło co najmniej dziesięć minut. Helikopter zdążył dolecieć. Myślę, że to standard w takich okolicznościach. – Wzruszyłem ramionami wpatrzony w szybę. Przez głowę znów przebiegały mi dziesiątki myśli. – O co was pytali?

– O nic. – Galaś wzruszył ramionami, nie odrywając rąk od kierownicy. – Siedziałem przez godzinę w pustym pokoju, po czym pewna niezgorsza dupeczka kazała mi iść w diabły.

– Taaaa. – Wieteska cmoknęła z niesmakiem. – Jureczku, powiedz mi, ale tak szczerze, o czym nam tym razem nie mówisz. Nie żebym był zaniepokojony, uwielbiam twoje tajemnice, ale tym razem jestem żonaty i dzieciaty, zależy mi na rodzinie. Po prostu chciałbym wiedzieć, tak dla większego bezpieczeństwa, na wszelki wypadek, rozumiesz. Najpierw atak, potem aresztowanie. Więc?

Johny jak zwykle miał zdolność syntezy najważniejszych zjawisk. Galaś zwolnił i zaczął gapić się we wsteczne lusterko. Prawie mnie przepalił na wylot. Naprawdę nie mogłem zwlekać. Opowiedziałem o zaginięciu kontenera.

Przejęli się. Doskonale zdawali sobie sprawę, co to może oznaczać.

– Ten gość na terminalu cargo najwyraźniej się bał. Nie był typem twardziela. Ktoś mu kazał postępować tak, jak postępował. Nie wiem oczywiście kto.

– Zgaduj. Doświadczenie uczy, że masz przeważnie trafność. Albo poczekaj. – Wieteska spojrzał na mnie z chytrą miną. – Może ja spróbuję. Amerykanie?

– Możliwe.

Mimo wszystko odpowiedź go zaskoczyła. Nie dlatego, że był typem beztroskiego lekkoducha, niebiorącego pod uwagę komplikacji mogących towarzyszyć powrotowi. Ale tak bardzo chciał wrócić, tak bardzo wierzył w powrót, że po prostu liczył, że się uda. Że po prostu przybędziemy do nowej rzeczywistości i znikniemy, nieniekajeni przez nikogo.

Teraz w przyspieszonym tempie musiał włączyć pancerz ochronny, który towarzyszył nam przez ostatnich pięć lat i który, wydawało się, nie będzie już do niczego potrzebny. Zdecydowanie mu się to nie podobało. Nic dziwnego – nikomu się nie podobało.

– Bez sensu. Jeżeli rzeczywiście Amerykanie motają taką akcję, mają większe możliwości udupienia nas w Stanach – powiedział zamyślony.

Galaś zwolnił jeszcze bardziej. Ulice Warszawy stały się nieco mniej zatłoczone: normalny ruch uliczny malał, w zamian pojawiało się coraz więcej patroli policji uzbrojonej w broń długą. Wydawało mi się nawet, że gdzieś w oddali mignęły zielone mundury żołnierzy.

– Na lotnisku ktoś nas ewidentnie śledził – powiedziałem.

– Zauważyłem. – Wieteska spoważniał. – Taki chudy palant w przechodzonym garniturku.

– Dość chudy – przytaknąłem.

– Ale nie musiał być Amerykaninem.

– Nie musiał – zgodziłem się.

– A atak? Chodzi o emiter?

– Zbyt skomplikowane, kosztowne i ryzykowne. Nie widzę związku. Mamy pecha, przyjechaliśmy do starego kraju akurat w momencie, który upatrzyli sobie terroryści.

– Taaaaa – powiedział zamyślony Wieteska. – A Tyszkiewicz? Czego od nas chciał? Wiedział o zaginięciu kontenera?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie pytał o to.

Znowu zapadła pełna namysłu cisza. Wieteska się rozejrzał.

– Gdzie my właściwie jedziemy? Dlaczego nie do hotelu?

– Może jednak poszukalibyśmy emitery, co? – zapytał Galaś. Wieteska spojrzał na mnie pytająco.

Skinąłem głową.

– Nie lubię niewyjaśnionych spraw. I nie lubię, jak ktoś gra mi na nosie.

– Za to cię kocham. Znowu terminal cargo? Ponownie przytaknąłem. Galaś dodał gazu. Warszawa przesuwała się za oknami. Wszyscy myśleliśmy intensywnie.

– Zatrzymaj – odezwał się Wieteska niespodziewanie. Galaś spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– No, zatrzymaj, mówię.

Kapral włączył kierunkowskaz i zaparkował na chodniku. Wieteska obrócił się na fotelu i spojrzał na mnie uważnie.

– Wdepnęliśmy w coś gównianego – powiedział.

– To pewne – odparłem.

– Czyli jedziemy na ostro. Skończył się etap frajerskiej amatorki. Zanim pojedziemy załatwiać sprawy, musimy się przygotować.

– Dobra myśl.

– Zaopatrzyć się w coś do strzelania.

– Słusznie.

– I zmienić samochód. Ten może być trefny.

Był z pewnością. Jednak nie mogłem się zgodzić na zmianę. Nie po tym, na co wpadłem kilka minut temu.

– Masz jakiś pomysł na zdobycie broni?

– Jureczku, czy ty myślisz, że ja najbardziej ze wszystkiego lubię gadać po próżnicy?

– Broń Boże.

– No właśnie.

– Dobrze. W takim razie proponuję się rozdzielić. Ty, Johny...

– Ku chwale ojczyzny...

– ... uzbroisz nas. A my z panem kapralem sprawdzimy samochód. Okaze się czysty, będziemy go dalej używać. Jeśli nie, wynajmiemy nowy. Pasuje?

– Wodzuś, kurwa.

– Coś nie tak?

– Wysadź mnie na rogu. Za dwie godziny chcę was widzieć z powrotem.

– Wystarczy ci tyle?

– Nie później – burknął. Trzasnął drzwiami i tyle go było widać.

Znalezienie miejsca, w którym moglibyśmy odbyć staranny i dyskretny przegląd samochodu, nie zajęło nam więcej niż piętnaście minut. Warsztat był stary i obskurny, ale chyba nie tylko z tego powodu nie cierpiał na nadmiar klientów. Właściciel sprawiał wrażenie, jakby klienci byli ostatnią rzeczą, na jakiej mu zależało. Wyrwany z drzemki, w pierwszym odruchu pokazał nam drzwi. Gdy jednak pięćset złotych przeszło z rąk do rąk, zgodził się zniknąć i wrócić nie wcześniej niż za godzinę.

Gdy ten nieprzyjemny typek w końcu sobie poszedł, wjechałem ostrożnie na kanał.

– Lokalizator może być ukryty wszędzie – powiedział Galaś naukowym tonem. – Ale jeśli o mnie chodzi, zacząłbym od rozmontowania fabrycznego GPS-u.

– Musiałby mieć jakiś moduł przekaźnikowy.

– Znajdę go.

– Szukaj. A jak znajdziesz, nie ruszaj.

Galaś spojrzał na mnie zdumiony. Ale zdumienie małało, w miarę jak wyjaśniałem mu, o co chodzi. Po chwili na szabrawej, cwaniackiej gębie byłego kaprała nadterminowego zagościł szeroki uśmiech.

Uwielbiał takie historie.

Ja ich nie znośiłem. Musiałem kręcić i kłamać. Musiałem oszukiwać najbliższych przyjaciół. Oddzielić ziarno od plew, i to niemal po omacku.

Zostawiłem Galasia rozkręcającego deskę rozdzielczą, a sam zszedłem do kanału, zapaliłem dużą lampę na długim kablu i zacząłem starannie obserwować podwozie. To, czego szukałem, znalazłem w ciągu trzech minut.

– Jak poszło? – zapytałem, gdy Wieteska zajął miejsce pasażera. Choć na miejscu spotkania zjawiliśmy się punktualnie, Johny sprawiał wrażenie, jakby czekał od godziny i pięćdziesięciu pięciu minut.

– W porządku. A u was?

– Samochód jest czysty. Dwa razy sprawdzaliśmy – wyręczył mnie Galaś.

Tym razem to on siedział z tyłu, a ja prowadziłem. Jechałem Puławską w stronę Wyścigów.

– Trzeba było sprawdzić trzy razy.

– Trzeba było. Masz coś dla nas?

Wyrzut w jego spojrzeniu miał wagę ołowiu.

– A jak myślisz?

Darowałem sobie odpowiedź. Johny przewiercał mnie wzrokiem jeszcze przez dłuższą chwilę, by doczekać się czegoś w rodzaju przeprosin za akt niewiary w jego kompetencje. Ponieważ niczego się nie doczekał, posapał gniewnie przez chwilę, by pokazać, że ostatni schodzi z pola bitwy, po czym sięgnął do niewielkiej torby, którą uprzednio złożył na kolanach.

Glocki były fabrycznie nowe, jeszcze pachniały smarem. Sześć magazynków i trzy pudełka naboju uzupełniało arsenał. Miałem szczerą nadzieję, że się nie przyda; gdyby zaś doszło do konieczności użycia go – że okaże się wystarczający.

– Nie chcesz wiedzieć, skąd je mam?

– I tak mi powiesz. Nie możesz się doczekać, żeby nam powiedzieć.

– Jedźmy – pogonił nas z tylniego siedzenia Galaś.

Z rykiem minęły nas dwa radiowozy na sygnale. Chodnikiem przeszedł pieszy patrol, rozglądając się dookoła obojętnym wzrokiem.

– Jeszcze przed wyjazdem znałem jednego faceta, który znał faceta, który był znajomym innego faceta...

– Typowe – westchnął Galaś.

– Cicho. I ten facet...

– Który?

– Nigdy nie skończę, jak mi będziecie ciągle przerywali. Ten, o którym mówię. Więc ten facet ma kumpla, właściciela sklepu z bronią.

– Legalnego? – zapytałem.

– Myślisz, że zadaję się z kryminalistami? – Spojrzał na mnie z wystudiowanym niesmakiem. – Pewnie, że legalnego.

– I kupiłeś legalną broń?

– O matko! – Wzniósł oczy w stronę podsufitki. – Masz mnie za idiotę? Oczywiście, że nie. Akurat gość miał na zbyciu trzy pistoleciki i parę pudełeczek amunicji. Wszystko świeże i nigdzie nie notowane. Sklep legalny, broń nie bardzo.

– Kradziona.

– Jureczku, zamierzasz jeszcze za życia zostać świętym? Pewnie, że kradziona. Jeżeli chciałbyś się teraz starać o pozwolenie na broń, obawiam się, że nie starczyłoby ci czasu.

Galaś wyciągnął rękę, zabrał Wietesce jeden z pistoletów, obejrzał go dokładnie, po czym schował do kieszeni.

– Amunicja – powiedział.

Wieteska podał mu pudełko.

–I magazynki.

Po chwili z tylniego siedzenia rozległ się szcęk ładowanych naboju.

– Czego konkretnie chcesz się dowiedzieć?

– Kontener nie mógł po prostu zniknąć – powiedziałem ostrożnie, przełknąwszy sprawę broni. Nie byłem aż takim legalistą, by kwestia jej pochodzenia zaczęła spędzać mi sen z powiek – Przede wszystkim chciałbym zadać parę pytań Adamowi Biedrzyckiemu.

– Kto to, kurwa, jest Adam Biedrzycki?

– Koleś, któremu ktoś kazał kręcić. Chętnie dowiedziałbym się kto.

– Zakładasz, że zostawił Biedrzyckiemu wizytówkę?

– Tego się nie dowiemy, dopóki nie sprawdzimy.

Podjechałem pod budynek terminalu, który musiałem tak gwałtownie opuścić kilka godzin temu. Radiowozy zniknęły. Panowała cisza i spokój.

– Powinieneś zostać w samochodzie – powiedział Wieteska.

– Boisz się, że coś sknocę? – zapytałem.

– Jesteś za bardzo charakterystyczny. Ciebie aresztowali w tym budynku, nie nas. My się tak nie rzucamy w oczy.

– Dobrze. Adam Biedrzycki, pamiętasz?

Kapitan znowu spojrzał na mnie z takim wyrzutem, że z czystej przyzwoitości powinienem się zapasać pod ziemię. Ale się nie zapadłem; ziemia pozostała w nienaruszonym stanie.

Obaj wysiedli bez słowa.

Spędziłem następnie jeden z najbardziej szarpiących nerwy kwadransów w swoim życiu. Przez głowę przebiegały mi tysiące myśli, często wzajemnie sprzecznych. Miałem przemożne wrażenie, że padliśmy ofiarą jakiejś wielkiej manipulacji i niczym pionki na szachownicy realizujemy wolę zagadkowych sił, które stały za ostatnimi wydarzeniami, i tylko nam się wydaje, że sami sterujemy swoimi działaniami, że udało nam się wyrwać z rąk terrorystów, a poszukiwania zawartości kontenera prowadzimy wedle własnego planu i własnej woli.

W końcu dwaj moi towarzysze wynurzyli się z budynku. Ich miny nie wskazywały na to, że natrafili na trudności. Intensywnie dyskutowali, gestykulowali obszernie, a nawet pozwalali sobie na coś na kształt uśmiechu.

Wsiedli. Pociągnąłem nosem.

– Obyło się bez strzelania? – zapytałem.

– No, niestety. – Wieteska westchnął. – Nie zawsze się ma to, co się lubi. Pewnie. Był spełnionym mężem i ojcem. Brakowało mu tylko zabijania.

– Powiedzcie coś pocieszającego.

– Biedrzycki godzinę temu pojechał do domu.

– Świetna wieść.

– Och, zamknij się, malkontencie. – Wieteska uśmiechnął się szeroko i wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. – Widzisz?

– Adres?

– Adresik. Tak będzie nawet lepiej. Pogadamy z panem Adasiem w zaciszu domowych pieleszy.

– Sprytne.

– Grunt to powierzyć zadanie właściwym osobom, no nie? – Spojrzał na Galasia z triumfem, ale kaprał się nie rozchmurzył. Sprawa, podobnie jak mnie, coraz bardziej mu się nie podobała. – Ale to, kochany, nie wszystko. Za pół godziny dostaniemy wydruki wszystkich transakcji z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie tylko tych, które przechodziły przez Biedrzyckiego.

– Po co wydruki?

– Pomyśl.

– Ktoś podstawił pod nasz kontener innego odbiorcę?

– Brawo, panie pułkowniku.

– Teoretycznie możliwe, choć nie wiem, jak by to mogło w praktyce wyglądać.

– Ja też nie wiem. Dowiemy się od Biedrzyckiego.

– Dlaczego taki duży rozrzut transakcji?

– Ci, którzy nam podwędzili kontener, czekali na nas. A samolot z kontenerem wylądował wczoraj w nocy.

– Dziś o drugiej nad ranem.

– Wszystko jedno. Noc to noc. Dla mnie to było wczoraj. Jest tylko jeden niuans.

– Dobrze, że jeden – wtrącił Galaś.

– Przestań. Otóż chodzi o to, że Biedrzycki nie musi być najemnikiem. Może siedzieć w tym po uszy. Wtedy raczej nie zrobił błędów i niczego nie znajdziemy. A sam nam nic nie powie.

– Powie – mruknąłem. – Jestem dziwnie pewien, że powie.

Galaś chrząknął coś niezrozumiale.

Czekaliśmy. Radio bełkotało nerwowymi relacjami z lotniska.

W końcu z budynku wyszedł niepozorny człeczyna i szybkim krokiem podszedł do samochodu. Wieteska uchylił okno.

– Zgodnie z umową – powiedział tamten.

Podał Johny'emu plik zadrukowanych kartek. Uciekał wzrokiem. Wieteska przejrzał pośpiesznie wydruki.

– Zaznaczyłem flamastrem to, co może panów zainteresować.

Wieteska wyciągnął z kieszeni plik banknotów.

– Druga połowa wynagrodzenia.

Mężczyzna nakrył dłonią pieniądze, wsadził plik do kieszeni, nawet go nie przeliczywszy, odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem. Nawet jego plecy wyrażały zdenerwowanie.

Przesunąłem dźwignię zmiany biegów i odjechałem z tego miejsca.

5

Zwykłe osiedle, zwykły blok, zwykłe mieszkanie na trzecim piętrze.

Choć domofon nie funkcjonował, jak należy, i lekkie szarpnięcie za uchwyt pozwoliło otworzyć drzwi, czuliśmy się jak przestępcy na robocie. Weszliśmy bezszelestnie po schodach. Zza mijanych drzwi dochodziły odgłosy zwykłej ludzkiej krzątaniny, przeplatane grzmiącymi komentarzami i opisami dotyczącymi dynamicznie postępującego lotniskowego kataklizmu.

– Jakoś lepiej się czuję z giwerką za pasem – szepnął Wieteska.

– Nie będzie nam potrzebna – odparłem.

– Skąd wiesz?

Wzruszyłem ramionami. Moje stwierdzenie nie zostało oparte na żadnych racjonalnych przesłankach; doświadczenie podpowiadało, że będzie raczej odwrotnie.

Stałem przed drzwiami oznaczonymi numerem trzydzieści cztery. Byliśmy u celu.

Nie zastanawiając się, nacisnąłem przycisk dzwonka. Odpowiedziała mi cisza. Powtórzyłem operację, z tym samym skutkiem. Wieteska spojrzał na mnie znacząco i przytknął ucho do drzwi.

– Jest w domu. Słyszę muzykę – szepnął.

– Może bierze prysznic – podsunął Galaś.

– Muzyka? – zapytałem i bez przekonania wcisnąłem przycisk jeszcze raz.

Nic.

Oparłem dłoń na klamce. Niespodziewanie opadła w dół, zatrzask szczęknął i drzwi się uchyliły. Spojrzeliśmy po sobie, nagle poważniejąc. Przez głowę przemknęła mi myśl, że najprawdopodobniej w kwestii broni bardzo się myliłem.

Odrzuciłem te niewczesne refleksje; nie prowadziły do niczego. Pchnąłem ostrożnie drzwi. Skrzypnęły cicho i uchyliły się na tyle, by mógł przez nie przejść dorosły mężczyzna. Postąpiłem krok do przodu. Wieteska i Galaś z pistoletami w ręku podążyli moim śladem.

W małym, zagraconym przedpokoju nie paliło się światło, ale blask sączący się z pokoju był na tyle silny, bym nie musiał się obawiać, że wpadnę na przykład na stojak z parasolami i narobię hałasu na całą kamienicę. Dźwięki muzyki stały się wyraźniejsze. Madame Butterfly. Jestem dziwakiem, wiem. Oprócz tego, że lubię Metallicę i Red Hot Chilli Peppers, podoba mi się również Puccini.

Pokonałem korytarzyk i wszedłem do pokoju.

Meble – banalne do bólu. Tapety na ścianach – w żadnym sklepie nawet bym nie rzucił okiem, choćby nie wiem w jakiej promocji je sprzedawano. Dywan – wytarty i byle jaki. Żyrandol – najpewniej wyciągnięty z jakiegoś demobilu wojskowego.

Tym silniej z ubogim wystrojem kontrastował sprzęt muzyczny, zajmujący honorowe miejsce pod ścianą. Potężne, co najmniej metrowej wysokości kolumny głośnikowe, wzmacniacz i odtwarzacz CD w kolorze czarnym, bez żadnych zbędnych bajerów i migających lampek. Na moje niefachowe oko był to sprzęt bardzo wysokiej klasy i niewątpliwie nienależący do najtańszych. Szczerze mówiąc, wyglądał na bardzo drogi. Nic dziwnego, że już w przedpokoju zwróciłem uwagę na niezwykle jakość dźwięku, klarowność podania każdej nuty, idealną słyszalność najcichszego szurnięcia smyczkiem po strunach.

Uzupełnieniem tego wyrafinowanego osiągnięcia współczesnej elektroniki użytkowej była najbardziej imponująca kolekcja płyt, jaką kiedykolwiek widziałem. Ułożono je niezwykle starannie, wręcz pedantycznie: stylami, wykonawcami, kompozytorami. Podczas nader pobieżnej lustracji dostrzegłem zarówno kanon rocka, bluesa, czarnych dźwięków spod znaku Tamla Motown, obszerny zbiór muzyki filmowej – sam bym taki wybrał – jak i ogromny, imponujący katalog klasyki rodem z filharmonii i opery. Z gigantów nie brakowało nikogo, częstokroć jeden utwór został nagrany w kilku różnych interpretacjach.

Łączyła je wspólna cecha – były na mistrzowskim, wirtuozerskim poziomie.

Wspomniałem, że lustracja tego niezwyklego zbioru była powierzchowna, choć słowo daję, chętnie bym się w niego zagłębił staranniej. Jednak w pokoju, choć niezwykle, nie to było najistotniejsze; naszą uwagę przykuły przede wszystkim zwłoki człowieka, z powodu którego znaleźliśmy się w tym mieszkaniu.

Gospodarz leżał na podłodze, głową niemal dotykając szafki mieszczącej kosztowny sprzęt grający. Najpewniej zabito go tuż po przyjeździe do domu – nadal był bowiem ubrany w służbowy uniform, z pewnością niemający walorów niekrępującej ruchów podomki. Nawet plakietka „Adam Biedrzycki, starszy specjalista obsługi klienta”, przyczepiona stalową spinką do marynarki, znajdowała się na swoim miejscu. Chłopak na zdjęciu wyglądał nieco korzystniej niż w rzeczywistości. Zwłaszcza – w obecnej rzeczywistości. Ze śmiercią nikomu nie jest do twarzy. W oczach: niewygasły jeszcze krzyk grozy i protestu; w twarzy: groteskowy ni to uśmiech, ni to grymas przerażenia.

Przyczyna śmierci była łatwa do odgadnięcia – dwie niewielkie dziurki i spora plama krwi w okolicach klatki piersiowej odcinały się wyraźnie od granatu mundurowego materiału. Dwa czyste strzały w okolice serca z reguły załatwiają sprawę definitywnie.

Moi towarzysze, choć byli ludźmi zahartowanymi w boju, wyglądali na poruszonych.

– Spóźniliśmy się – powiedziałem półgłosem.

Galaś popatrzył na mnie przeciągle, schował pistolet, po czym cofnął się do korytarza. Usłyszałem zgrzyt zasuw. Na drodze ewentualnych kolejnych nieproszonych gości stanęła przeszkoda; niezbyt wiele warta, ale zawsze lepsza niż otwarte drzwi.

– Na to wygląda. – Wieteska ruszył przed siebie i stanął tuż nad zwłokami. Przyglądał im się uważnie, jakby starając się zapamiętać każdy szczegół.

– Nie dotykaj niczego – rzuciłem szybko, próbując dojść do ładu z dwoma zwalczającymi się pokusami: jak najszybszego wzięcia nóg za pas i starannego przeszukania tego miejsca.

Miałem przecucie, że być może znajdziemy tu odpowiedzi na przynajmniej niektóre z trapiących nas pytań.

– Poważnie? – Schylił się i pociągnął nosem, po czym delikatnie dotknął zwłok. Spojrzał na mnie bystro. – Tu jeszcze niemal czuć smród prochu. A facet jest ciepły.

– Mielśmy fart. Możliwe, że gdybyśmy przyszli kwadrans wcześniej, natknęlibyśmy się na mordercę – powiedział Galaś od progu.

Trzymał się z boku, ale oglądał każdy kąt mieszkania z mikroskopijną dokładnością.

– Może to morderca miał fart. Trzem by nie dał rady – odparłem.

Starałem się skoncentrować, ale mimowolnie mój wzrok wracał ku kolekcji płyt. Sam zawsze marzyłem o takiej. I o takim sprzęcie. Śniłem o chwili, gdy zasiadę w wygodnym fotelu i po prostu dam się porwać emocjom zaklętym w nutach starych mistrzów. Porzuciłem te myśli i rozejrzałem się uważnie po pokoju. Czegoś brakowało.

– Nie ma laptopa – wyręczył mnie Wieteska, który nie tracąc czasu na jałowe podziwianie płytoteki, zdążył się podnieść znad trupa i z szybkością komputera analizował kolejne aspekty rzeczywistości.

– Właśnie. Nie ma laptopa. Mogę się założyć, że komórki także nie znajdziemy. Obaj współnicy–towarzysze–przyjaciele–podwładni spojrzeli na mnie bystro.

– Twoja wersja, Jureczku? – zapytał Wieteska.

Patrzył mi prosto w oczy. Czasem naprawdę trudno było sprostać oczekiwaniom tego faceta. Miałem ochotę usiąść, ale wiedziałem, że nie ma na to szans, nie w epoce mikrośladów i upierdliwych śledczych. Przystąpiłem więc po prostu z nogi na nogę.

– Na lotnisku facet był nieźle przestraszony. Kręcił i szedł w zaparte, ale widać było gołym okiem, że sprawa go przerosła.

– Więc?

– Ktoś go przekupił albo wystraszył i kazał udawać, że naszego kontenera nigdy na świecie nie było...

– Po czym zastrzelił dla zatarcia śladów. – Wieteska rozejrzał się, jakby ściany mogły potwierdzić tę wersję.

Ale ściany niczego nie chciały potwierdzić.

– Jak mówiłeś? Że wdepnęliśmy w coś gównianego? – zapytał Galaś.

Mogło mi się zdawać, ale miałem wrażenie, że jego głos drżał.

– Lotnisko, Tyszkiewicz, kontener, trup. – Wieteska nie patrzył na nikogo w szczególności. – Ktoś ma jakiś pomysł?

– Wynośmy się stąd do wszystkich diabłów – powiedziałem.

ROZDZIAŁ III

Poszukiwania

30 sierpnia 1944, San Antonio

Upał.

Ponieważ miałem do załatwienia sprawy, można rzec, najwyższej wagi, zostałem niestety zmuszony do wbicia się w trzyczęściowy garnitur. Teksas jest bardzo konserwatywnym stanem; hołduje się tutaj zasadzie, że sprawy urzędowe najlepiej załatwiać w stosownym stroju, a już zwłaszcza banki i bankowcy uwielbiają klientów w ciężkich, szytych na miarę ciemnych garniturach i bijących blaskiem wypolerowanej skóry pantoflach.

Ta zasada obowiązuje niezależnie od pogody. Niestety.

Ja z pewnością należałem do klientów z najwyższej półki, biorąc pod uwagę choćby stan konta firmy i wielkość jej obrotów. Nic zatem dziwnego, że przyjął mnie osobiście wiceprezes do spraw operacyjnych. Nie sprawiał wrażenia, jakby przeszkadzała mu wysoka temperatura. Niewątpliwie natomiast zmartwił go fakt – byłem przekonany, że całkowicie szczerze – iż postanowiłem zlikwidować wszystkie aktywa firmy, a także swoje prywatne oszczędności. Już wcześniej, tuż po naszym powrocie z Polski, ten przebiegły mężczyzna o sprytnych oczach i oszczędnej mimice otrzymał dyskretne zlecenie zbycia akcji naszych licznych przedsiębiorstw. Z zadania wywiązał się więcej niż zadowolająco i nie zadawał żadnych pytań; kupców nie brakowało, firmy były w doskonałym stanie; prowizja wiceprezesa do spraw operacyjnych przekroczyła jego trzyletnie, niemałe przecież wynagrodzenie należne menadżerom wysokiego szczebla.

Ale teraz, gdy wyłuszczyłem swą prośbę, zmartwił się, i to bardzo. Próbował mnie namawiać do zmiany decyzji; pozostałem niewzruszony. Przekonywał, że proponowana przeze mnie operacja potrwa bardzo długo; dałem mu pięć dni. Uspokoił się nieco, gdy zaproponowałem dodatkową premię za bezpieczne przeprowadzenie transakcji. Nic tak nie wpływa na bezpośrednie zainteresowanie sukcesem przedsięwzięcia jak partycypacja w zyskach; wiceprezes rozchmurzył się nieco, poprzysiągł stuprocentową dyskrecję, po czym oznajmił, że pod koniec tygodnia, po godzinach urzędowania będzie na nas czekało kilka pancernych skrzyń z zamówionymi przez mnie walorami.

Ponieważ rampa załadownicza została ulokowana na tyłach budynku, można było wierzyć, że nie wypatrzą nas niczyje wścibskie oczy. Pożegnałem się z wiceprezesem i opuściłem siedzibę banku. Upał uderzył niczym młot kowalski; najprawdopodobniej tak czują się hutnicy mający stanowisko pracy tuż koło pieca martenowskiego. Ja jednak nie byłem hutnikiem, pochodzę raczej z chłodnego klimatu, więc przeklinając pod nosem, szybkim krokiem poszedłem w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu.

Zasiadłem za kierownicą dużego i wygodnego oldsmobilea dynamie cruiser club sedan rocznik 1942, z chromowanymi felgami i osłonami reflektorów, otworzyłem okna na przestrzał, po czym włączyłem się do ruchu. Jechałem spokojnie, późne popołudnie nawet w tak prowincjonalnym mieście jak San Antonio nie pozwalało na zbyt szarżę; natężenie ruchu ulicznego miało się nijak do znanych z XXI wieku gigantycznych korków; mimo wszystko samochodów i ciężarówek było sporo.

Przed oczyma przemknął mi obraz Johny'ego. Mój syn był człowiekiem pogodnym, optymistycznie nastawionym do życia, traktującym świat z niezwykłą, nawet jak na jego wiek, ciekawością. Bardzo tęsknił za Nancy. Dla mnie stanowił sens życia. Może przyczyniał się do tego fakt, że był niezwykle podobny do matki – nie tylko fizycznie zresztą. Jestem pewien, że dzięki niemu byłem w stanie normalnie funkcjonować. Że otaczająca mnie rzeczywistość nie była beznadziejną konsumpcją poszczególnych dni, które niczemu nie służą i do niczego nie prowadzą.

Nancy pozostanie ze mną na zawsze. Nie zmienię jednak faktu, że jej nie ma i nigdy nie będzie. Johny był jej kontynuacją. I moją nadzieją na pogodną starość.

Nie wiem, co skłoniło mnie do rzucenia okiem w lusterko wsteczne. Może nietypowy dźwięk klaksonu, głośniejszy niż zwykle ryk silnika, a może czyjeś wołanie przebijające się przez zwykły uliczny zgiełk. Spojrzałem i zorientowałem się, że coś jest nie tak.

Zwykły czarny osobowy ford. Skręciłem w prawo, skręcił i on. Przyspieszyłem, chwilę odczekał i również dodał gazu. Zatrzymałem się, przejechał sto metrów i zaparkował przy chodniku.

Miałem ogon.

Travis? Możliwe...

Jego ludzie przesłuchiwali mnie i moich współników ostro, po kilka razy wracając do tych samych pytań; kiedy jednak w końcu nas puścili, wyglądało na to, że raczej na dobre; utrzymywali jeszcze stacjonarną obserwację przed naszymi domami, ale ściągnęli zespoły inwigilacyj-ne. Od ładnych kilku dni nie widziałem wlokących się za mną agentów.

Zatem albo coś się zmieniło, albo...

... był to ktoś inny.

Czy Travis mógł wrócić na wojenną ścieżkę? Mógł. Nawet miał powód. Sam mu go dałem, umieszczając wewnątrz pancerza, rzekomo kryjącego emiter pola siłowego, kilka kostek C4. Jego

wściekłość, że mocarstwowe plany Stanów Zjednoczonych Ameryki leżały w gruzach, musiała być niezmierzona. Ale intuicja podpowiadała, że chodzi o coś innego. On i jego ludzie nie bawiliby

się w żadne subtelności, tylko aresztowali nas i trzymali w ciemności o chlebie i wodzie tak długo, aż zdecydowalibyśmy się zdradzić, co takiego uczyniliśmy z prawdziwym urządzeniem.

Zakładałem zatem, że to nie on. Kto zatem tak nagle mnie pokochał, że postanowił nie odstępować na krok?

Mogłem się domyślać. Bez stuprocentowej pewności, rzecz jasna. Jednak ilość przesłanek, jakimi dysponowałem, pozwalała zakładać, że moja hipoteza była słuszna. Uzasadniała ją logika, a podpirały dowody pośrednie, w rodzaju pewnego pliku wideo zarejestrowanego na przenośnej pamięci pendrivea przywiezionego z Polski i przechowywanego w sypialni, na dnie sejf.

Moim pierwotnym zamiarem po wyjściu z banku było pojawienie się na naszym poletku startowym. Trwały intensywne przygotowania do odjazdu, Brest, Simmons i Galaś spędzali tam całe dnie; pracy było tyle, że liczyła się każda para rąk. Po przyjeździe na miejsce miałem zamienić garnitur na roboczy kombinezon i w pocie czoła co najmniej do północy układać kabel energetyczny.

Plany te, rzecz jasna, musiały ulec radykalnej zmianie.

Wyjechałem poza miasto i widząc przed sobą pustą drogę, przyspieszyłem. Przy sześćdziesięciu milach na godzinę w samochodzie zrobiło się nieco chłodniej. Pokonywałem dystans; ford trzymał się blisko mnie.

Zastanawiałem się, jak przeprowadzić rozgrywkę. Teksas w okolicach San Antonio jest płaski jak stół. Mimo to być może, korzystając z ogromnej mocy silnika samochodu, mógłbym postarać się zgubić prześladowcę. Wtedy jednak nie dowiedziałbym się niczego, a ludzie z forda jutro ponownie wpadliby na mój ślad. Zakładałem, że skoro namierzili mnie w banku, wiedzą tyle, by na dłuższą metę nie dać się wywieść w pole.

Zdecydowanie bardziej perspektywicznym rozwiązaniem pozostawało stworzenie sobie możliwości zadania załodze forda kilku pytań. Nawet znałem miejsce, gdzie szanse na taką akcję wzrastały.

Powoli zapadał zmierzch. Minąłem kilka miejscowości. Tuż za jedną z nich skręciłem w prawo, w wąską i wyboistą drogę gruntową.

Oldsmobile kołysał się na nierównościach, a ja zerkąłem w lusterko. Tamten wyłączył światła i wyraźnie zwiększył dystans. W zasadzie nie widziałem go, czułem jednak, że tam jest. Może zagrożenie wytworzyło we mnie coś w rodzaju radaru.

Po prawej pojawiło się pole kukurydzy. Było tak wielkie, że ginęło za horyzontem. Rośliny miały wysokość rosnącego mężczyzny. Dla mojego celu nadawały się idealne.

Teren podniósł się nieco. Wjechałem na szczyt wzgórza. Droga łagodnym łukiem skręcała w prawo. Dodałem gazu. Gdy wyszedłem z zakrętu, zgasilem światła i zwolniłem. Po stu metrach znalazłem to, czego szukałem: dróżkę oddzielającą poszczególne sektory uprawy. Skręciłem gwałtownie kierownicę, samochód jęknął, ale posłusznie wcisnął się w zarośla. Po obu stronach rośliny drapały karoserię. Pal diabli lakier. Przejechałem kilka metrów, po czym się zatrzymałem.

Miałem naprawdę mało czasu.

Sięgnąłem pod siedzenie. Dłoń spoczęła na znajomym kształcie. Colt był załadowany. Odbezpieczyłem go i wyskoczyłem z samochodu. Z trudem przecisnąłem się pomiędzy nim a krzakami. Pobiegłem w stronę drogi.

Zdążyłem w ostatniej chwili. Ukląknęłam i ostrożnie wyjrzałem zza rogu, ford był nie dalej niż o dziesięć metrów. Jechał ostrożnie, z szybkością może dwudziestu mil na godzinę.

Zapadała ciemność, ale zdołałem dostrzec, że w środku znajduje się tylko jeden człowiek. Agenci federalni nawet w tamtych czasach nie operowali samotnie; tym bardziej utwierdziłem się przekonaniu, że nie z nimi mam do czynienia. Fakt, że przeciwnik jest tylko jeden, oczywiście niespecjalnie mnie martwił; starzałem się i moja sprawność nie była taka jak kiedyś.

Wyskoczyłem jak na sprężynie, gdy samochód był tuż. Wycelowałem w ciemną sylwetkę za szybą.

– Zatrzymaj! – krzyknąłem.

Broń trzymałem w wyciągniętych rękach, palec na spuście nigdy nie był tak pewny swego.

A jednak się spóźnił.

Mężczyzna w aucie zareagował z imponującą szybkością. Schylił się tak szybko, że z trudem to zarejestrowałem (nie mówiąc o jakiegokolwiek reakcji), po czym dodał gwałtownie gazu. Silnik ryknął, samochód dał susa do przodu. Niemal zmiażdżył mi stopę. Uskoczyłem w ostatniej chwili. W ułamku sekundy ponownie złożyłem się do strzału.

Pierwszy najprawdopodobniej sfuszerowałem. Jednak druga, trzecia, czwarta i piąta kula osiągnęły postawione przed nimi cele. Trzaski brzmiały sucho w rozgrzanym wieczornym powietrzu. Samochód z rozerwaną oponą i pękniętą tylną szybą sunął jeszcze może przez dwadzieścia metrów, po czym zatoczył niewielki łuk i wbił się w morze kukurydzianych krzaków.

W biegu zmieniłem magazynek. Ostatnich kilka metrów niemal się skradałem. Gdy zajrzałem do wnętrza kabiny, okazało się, że środki ostrożności nie będą potrzebne.

Facet leżał na kierownicy, bezwładne ręce zwisały wzdłuż boków, krew zalała szybę i deskę rozdzielczą.

Na karku, bliżej prawej strony, ziała dziura, wciąż buchająca krwią. Cholerną moc ma ten colt. Ostrożnie podniosłem głowę mężczyzny. Jego twarz nic mi nie mówiła. Nigdy go nie widziałem. Pobieżne sprawdzenie kieszeni również niewiele dało. Tacy jak on nie noszą przy sobie niczego istotnego.

Jęknął i otworzył oczy. Spojrzał przez ból i mgłę nadchodzącej śmierci. Przyznam, że mnie zaskoczył: takiej wściekłości i takiej zuchwałości nie wiedziałem u żadnego umierającego człowieka.

– Dla kogo pracujesz? – zapytałem. Sam nie wiem po co. Przecież nie spodziewałem się szczerzej odpowiedzi. Ale pomyliłem się.

– Dla silniejszych niż ty – wyszeptał. Wiedział, że umiera. A pomimo to prawie śmiał się ze mnie.

– FBI? OSS? – drążyłem.

Uśmiechnął się. Tym razem otwarcie.

– Jest nas wielu. Niektórzy bardzo blisko. Dopadniemy cię.

A ja, powodowany impulsem, jakąś upiorną intuicją, wiedząc, że temu człowiekowi pozostało tylko kilka sekund, wypowiedziałem trzy słowa. Zrobiłem to w języku, którego już prawie zapomniałem. Najprawdopodobniej byłem żalosny w tej poronionej próbie lingwistycznej.

Ale okazało się, że trafiłem. Facet wykrzywił twarz w przerażeniu, prawe ramię powędrowało w stronę mojej szyi. Bez trudu odbiłem ten nieporadny atak i po prostu na niego patrzyłem.

W końcu umarł.

Zostawiłem go. Minie sporo czasu, nim ktoś znajdzie forda ze zwłokami w środku. Znajdowaliśmy się kilkanaście kilometrów od najbliższego zamieszkanego osiedla.

Wsiadłem do samochodu i odjechałem. Przez całą drogę powrotną huczała mi w głowie fraza, powtarzana niczym mantra.

„Jest nas wielu. Niektórzy bardzo blisko. Dopadniemy cię”.

2

25 września 2012, Warszawa

– Może facet siedział w tym po uszy – ni to stwierdził, ni zapytał Wieteska.

Tę część rozmowy kontynuowaliśmy już w samochodzie, bowiem po szybkim dokończeniu bezowocnych poszukiwań i zatarciu śladów naszej obecności w pośpiechu, starając się zachować maksymalną dyskrecję, opuściliśmy mieszkanie niefortunnego starszego specjalisty obsługi klienta.

– I co, nie żyje, bo potknął się na schodach? – Pokręciłem głową. Dopiero teraz poczułem, jaki jestem zmęczony. – Zrobił, za co mu zapłacono, ale był amatorem. Tego akurat jestem pewien.

– Bo? Oświecisz nas?

– Po pierwsze, cholernie się bał. Gdy przyszedłem po kontener, wiedział, co mówić, ktoś starannie wbił mu do głowy cały scenariusz, ale gość wyglądał, jakby wszystko robił na siłę. Nie umiał grać. Bał się tego, w co się wpakował, i pewnie bał się tych swoich zleceniodawców.

– Może to jego pierwsza akcja w przestępczym świecie. Popelnił błąd i musiał za niego zapłacić.

– A po drugie – ciągnąłem, jakby Wieteska w ogóle nie otwierał ust – widzieliście jego płyty? I sprzęt?

– Faktycznie, niezły. I co z tego?

– Czy zawodowy przestępca gromadzi taką kolekcję? I słucha jej?

Pytanie zawisło w powietrzu, po czym Wieteska wybuchnął głośnym śmiechem. Rżał tak, że mu łzy poleciały z oczu. Spojrzał na mnie, próbował się uspokoić, ale nie mógł. Śmiał się i śmiał, a ja nie przerywałem. Co gorsza, z tylnego siedzenia też dochodził dyskretny chichot.

– Jureczku, kocham cię, naprawdę – wykrztusił Johny, gdy już demonstracyjnie otarł łzy i wydmuchał nos w wyciągniętą z kieszeni chusteczkę. – To rzeczywiście mocny dowód. Procesowy, można powiedzieć. O Hannibalu Lecterze słyszałeś? Też był koneserem muzyki. A kroił swoje ofiary aż miło. Świat roi się od przestępców o wyrafinowanym guście.

– Pułkownik ma rację – powiedział Galaś grobowym głosem.

Wieteska wodził jeszcze przez chwilę rozbawionym wzrokiem, ale w końcu spoważniał. Doszedł do wniosku, że ma istotniejsze sprawy na głowie.

– Rację? – zapytał. – Prawda jest taka, że od pana Adasia już się niespecjalnie czegoś dowiemy. Macie pomysł, co dalej? I nawet ważniejsze pytanie: o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi?

– Przeanalizujemy rejestr transakcji – powiedziałem.

– To nie musi dać efektów.

– Nie musi. Ale może coś nam przyjdzie do głowy albo się skojarzy.

– Wiesz, co myślę? – Johny zmarszczył nos. – Nic nam się nie skojarzy. Nic nam nie przyjdzie do głowy. Nie jesteśmy policjantami. Nie mamy doświadczenia w szukaniu. A ten, kto nam zakosił kontener, wygląda na cwaniaczka.

– Skąd ten nagły pesymizm? – zapytałem ze zdziwieniem.

Wieteska był człowiekiem, który nigdy się nie poddawał.

– Realizm, Jureczku. Realizm. Złóżmy do kupy, co się dzisiaj stało, dobra? Potem powiem ci, dlaczego jestem pesymistą.

– Mów.

– Najpierw fakty.

– Proszę.

– Dziękuję. Po pierwsze: jesteśmy czasowym użytkownikiem emitera pola siłowego, urządzenia, dzięki któremu można wykonywać podróże w czasie. Emiter jest własnością rządu amerykańskiego. Wyobrażam sobie, jaki się musiał zrobić burdel w 2007, jak zniknęliśmy z powierzchni. Technologia warta miliardy, na dodatek, gdyby wpadała w niepowołane ręce, dająca więcej możliwości niż tysiąc bomb atomowych razem wziętych.

– Nasi amerykańscy przyjaciele z pewnością dostali kociokwiku –przypomniałem. Przypomniałem sobie smutne oczy Nancy, gdy w czasie walk we wrześniu '39 roku opowiadała mi o możliwościach tej diabelskiej ni to broni, ni to maszynki do kreacji rzeczywistości. – I uruchomili wszystkie możliwości, by odzyskać emiter.

– Pewnie tak. Na pewno tak. Po drugie, już po przyjeździe do ojczyzny obserwujemy faceta, który nas śledzi. Teoretycznie nikt nie powinien o nas mieć zielonego pojęcia, a jednak ktoś nam siedzi na tyłku. Pytanie, skąd o nas wie. I kto mu kazał nas śledzić.

Przez głowę przemknął mi obraz umierającego na polu kukurydzy agenta, jego rozpaczliwa próba zatkania mi ust, gdy wypowiedziałem trzy magiczne słowa. Było oczywiste, że dla pewnych ludzi nie byliśmy anonimowi i nasze próby zapewnienia sobie czystych życiorysów spaliły na panewce.

Teoretycznie, co prawda, oddzielało nas od tamtych wydarzeń blisko siedemdziesiąt lat, ale...

... tylko teoretycznie.

– Po trzecie – ciągnął Wieteska, niezrażony moim i Galasia grobowym milczeniem; możliwe, że wziął je za oznakę najwyższego skupienia – atak terrorystyczny na lotnisko. Przyznam się wam w tajemnicy, że mnie on też do niczego nie pasuje. Nie bardzo sobie wyobrażam, po co miałby ktoś organizować zamach ze względu na nas.

– Przypadek – poparłem go. – Idiotyczny, ale przypadek.

– No. Dalej. Po czwarte, dowiadujemy się, że emiter wyparował. Biorąc pod uwagę, że firma kurierska należy do wiarygodnych, spowodowanie zniknięcia przesyłki wielkości kontenera musiało kosztować sporo czasu, wysiłku i środków. Czyli musiało zostać dokonane przez kogoś, kto jest mocny, cierpliwy i bogaty. I cholernie mu zależy. A to niestety nie najlepiej wróży. Moim zdaniem mamy na dupie FBI, CIA albo jeszcze jakąś inną znaną z filmów trzyliterową cholerę.

Widząc, że otwieram usta, szybko dodał:

– I po ostatnie: Tyszkiewicz. Myślałem o tym. Nie pasuje do niczego.

Biorąc pod uwagę, jak zachowywali się wobec mnie funkcjonariusze CBS, czego ode mnie chcieli, a czego nie i co znalazłem pod podwoziem samochodu, pomyślałem, że Tyszkiewicz i spółka odgrywają w tej całej historii znacznie większą rolę, niż jesteśmy skłonni im przypisywać, ale powstrzymałem się od wyjawienia tego na głos. Powiedziałem za to coś innego.

– Przypomnijcie sobie Travisa. To był inteligentny facet. Sprytny. Powiedzmy, że po naszej ucieczce zorientował się, że wystrychnęliśmy go na dudka.

Wieteska spojrzał na mnie bystro.

– Rzeczywiście, nie wyglądał na głupiego. Złożył nasze zniknięcie z awarią prądu w połowie stanu. Chłopcy od Nancy musieli być wściekli, bo być może liczyli na powrót do domu i może Travis im to nawet obiecał. Więc mu raz–dwa zrobili analizę tego złomu, co go zostawiłeś na otarcie łez, i szybko się przekonali, że zostali z niczym.

– Właśnie. Co byś zrobił na jego miejscu? Jak próbowałbyś odzyskać emiter?

Johny zmarszczył brwi.

– Zostawiłbym wiadomość.

– Brawo. Wiedział, że nie odzyska emitera dla siebie, ale chciał, by przejął go rząd amerykański za siedemdziesiąt lat. Zidentyfikował miejsce, z którego wystartowaliśmy, sporządził szczegółową instrukcję postępowania i wsadził w teczkę z napisem: „Otworzyć w 2007”.

– Bo podejrzewał, że wrócimy dokładnie w nasze czasy.

– Bardzo możliwe. Jego następcy siedemdziesiąt lat później otworzyli teczkę, przeczytali instrukcję i zastosowali się do jej poleceń. Przecież wiedzieli z autopsji, że emiter razem z resztą MDS-u w 2007 zniknął im z życiorysów, i prowadzili poszukiwania. Więc w miejscu naszego prawdopodobnego lądowania założyli punkt obserwacyjny.

– Pojawiliśmy się pięć lat później – zauważył Galaś.

– Trudno. Prowadzili obserwację przez pięć lat. To nie jest niemożliwe, jak się ma akurat taki cel na widoku. I w końcu wylądowaliśmy.

– A oni nic? – Wieteska zrobił minę, jakby miał ochotę ziewnąć. – Puścili nas?

– Widocznie mieli powód.

– Jaki?

– Nie wiem – wzruszyłem ramionami. – Może chcieli zobaczyć, co zrobimy.

– A co ciekawego z ich punktu widzenia moglibyśmy zrobić?

Przychodziło mi do głowy parę rzeczy, ale na razie wołałem ich nie ujawniać.

– Nie mam konkretnego pomysłu.

Zapadło milczenie, przerywane tylko szumem silnika, odgłosami ruchu ulicznego i niepowstrzymanym nerwowym potokiem hiobowych komunikatów na temat ataku terrorystycznego na lotnisko, wylewającym się ze wszystkich fal radiowych. Była to zwykła dziennikarska paplanina, poza eskalacją podniecenia niewnosząca niczego nowego. Zdecydowanym ruchem przekręciłem gałkę. Mam wrażenie, że wszystkim ulżyło.

– Więc twierdzisz, że to Amerykanie...

– Nie. Twierdzę, że to jeden ze scenariuszy.

– O! A to ciekawe. Więc scenariuszy jest więcej?

– Możliwe.

– Ale nic nam nie chcesz powiedzieć?

– Bo niczego nie wiem.

– I niczego nie podejrzewasz?

– Moje podejrzenia nie mają nic do rzeczy.

– Kłamiesz, jak zwykle. Twoje podejrzenia najczęściej mają wszystko do rzeczy.

– Nie tym razem – uciałem.

Wieteska zaczął przygotowywać się do wyjmowania z ognia rozpalonych do białości cęg, którymi zamierzał wyrwać ode mnie odpowiedź na nurtujące go problemy, gdy głos zabrał Galaś.

– Może być jeszcze jedna przyczyna tego bajzlu, całkiem prosta.

– Cóż za ulga. O niczym innym nie marzę, jak o prostym wyjaśnieniu.

– Służę panu kapitanowi. Skok na kasę.

– Skok... Czyś ty zgłupiał, Galaś? Jaki skok na kasę?

– Normalny. Wszyscy bierzemy pod uwagę tylko politykę. Ale pomyślcie sobie. Załatwialiśmy w Stanach paszporty, tak? Tak. Wymienialiśmy złoto na gotówkę, tak? Tak. Sami wiecie, ile tego było.

Ktoś był nieuczciwy, dał cynk komuś, kogo mogą interesować takie rzeczy i ma dostatecznie dużo jaj, żeby nam się dobrać do tyłka. Więc ten ktoś porzywa emiter i będzie czegoś chciał w zamian.

– O kurna, co za bzdury – zawołał odruchowo Wieteska, po czym zamilkł.

Propozycja Galasia była jasna, prosta i tłumaczyła wiele rzeczy.

– Myślisz o mafii? – zapytałem. Gdyby nie facet na polu kukurydzy, sam chętnie kupiłbym takie wyjaśnienie.

– Na przykład. Mamy kasę, dla której opłaca się taki numer. Opłaca się zainwestować w międzynarodową operację i opłaca się ryzykować zabójstwo. Zwłaszcza że nasza kasa jest...

– Ale dlaczego nie w Stanach? – przerwał mu Wieteska. Nie lubił przypominać sobie o pochodzeniu naszego majątku. Nienawidził dyskusji na ten temat. – Mafii amerykańskiej prościej by było załatwić temat w Stanach. U siebie.

Galaś wzruszył ramionami i wtedy właśnie dojechaliśmy do hotelu.

Podziemny garaż hotelu Sheraton prezentował się tak samo jak kilka godzin temu. Jarzeniówki trupim blaskiem oświetlały surowe betonowe ściany oraz kilka rzędów drogich samochodów.

Zaparkowaliśmy voyagera, po czym opuściliśmy go z ulgą.

Schodami wyszliśmy na parter.

Było późno, foyer świeciło pustkami, nocna zmiana przysypiała w recepcji. Skinąłem uprzejmie walczącemu z opadającymi powiekami recepcjoniście. Drzwi windy zasunęły się bezszelestnie, a potem, po czasie potrzebnym do pokonania trzech pięter, równie bezszelestnie rozsunęły.

Ponieważ uważaliśmy się za ludzi zamożnych, rezerwacja obejmowała dwa apartamenty – dla rodziny Wietesków oraz dla mnie i małego Johnyego – oraz dwa jednoosobowe pokoje dla Kurcewicza i Galasia. Póki co dla wygody i bezpieczeństwa zajęty został tylko apartament Wietesków, gdzie Rozalka miała opiekować się dziećmi, a także doglądać rekonwalescencji Kurcewicza, który po zaaplikowaniu przez lekarza solidnej dawki antybiotyków i środków przeciwbólowych nie powinien obudzić się wcześniej niż jutro rano. Obaj chłopcy, zmęczeni porannymi przeżyciami, powinni także już dawno spać. Jeżeli chodzi o Rozalkę, mógłbym się założyć, że zastaniemy ją oglądającą telewizję. Odkąd wylądowaliśmy w naszych czasach dwa tygodnie temu, było to jej ulubioną rozrywką.

Gdy jednak Wieteska za pomocą elektronicznej karty otworzył drzwi apartamentu, usłyszeliśmy ciszę.

Żadnych dziecięcych głosów.

Żadnych dialogów jednego z tasiemcowych seriali obyczajowych.

Żadnego głosu spikera odczytującego kolejną dawkę wiadomości.

Przeżycia wojenne wyszkoliły nas w sposób z pewnością niedający się wytrenować w pokojowych warunkach. W jednej chwili ze zwykłej grupy przyjaciół przekształciliśmy się w zespół zaniepokojonych, ale niebezpiecznych weteranów kilku zwycięskich kampanii. Broń pojawiła się w naszych rękach niemal jednocześnie, adrenalina huknęła w żyłach, zmysły w jednej chwili wyostrzyły się do granic możliwości.

Ostrożnie, z lufami wysuniętymi do przodu, weszliśmy do środka.

Przestronne wnętrze oświetlone było kilkoma kinkietami. Miękkie, przyjemne dla oka światło uwypuklało każdy element wyposażenia, podkreślało stylowość mebli, wysoką jakość dywanu, pastelowe barwy ścian. Apartament poprzez swą dyskretną elegancję uosabiał jakość, komfort i dobre samopoczucie.

Nasze samopoczucie nie miało nic wspólnego z jakimkolwiek komfortem. Przyczyna ciszy, która uderzyła nas od progu, okazała się bardzo łatwa do wytłumaczenia: w apartamencie panował idealny porządek. Wszystkie meble stały na swoich miejscach, łóżka były pościelone, w szafach ubrania wisiały równym rzędem. Tyle że nigdzie...

... nie było żywego ducha.

Galaś bez słowa zniknął za drzwiami. Po chwili wrócił. Milcząco pokręcił głową. W pozostałych wynajętych przez nas pokojach również nie było nikogo.

– Może pojechali do lekarza – powiedziałem.

Sam nie wierzyłem w to, co mówię.

Wieteska, pobladły, z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę i ze spoconą dłonią na rękojeści pistoletu, bez słowa wyciągnął z kieszeni komórkę. Jeszcze na lotnisku, tuż przed tym cholernym atakiem terrorystycznym, zakupił kilka aparatów na kartę i rozdał dorosłym członkom naszej mikrospołeczności, wliczając Rozalkę. Nie omieszkiał ponownie poinstruować dziewczyny odnośnie do sposobu jej używania (w Nowym Jorku poświęcił kilka ładnych godzin, aby objaśnić zasady działania telefonii komórkowej; Rozalka, choć bystra i obdarzona żywą inteligencją, nie bardzo mogła zrozumieć, jak można dzwonić z aparatu bez kabla; to tylko jedna z rzeczy, których nie rozumiała; ilość bodźców była z pewnością zbyt duża jak na przeskok siedemdziesięciu lat rozwoju cywilizacyjnego i społecznego) i wbić w pamięć aparatów numery.

Wybrał numer. Przez chwilę tkwił z aparatem przy uchu, a po twarzy przemknęły mu wszystkie kolory nadziei. Przemknęły i zgasły. Rozalka nie odbierała. Milczał również Kurcewicz, do którego próbował dodzwonić się Galaś.

Pomimo ogarniającej mnie mieszanki postępującej gwałtownie drętwoty i dziwkiej, niepohamowanej wściekłości zdołałem dostrzec leżący na nocnym stoliku telefon komórkowy. Był to zwykły aparat, innego typu niż te, którymi się posługiwaliśmy. Sprawiał wrażenie zapomnianego. Ale miałem stuprocentową pewność, że został tam położony celowo.

– Porwanie? – zapytał Wieteska. Zaczął szczerkać zębami.

– Najprawdopodobniej – odparłem.

– Zawiadamiamy policję.

– Nie sądzę. – Podeszedłem do niskiego stolika i podniosłem aparat. – Może tutaj jest parę odpowiedzi na nasze pytania.

Wieteska rozejrzał się po pokoju, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Ściany milczały jak zawsze.

– Dzwon.

Nieco drżącymi palcami podniosłem aparat. Nie był zablokowany. Książka adresowa okazała się pusta.

W skrzynce odbiorczej natomiast znajdowała się jedna wiadomość MMS. Otworzyłem ją. Filmik był krótki, najwyżej dziesięciosekundowy. Przedstawiał małego Johnyego.

– Tatusiu! – krzyczał mój syn przez łyż. – Zabierz mnie stąd. Boję się! Nie wiem, kim byli nasi przeciwnicy; mogłem tylko snuć domysły.

Jedno było wszakże pewne: umieli załatwiać takie sprawy.

4

Patrzyłem tępo przed siebie, nadal trzymając w ręku telefon. Nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu.

– Pieprzone skurwysyny – wybuchnął Johny. Tak mocno ścisnął pistolet, że aż pobiegały kłykcie. – Zapłacą za to.

Nie miałem czasu ustosunkować się do powyższego stwierdzenia, aparat bowiem zaniósł się płacziwą melodyjką, tak gwałtowną i głośną, że o mało nie wypuściłem go z ręki. Spojrzałem w dół, ale display był martwy; nasi oponenci nie popełniali tak banalnych błędów jak przeoczenie utajnienia numeru, z którego dzwonili.

– Halo? – powiedziałem. Miałem obawy, że rozmówca mógł nie zrozumieć, tak cicho i niewyraźnie mówiłem.

Ale zrozumiał.

– Widział pan film? – usłyszałem.

Głos mężczyzny. Złowieszczy? W żadnym razie.

Zwykły. Kulturalny. Miły.

– Widziałem.

Zastanawiałem się, jakim cudem udało mi się przełknąć ślinę przez to puchnące coś, co zaległo w gardle.

– To bardzo dobrze. Czy pańscy przyjaciele są z panem?

Kosztłem najwyższego wysiłku skoncentrowałem się na pytaniu.

– Stoją obok.

– Świetnie. Również zapoznali się z materiałem?

–Tak.

– A zatem będzie pan łaskaw zapamiętać, a także wytłumaczyć swoim podkomendnym, że bezpieczeństwo całej, podkreślam, całej waszej grupy, wliczając dziewczynę i dwóch słodkich brzdąców, zależy od precyzyjnego wykonywania moich zaleceń. Czy w tej sprawie osiągnęliśmy całkowitą jasność?

–Tak.

– Nie brzmi pan specjalnie przekonująco. Cóż, być może jestem człowiekiem naiwnym, ale zaufam panu w tej materii.

– Co dalej? – zapytałem.

Darowałem sobie pytania typu: „O co ci chodzi, skurwysynu?” Albo stwierdzenia: „Zabiję cię, jeśli skrzywdzisz moje dziecko”. To były dwie kluczowe kwestie, które chciałem wyrzucić temu facetowi prosto w twarz, najchętniej tuż przed tym, nim wystrzelę w nią kilka dobrze plasowanych kul. Niemniej nie powiedziałem niczego w tym rodzaju. Było jasne, że nie warto; w obecnej sytuacji takie deklaracje stanowiłyby tylko pokaz frustracji i niemocy. Rozmówca wiedział, że zrobię wszystko, by odzyskać dziecko. Wszelkie atuty były po jego stronie. Miał w ręku Johny ego, Rozalkę,

Stasia i Kurcewicza. Najpewniej stała za nim potężna organizacja dysponująca okazałymi funduszami, zasobami ludzkimi i strukturą organizacyjną, więc na razie musiałem dołożyć wszelkich starań, by pozostać przy życiu i nie dawać powodu do zdenerwowania facetowi po drugiej stronie połączenia.

– Konkrety. Słusznie, słusznie. Lubię ludzi czynu. Proszę posłuchać...

Kilka minut później wpatrywałem się osłupiały w obudowę telefonu. Materiał, z którego ją wykonano, lśnił w miękkim świetle kinkietów, ale urządzenie było martwe i bynajmniej niesłowne do udzielania jakichkolwiek dodatkowych wyjaśnień. Obaj moi towarzysze patrzyli na mnie z napięciem.

– Coś tak zamilkł? – zapytał Wieteska. – Facet powiedział, co dalej?

– Układ jest prosty – powiedziałem, starając się walczyć z postępującym odrętwieniem.

Obawiam się, że zaczynałem coraz bardziej bełkotać. – Siedzimy na tyłku, nie zawiadamiamy policji, nie prowadzimy poszukiwań na własną rękę. Oni w ciągu doby zrobią, co mają zrobić, i jak nie będziemy się wpięprzać, wypuszczą Rozalkę, Wojtka i dzieci. Dwadzieścia cztery godziny. Tak powiedział ten facet.

– W co się mamy nie wpięprzać? – zapytał Galaś rzeczowo. Z całej trójki tylko on panował nad nerwami.

– „Nie zakłócać podejmowanych przez nas działań”. Tak się wyraził. Wtedy wszystko pójdzie dobrze i nikomu nie stanie się krzywda. To też cytat.

– Gówno prawda – wrzasnął Johny, nie przejmując się faktem, że goście tej klasy hotelu nie lubią, gdy w środku nocy budzą ich krzyki sąsiadów. – Przecież to jasne...

– Nie było żadnych negocjacji. – Zamknąłem oczy i w jednej chwili usłyszałem tembr głosu rozmówcy. Kulturalny męski głos, owszem, niepozbawiony atrybutów siły woli, ale uprzejmy i

znamionujący niemałą inteligencję właściciela. Pomimo łagodnego tonu niedopuszczający do dyskusji, po prostu wydający polecenia. Mówiący ładną, literacką polszczyzną, w której wyczułem jednak coś sztucznego, nienaturalnego, jakby nie była ona naturalnym językiem rozmówcy – Facet powiedział, jak ma być. Na razie nie widzę możliwości, żeby mu się przeciwstawić.

– Jak to ma się odbyć? – zapytał Galaś, nie zwracając uwagi na szykującego się do kolejnej riposty Wieteski.

– Po prostu jutro Rozalka z resztą ekipy zapuka do naszych drzwi.

– A tamci znikną bez śladu.

– Owszem.

– I bez kary.

Spojrzałem na niego. Zmiana tonu była niemal niezauważalna, jednak ją dostrzegłem. Galaś hołdował prostym zasadom: zło nie może pozostać nierozliczone. Przypomniałem sobie spokojny, kulturalny tenor niedawnego rozmówcy i pomyślałem, że tym razem to bardzo wątpliwe. Ludzie tego pokroju nie zwykli płacić za cokolwiek.

– Chłopcy – Wieteska zmarszczył brwi; jakby słyszał moje myśli – czy wy naprawdę myślicie, że cwaniaczki, które z nami pogrywają, nie pomyślały o tak banalnej rzeczy jak zapewnienie sobie bezpieczeństwa? Porwali mi żonę i dziecko, więc zdają sobie sprawę, że jestem osobnikiem zdesperowanym i gotowym na wszystko. Możecie przyjąć w ciemno, że po zakończeniu zabawy wszyscy zostaniemy zlikwidowani.

Nie brzmiało to dobrze. Ale jeśli mam być zupełnie szczery, taki obrót wydarzeń mnie również wydawał się najbardziej prawdopodobny.

– Spróbujmy inaczej – powiedziałem, gdy ostatnie stwierdzenie zyskało odpowiednią ilość czasu, by zająć w naszych mózgach miejsce w pierwszym rzędzie. – Co ci ludzie, waszym zdaniem, chcą uzyskać? Po co porywają nam rodziny i kumpla, skoro mają już kontener?

– Boją się – odparł Wieteska. – Podejrzewają, że możemy im nadepnąć na odcisk.

Wieteska nie wiedział wszystkiego, ale wyciągał prawidłowe wnioski.

– To chyba jedyne wytłumaczenie.

Znowu zapadła cisza. Przerwał ją były kapitan sił powietrznych Jan „Johny” Wieteska.

– I całkiem słusznie – wycedził. – Powinni zacząć się bać.

– Pójdę na dół i trochę się rozpytam. Może ktoś coś widział. – Galaś schował pistolet do kieszeni i ponownie wyszedł z pokoju. Jakiś się lakoniczny zrobił ostatnio ten były kapral nadterminowy wojsk łączności Józef Galaś.

Wieteska usiadł w fotelu. Zająłem miejsce naprzeciwko. Siedzieliśmy, biliśmy się z niewesołymi myślami, czekaliśmy. Pracujący na ściszonej fonii telewizor pokazywał obrazy z Okęcia. Biegające z prawa na lewo paski informacji twierdziły jednoznacznie, że kryzys trwa nadal i diabli wiedzą, kiedy się skończy. Podawano fantastyczne liczby i fakty; dziennikarze mieli swoje pięć minut

i do maksimum wykorzystywali okazję, czemu zresztą trudno się dziwić; następna może nadejść za kilka lat.

Wstałem, podszedłem do lodówki, otworzyłem ją, znalazłem niewielką buteleczkę wódki, nałamałem sobie i Wietesce, po czym na powrót zapadłem się w fotel.

Po kilku minutach dołączył Galaś. Pokręcił z rezygnacją głową i dostawił trzeci kieliszek.

5

Godzinę później położyłem się, ale stało się to, czego się spodziewałem: sen nie nadchodził. Byłem śmiertelnie znużony, lecz gonitwa myśli nie pozwalała zasnąć. Musiałem skonstruować plan działania i wpadłem w rozpacz, ponieważ nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Spróbowałem jeszcze raz zestawić fakty. Sięgnąłem po całą dostępną wiedzę. Próbowałem sobie przypomnieć rzeczy, które na pozór nie miały żadnego związku z ostatnimi wydarzeniami. A potem puściłem wodze wyobraźni.

Deszcz zastukał o hotelowe okno. Wiatr targnął oknami ze zdwojoną siłą. Pogoda dostosowała się do mojego nastroju.

Wstałem z łóżka, sięgnąłem do szafy i nie zapalając światła, włożyłem ciemne, niekrępujące ruchów ubranie. Glocka i zapasowy magazynek wsadziłem do kieszeni. Wyszedłem. Hotelowy korytarz był pusty, tak jak może być pusty nad ranem korytarz w hotelu. Dywan tłumił kroki, dyskretne światło odbijało się od ścian.

Wyszedłem na zewnątrz. Deszcz padał w dalszym ciągu. Ulice były jak wymarłe; gdy jednak przyjrzałem się oknom mijanych kamienic, okazało się, że w co drugim pracuje telewizor. Większość mieszkańców stolicy przedkładała pełne emocji śledzenie akcji na lotnisku nad pójście wyspanym do pracy.

Byłem zmęczony, lało i wiało, temperatura spadła do kilku stopni. Błyskawicznie przemokłem; każda cząstka mojego ciała błagała o powrót.

A jednak szedłem przed siebie.

Warszawa, miasto, które tak dobrze znałem i chyba nawet lubiłem, moje rodzinne miasto, którego przed niespełna dwoma miesiącami broniłem przed Niemcami, przez pięć lat mojej nieobecności nie zmieniło się wiele. Tu i tam kamienica błysnęła odnowioną fasadą, gdzieś gdzieś chodniki były prostsze, asfalt ulic równiejszy. Ale to nadal było to samo miejsce: zniszczone przez wojnę, odbudowane przez władzę ludową, przekształcone przez chaos wolnego rynku.

W oddali dostrzegłem patrol policji; przeszedłem na drugą stronę ulicy.

Gdy oddaliłem się może o pół kilometra od hotelu i przechodziłem rażno przez rondo de Gaullea, poczułem na plecach czyjś wzrok. Nie był to wyraźny objaw; daleki byłem od przypisywania sobie nadprzyrodzonych zdolności. A jednak czyjeś spojrzenie niemal fizycznym ciężarem zawisło na karku i ramionach.

Mimo woli uśmiechnąłem się pod nosem; moje nadzieje zaczęły się spełniać.

Przyspieszyłem kroku. Nowy Świat był jasno oświetlony, sprawiał wrażenie zamożnej, starannie odrestaurowanej ulicy, mogącej przyozdobić znacznie bardziej niż Warszawa wymagające pod względem estetycznym miasto. W okolicy nadal nie było żywego ducha – trzecia nad ranem, deszcz i transmitowane na żywo wydarzenia dziejące się na lotnisku stanowiły zbyt silną konkurencję dla romantycznych spacerów.

Obejrzałem się szybko przez ramię, ale nie zauważyłem nikogo, co zresztą o niczym nie świadczyło; moje umiejętności wynajdywania i ewentualnego gubienia ogona było minimalne. Jeśli nie liczyć wydarzenia sprzed kilku tygodni (to znaczy blisko siedemdziesięciu lat) mającego miejsce na polu kukurydzy w Teksasie, oczywiście.

Mimowolnie dotknąłem broni. Glock tkwił za paskiem, rezerwowi magazynek obciążał kieszeń dzinsów. Nie powiem, żebym odczuwał specjalny komfort, ale to, co czułem, chyba nie było strachem. Raczej ciekawością. Na pewno chęcią konfrontacji. Gdy przebiegłem w myślach listę potencjalnych kandydatów na tropiącego mnie specjalistę, człowieka będącego przedstawicielem sił, które nie wahają się wysłać go o trzeciej nad ranem na zalane deszczem ulice, okazała się nader krótka. Składała się mianowicie z dwóch pozycji i to bardzo mnie ucieszyło. W gruncie rzeczy jestem zwolennikiem jak najprostszych rozwiązań.

Przyspieszyłem kroku. Mrowienie karku nie malało; przeciwnie, miałem nawet wrażenie, że nieco się wzmogło.

Sprzed mojego wyjazdu pamiętałem, że za budynkami stojącymi wzdłuż Nowego Światu ciągnął się rząd niskich parterowych pawilonów, w których miały siedziby niezliczone knajpki i butiki. Liczyłem na to, że podobnie jak ich bardziej reprezentacyjni kuzyni z pierwszej linii, będą zamknięte na głucho; nie zawiodłem się. Teren był nie najlepiej oświetlony. Nie dostrzegłem żadnego spóźnionego przechodnia. Oba te czynniki stanowiły dla mnie nad wyraz korzystne okoliczności.

Gdy wyszedłem z bramy, skręciłem gwałtownie w prawo i zacząłem biec. Po kilkunastu metrach, za ciągiem witryn i różnokolorowych neonów, dostrzegłem niewielką wnękę. Było to idealne miejsce, ściany wnęki nie były bowiem szklane, lecz wymurowane z cegły, co stanowiło skuteczną osłonę przed wzrokiem podążającego moim śladem osobnika.

Wyciągnąłem pistolet i chwyciłem go za lufę. Starałem się oddychać jak najpłycej, co nie było prostą sprawą, bowiem adrenalina huczała we mnie z energią myśliwca F-16 poruszającego się na podwójnym boosterze. Ale miałem już jakąś wprawę w takich akcjach; nieco ponad miesiąc temu całkiem niedaleko stąd walczyłem wręcz z dwoma uzbrojonymi niemieckimi żołnierzami i wygrałem. Byłem stary i zmęczony, ale wściekłość dodawała mi wtedy sił.

Miałem nadzieję, że dziś również mi doda.

Usłyszałem ciche kroki. Dźwięk gumowych podeszew był dość skutecznie zagłuszany przez bijące o trotuar krople deszczu – dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że w ciągu ostatnich dziesięciu minut mżawka zamieniła się w dość solidną ulewę – mimo to usłyszałem je. Tajemniczy prześladowca

szedł ostrożnie, niemal przyklejony do ściany. Najwyraźniej zauważył wnękę, bo wyraźnie zwolnił. Bałem się, że zawróci, machnie ręką na dalszą inwigilację i po prostu zniknie. Przez mgnienie oka rozważałem, co może być dla niego ważniejsze: ryzyko dekonspiracji czy raczej konieczność dokładnego wykonania roboty.

Szybko się okazało, że trafiłem na pedanta. Gość zmienił kierunek marszu, by oddalić się nieco od wnęki i objeść ją szerszym łukiem, nie dając zaczajonemu w niej ewentualnie obiektowi czasu na przeprowadzenie kontrakcji.

Odbiłem się mocno i wystartowałem z impetem. Zobaczyłem odzianą na czarno, zakapturzoną postać, która, jakkolwiek zaskoczona moim nagłym pojawieniem się, zaczynała wykonywać płynny unik w bok. Moje ramię, przedłużone trzymanym za lufę pistoletem, odchyliło się nieco do tyłu, a gdy drugi z zaplanowanych długich susów właśnie dobiegł końca – opadło...

Rękojeść pistoletu uderzyła tego człowieka w skroń, niezbyt dokładnie tam, gdzie chciałem, i nieco silniej, niż zamierzałem. Na pewno nie miałem ochoty zrobić mu krzywdy; to znaczy później, gdybym dowiedział się jakichś drastycznych rzeczy o moim synu, kto wie; jednak w pierwszej fazie priorytetem było wzięcie jeńca w stanie nienaruszonym.

Mężczyzna upadł i przestał się ruszać. Ukląknę. Facet był dość młody i dobrze zbudowany, ubrany w czarny golf, dżinsy oraz długi płaszcz. W jednej z wewnętrznych kieszeni wyczułem duże zgrubienie. Sięgnąłem za pazuchę i ku memu zdumieniu wyciągnąłem portfel. To było dziwne, bo zawsze mi się wydawało, że zawodowcy nie chodzą na robotę z kompletem dokumentów i kart kredytowych. Może ten był amatorem.

Jednak nie. Za paskiem wymacałem broń, ale nim zdążyłem ją wydobyć, dłoń natknęła się na coś jeszcze. Niewielki sztywny prostokąt, przyczepiony zatrzaskiem do paska spodni.

Wyciągnąłem ten płaski przedmiot. W świetle dalekiej latarni błysnął napis „Policja”.

6

Jest rzeczą zdumiewającą, w jaki sposób człowiek reaguje na wydarzenia, które są na tyle intensywne i odbiegające od codziennej rutyny, by wyostrzyć jego uwagę niemal do granic możliwości.

Jestem przekonany, że to, co się wydarzyło w ciągu najbliższej pół minuty, trwało uczciwie pół minuty. Mnie jednak wydawało się, że czas stanął w miejscu, a przynajmniej wielokrotnie zwolnił.

Gdy zobaczyłem policyjną legitymację, poczułem coś w rodzaju satysfakcji; jeden z istotnych elementów układanki, nad którą głowiłem się od dzisiejszego ranka, wskoczył na swe miejsce.

Jednak równocześnie odczułem poważny zawód. Ogłuszony mężczyzna był gliniarzem; mógł mi zatem odpowiedzieć na pytania, na które znałem odpowiedź bądź się jej domyślałem, jednak najprawdopodobniej nie posiadał żadnej wiedzy, gdzie, do diabła, znajduje się mój syn. Liczyłem,

szczerze mówiąc, na to, że śledzący mnie facet należy do złych i będę mógł z niego wydobyć coś niecoś.

Niestety te oparte na naiwnej nadziei kalkulacje wzięły właśnie w łeb.

– Kroisz gościa? – usłyszałem.

Podniosłem głowę.

Było ich trzech, wymodelowanych jak z tego samego szablonu: ostrzyżonych na łyso, potężnie zbudowanych, ubranych w czarne dresy z trzema paskami na bokach spodni. Stali bardzo blisko. Nie mam pojęcia, jakim cudem nie usłyszałem ich kroków.

Ponieważ nie przychodziła mi do głowy żadna rozsądna odzywka (jednak się starzałem; dawniej nie miałbym z tym żadnego problemu, ba, ucieszyłbym się, mając darmową okazję rozruszania zastałych kości), puściłem ogłuszonego policjanta, pozwoliłem, by jego głowa opadła na chodnik, a sam podniosłem się szybko.

Ten, który zainicjował rozmowę, patrzył na mnie przez chwilę. Ja patrzyłem na niego. Wyglądał typowo, ale miałem przemożne wrażenie, że ubranie i entourage to tylko kamuflaż; rodzaj gadżetu odwracającego uwagę. Nie ma nic bardziej typowego niż widok dresiarza na ulicy. Szczerze mówiąc, ci ludzie wyglądali na kogoś znacznie groźniejszego.

Prowodyr, nie doczekawszy się żadnej reakcji, wystartował. Sposób poruszania się wskazywał jasno, że mam do czynienia z człowiekiem doświadczonym, szybkim i dobrze wyszkolonym. Odnotowałem, że facet nie trzyma w ręku żadnego sprzętu – o ile znam się na rzeczy, na ulicy już dawno odeszły do lamusa szlachetne pojedynki na gołe pięści, teraz sprawę załatwia się przeważnie nożem, pałką, maczetą, kastetem w ostateczności – ale nie miałem się nad tym czasu zastanawiać, bowiem napastnik zaatakował z całą mocą. Na dodatek kątem oka dostrzegłem ruszających z obu flank przybocznych, sytuacja zrobiła się więc nad wyraz poważna.

Walka trzech na jednego, o ile napastnicy nie są kompletnymi amatorami lub ledwie trzymającymi się na nogach pijaczkami, nie ma specjalnie sensu. Tylko w filmach oponenci protagonisty są na tyle uprzejmi, by atakować po kolei, poczekawszy grzecznie, aż główny bohater efektownym ciosem lub kopnięciem pošle na ziemię poprzedniego wojownika. W rzeczywistości przeciętna uliczna bijatyka jest bardzo gwałtowna, krótkotrwała i najczęściej kończy się upadkiem, a także skopaniem napadniętego, który ma ogromne szczęście, jeśli skończy się tylko na utracie przytomności i połamanych żebrach.

Wziąwszy pod uwagę powyższe, powinienem zwiewać gdzie pieprz rośnie, w myśl starej zasady, że najlepszą sztuką samoobrony przed trzema napastnikami jest dobry czas na setkę. Lub użyć broni.

Niestety, za plecami miałem ścianę pawilonu, a front oraz obie boczne półsfery blokowali mi napastnicy, ucieczka nie była więc możliwa. A na wyciągnięcie glocka zza paska zwyczajnie brakowało mi czasu.

Z trudem uchyliłem się od ciosu.

Błyskawicznie przeszedłem do klinczu, chwyciłem głowę faceta obiema rękami i ściągnąłem w dół. Gdy się człowiek naprawdę spręży, a adrenalina wspomaga siłę, można z siebie sporo wykrzesać. Gość należał do dużych i muskularnych, a jednak jego kark ugiął się pod naciskiem. Poczułem silny cios gdzieś w okolicy żeber. Cofnąłem nieco biodra i wypchnąłem w górę kolano. Facet zderzył się nosem z idącą w górę kończyną. Rozległo się nieprzyjemne chrupnięcie, gość zawył, a ja obróciłem się razem z nim o ćwierć obrotu i najmocniej, jak potrafiłem, pchnąłem go w stronę napastnika atakującego od lewej, właśnie zabierającego się do kolejnego uderzenia. Obaj upadli. Zasady walki ulicznej w takich okolicznościach są całkowicie jednoznaczne: by przeciwnik nie sprawiał więcej kłopotu, akcję zawsze należy kończyć, na przykład dwoma pozbawiającymi przytomności kopnięciami w głowę. Miałem jednak na głowie trzeciego napastnika i to nim musiałem niezwłocznie się zająć.

Byłem odrobinę zbyt powolny, niestety.

W ręku tamtego błysnęła stal – a jednak! – i uzbrojone ramię opadło w dół. Poczułem ból nieco poniżej łokcia. Zareagowałem czysto instynktownie: drugą ręką chwyciłem dłoń razem z rękojeścią i wykręciłem mocno. Ostrze poszło do góry. Trzymałem mocno, starając się wytrącić nóż. Nic z tego – tamten był piekielnie silny. Szarpnął raz i drugi; w końcu się wyrwał. Nim zdążył zaatakować powtórnie, rzuciłem się na niego szczupakiem. Uderzyłem go barkiem w biodro, objąłem w pasie i obaj upadliśmy na ziemię.

Zdaje się, że sprawdził głową wytrzymałość chodnika. Zdążyłem bowiem uderzyć go czołem w nos tak mocno, że usłyszałem chrzęst łamanej kości, wstać, wykopać nóż z jego dłoni, zerknąć na pierwszą dwójkę, która właśnie podnosiła się na nogi i najwyraźniej szykowała do nowego ataku, a tamten jeszcze leżał, tocząc wokół lekko nieprzytomnym wzrokiem.

Nie bacząc na broczącą krwią rękę, wziąłem nogi za pas.

Biegłem szybko, miarowo. Szybko skręciłem w bramę, którą wszedłem z Nowego Światu w te, jak się okazało, niegościnne, zaułki. Obejrzałem się przez ramię, ale nie dostrzegłem pościgu. Zwolniłem, po czym przeszedłem do marszu.

Na ulicę wyszedłem spokojnym krokiem. Walczyłem z oddechem. Nie sądzę, by łapczywe chwyty powietrza zostało spowodowane nadmiernym wysiłkiem – w końcu trzydziestosekundowa bójka i osiem–dziesięciometrowy bieg to nie jest jakiś nadzwyczajny wysiłek, nawet dla podpułkownika na emeryturze. Było raczej domeną hysterii. Zdecydowanie wychodziłem z formy.

Rychło sobie uświadomiłem, że w rzeczywistości byłem kompletnie jej pozbawiony, i to bynajmniej nie z powodu niedomagań fizycznych. Po prostu zaaferowany najpierw faktem, że jestem śledzony, odkryciem, że inwigilującym mnie osobnikiem był policjant, a następnie odpieraniem gwałtownego i co tu ukrywać, niespodziewanego ataku, nie zwróciłem uwagi na fakt, że zostawiłem nieprzytomnego funkcjonariusza na łasce napastników. A oni nie wyglądali na okazujących łaskę. Nie udało mi się uszkodzić ich na tyle, by przestali stanowić zagrożenie; przeciwnie, myślę, że kopniaki i

ciosy rozwścieczyły ich tylko. A policjant był niezłym łupem, choćby dlatego, że miał broń i legitymację; obie rzeczy nie do pogardzenia, gdy się prowadzi określonego rodzaju działalność.

Te myśli uderzyły mnie tak mocno, że aż się zatrzymałem. Deszcz lał, było niemal pewne, że moja niedawna przygoda miała jakieś drugie dno. Wziąwszy powyższe pod uwagę, powinienem się stąd oddalić jak najszybciej, póki jeszcze nie pojawił się jakiś spóźniony przechodzień, który potem zdecyduje się złożyć obciążające mnie zeznania.

A jednak stałem i myślałem.

W efekcie tych przemyśleń odwróciłem się na pięcie, wyciągnąłem glocka i zacząłem energicznie iść w stronę bramy, którą przed chwilą opuściłem. Po chwili dotarłem na miejsce.

Spóźniłem się. Nie mogłem niczego naprawić ani nikomu pomóc. Schowałem pistolet, rozejrzałem się dookoła i przytrzymując krwawiącą rękę, ruszyłem w stronę hotelu.

Drogi powrotnej niemal nie pamiętam. Miałem niejasne wrażenie, że deszcz podał coraz silniejszy, połamany kurtki targał wiatr, szary i brudny przedświt niechętnie czołgał się w stronę dnia.

Dowlokłem się do hotelu, zignorowałem zdumione spojrzenie recepcjonisty – w hotelach tej klasy nawet o czwartej nad ranem nie snują się zmoknięci osobnicy wyglądający, jakby noc spędzili w kanałach nieopodal Dworca Centralnego – zanotowałem trzask elektronicznego zamka, po czym z ulgą skonstatowałem, że w apartamencie nikt na mnie nie czeka. Ręka krwawiła mocno. Obląłem ranę pozostałą w butelce wódką, owinąłem znalezionym w pokojowej apteczce bandażem, stwierdziłem, że jestem zbyt zmęczony, by przedsięwziąć jakieś bardziej profesjonalne środki zaradcze, rozebrałem się, po czym wsunąłem pod kołdrę.

Pomimo bólu usnąłem od razu.

7

Walenie do drzwi było natarczywe, głośnie i sprawiało niemal fizyczną dolegliwość.

Nie od razu skojarzyłem, że nie należy do snu. Podniosłem powieki. Ranek był ponury, deszcz nie przestawał padać, wiatr targał drzewami; pamięć usłużnie podsuwała obrazy ostatniej doby. Moja motywacja, by zacząć kolejny dzień, była bliska zera.

Ale to nie interesowało osobnika dobijającego się do drzwi. Walił i walił, kłął pod nosem, pokrzykiwał. Zwlokłem się z łóżka. Przelotne spojrzenie w lustro powiedziało mi, że wygląd dostosował się do nastroju właściciela; dawno nie widziałem tak zmiętego i przegranego człowieka.

– Galaś zniknął – krzyknął Wieteska, gdy tylko udało mi się uporać z elektroniczną blokadą zamka i otworzyć drzwi.

Mój przyjaciel wyglądał rześko i świeżo, był ogolony, a ubranie zostało niedawno uprasowane. Ten facet miał niebywałą zdolność regeneracji; gdy ja rozpatrywałem swoje klęski, on otrząsnął się i przygotowywał plany działania. Miałem nadzieję, że udzieli mi się choć część jego energii.

– Zniknął? – zapytałem głupio, po czym cofnąłem się do saloniku.

Wieteska podążył za mną.

– Nie ma go. Nie odbiera komórki.

– Może śpi.

– Masz mnie za idiotę? Dogadałem się ze sprzątaczką, byłem u niego w pokoju. Nikogo. Łóżko idealnie pościelone, porządek, cisza i spokój. Brak bagażu. Facet zwał.

– Zwał?

Wyraz był tak nie na miejscu, że nie przyszło mi do głowy żadne sensowne zaprzeczenie. Możliwe, że się jeszcze nie obudziłem, a może moje myśli podświadomie krążyły wokół innych spraw; tak czy inaczej, proste zniknięcie kaprała Galasia, faceta, na którego zawsze mogłem liczyć i z którym przeżyłem niejedno, wydało mi się abstrakcyjne.

– Nerwy go zjadły. Każdy kiedyś ma dość. No więc on nie wytrzymał akurat dzisiaj rano.

– Bzdury.

Ostrożnie poruszyłem zabandażowaną ręką. Bolało jak diabli. Przez bandaż przesiąkała krew.

– Ejże. Jaki ma interes, żeby się dalej z nami wozić? Nie jego rodzinę porwano. Emiter mu lata koło pędzla. Ma tyle kasy, że do końca życia nie da rady jej wydać. Więc po angielsku wyszedł z przyjęcia.

Pokręciłem głową. Argumentacja była trafna, wnioski logicznie wywiedzione.

Jednak nie trafiały do mnie za grosz.

– Pozwolisz, że będę mył zęby? – zapytałem i nie czekając na odpowiedź, wszedłem do łazienki.

Odpakowałem z folii szczoteczkę. Gdy spojrzałem w lustro, zobaczyłem, że Wieteska przygląda się intensywnie czemuś, co leży na fotelu.

– Kąpałeś się w ubraniu? – zapytał.

– Nie mogłem spać. Poszedłem się przejść – odparłem niewyraźnie. Z pastą w ustach moja dykcja nigdy nie była najlepsza.

– Przejść? – rozejrzał się zdumiony. – W taka pogodę? A ta krew? A twoja obandażowana ręka? Wzruszyłem ramionami. Nie miałem ochoty wtajemniczać go w szczegóły niedawnej eskapady.

Spojrzał na mnie podejrzliwie. Zdaje się, że naprawdę uważał mnie za notorycznego kłamcę. Ale ponieważ milczałem, powrócił do bardziej interesującego tematu.

– Więc co z tym Galasiem? – zapytał.

Lubiłem Wieteskę między innymi za demokratyczne poglądy: zawsze miał własne zdanie i ciężko go było przekonać, że jest inaczej, niż myśli; jednak każdemu dawał się wypowiedzieć. Jego ulubiona zabawa polegała na zbijaniu argumentów i wdeptywaniu polemistów w błoto.

Jednak nie byłem w nastroju ani do polemiki, ani tym bardziej do zabawy.

– Nie wiem, dlaczego zniknął. – Wyplułem pastę i zacząłem płukać usta. W głowie przejaśniło się nieco. Ręka pulsowała. – Ale jestem pewien, że nie zostawił nas, bo mu się znudziło i zaczął cierpieć na nadmiar wrażeń. Wyszedł, bo coś mu przyszło do głowy. Może wpadł na ślad.

- Detektyw Bączek zawsze na tropie?
- Znasz go. Nie odpuszcza. Rozalka i mały Johnny to też trochę jego rodzina.
- Taaa.

Wieteska usiadł. Wyszedłem z łazienki, przemknąłem do sypialni i zacząłem się ubierać. Włożenie koszuli sprawiło mi pewne trudności.

- Ale tylko trochę. W pokoju nie ma jego rzeczy. Mówię ci, chłopak miał dość.
- Byłeś w recepcji? Pytałeś?
- Jureczku, czy ja wyglądam na ćwierćinteligenta? Pewnie, że pytałem. Józio udał się w nieznanym kierunku około piątej trzydzieści rano.

Półtorej godziny po moim powrocie.

- Był sam?
- Sam. Uśmiechnięty, ogolony i pachnący.

Zastanowiłem się.

- Rozalka, Wojtek i dzieci zostają porwani. A potem znika Galaś.
- Człowieku, nie słuchasz? Wyszedł z własnej woli.
- Wyszedł sam, ale niekoniecznie z własnej woli. Ktoś, na przykład przez telefon, mógł zasugerować, żeby ruszył tyłek i spotkał się z tym kimś, bo inaczej Rozalce albo dzieciom może się stać coś złego. A Galaś jest lojalny. Nie chce, by stało im się coś złego. No to ruszył tyłek zgodnie z instrukcją. A tym, kto go wzywał, mógł być nasz przyjaciel od kontenera.

Wieteska zaczął chodzić po pokoju wielkimi krokami.

Wszedłem do saloniku, z mokrej kurtki wyciągnąłem glocka i schowałem do kieszeni bluzy do joggingu, którą miałem na sobie. Mokre ubrania z nocnej wyprawy powiesiłem porządnie w szafie.

Wieteska oglądał te czynności z zainteresowaniem, jednocześnie wyciągając wnioski z poprzedniej dyskusji.

O ile go znam, próbował połączyć jedno z drugim.

- Mogło tak być – zgodził się niechętnie. Nadal uprawiał nużący maraton okno – drzwi.
- Masz dobre układy w recepcji?
- Panienki jedzą mi z ręki i śmieją się z moich dowcipów.
- A możesz załatwić, żeby ochrona pozwoliła nam obejrzeć nagranie z monitoringu z foyer od piątej dwadzieścia, powiedzmy?

- Chcesz obejrzeć Galasia?
- Chcę zobaczyć, co się działo przedtem. I Galasia, jak wychodzi.
- Jeżeli było tak, jak mówisz, nie zobaczysz nic.
- Chcę spróbować. I jeszcze jedno. Garaż pewnie też jest monitorowany.
- Pewnie tak.
- Wczorajsze popołudnie i wieczór?

Spojrzał na mnie bystro.

– Wyjechali samochodem?

– Jedyne wytłumaczenie, chyba że wczoraj recepcjonista kłamał. Porywacze mieli kartę do garażu, myślę, że jej zdobycie jest banalnie proste, z garażu pojechali bezpośrednio windą na górę, zabrali Rozalkę, Wojtkę i chłopców i tą samą drogą wydostali się na zewnątrz. Proste, czyste i łatwe.

– Jeżeli są cwani, postarali się, by akurat kamera obejmująca sektor, w którym zaparkowali, miała awarię.

– Coś w tym stylu. Albo przekupili ochronę i nie ma w ogóle żadnego nagrania. Ale chciałbym sprawdzić.

– Pójdę – powiedział i skierował się do drzwi. – Wrócę za jakiś czas.

Drzwi trzasnęły i tyle go było widać.

Podszedłem do nocnej szafki i wyciągnąłem telefon komórkowy. Był to aparat, który dostałem wczoraj na lotnisku od Wieteski. Nowy, nieużywany, niezbyt wyrafinowany.

Przeszła mi przez głowę myśl, że być może powinienem postarać się o nowy telefon. Teoretycznie istniała możliwość, że ktoś, kto nas śledził, mógł od sprzedawcy na lotnisku uzyskać numery kupionych przez nas telefonów oraz kart SIM. Gdyby miał dostęp do danych operatora telefonii komórkowej, zyskałby możliwość nie tylko podsłuchiwania rozmów, ale i lokalizowania naszego położenia. Żaden ruch nie miałby sensu. Przeciwnicy byłiby poinformowani o wszystkim, a także mieliby możliwość uprzedzenia każdego z naszych działań. Zyskaliby też pewność, że nie zastosowaliśmy się do ich poleceń.

Uznałem jednak, że to zbyt daleko posunięte przypuszczenia. Choćby dysponowało się dużymi pieniędzmi, monitorowanie serwerów operatora jest czynnością mocno .skomplikowaną. Dane chronione są na liczne sposoby, obowiązują szczegółowe i rozbudowane procedury bezpieczeństwa. Kontrola ochrony jest zapewne wielostopniowa. Postanowiłem zaryzykować.

Ponieważ jednak nie zamierzałem ufać ścianom pokoju, wyszedłem na korytarz. Pokonałem kilkanaście metrów, pchnąłem drzwi ewakuacyjne, po czym znalazłem się na klatce przeciwpożarowej. Tam z ustami przyciśniętymi do mikrofonu połączyłem się z pewną firmą. Wytłumaczenie rozmówcy, o co dokładnie chodzi i w jaki sposób sprawa ma być załatwiona, zajęło nie więcej niż trzy minuty.

Wróciłem do pokoju i zająłem się ręką.

Gdy odwinąłem bandaż, wzdrygnąłem się. Rana: krwistoczerwona i gorąca. Po bokach: zasinienie skóry. Pulsowanie.

Kolejny dreszcz.

Bez termometru mogłem stwierdzić, że mam gorączkę.

Wyjąłem z apteczki gazik, polałem wódką z kolejnej hotelowej buteleczki i najstaranniej, jak mogłem, oczyściłem ranę, plując sobie w brodę, że nie zrobiłem tego wczoraj. Wtedy wydawało mi się, że to nic poważnego, wymagającego interwencji chirurga. Krwawienie ustało szybko, nie było potrzeby zawracania po nocy głowy spracowanym przedstawicielom służby zdrowia.

Zabandażowałem przedramię, notując w pamięci, by przy najbliższej okazji zaopatrzyć się w antybiotyki.

Gdy Wieteska ponownie wkroczył do apartamentu, leżałem na łóżku i obserwowałem ekran telewizora. W dalszym ciągu dominowały wiadomości z lotniska. Wśród dziennikarzy, komentatorów i ekspertów przeważał pogląd, że negocjacje przeciągają się, a żądania terrorystów rosną. Zgodnie z klasycznym scenariuszem tego rodzaju wydarzeń nastąpił impas. Jeden z gości zgromadzonych w studiu wyraził przypuszczenie, że być może wkrótce nastąpi szturm jednostek antyterrorystycznych; został jednak zakrzyczany przez współrozmówców, łącznie z gospodarzem programu.

Johny z rozmachem postawił na stoliku laptopa.

– Zainwestowałem – stwierdził.

Podłączył komputer do prądu, po czym go włączył. Po chwili ekran zjaśniał błękitnym blaskiem.

– Masz coś?

Pstryknąłem pilotem od telewizora i podniosłem się. Ani na tym, ani na innych kanałach, które pilnie przeszukiwałem przed przyjściem Wieteski, nie znalazłem informacji, której się spodziewałem. Była to w gruncie rzeczy świetna wiadomość; brak poszukiwanego newsa zdawał się nieść pocieszenie. Być może nie byliśmy w tak beznadziejnej sytuacji, jak się wszystkim zdawało.

– Jakbym nie miał, tobym raczej nie inwestował, no nie? – Uśmiechnął się, ale w tym grymasie nie było nawet cienia tej szelmowskiej wesołości, którą kapitan prezentował jeszcze choćby wczoraj rano. Nic dziwnego. Wydarzenia ostatniej doby były w stanie wstrząsnąć psychiką nawet nieporównanie bardziej stabilną niż nasze przez wojnę poharatane życiorysy. – Bardzo miłe dziewczyny w tej recepcji, naprawdę.

– One przeważnie są miłe.

– Te są wyjątkowo. Poznały mnie z szefem ochrony. A ten się, rozumiesz, okazał kompletnie nieodporny na wdzięki banknotów z Jerzym Waszyngtonem na obrazku.

Wieteska wyciągnął z kieszeni pendrivea i podłączył do portu USB laptopa. Na ekranie ukazał się fragment foyer. Po chwili w polu widzenia pojawił się Galaś. Ciągnął za sobą walizkę na kółkach.

Pogadał chwilę z recepcjonistą, po czym energicznym krokiem przemierzył hol. Zanim zniknął, zerknął w stronę obserwującej go kamery.

Cyferki na dole ekranu informowały, że była godzina piąta dwadzieścia siedem.

– Przedtem nic się nie działo – wyjaśnił kapitan. – Przez prawie pół godziny oglądałem recepcjonistę walczącego z sennością.

– Rozmawiałeś z tym recepcjonistą?

– Telefonicznie. Zakończył zmianę. Powiedział, że Galaś powiedział, że wyjeżdża na pół dnia, ale nie zwalnia pokoju.

– Cofnij film.

– To był Galaś, przysięgam.

– Cofnij – powtórzyłem.

Kapitan wzruszył ramionami, kliknął kilka razy myszką i ponownie ujrzeliśmy byłego kaprała nadterminowego taszczącego walizkę.

– Zatrzymaj – poprosiłem.

Kliknięcie i Galaś stanął.

– Możesz pomalutku jechać do przodu? Ale naprawdę powoli?

– Człowieku, to nie jest żaden szpiegowski program, tylko zwykła przeglądarka.

– Można to zrobić ręcznie. Daj – sięgnąłem po mysz i najechałem kursorem na kropkę sunącą u dołu ekranu. Gdy pociągnąłem ją delikatnie do przodu, Galaś zaczął się poruszać w rwanym rytmie. To przeskakiwały poszczególne klatki. W końcu złapałem ujęcie, o które mi chodziło. Dwa kliknięcia i twarz Galasia się powiększyła.

– Widzisz?

– Ma tę samą głupią gębę co zwykle. A nawet głupszą, bo większą.

– On coś mówi.

– Mówi? Ten rybi ryjek nazywasz mową?

– Zobacz.

Cofnąłem obraz na zbliżeniu, po czym puściłem z normalną prędkością. Twarz Galasia po chwili zniknęła z ekranu.

– Widziałeś to samo co ja? – Wieteska spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– A co widziałeś?

– Powiedział: „Ruscy”. – Wieteska pokręcił głową. – Zdaje się, że jest gorzej, niż myślałem.

1 lipca 1941, Moskwa

Gabinet – ten sam co zwykle.

Sceneria też ta sama: jasnoszare ściany, duży, wytarty dywan, surowe drewniane biurko z kilkoma stojącymi na nim telefonami. Pośrodku stół pokryty zielonym suknem. W powietrzu dym papierosowy. I dominujący aromat fajki Gospodarza.

Są wszyscy Pełny skład Biura Politycznego. Mołotow, Kaganowicz, Beria, Malenkov, Woroszyłow. I paru innych. Weterani rewolucji, partyjni wyjadacze, drapieżcy o ostrych jak stal pazurach i zębach. Poświęcili całe życie dla takich chwil jak ta, która miała nastąpić przed niespełna tygodniem.

Dla rozpoczęcia Planu.

Członkowie Biura jednak o Planie nie myślą, zapominają o nim wskutek rozgrywającego się od dziesięciu dni kataklizmu. Nie Plan im w głowie, lecz własne skóry. Wiedzą doskonale (są ludźmi ze szczytu władzy, mają najlepsze w państwie źródła informacji), jak ogromne rozmiary przybiera klęska

i w jakim tempie posuwają się Niemcy. Jak z takim trudem i takim kosztem stworzona Armia Czerwona rozsypuje się, w większości wypadków niemal bez walki, a Bałtowie, Ukraińcy, nawet Rosjanie radośnie witają najeźdźców. Jak wielu żołnierzy się poddaje, dezertuje lub po prostu uchyla się od poboru.

Jednak Gospodarz nie pozbywa się marzeń tak łatwo i dlatego irytują go takie narady jak ta. Jego towarzysze debatują, jak się obronić, a nie, co zrobić, by przywrócić realizację Planu. Jakimi sposobami zmusić wspólnotę ludzi sowieckich, by zaczęła walczyć i przeszła do realnego, prawdziwego, potężnego uderzenia? Do podniesienia wysoko sztandaru rewolucji, by był widoczny z najdalszych zakątków Europy?

Po godzinie jałowej dyskusji Gospodarz ogłasza koniec spotkania. Członkowie Biura Politycznego wstają i w milczeniu kierują się do drzwi. Ścisłe kierownictwo Związku Sowieckiego jest zdyscyplinowane niczym drużyna skautów.

– Towarzyszu Żuków. Towarzyszu Timoszenko. Zostańcie.

Marszałek i generał przyjmują polecenie bez zdziwienia. Tak jest często. Stalin ma zwyczaj omawiania spraw tylko w takim gronie, jakie jest naprawdę niezbędne.

Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych podchodzi do biurka, rzuca w słuchawkę krótkie polecenie. Po chwili otwierają się boczne drzwi. Do gabinetu wchodzi postawny, rumiany mężczyzna w generalskim mundurze.

– Towarzyszu przewodniczący, melduje się generał lejtnant Piotr Bieriezuchin.

– Siadajcie.

Nowo przybyły zajmuje pierwsze z brzegu krzesło. Obaj wysocy rangą wojskowi obserwują go z zainteresowaniem. Żaden z nich nie zna go osobiście, choć obaj o nim słyszeli. Jest jednym z szefów jednego z wielu zarządów GRU. Trybikiem wielomilionowej Armii Czerwonej.

Pozornie.

Stalin podchodzi do sejfu i wyjmuje z niego cienką kartonową teczkę z napisem „Jutrzenka”. Wie, co jest w środku. Zna każde zapisane słowo. Osobiście wybrał Bieriezuchina na szefa operacji. Generał, choć formalnie podlega dowódcy GRU, raportuje bezpośrednio Stalinowi. Nie budzi to zdziwienia. Gdy polecenie przychodzi prosto z Kremla, wykonuje się je bez mrugnięcia okiem i zadawania zbędnych pytań. Niezwłocznie. Można rzec – odwrotną pocztą.

Choć front się wali, operacja „Jutrzenka” jest kontynuowana. Bieriezuchin niemal nie wie, co dzieje się w Pribaltyce, na Białorusi i Ukrainie. Postępy niemieckie niewiele go obchodzą. Zarówno Gospodarz, jak i on sam, a także niewielkie grono absolutnie zaufanych współpracowników (którzy nie mają pojęcia o całości zagadnienia) zdają sobie sprawę, że sukces operacji zapewni natychmiastowe i zdecydowane odwrócenie sytuacji na frontach, umożliwi przeprowadzenie Planu.

Gospodarz podejmuje decyzję, że nadszedł czas, by do kręgu wtajemniczonych wprowadzić dwóch najważniejszych w Związku Sowieckim wojskowych: ludowego komisarza obrony marszałka Siemiona Timoszenkę oraz szefa Sztabu Generalnego generała armii Gieorgija Żukowa. Obaj są

zdolni, całkowicie bezwzględni oraz oddani partii. Gospodarz nigdy się na nich nie zawiodł. Dochodzi do wniosku, że operacja wkracza w fazę, w której potrzebne jest poparcie wojskowych.

– Proszę, towarzyszu Bieriezuchin. Mówcie. Opowiedzcie o waszych działaniach.

– Tak jest, towarzyszu przewodniczący. Czy mam naświetlić również genezę?

– W skrócie. Musimy się skupić na korzyściach. I omówić aspekty techniczne samej operacji.

– Słucham. Otóż... – Bieriezuchin, choć Gospodarz zaprosił siadać, wstaje. Może w ten sposób okazać szacunek. – ... we wrześniu '39 roku na centralnym odcinku frontu w Polsce pojawił się pewien oddział wojska złożony z Polaków i Amerykanów. Ale nie była to zwykła frontowa jednostka. W ciągu niespełna dwóch dni rozbiła cały niemiecki korpus pancerny i poważnie nadszarpnęła drugi korpus, szybki.

– Słyszałem o tym – mruknął Timoszenko. – Wywiad donosił. I Niemcy, kiedy jeszcze współpracowaliśmy, sporo opowiadali.

Gospodarz marszczy brwi. Bardzo nie lubi, gdy przypomina się dwuletni okres współpracy sowieckoniemieckiej. Nie w dzisiejszej sytuacji. Jednak tylko Bieriezuchin zwraca uwagę na grymas Gospodarza.

– Mówcie, Piotrze Nikołajewiczu.

– Tych Polaków było pięciuset. Mieli szesnaście czołgów.

Zapada pełna niedowierzania cisza. W końcu obaj wysocy oficerowie jak jeden mąż parskają śmiechem. Ma poczucie humoru młodziak. Aż sam towarzysz Stalin szczerzy zęby pod wąsem.

– To nie jest możliwe, towarzyszu generale – oznajmia Timoszenko. Rzędy orderów lśnią w świetle lamp. Niemal oślepiają.

– Armata czołgowa kaliber sto dwadzieścia pięć milimetrów. Zasięg celnego ognia dwa kilometry. Pancierz dwieście milimetrów, a na nim jeszcze dodatkowa powłoka niwelująca siłę wybuchu pocisku przeciwpancernego. Systemy celowania pozwalające na skuteczną walkę w nocy. Łączność na niemożliwych do wykrycia częstotliwościach. Nie da się jej podsłuchać. Oprócz tego w oddziale znajdowała się artyleria rakietowa. Cztery haubice o kalibrze sto pięćdziesiąt pięć milimetrów i zasięgu czterdziestu kilometrów. Cztery maszyny latające zwane śmigłowcami. Każda miała siłę ognia kompanii ciężkich czołgów. – Bieriezuchin mówi z pamięci, ale sprawia wrażenie, jakby czytał. Miarowe, niskim głosem wypowiedane słowa mają niezwykłą moc. W gabinecie niemal słyszać spadający z papierosa popiół.

– Co... – Żuków zaczyna się pocić.

Opowieść Bieriezuchina brzmi jak bajka. A może jest testem? Gospodarz sprawdza jego i Timoszenkę? Może od zaliczenia testu zależy ich życie? Żuków po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie wie, co powiedzieć. Nie wie, jakie zająć stanowisko.

– Co to ma znaczyć? – duka w końcu.

Gospodarz nie zdradza najmniejszym gestem, co myśli o niewiedzy swoich najważniejszych dowódców.

– Towarzysz generał opowiedział wam w skrócie o możliwościach tego polskiego batalionu.

Takiego wojska nie ma żadna armia nie tylko w Europie, ale i na świecie. Nic dziwnego, że w ciągu trzech dni niemiecki front środkowy się załamał.

– Ale przecież...

Stalin macha ręką. Wygląda na rozbawionego. Teraz. Gdy po raz pierwszy usłyszał o tej niezwyklej historii, reagował jak oni. Gorzej nawet. Pierwszą reakcją był gniew. Nie zwykł, by z niego żartowano.

Żuków i Timoszenko dochodzą do wniosku, że nie pora na protesty.

– Mówicie, towarzyszu Bieriezuchin.

– Tak jest, towarzyszu przewodniczący. Otóż sprawa wyposażenia technicznego i wynikającej stąd przewagi, zupełnie odmiennego wyszkolenia, taktyki walki, sposobów rozpoznania, łączności, przemieszczania się, błyskawicznego przechodzenia z obrony do ataku stanie się jasna, gdy wyjaśnię, że Niemcy mieli do czynienia z oddziałem wojskowym przybyłym z przyszłości. Konkretnie, z roku 2007. Operację tę umożliwiło urządzenie zwane Mobilnym Systemem Obrony, z angielska MDS. Jest to technologia zapewniająca żołnierzom stuprocentową osłonę przed jakimkolwiek zagrożeniem na polu walki, a oprócz tego umożliwiającą skoki w czasie. Z nie do końca jasnych dla nas powodów goście z przyszłości pojawili się dwa lata temu w Polsce, po czym włączyli się do walk. Mamy informacje, że choć Polska przegrała wojnę, większa część tych żołnierzy walczy nadal. A to, co nas najbardziej interesuje, urządzenie do przenoszenia się w czasie, choć uszkodzone, nadal znajduje się na terenie Polski. Prowadzimy działania, by wpaść na jego trop i przechwycić je, po czym wykorzystać do własnych celów.

– To jest właśnie sedno operacji „Jutrzenka” – mówi Stalin, nim któryś z dwójki zdumionych wysokich rangą oficerów jest w stanie wykrztusić choć słowo. – Musimy trzymać się na tyle długo, by zdążyć przechwycić urządzenie, o którym mówi towarzyszu generał. Gdy to się stanie, jakiegokolwiek straty przestaną mieć znaczenie. Dlatego będziemy prowadzić obronę choćby na Syberii. A urządzenia szukać tak długo, aż je znajdziemy. Czas i przestrzeń nie mają żadnego znaczenia. Rozumiecie?

Timoszenko i Żuków podnoszą się, po czym stają na baczność. Słowa wypowiedziane przez Gospodarza brzmią nadal w ich głowach.

„Jutrzenka”. Nadzieja.

Zwycięstwo.

– I jeszcze jedno. – Stalin ścisza głos i nachyla się nieco ku trójce słuchaczy. – Operację obejmuje najwyższy stopień tajności. Nikt poza tym pokojem nie ma prawa znać całości obrazu. Wy, towarzyszu Bieriezuchin, odpowiadacie za to głową. „Jutrzenka” ma zakończyć się sukcesem, nawet jeżeli nam nie będzie dane tego dożyć.

ROZDZIAŁ IV

Droga

1

29 sierpnia 1944, San Antonio

Emiter pola siłowego. Główny komponent systemu obrony o nazwie Mobile Defence System. W skrócie MDS.

Kilka dni przed odlotem w nasze czasy stanęliśmy przed zagadnieniem, co zrobić z emiterem po powrocie do własnej epoki.

Zdania były podzielone.

– Powinniśmy go zatrzymać – powiedział Kurcewicz.

Nie sprawiał wrażenia specjalnie podnieconego powrotem. Gdy okazało się kilka dni temu, że jest on możliwy, ucieszył się, jednak ten nastrój szybko mu przeszedł. Znając go tyle lat i mając możliwość obserwowania na co dzień, miałem wrażenie, że jako jedyny z grupy przybyłych z przyszłości rozbitków zaczynał naprawdę przyzwyczajać się do nowej rzeczywistości i dobrze się w niej czuć.

– Po co? – zapytałem.

– Na wszelki wypadek. – Wzruszył ramionami.

– Polisa ubezpieczeniowa – poparł go Wieteska i zadzwonił lodem w szklance.

Stało się już swego rodzaju tradycją, że każdego dnia wieczorem zasiadamy na tarasie mego domu, pijemy whisky i omawiamy plany działań na następny dzień. A także, a może przede wszystkim, snujemy wizje rozkosznego życia po powrocie.

– Czegoś nie wiem? – zapytałem. Po całodziennej orce na pustyni, w miejscu, które upatrzyliśmy sobie jako punkt startowy do nowej rzeczywistości, bolały mnie plecy. Starąłem się znaleźć jak najwygodniejszą pozycję w fotelu.

– Jureczku, coś ty taki niedomyślny?

– Chodzi o Trávisa?

– O Jezú. – Wieteska wznósł oczy i złożył dłonie jak do modlitwy. –Panie, daj mi siłę, a jemu rozum, bo nie wie, co czyni...

– No, no.

– Jakiego Trávisa? Travis zostaje, comprende?

– No więc?

– No więc raczej nie będzie miał możliwości nam dokuczać, chyba że planujesz potajemnie zabrać go ze sobą.

– Myślałem o tym. I doszedłem do wniosku, że jednak nie.

– No, wracasz do formy. – Johnny się uśmiechnął. Kurcewicz i Galaś wręcz cichutko rechotali. –

Więc nie myślę o Travisie.

– Ja też nie. Tak mi się powiedziało. Myślisz raczej o ludziach, którzy w 2007 byli odpowiedzialni za ochronę MDS-u, a którym nasze zniknięcie spłatało najbardziej gównianego figla w życiu.

– Tak, właśnie o nich myślę – wtrącił Kurcewicz.

Wieteska nawet nie spojrzał w jego stronę.

– To ja o nich myślę – powiedział z naciskiem. – Mają chłopaki poważny problem. I teraz wyobraźmy sobie sytuację, że wpadają na nasz ślad.

– Jak? – zapytałem.

– Nie wiem jak. Powiedzmy, że mają jakiś sposób. Pojawiamy się na powierzchni. Jak myślisz, co zrobią?

– Aresztują nas i oskarżają o... – Zastanowiłem się.

– O przywłaszczenie mienia o dużej wartości, szpiegostwo, pedofilię i zabójstwo kilku staruszek. Nieważne, o co oskarżają. Nie mamy żadnych dowodów, że to Dreszer nas wpakował w całą tę hecę. Więc się nie wywinie.

– Chyba że będziemy mogli dać coś w zamian.

– A oni będą mogli odstąpić od postawienia zarzutów. Brawo, Jureczku. Wyrabiasz się.

Argument był na tyle ważki, że wszyscy zamyślili się głęboko.

– A więc? – zapytałem po jakimś czasie.

– Ja bym go zatrzymał – powiedział Galaś. – Weźmy go ze sobą do Polski, ukryjmy i czekajmy, co się wydarzy. Może nam się do niczego nie przyda. A w razie czego przehandlujemy go za święty spokój. Nikt nie był w stanie wyrazić tego lepiej.

2

26 września 2012, Warszawa

Wieteska spojrzał na mnie bystro. Nadal miał ponury wyraz twarzy, a oczy podejrzenie zaczerwienione, ale widać było, że intensywnie się nad czymś zastanawia.

– Mamy podsłuch?

– Sprawdziałem dość dokładnie i nic nie znalazłem, ale nie znam się na tym i nie mam sprzętu.

Mogłem coś przeoczyć.

– Ciekawe. Ja bym na ich miejscu zamontował monitoring, tak dla pewności, że będziemy stosować się do poleceń.

– Może założyli, że będziemy szukać i znajdziemy. I na przykład wpadniemy na pomysł, żeby użyć podsłuchu do dezinformacji.

– Aż takie mają o nas dobre zdanie? Na razie postępujemy jak frajerzy

– Jesteśmy frajerami. Umiemy walczyć, ale nie nadajemy się do jakichkolwiek rozgrywek.

– Przyszło ci do głowy pytanie, skąd o nas wiedzieli? Skąd wiedzieli, gdzie szukać Rozalki i chłopaków?

– Myślałem o tym. Dziwne.

– Jeżeli nas śledzili w Stanach, to powinni nas szukać w Hayacie. Na Sheratona zdecydowaliśmy się w samochodzie. A mówiłeś, że samochód jest czysty. Czyli nie mogli go namierzyć.

– Raczej nie. – Nie byłem pewien, czy wystarczająco panuję nad mięśniami twarzy. Wieteska obserwował mnie uważnie. – Mogli nas śledzić.

– Od lotniska? Jeżeli mieli na lotnisku ogon, na przykład tego chudzielca w marynarce, to raczej tam został. Nie zdążył dać znać, że zwialiśmy. Jak mogli na nas wpaść?

– Naprawdę nie wiem.

– Dobrze. Jacy Ruscy? Jakich Ruskich miał na myśli twój przyjaciel kapral?

– Nie wiem.

– Żadnych skojarzeń?

– Dalekie i niekonkretne. Może mi się coś złoży, jak będę wiedział więcej.

Johny cmoknął z niesmakiem. Wyrażając dezaprobatę nie tyle dla stanu naszej wiedzy, ile raczej dla faktu, że pomimo grozy sytuacji nie chcę się z nim podzielić wszystkim, co wiem. Moją dogłębną znajomość zagadnienia uważał najwyraźniej za rzecz oczywistą.

Jednak znał mnie. Wiedział, że prostą drogą niewiele uzyska. Jego plan zakładał, że powiem mu prawdę zmuszony okolicznościami. Najprawdopodobniej zastanawiał się nad wywołaniem tych okoliczności.

Westchnął i wyciągnął z kieszeni torby od laptopa rejestr transakcji, który otrzymaliśmy wczoraj od jednego z pracowników firmy kurierskiej. Musiałem mocno się skupić, by przypomnieć sobie, co to jest i czego dotyczy. Spotkanie przed budynkiem terminalu cargo zostało wypchnięte przez ważniejsze wydarzenia; tak właśnie działa ludzka pamięć.

– Ciekawostka przyrodnicza – powiedział Johny.

Rozłożył na stole pliki i otwierał usta, by rozwinąć myśl. Ubiegłem go.

– Jestem cholernie głodny – powiedziałem. – Tu podają podobno świetne śniadania.

– Nie bardzo myślę o jedzeniu – odparł.

Przewróciłem oczami. Zrozumiał.

– Ale może się skuszę. .

– No to chodź.

Włożyłem za pasek broń i zapasowe magazynki. Spojrzałem na niego znacząco. Znowu zrozumiał. Zabrałem z fotela niewielką turystyczną torbę. Zebrał wydruki transakcji, wsadził laptopa do torby.

Wyszliśmy.

– Pójdę tylko umyć ręce i zaraz cię dogonię – powiedział.

– Spotkamy się na dole.

Wieteska zniknął za drzwiami swojego apartamentu, a ja zjechałem windą do garażu.

Voyager stał nieco na uboczu. Znajdował się w martwym polu widzenia kamery. Bardzo mi ten fakt odpowiadał. Podeszedłem do samochodu, rozejrzałem się dyskretnie i zanurkowałem. Chrysler ma dość niskie zawieszenie, daleko mu w każdym razie do terenówki. Miałem niejake kłopoty, by wypełznąć pod podwozie. W końcu się udało, choć miałem wrażenie, że ubranie nie zniosło tej operacji zbyt dobrze. Na ślepo wymacałem pudełeczko, nieco mniejsze niż paczka papierosów, przyklepione dwoma silnymi magnesami do nadkola. Musiałem szarpnąć dwukrotnie, by je oderwać.

Wyczołgałem się na zewnątrz, włożyłem urządzenie do torby, po czym spróbowałem doprowadzić się do porządku. Bez specjalnego efektu. Wzruszyłem ramionami i ruszyłem w stronę wind.

Wieteska czekał na mnie w holu.

– Co tak długo?

Zignorowałem pytanie i wyszedłem na zewnątrz. Rozejrzałem się, ale niczego podejrzanego nie zauważyłem. Możliwe, że nasi prześladowcy dali sobie spokój z inwigilacją. A może robili to na tyle sprytnie, by pozostać w ukryciu. Johny stanął obok i spojrzał pytająco.

– Przejdźmy się – zaproponowałem.

– Nie jemy śniadania?

– Później.

Nie oponował. Ruszyliśmy szybkim krokiem przed siebie. Po stu metrach skręciliśmy w Wiejską. Na wysokości Sejmu przykucnąłem, by zasznurować but. Nikogo.

Piękna. Marszałkowska. Aleje Jerozolimskie. Nielichy spacer. Pogoda była paskudna, wiał silny wiatr, niebo miało stalową barwę, w każdej chwili mogło lunąć jak z cebra. Co chwila mijaliśmy patrol policji i za każdym razem robiło mi się gorąco; tkwiący za paskiem nielegalny glock wystarczyłyby aż nadto do aresztowania i postawienia poważnych zarzutów.

W końcu doszliśmy do wniosku, że nikt za nami nie idzie. Oczywiście pewności nie mieliśmy żadnej, ale w miarę naszych skromnych możliwości zrobiliśmy wszystko, co można. Wielokrotnie zmienialiśmy stronę ulicy. Rozdzielaliśmy się. Wchodziliśmy w podwórka i klatki schodowe.

Doprowadzaliśmy różnej maści sprzedawców do rozpacz, oglądając niezliczone ilości rozmaitych dóbr i niczego nie kupując.

Nikogo.

Na rogu Kruczej i Hożej podszedłem do zaparkowanego przy chodniku kremowego forda mondeo.

Zapukałem w szybę. Siedzący w środku mężczyzna opuścił ją.

– Nazywam się George Walicki – powiedziałem.

Mężczyzna wysiadł, po czym wyciągnął z teczki plik kartek. Podpisałem we wskazanych miejscach, zapłaciłem gotówką umówioną kwotę, po czym facet zniknął nam z oczu.

Wsiadłem i gestem zachęciłem Wieteskę, by zrobił to samo. Torbę wrzuciłem na tylne siedzenie.

Znowu zaczęła mnie boleć ręka.

Konkretnie: bolała mnie przez cały czas, tyle że zapomniałem o niej, pochłonięty ważniejszymi wydarzeniami.

– No dobrze. Teraz możesz mi wszystko powiedzieć. Wypożyczyłeś samochód?

– Owszem.

– Po co?

– Bo chcę odzyskać swobodę ruchów – odparłem. Ustawiłem siedzenie i lusterka, zapiąłem pas i ruszyłem.

– Podobno chrysler jest czysty. Pokręciłem głową.

– Niezupełnie. Do fabrycznego GPS-u ma podłączony moduł przekąźnikowy. Każdy nasz ruch był śledzony.

Wieteska spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– To czemu go nie usunęliście?

– Bo fakt, że chrysler nie rusza się z hotelu, być może pozwoli nam zyskać trochę czasu.

– To dlaczego przed chwilą twierdziłeś, że chrysler jest czysty?

– Nie wiedziałem, co się wydarzy.

– Nie masz do mnie zaufania?

– Musimy bardzo uważać.

Jeszcze wczoraj rano, nie zważając na moją świeżą żalobę, skomentowałby to tak, że nie sposób byłoby się nie uśmiechnąć. Teraz po prostu stwierdził:

– Zawiodłem się.

– Przykro mi.

– Wątpię.

– Nadal mi przykro.

– Ruch z samochodem sprytny. Ale łatwy do przewidzenia.

– Ryzyk-fizyk.

– Może mi powiesz, gdzie jedziemy.

– Ty mi powiedz. Mówiłeś o ciekawostce przyrodniczej.

– Więc nie masz żadnego planu?

- Mój plan polegał na zorganizowaniu bezpiecznego środka transportu.
- Wypożyczyłeś samochód, nie wiedząc, że w ogóle gdzieś mamy jechać?
- Staram się być przezorny.

Johny dumał chwilę i widać było, że zмага się ze sprzecznymi myślami. Bardzo nie podobał mu się jaskrawy dowód braku zaufania i lojalności z mojej strony. Uważał to za niesprawiedliwe i poniżające. Z drugiej strony znał mnie: miał nadzieję, że nie robię tego bez wyraźnego powodu. Westchnął, po czym wyjął z torby od laptopa plik wydruków.

– Przyjąłem, że interesują nas odbiorcy, którzy odebrali przesyłkę wielkości kontenera lub kilku kontenerów. Założyłem, że nikt nie bawiłby się w przepakowywanie zawartości ze względu na zbyt wielu potencjalnych świadków i brak czasu.

- Też bym tak przyjął.
- Więc w grę wchodzi cztery firmy. Wszystkie spoza Warszawy.
- Czym się zajmują?
- Import elektroniki, transport, komputery, sprzęt medyczny.
- To nic nie znaczy – powiedziałem.
- Przyjrzałem im się w nocy. Trochę pogrzebałem. Powinniśmy zrobić solidne zakupy.

Spojrzałem pytająco.

– Potrzebujemy szybkiego bezprzewodowego internetu. Transformatora umożliwiającego podłączenie laptopa w samochodzie. GPS-u. Lornetki noktowizyjnej. Mikrofonów kierunkowych. I paru innych drobiazgów.

- Nie ma to jak zająć się czymś konkretnym.

Nie odpowiedział. Gdy po chwili dyskretnie spojrzałem w jego stronę, po policzkach płynęły mu dwie wielkie łzy.

3

Zakupy zajęły nam dwie godziny.

Warszawa coraz bardziej przypominała dom wariatów. Pędzące we wszystkie strony policyjne samochody na sygnale, coraz liczniejsze patrole wojska i policji, frenetyczne komentarze reporterów sączące się z ekranów i głośników doskonale komponowały się z pochmurnym niebem, porywistym wiatrem i krótkotrwałymi, ale bardzo gwałtownymi deszczami. W sposób oczywisty cały ten nerwowy, chaotyczny krajobraz niemal idealnie współgrał z naszymi nastrojami.

Bilans ostatnich dwudziestu czterech godzin wypadł gorzej niż źle.

Cóż z tego, że jeszcze w Stanach, w tamtych czasach, przed wyruszeniem w podróż powrotną, niejednokrotnie nachodziły mnie obawy, że to nie może się udać. Cały plan był zbyt szalony, zbyt śmiały, zbyt mocno zwrócony przeciw naturalnemu biegowi rzeczy, by można było bez żadnych

wątpliwości wierzyć w jego powodzenie. A my wierzyliśmy. Wojtek Kurcewicz najmniej; może nie tyle najmniej wierzył, ile najmniej z nas wszystkich był zainteresowany powrotem. Ułożył sobie życie, nigdzie mu się nie spieszyło, wyglądało, że znalazł swoje miejsce na ziemi. Całkiem możliwe, że znalazł też swoją epokę.

Rozalka była z krwi i kości postacią przynależną do czasów, w których przyszło jej żyć. Nie podzielała naszej ochoty do wyjazdu, ponieważ nie miała żadnego punktu odniesienia. Przeciwnie, miałem wrażenie, że jej obawy i lęki są doznaniem podobnymi do odczuć towarzyszących odkrywcom wyruszającym ku nieznanym łądom. Poza dyskusją była jej lojalność wobec Wieteski – w tym sensie Rozalka nie miała wątpliwości, czy jechać, czy raczej namawiać męża, by został. Jechała, bo on chciał jechać. Ale bała się.

Jeżeli chodzi o mnie, doskonale ją rozumiałem. Ja też bałem się jak diabli i tych lęków nie sposób wymienić jednym tchem.

Ręka bolała mnie coraz bardziej, co gorsza, zaczynała puchnąć. Również wpasowywała się w sytuację ogólną. Zaciskałem jednak zęby i prowadziłem bez słowa. Byłem znacznie lepszym kierowcą niż Wieteska, a Wieteska był znacznie lepszym ode mnie znawcą internetu.

Johny podłączył modem z łączem internetowym, po czym uruchomił laptopa. Przez chwilę manipulował kursorem, do napędu DVD włożył płytkę instalacyjną. W końcu kiwnął z zadowoleniem głową.

– Jest – powiedział.

– Albo nasi przyjaciele założyli firmę krzak, tylko do przeprowadzenia tego interesu, albo prowadzą jakąś szerszą działalność i mają spółkę, która służy im za przykrywkę do prowadzenia rozmaitych interesów – myślałem na głos.

Wieteska manipulował przy komputerze i jednocześnie przeglądał zrobione w nocy notatki.

– Żadna z firm nie została założona niedawno. Najmłodsza ma cztery lata – powiedział po dłuższej chwili.

– Okej, więc w grę wchodzi drugi wariant. Stara firma, dobrze wrośnięta w krajobraz. Lokalizacja?

– Wszystkie znajdują się poza Warszawą. Jedna tuż obok, w Magdalence. Dwie na północy, czwarta w Szczecinie.

– Co to za firmy?

– Mówiłem ci...

– Pytam o wielkość.

– Dwie to duże spółki giełdowe.

– Odpada. Spółka giełdowa musi być przejrzysta. To bardzo niewygodne, jak się chce coś ukryć. Jakie są daty założenia pozostałych dwóch?

Wieteska poszperał chwilę w notatkach.

– Jedna została założona cztery lata temu. A druga...

–No?

– W '93.

Jakieś dalekie, nieuchwytne skojarzenie przemknęło mi przez głowę.

– Czym się zajmują?

– Ta młodsza, Komp–Tech, sprowadza części do komputerów. A ta starsza to firma logistyczna i handlowa jednocześnie. Handlują wszystkim, czym się da, mają własny transport. Jeżdżą wszędzie.

– Do Rosji też?

– Głównie tam.

– Co mieli odebrać z lotniska?

Wieteska ponownie zanurzył się w papierach.

– Cztery kontenery z kserokopiarkami.

– Idealna przykrywka.

Johny oderwał się od studiowania dokumentów i spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Od czegoś musimy zacząć – bąknąłem.

– Zaczniemy jednak od Komp–Techu.

–Bo?

– Ściągają części komputerowe ze Stanów Zjednoczonych.

Nadstawiłem ucha.

– Ciekawe.

– Ja myślę. Są trzecim importerem w Polsce. Połowa składaków w kraju jedzie na ich podzespołach. W Stanach mają nawet przedstawicielstwo handlowe.

– Czyli, teoretycznie, mają bazę do zorganizowania akcji przeciwko nam.

– Drugi argument: zajmują się elektroniką, znają się na tym.

– Co importowali tym razem?

– Dwa kontenery procesorów, pamięci i napędów.

– Czyli mieli w liście przewozowym dokładnie to samo co my.

– Trzeci argument: chłopaki sami też produkują komputery. I tu jest czwarty argument, najlepszy: niemal połowa produkcji idzie na eksport. Zgadnij gdzie.

– Rosja?

– Brawo. Jeżeli pójdziemy tropem tego, co mamrał Galaś pod nosem, mamy naszych chłopców.

– Nie sądzisz, że to trochę za proste?

– Masz inny pomysł?

– Pytam tylko. Cwaniaczki, które nam wycinają te numery, nie są głupie. Zidentyfikowali, co jest w kontenerze. Zidentyfikowali nas, chociaż mamy nowe tożsamości i nowe dokumenty. Zorganizowali kradzież kontenera, co wydaje mi się wcale nie takie proste. Posunęli się do zabójstwa i porwania, czyli poważnych przestępstw, o trochę większym kalibrze niż zwykła kradzież przesyłki z lotniska. A my jedziemy do nich jak po sznurku.

– Kochany, całe nasze dochodzenie może nie być funta kłaków warte. Założyliśmy, że chłopaki gwizdnęli nam kontener na pasóweczkę, podkładając odpowiednie dokumenty. A co jeżeli go po prostu ukradli jeszcze tej samej nocy? Przekupili strażnika, podjechali ciężarówką i fiuuuuuu. Możemy ich sobie szukać do woli. I porywaczy też.

– Nie – pokręciłem głową.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ ślad po kontenerze zniknął z systemu informatycznego przewoźnika. Czyli akcja musiała być zaprojektowana, że tak powiem, bardziej w głąb. Mieli Biedrzyckiego, który usunął nasz numer przesyłki, w zamian za to nadał kontenerowi inny numer. Komp–Tech fizycznie sprowadził jeden kontener, ale w liście przewozowym i w systemie figurowały dwa. Więc odebrał z lotniska dwa.

Wszystko się zgadza.

– Więc zwykła kradzież odpada – z ulgą skonstatował kapitan.

Podzielałem jego uczucia. Jeżeli rzeczywiście uchwyciliśmy trop, istniała nadzieja, że zobaczymy jeszcze naszych bliskich. I pał diabli emiter.

– Akcja była zaplanowana z rozmachem. Mnie co innego interesuje.

– No?

– Po co to cholerne porwanie. I po co im Galaś.

–Nie...

– Nie zwiął, nie zwiął. Uwierz mi. To facet, który dałby się pokroić w imię pewnych wartości. – Szkoda, że mówiąc to, nie mogłem mieć na myśli pozostałych członków naszej mikrospołeczności. – Został zmuszony do współpracy.

– Też o tym myślałem. I powiem ci coś pocieszającego. Chcesz?

– Bardzo.

– Nie po to porwali dzieciaki i Rozalkę, by mieć na nas trzymanie. Gdybyśmy naprawdę byli dla nich niebezpieczni, nic prostszego, jak po prostu nas zlikwidować. Bomba w samochodzie, paru cyngli z pistoletami z tłumikami w hotelu, te rzeczy. Sprawa czysta i jasna. Mają emiter i nikogo, kto chciałby się o niego upomnieć.

– Więc?

– Ten nasz system to nie żaden MDS. To sznurkiem wiązana improwizacja, która wedle praw bożych i fizycznych nie ma prawa działać. Wszystko poskładane z różnych komputerów. Więc myślę tak: oni natychmiast po przejęciu kontenera chcieli sprawdzić, czy nie przejęli kota w worku. Czy akcja, w którą włożyli tyle wysiłku i środków, przyniosła im spodziewane rezultaty. Więc otworzyli kontener i próbowali odpalić emiter. I co się okazało? Działa, tyle że nie za bardzo. Czy mnie pamięć myli, czy kazałeś Galasiowi pozabezpieczać system piętrowymi hasłami? A główny moduł transmitujący dane leciał sobie w walizce Galasia?

– Nie myli cię.

– Otóż to. Więc masz motyw porwania. Chcieli mieć trzymanie na Galasia. Nie na nas. Na niego. Znajdziemy emiter, znajdziemy i dzieciaki.

Był to moment, w którym, gdybym nie zdradził się z wątpliwościami, zostałyby to z pewnością uznane za podejrzone.

– Logiczne. Jest tylko jeden niuans.

– Dobrze, że jeden.

– Jeżeli wszystko, co mówisz, jest prawdą, nasi przyjaciele muszą doskonale orientować się w rozkładzie sił wewnątrz naszej grupy. Wiedzą, co kto robi, za co odpowiada i na czym komu zależy.

Muszą mieć kogoś w środku.

– Mnie to nie dotyczy – odparł Wieteska z niesmakiem. – Porwano mi żonę i syna.

– Mnie też porwano kogoś bliskiego.

– Więc zostaje Wojtek i Galaś. – Na ostatnim nazwisku Johny zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał. – Galaś. Może wcale nie musi z nimi współpracować. Może chce.

– Galaś nie pasuje, mówiłem ci.

– A Wojtek pasuje? – zaprzeczył się Wieteska. – To wszystko do dupy.

– Zgadza się.

Obaj zamyślili się głęboko.

– Gdzie ten Komp-Tech?

Wieteska spojrzał na ekran laptopa.

– Kawalek za Toruniem. Właściwie na przedmieściu.

– Jedziemy.

Skierowałem się w stronę wylotówki na Gdańsk. Ruch nie skłaniał do szybkiej jazdy, pomimo to mocno przyciskałem pedał gazu. Jakaś gorączka zmuszała mnie do lekceważenia przepisów, choć, szczerze mówiąc, nie było to zbyt rozsądne: ostatnie, czego mogliśmy sobie życzyć, to upierdliwa kontrola policji i roztrząsanie naszych przewinień wobec kodeksu drogowego.

– Jak to rozegramy?

– Pojęcia nie mam. Nie możemy się tam za bardzo kręcić, bo ktoś nas zauważy.

– Możemy wynająć agencję detektywistyczną i zlecić jej dokładne przeświadczenie.

– To nawet może i pomysł, tyle że potrwa.

– Więc?

– Zakładam, że firma tej wielkości ma jakąś ochronę.

– Na pewno.

– Poczekamy, aż się ściemni.

Nie tylko było zimno, ale również padał deszcz. Może niezbyt intensywny, kapuśniaczek raczej, ale w połączeniu z podmuchami wiatru i naszym ogólnym samopoczuciem powodował, że drżeliśmy. Miałem nieodparte wrażenie, że coraz mniej nadawaliśmy się do przeprowadzenia jakichkolwiek energicznych działań.

W interesującym nas obiekcie, zlokalizowanym na terenie czegoś w rodzaju parku technologicznego, sporym kompleksie budynków biurowych i magazynowych, gdzie siedziby miały firmy przeważnie z branży high-tech, dopiero po dziesiątej wieczorem uspokoiło się na dobre. Wcześniej wiele okien jaśniało pracowitym blaskiem, na parkingu stały samochody, podjechała i odjechała nawet jakaś ciężarówka.

Piętnaście po dziesiątej w budynku zgasło ostatnie światło. Ktoś, być może szef, pożegnał się z ochroniarzem, wszedł do kosztownego samochodu i odjechał z piskiem opon. Ochroniarz rozejrzał się leniwie, zapalił papierosa. Gdy skończył, przeciągnął się, rozejrzał się jeszcze raz, po czym zniknął w środku, uprzednio zamknąwszy przeszklone drzwi na klucz.

Usłyszałem szelest po prawej stronie. Wieteski niemal nie było widać na tle ciemnych krzaków.

– Od tyłu wejście i brama do magazynu. Zamknięta. Dwie kamery.

– Od przodu trzecia kamera. Widzi całe podejście.

– Super. Mamy szansę jak ja w ringu z Tysonem.

– Może nie jest tak źle. Chodź.

Podniosłem się z klęczek i zacząłem się przedzierać przez zarośla. Po chwili wyszedłem na chodnik biegnący pomiędzy budynkiem Komp-Techu a sąsiednim, nieco wyższym i bardziej rozłożystym. Teren był oświetlony kilkoma latarniami, ale kompletnie wyludniony.

Za budynkiem skręciłem w lewo. Przyklejony do ściany dotarłem do miejsca, w którym zamontowana była kamera. Miałem nadzieję, że pozostajemy poza jej polem widzenia. Wyciągnąłem z kieszeni wielofunkcyjny szwajcarski scyzoryk.

– Podsadzę cię – powiedziałem. – Przetnij kabel zasilający.

– Na pewno mają alarm przeciwsabotażowy.

– Mam nadzieję.

– Jedziemy na ostro, co?

– Masz inny sposób?

Johny nie dyskutował więcej. Wziął scyzoryk. Kucnąłem. Usiadł mi na ramionach. Wyprostowałem się. Po chwili Johny klepnął mnie w głowę.

– Już.

Pomogłem mu zsiść, szybkim ruchem włożyłem kominiarkę, po czym wyciągnąłem glocka.

– Ja przypilnuję tylnych drzwi. Ty leć na róg. Zgarniesz ochroniarza, gdyby siedł od frontu.

Bez słowa pobiegł w stronę narożnika budynku, także zakrywając twarz kominiarką i wyciągając broń. Staliśmy się kimś na kształt zwykłych bandytów.

Szybko okazało się, że to mnie przypadnie w udziale główna rola w pierwszej fazie operacji. Niespełna dwie minuty po sabotażu dokonanym na kamerze usłyszałem chrobot zasuw i skrzypnięcie drzwi. Rozpląsałem się na ścianie, szybko zerknąłem w bok i stwierdziłem, że w zasięgu wzroku brak świadków gotowych wszczać alarm. Podniosłem dłoń z pistoletem. Czarno odziana postać pojawiła się w polu widzenia, nie dalej jak dwa kroki ode mnie.

– Cisza – powiedziałem zduszonym głosem. – Żadnych głupstw. Cofnij się.

Facet zbaraniał. Sprawiał wrażenie twardziela – czaszka pokryta zaledwie centymetrową szczecina, mocna szczeka, czujne oczy, muskularna sylwetka – ale chyba zdał sobie sprawę, że nie jest to właściwy moment na protesty czy stawianie oporu. Zawahał się przez chwilę, ale wykonał polecenie.

– Mam go – rzuciłem przez ramię.

Po chwili usłyszałem tupot szybkich kroków. Było nas już dwóch na jednego.

– Do środka – rozkazałem ochroniarzowi.

Zawahał się. Podniosłem nieco lufę do góry. Tyłem przeszedł przez drzwi. Miałem pewność, że nie zamierza być dalej taki potulny; w końcu coś wykombinuje.

Usłyszałem, jak Wieteska zamyka drzwi od wewnątrz.

Znaleźliśmy się w obszernym, kiepsko oświetlonym pomieszczeniu, sprawiającym wrażenie graciarni. W zasięgu wzroku nie było żadnego kontenera.

– Ilu was jest? – zapytałem cicho.

Odpowiedzią było milczenie. Trzasnąłem kurkiem. Facet nadal milczał; możliwe, że miał coś do ukrycia. To mogło oznaczać, że dobrze trafiliśmy.

Nim wymyśliłem, co dalej, Wieteska zaszedł ochroniarza od tyłu i rąbnął lufą w nerki. Tamten jęknął i opadł na kolana.

– Nie słyszałeś pytania? – zapytał Johnny uprzejmie.

– Trzech – wydukał tamten, krzywiąc się.

– Z tobą czy oprócz ciebie?

– Jeszcze dwóch.

– Obyś się nie mylił. Gdzie są?

– Siedzą w kanciapie.

– Gdzie kanciapa?

– Od frontu. Bliżej wejścia.

– Dobra. Ręce do tyłu. I nie kombinuj.

Mężczyzna z oporami wykonał polecenie, zachęcony ponownym dźgnięciem w plecy. Wieteska związał mu ręce taśmą oraz zakleił usta, po czym szybko obszukał. Jeniec był uzbrojony w pistolet, tonfę oraz wyposażony w krótkofalówkę. Johnny spojrzał na mnie znacząco. Zwykły ochroniarz zwykłej firmy komputerowej nawet nie śni o takim ekwipunku.

– Pokażesz, gdzie, co i jak. Będiesz grzeczny, będzie okej.

Wieteska zachęcił faceta gestem. Ruszyliśmy. Drzwi. Krótki korytarz z pokojami biurowymi. Następne drzwi. Niewielki pokój. Kolejny korytarz.

Ochroniarz wskazał brodą przed siebie.

Ani ukształtowanie pomieszczeń, ani goniący nas czas nie sprzyjały namysłom i opracowaniu wyrafinowanych planów taktycznych ataku na pomieszczenie ochrony. Postąpiłem kilka kroków do przodu i zostawiając jeńca pod opieką Wieteski, z rozmachem otworzyłem drzwi, licząc, że trafię choć jednego ze strażników.

Pomyliłem się, ale i tak moje entrée zrobiło duże wrażenie.

Jeden, krótko ostrzyżony i wysoki, właśnie schylał się, by nalać do kubka wrzątku z elektrycznego czajnika. Gdy drzwi bezproduktywnie trzasnęły o ścianę, drgnął. Gorąca struga wylała mu się na stopy.

Wrzasnął w udręce i było pewne, że przynajmniej przez kilka najbliższych, decydujących sekund nie będzie stanowił żadnego zagrożenia. Drugi ze strażników siedział przy stole i tasował karty. Moje wtargnięcie zaskoczyło go do tego stopnia, że nie zaprzestał tej czynności jeszcze przez dłuższą chwilę.

Żaden nie zdążył zareagować. Żaden nie był w stanie się nam przeciwstawić.

Skrępowanie ochroniarzy zajęło minutę. Przed zakneblowaniem stawiali przejściowy opór w kwestii związanej ze wskazaniem magazynu oraz objaśnieniem zabezpieczenia kontenerów. Ta niechęć wzbudziła nadzieję. Żaden z normalnych ochroniarzy nie jest aż tak zdeterminowany, by być gotowym na razy zadawane lufą pistoletu w twarz w imię ochrony zwykłego towaru klienta. Było jasne, że w magazynach znajduje się coś naprawdę ważnego, drogiego, być może nielegalnego. Strażnicy otrzymywali najprawdopodobniej sowite wynagrodzenie, a oprócz tego odpowiadali głową za powierzony towar i po prostu bali się bardziej swoich pracodawców niż nas. Stąd ich determinacja i niechęć do współpracy.

Nie uznałem tej przeszkody za nie do pokonania. Nie przeceniam swoich możliwości, byłem ranny i wyczerpany, ale sądzę, że solidna postura i determinacja, a także skłonność do używania przemocy oraz pewna wprawa w jej stosowaniu czyniły ze mnie osobnika naprawdę niebezpiecznego. Gdy przypomniałem sobie słodką buzię Johny ego i jego rozpaczliwy płacz, nie zastanawiałem się specjalnie, tylko waliłem na odlew. Obojętnie patrzyłem na krew płynącą z nosów, lecące na podłogę zęby, kolejne siniaki i rany. Mało mnie to wszystko obchodziło.

Chciałem odzyskać syna i żaden opór strażników nie byłby mi w stanie w tym przeszkodzić.

Przeszkoda została sforsowana po trzech minutach od rozpoczęcia przesłuchania.

W końcu, wyposażeni w odpowiednie informacje, upewniwszy się, że strażnicy mają zameldować się w centrali dopiero za godzinę i są na tyle solidnie unieruchomieni, by samodzielne uwolnienie się przerastało ich możliwości, poszliśmy do magazynu.

Otworzyłem kłódkę jednym z kluczy zabranych z wartowni. Wieteska szybko wstukał sześciocyfrowy kod w panel umieszczony tuż za drzwiami. Z ulgą skonstatowaliśmy, że dioda zabłysła zielonym światłem. Alarm został zdezaktywowany.

W niezbyt obszernym magazynie było pustawo, ale nawet gdyby był zagracony po sufit, nie sposób byłoby przeoczyć dwóch stojących na samym środku kontenerów. Oba były otwarte.

Podszedłem do bliższego z nich. Uchyliłem ostrożnie drzwi i zaświeciłem zabraną ochroniarzom latarką.

Przez chwilę stałem bez ruchu, nie mogąc uwierzyć w to, co mam przed oczami.

– O kurwa. – Wieteska długo wpatrywał się w zalegające podłogę kontenera przedmioty.

– Spadamy – powiedziałem przez ściśnięte gardło. – W podskokach.

5

– Czy my mamy cholerne szczęście, czy raczej zasranego pecha? – zapytał Wieteska, gdy przebyliśmy pełnym gazem kilkanaście kilometrów od feralnej siedziby Komp–Techu.

– Jedno i drugie – odparłem i postanowiłem nieco zwolnić. Nie myślałem o drogówce. Myślałem o tym, że małemu Johnyemu niepotrzebny martwy ojciec. – Jesteśmy takim nieznanym w przyrodzie przypadkiem, który jednocześnie obrywa i wygrywa. Jak coś ugra, to spieprzy zaraz potem. Albo jednocześnie.

Tak właśnie było.

Z magazynu wybiegliśmy w najwyższym pośpiechu, błogosławiąc się w duchu, że nie przyszło nam do głowy zdjąć kominiarek. Przecieliśmy plac manewrowy i parking, mineliśmy dwa budynki, przeskoczyliśmy przez płot. Po stu metrach szaleńczego biegu siedzieliśmy, ciężko dysząc, w samochodzie.

Wieteska wyjął z kieszeni zabrany jednemu z ochroniarzy telefon komórkowy. Wybrał numer, czekał przez chwilę na połączenie, po czym cichym głosem, starając się zmieniać sposób wysławiania się i artykulację, wypowiedział kilka zdań. Rozłączył się, otworzył okno i z rozmachem wyrzucił aparat.

Trzask rozbijanego o asfalt plastiku zniknął w szumie powietrza.

Przyczyny braku chęci współpracy przez ochroniarzy były już dla nas całkowicie jasne.

– Telefon na policję to dobry pomysł? Że niby dobro zwycięża? – zapytałem.

Nie miałem już dreszczy; po prostu drżałem przez cały czas. Choroba i stres czyniły zastraszające postępy. Moje osobiste Waterloo zbliżało się w szybkim tempie.

– Człowieku! – Wieteska odetchnął głęboko i ściągnął kominiarkę. Jego oczy błyszczały w ciemności. – Trafiliśmy na cholernych handlarzy narkotyków. Tam było kilkaset paczek z białym proszkiem. Miliony, kurwa. Za mniejsze sumy się w tym interesie urywa łeb.

– Niczego nie wzięliśmy.

– Ale odkryliśmy magazyn i przykrywkę. To jest sporo warte. Tacy handlarze to nie byle pętaki z ulicy. Będą nas szukać.

– Więc postanowiłeś im zwalić dach na łeb.

– O ile funkcjonariusze nie dadzą dupy, tak. Chociaż... – Zawahał się. – Może trzeba było zadzwonić do Tyszkiewicza?

Och, nie ma takiej potrzeby. Podinspektor Tyszkiewicz najprawdopodobniej bez naszych telefonów doskonale orientuje się w niektórych sprawach.

– On nie zajmuje się narkotykami – powiedziałem wymijająco.

– Tak mi się powiedziało. Co robimy dalej?

– Mam dość.

– Ja też.

– Ale tam czekają na nas.

– Więc właśnie. Mów, co dalej.

– Sprawdzamy tę drugą firmę.

– Ciekawe, w co wdepniemy tym razem.

– Tak, to jest ciekawe.

Wieteska sięgnął do tyłu po laptopa. Po chwili zimny blask ekranowego światła rozświetlił wnętrze samochodu.

Zrobiło mi się zimno. Podkręciłem ogrzewanie. Johnny udawał, że nie zwraca uwagi. Szperał w internecie, mruczał, notował coś, klnąc, gdy długopis zjeżdżał z kursu na jakimś wyboju.

– Gordek i Wspólnicy – powiedział po kwadransie. Pozbył się chrypy i drżenia rąk. Zdolność tego faceta do regeneracji była doprawdy zadziwiająca. – Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Import, eksport, transport krajowy i międzynarodowy. Jak mówiłem, w dużej mierze do Rosji.

Wygląda na to, że pan Gordek i wspólnicy to znacznie większa firma niż Komp–Tech. Kapitał zakładowy ponad milion złotych. Na stronie mają trochę zdjęć. Bardzo ładna siedziba. Chcesz zobaczyć?

– Wystarczy, jak opowiesz.

– W środku ładny wytynkowany budynek. Przed nim parking i kilka ciężarówek. A w tle jakieś magazyny. Wokół las. Piękna sprawa.

– Jakiś punkt zaczepienia?

– Ja już wolę nie mówić o punktach zaczepienia.

– No dobrze. To powiedz, gdzie jedziemy.

– Borne Sulinowo.

Jakaś klapka w mózgu z trzaskiem wskoczyła na swoje miejsce.

– Borne Sulinowo? Dawna baza wojsk sowieckich?

– Ta sama.

– A firma założona kiedy?

- On nie zajmuje się narkotykami – powiedziałem wymijająco.
- Tak mi się powiedziało. Co robimy dalej?
- Mam dość.
- Ja też.
- Ale tam czekają na nas.
- Więc właśnie. Mów, co dalej.
- Sprawdzamy tę drugą firmę.
- Ciekawe, w co wdepniemy tym razem.
- Tak, to jest ciekawe.
- W '93. Mówiłem ci. Musisz pić tran. To wspomaga pamięć.
- W tym samym, w którym nasi ukochani sojusznicy wynieśli się z Polski do wszystkich diabłów.
- No. Mały zbieg okoliczności.
- Bardzo lubię zbiegi okoliczności. Zwłaszcza małe.
- No to jedziemy.

ROZDZIAŁ V

Borne

4

27 sierpnia 1944, San Antonio

- Dlaczego akurat w 2012? – zapytał Wieteska. Był czerwony na twarzy i zły. Zmierzchało.
- Choć siedzieliśmy na tarasie mego domu, było niemal tak samo gorąco jak wewnątrz. Wieczór nie przynosił ochłody. Na początku września w Teksasie tak na ogół bywa.
- No właśnie – poparł go Kurcewicz.
- Już dawno, jeszcze na wojnie, miałem wrażenie, że obaj stworzyli coś w rodzaju koalicji. Czasami zwróconej przeciw wspólnym wrogom, niekiedy jednak przeciw mnie. Przeważnie miałem się wtedy z pyszna.
- Wy tłumaczę jeszcze raz. Dużymi literami, żeby dotarło...
- No, no – wtrącił Wieteska i nieoczekiwanie się uśmiechnął. Był nadal zły, ale często się uśmiechał, gdy czuł krew.
- ... do waszych pustych, zzartych przez narkotyki i nieustanne chędożenie mózgownic.

– Nieustanne chędożenie. Gdzie moje pióro, muszę zanotować! –Wojtek wyspecjalizował się w wypowiadaniu krótkich zdań bez żadnej intonacji, przy zawsze jednakowo ponurej minie.

– Cicho, do diabła. Chcecie wiedzieć czy nie?

– Chcemy, chcemy. Nic tak nie rozświećla mroku jak Krynica–Gro–bicki–Mądrości. – Stary tekst. Już mi się nawet śmiać nie chciało.

– Po pierwsze dlatego, że nie możemy wrócić do momentu tuż przed naszym startem.

– To już omówiliśmy. Nie możemy, bo wtedy spotkalibyśmy samych siebie i zamiast jednego byłoby nas dwóch, co oznacza, że byłoby o jednego za dużo, czego byśmy nie zniesli. Ale dlaczego nie możemy wrócić do momentu tuż po starcie?

– I co powiemy? – zapytałem retorycznie. Omawialiśmy ten temat po raz dziesiąty w ciągu ostatnich kilku dni. Celem dzisiejszej dyskusji nie było wzajemne wysłuchanie argumentów, lecz raczej podparcie wątpliej nadziei, że powrót w ogóle ma sens. – Że już jesteśmy? No dobrze, powiedzą nasi rozmówcy. Fajnie, że jesteście. A gdzie reszta batalionu? Sprzęt za miliony? Najnowsze technologie?

– O kurwa, co za bzdury. Przecież nie wracamy w to samo miejsce.

– Masz zamiar ukrywać się przez resztę życia?

– To przyszcz, kochany. W znikaniu jesteśmy niezli.

– A mnie się nie chce – oświadczyłem i po raz pierwszy miałem wrażenie, że zaczęli mnie słuchać z uwagą. – Nie chcę uciekać. Mam ochotę normalnie żyć.

– Nie będziesz uciekał. Tak nas zamelinuję, że wszystkie służby specjalne świata będą nas mogły pocałować w dupę.

– To nadal będzie ucieczka. Ciągłe oglądanie się przez ramię. Strach, że ktoś dopatrzy się luk w naszych życiorysach.

– A w Stanach... – zaczął Wieteska, ale się zatrzymał. Zdał sobie sprawę, że chciał być odrobinę zbyt szybki.

– Sam widzisz. – Usiadłem w fotelu. Pociągnąłem ze szklanki. Whisky nie smakowała tak, jak powinna. Możliwie, że za dużo piłem. – W legalizację pobytu włożyliśmy masę roboty i pieniędzy. Mielśmy wiedzę wyprzedzającą współczesnych ludzi o siedemdziesiąt lat. Byliśmy naprawdę sprytni. I co? Przypomnisz mi, jaki był efekt?

– Gdyby Nancy nie poleciała do Tralisa i wszystkiego mu nie powiedziała...

– Przestań.

Możliwe, że nieco za bardzo podniosłem głos. Wszyscy zaczęli mi się z ciekawością przyglądać.

– No dobrze. – Wieteska wiedział, że musi nieco odpuścić. Posmakował alkohol na języku. Mlasnął z zadowoleniem. – Ale spójrz na to z innej strony. Polecimy w nasze czasy. Incognito. Urządzimy się w jakimś wygodnym miejscu, gdzie jak grzecznie płacisz podatki, nikt o nic nie pyta...

–Nie.

Cisza.

– Nie wolałbyś żyć... – Wieteska spoważniał, a ja już doskonale wiedziałem, co powie.

Wiedziałem, odkąd zaczęliśmy rozmowę. Czekałem na to. – ... z Nancy? W 2012 jej nie spotkasz. A w 2007...

Zapadła cisza. Byliśmy kumplami, najbliższymi sobie ludźmi. Wiedzieliśmy, że jeden za drugiego bez wahania oddałby życie. Że naprawdę możemy na siebie liczyć. Ale pewnych tematów instynktownie nie poruszaliśmy. Aż do tego, jako się rzekło, oczekiwanego momentu.

– Zostaw. – Wojtek spoważniał, o czym świadczył ślad czułości, a może po prostu troski w jego głosie. – To nie jest...

– Jest – zaprzeczyłem. – Jest. Motywacja. Dość silna, przyznaję. Musimy sobie wyjaśnić.

– Nie musimy. – Wieteska chyba się zreflektował.

Był czempionem w brnięciu za daleko. Ale czasami umiał się wycofać; za to między innymi go lubiłem.

– Ja muszę. Moim zdaniem tak się nie da. Pomijam kwestie techniczne, bo przecież gdybym się chciał cofnąć po Nancy, spotkałbym też siebie i byłoby nas dwóch do jednej kobiety. Mniejsza z tym. Ważne jest co innego. Nie da się cofnąć czasu, jakby się nic nie stało. Wskoczyć w jej życie i krzyknąć:

„Halo, jestem, twój chłopak z przyszłości! Umarłaś mi na rękach, osobiście kopalem twój grób, ale zacznijmy nowe życie. Miejmy dzieci, nawet jedno już jest, zaliczkowo, żyjmy długo i szczęśliwie”. Tak mam powiedzieć?

– Nie musisz – powtórzył Wieteska z naciskiem.

– Tak mam żyć? – Prawie go nie słyszałem. Mój Boże, ileż to godzin myśli krążyły wokół tego samego. – Tak się nie da, rozumiecie? Nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki.

– Pięć lat temu, jak wdepnęliśmy w ten cholerny bajzel, nie chciałeś wejść do tej samej rzeki. Chciałeś ją zawrócić. Parłeś do przodu jak sowiecka lokomotywa.

– Dlaczego sowiecka? – zapytał Galaś, ale jakoś nie udało mu się rozładować atmosfery. Nikt się nawet nie uśmiechnął.

– Wtedy. Młody byłem i głupi. Wydawało mi się, że tak należało zrobić. Że tak się da zrobić. Że można to i tamto naprawić.

– Ty byłeś głupi, ale sprawa nie była taka głupia. – Wieteska potarł nos i ponownie pociągnął solidny łyk ze szklanki. Najwyraźniej jemu whisky smakowała jak dawniej. Przynajmniej to się nie zmieniło. – Walka o ten kraj, znaczy.

– Naprawdę? – zapytałem. Gdzieś w tyle głowy migotała myśl, że jestem niesprawiedliwy wobec nich i wobec siebie, że wcale nie myślę w ten sposób, ale przed oczami tkwił mi wyłącznie obraz Nancy i miałem ochotę rzucić się w przepaść. – Sądząc po tym, czego dokonaliśmy, nie była zbyt mądra.

– Wojtyński nawet za to zginął – włączył się znowu do rozmowy Galaś.

Powiedział to obojętnym tonem, ale ja, znając go dobrze, wyczułem dezaprobatę. Nie dla Wojtyńskiego. Dla mnie.

– I paru innych też – rzuciłem wściekle, bo ta rozmowa nie prowadziła do niczego. – A paru tych, którzy powinni zainkasować kulkę, do dziś świetnie się ma.

Przez chwilę w pokoju rozlegało się tylko złe sapanie. Czterech samców alfa starało się zebrać siły do walki w następnej rundzie, nie tracąc jednak z oczu podstawowego celu.

– Chcemy dla ciebie jak najlepiej – zaasekurował się Wojtek.

Miałem wrażenie, że swego czasu podkochał się w Nancy, więc możliwe, że nie był taki do końca bezinteresowny.

– Więc się dogadaliśmy. Jedziemy do 2012. Nie tak daleko od momentu startu, byśmy zgłupieli, i wystarczająco daleko, żeby nikt się nami nie interesował – powiedziałem.

Nie bardzo panowałem nad drżeniem rąk. Może, zaabsorbowani rozmową, nie zauważyli.

– W to akurat wątpię. – Galaś zmarszczył nos. Przeważnie miał wtedy rację.

– Ja też. – Wojtek wzruszył ramionami. – FBI nie jest takie głupie, na jakie wygląda. Travis nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Traktują nas lajtowo, ale to tylko zmyłka.

– Sugerujesz, że furgonetka, która stoi od trzech lat przed moim domem, nie należy do firmy hydraulicznej? – Uśmiechnąłem się. Po raz pierwszy od długiego czasu szczerze.

– Taaaa. No więc mówię, że nie odpuszczą. Może się nabrali na twój numer ze zniszczeniem zawartości, a może nie. Pewnie nie. Współpracują z nimi ludzie z obsługi MDS-u.

– Podsumowując. – Nie chciało mi się kontynuować dyskusji. Cel: jak najszybciej wracać do swoich czasów i rozpocząć nowe życie. O ile się uda. – Maskujemy się na tyle dokładnie, na ile się da, zostawiamy kilka fałszywych tropów...

– Zmieniamy tożsamość – wtrącił Wieteska.

– Upłynniamy aktywa – dodał Wojtek.

– Zamieniamy je na złoto i kamienie. – Skinąłem głową. Akurat w tej kwestii zdążyłem odrobić lekcje. – Ponadczasowe.

– W naszych czasach możemy mieć kłopot z upłynnieniem takiej ilości towaru. To może być ze trzydzieści milionów dolarów.

– A spieszy nam się gdzieś? – zapytał Wieteska. Skończył whisky i zapalił cygaro, po czym zaczął z upodobaniem okadzać nas gęstym, wonnym dymem. Rozalka siedziała obok, ale się nie odzywała.

Patrzyła na nas wielkimi niebieskimi oczyma. Podejrzanie wilgotnymi. Wyglądała na nieszczęśliwą. – Podejmuję się sprzedać towar, wyprać, wlać na legalne konta, załatwić dobre, amerykańskie paszporty. Wszystko dla was zrobię, przyjaciele.

– O ile nie będziemy cię poganiali.

– I o ile nie będziecie wściubiali gdzie nie trzeba swoich przydługich nosów.

Pieniądze, jak widać, w każdej epoce były kwestią fundamentalną. Nie miałem nic przeciw temu.

– Będziemy robinsonami – powiedziałem.

– W pewnym sensie. Mam nadzieję, że mój staruszek jeszcze żyje – mruknął Galaś.

Prosta sprawa, a dała do myślenia. Im. Ja nie bardzo miałem do kogo wracać. Czemu więc to robię?

Przeznaczenie?

– Wypijmy za to – powiedziałem.

Dwa tygodnie później wylądowaliśmy. W innej epoce, w innym miejscu. Z nową tożsamością, z nową legendą i nowymi pomysłami na życie.

A także ze skłonnością do popełniania starych błędów.

2

27 września 2012, Borne Sulinowo

Uwielbiam sosny rosnące na piasku. Wytwarzają niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju aromat. Tworzą klimat, który wpływa na mnie kojąco. Najczęściej świetnie mi się myśli wśród rosnących na piasku sosen.

Borne Sulinowo. Miejsce niesamowite.

Takie jest właśnie to miasto. Ciągący się kilometrami sosnowy las, a w środku – bloki, domy jednorodzinne i pozostałości rozmaitych militarnych instalacji. Informacja, że Borne Sulinowo stanowiło bazę wojsk sowieckich, jest prawdziwa, ale niekompletna. Trzeba dodać, że przed wojną i podczas niej miejsce to znajdowało się we władaniu Wehrmachtu. Obejmowało gigantyczny teren, na którym zmieścił się poligon, magazyny, nawet polowe lotnisko. Było jednym z miejsc, gdzie niemiecka armia wykuwała podstawy swej chwały.

Świtało.

Jesienny dzień z trudem przebijał się przez nisko leżące chmury. Odkąd wyjechaliśmy z Warszawy, wiatr nawet nieco się wzmógł. Drzewa bujały się na boki, środkiem pustej ulicy mknęły śmieci. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

Tym razem prowadził Wieteska.

Ja siedziałem obok, ubrany w ciepłą kurtkę i owinięty kocem. Miałem silne dreszcze, wysoką gorączkę i zawroty głowy. Godzinę temu zatrzymaliśmy się przed nocną apteką w niedalekim miasteczku, gdzie Wieteska zakupił pokaźną ilość bandaży, plastrów, leków przeciwbólowych oraz, po odbyciu z farmaceutą krótkiej dyskusji zakończonej przekazaniem do prywatnej kieszeni pewnej kwoty pieniędzy, opakowanie silnych antybiotyków. Gdy odwinąłem ranę, musiałem stoczyć małą

walkę z moim towarzyszem, który uparł się, by natychmiast wieźć mnie do lekarza. Nawet nie o to chodziło, że musiałbym wtedy odpowiadać na pytania, na które wcale nie miałem ochoty odpowiadać.

Decydujący był czynnik czasu: miałem świadomość, że noc się kończy, że w dzień będziemy w tak specyficznym miejscu widoczni jak mucha na białej ścianie, że musimy szybko znaleźć jakąś bazę wypadową, gdzie można schować samochód.

Jedno było pewne: musieliśmy jak najmniej rzucać się w oczy. Ponieważ mondeo nie jest specjalnie luksusowym samochodem, miałem nadzieję, że nikt nie zwróci na nie uwagi. Ta kalkulacja okazała się trafna: podczas szybkiej przejażdżki ulicami miasteczka, choć przeważała mocno leciwa taniocha, spotkaliśmy też parę samochodów lepszej klasy. Mogliśmy od biedy ująć w tłoku.

Zanim zmieniliśmy się przy kierownicy, Wieteska siedział z nosem w laptopie i wyszukiwał informacje potrzebne do skonstruowania rozmaitych rozważanych przez nas hipotez. Żadna z nich nie nadawała się, szczerze mówiąc, do niczego.

Przejechaliśmy koło siedziby firmy Gordek i Wspólnicy. Jej lokalizacja nie była specjalnie eksponowana; umieszczona nieco z boku, przy jednej z bocznych uliczek, mało rzucała się w oczy. Niewielki piętrowy budynek, o jasnej, pastelowej barwie. Starannie utrzymany trawnik. Za budynkiem obszerny, widoczny nawet z ulicy dziedziniec. Kilka samochodów ciężarowych różnej wielkości.

Gdybym miał wybrać przykrywkę dla prowadzenia nielegalnych interesów, umieściłbym ją właśnie w takim miejscu. Było idealne.

Przejechaliśmy, nawet nie zwalniając. Było pewne, że na budynku zainstalowane są kamery obserwujące wejście, być może nawet fragment ulicy. Nie chcieliśmy na siebie zwracać uwagi zbytnim wścibstwem.

– Normalna firma – powiedziałem.

Ręką szarpnął ból. Miałem wrażenie, że niesforna kończyzna zajęła się żywym ogniem. Wieteska pociągnął nosem.

– Coś śmierdzi – powiedział.

– Może na zewnątrz.

– Wątpię. Coś śmierdzi od dłuższego czasu. Coś mi się zdaje, że to twoja ręka.

– Zdaje ci się.

– Nie sądzę. Jak zmienialiśmy opatrunek, właśnie tak śmierdziało.

– Skup się. Co znalazłeś?

– Musimy jechać do lekarza. Taka rana to poważna sprawa. Możliwe, że masz zakażenie.

– Nieistotne – odparłem. Miałem coraz mniej sił i coraz mniej czasu. – Jak pojedę do lekarza, wyląduję w szpitalu. A w szpitalu się nigdy nikomu nie spieszy.

Wiedział, że mam rację. Z jednej strony mojemu synowi potrzebny był zdrowy ojciec. Z drugiej – i Wieteska, i ja mieliśmy stuprocentową pewność, że nie możemy tracić ani chwili. Że musimy odnaleźć naszych bliskich jak najszybciej.

– To – westchnął, po czym wskazał brodą budynek, który został już dobre sto metrów za nami – jest główna siedziba. Mają jeszcze wynajęty budynek. Niedaleko. Jeden z wielkich niemieckich magazynów.

– Ciekawe – powiedziałem. Gdy byłem w Bornem Sulinowie kilka lat temu, zwiedziłem część tych gigantycznych wielopiętrowych budowli. Zrobiły na mnie duże wrażenie. – Jedźmy stąd.

– Dokąd?

– Nie wiem, jak się nazywa ulica. Pokażę ci.

– A czego szukamy?

– Faceta, którego kiedyś znałem.

Spojrzał na mnie z wyrzutem, ale nie doczekał się wyjaśnień. Skręcił w prawo. Borne Sulinowo to niewielkie miasteczko. Po chwili dojechaliśmy na miejsce. Wieteska zaparkował przed czteropiętrowym blokiem.

– Byłem tu kiedyś – powiedziałem.

– Tu? – rozejrzał się. – Pod tym blokiem?

– W 2004 zaprosił mnie jeden mój znajomy. Był maniakiem strzelectwa i co roku organizował zawody. Zebrało się niezłe towarzystwo: burmistrz, aptekarz, nauczyciel, paru biznesmenów...

– Elita.

– Żebyś wiedział. Zawody jak zawody. Trochę postrzelaliśmy. Potem była niezła popijawa. Dosiadł się do mnie nauczyciel z miejscowej szkoły. Facet okazał się nawiedzony. Jego pasją była historia miasta. Wiedział o tym miejscu wszystko. Opowiedział mi ciekawą rzecz.

– Kto nam zakosił emiter?

– Opowiedział mi o podziemiach.

– Podziemiach?

– Tutaj – wskazałem ręką dookoła – jest całe podziemne miasto. Podobno.

– Mówisz zagadkami.

– Nikt go nie odkrył, ale jest.

– Będziemy gadać z facetem, który coś wie o podziemiach, których nie ma. Pięknie. Możesz mi wytłumaczyć, co one mają wspólnego z naszymi sprawami?

– Może nic. A może wszystko.

– Musimy dobrać się do dupy panu Gordkowi i kolegom. To wiem na pewno. Gadanie z facetem, z którym kiedyś piłem wódkę, uważam za stratę czasu.

– Posłuchaj. – Miał rację. Nie dysponowałem żadnymi dowodami. Po prostu zestawilem pewne fakty w logiczny ciąg. Najprawdopodobniej można je było zestawić na kilka innych sposobów. – Wiem, jak to wygląda. Same domysły. Poruszamy się po omacku. Ale Staszek Kolberg jest człowiekiem, który wie o tym mieście wszystko. Zna ludzi, zna układy, ma różne nieoficjalne informacje. Z pewnością słyszał o Gordku i Wspólnikach. Pomoże nam.

– Dlaczego ma nam pomagać? To nauczyciel.

– Bo... – zawahałem się – jest uczciwy. Pogadajmy z nim.

– Wiesz co, Jureczku? Mam propozycję. I tak jest trochę za wcześnie na wizyty. Wątpię, żeby o szóstej rano był specjalnie rozmowny. Pojedźmy gdzieś na śniadanie, potem do lekarza, żeby coś zrobił z tym zapaszkim. I w międzyczasie wszystko mi opowiesz.

– Nie – pokręciłem głową – czuję, że powinniśmy się pośpieszyć.

– Ja czuję, że nie mamy żadnego planu. Nie wiemy, jak się zabrać do rzeczy.

– Nigdy nie będziemy wiedzieć, jeśli tego nie zrobimy.

Wysiadłem. Mnąc w zębach przekleństwo, Wieteska wysiadł także. Mieszkanie, którego szukałem, znajdowało się parterze. Pamiętałem to dobrze, choć, mówiąc między nami, nie powinienem. Popijawa po zawodach strzeleckich skończyła się o trzeciej nad ranem, a potem mój interesujący rozmówca, zadziwiająco dobrze trzymający się na nogach, pomimo wątlej postury i wyglądu wskazującego na wszystko, tylko nie na mocną głowę, zaprosił mnie do domu, by „dokończyć kilka wątków z naszej ciekawej rozmowy”, jak to ujął. No więc poszedłem i wypiliśmy jeszcze całkiem niezgorszy trójniaczek. Gdy wśród pijackich pocałunków kończyliśmy imprezę, dzieci właśnie szły do szkoły. Podejrzewam, że mój rozmówca musiał tego dnia wziąć wolne. Nie sądzę, by był w stanie kogokolwiek czegokolwiek nauczyć.

Potem korespondowałem z nim obficie, czując, że nigdy nie uda nam się wyczerpać tematów, które nas obu interesowały. Ostatni raz rozmawialiśmy przez telefon dwa tygodnie przed rozpoczęciem mojej podróży w przeszłość. Pięć lat temu.

Mimo że byłem tu tylko raz, trafiłem jak po sznurku. Po prostu wszedłem na klatkę schodową, skręciłem w prawo i naciśnąłem dzwonek przy drzwiach.

– Nie żyje? – Pokręciłem głową, chyba po raz trzeci. – Staszek nie żyje? Został zamordowany?

– Pół roku temu. – Siedząca naprzeciwko mnie kobieta była blada i wyglądała na pięćdziesiąt lat.

Skądinąd wiedziałem, że sporo jej brakowało do czterdziestki. Miała na imię Maria i była wdową po Stanisławie Kolbergu. Poznałem ją podczas nocnej popijawy. Siedziała z nami przez pewien czas, z rozbawieniem przysłuchując się naszej coraz bardziej chaotycznej i nieporadnej wymianie zdań. W końcu życzyła dobrej nocy i zniknęła w jednym z pokoi.

Byłem dla niej mniej niż przelotną znajomością.

Mimo to zostaliśmy wpuszczeni. Czekaliśmy przed drzwiami może kilka sekund, gdy rozległo się ciche: „Kto tam?”. Usłyszeliśmy trzask i drzwi się otworzyły. Gdy zapytałem o Staszka, kobieta wybuchnęła płaczem i przez dobrych kilka minut nie mogła się uspokoić. Być może poznała mnie, głowy jednak bym nie dał. Możliwe, że przeważała potrzeba wygadania się, wykrzyczenia żalu i osoba rozmówcy nie stanowiła kluczowego kryterium.

– Co się stało? Złapano zabójcę?

– Nie – pokręciła głową. – Policja uznała, że to był wypadek.

– Wypadek?

– Potrafił go samochód. Sprawca uciekł. Ulica była słabo oświetlona, a Staszek miał we krwi alkohol. Poszukiwania sprawcy, wobec braku śladów i świadków, zostały wstrzymane po kilku tygodniach.

– Może to rzeczywiście był wypadek.

Maria Kolberg spojrzała na mnie beznamiętnie. Miała zaczerwienione oczy. Była na nogach o szóstej rano nie dlatego, że wcześnie wstała. Po prostu nie spała całą noc. Być może kolejną z rzędu. – Nie.

– Może nam pani powiedzieć, dlaczego pani tak sądzi?

Tym razem w spojrzeniu nie było beznamiętności. Był strach. I rozpacz. Byliśmy bratnimi duszami. Możliwe, że robiłem błąd, ale czułem, że aby się czegoś dowiedzieć, musimy nieco uchylić rąbka tajemnicy.

– Chcieliśmy się spotkać ze Staszkiem, bo... – Zawahałem się. Opowiadanie naszej historii tej zupełnie obcej kobiecie nie było ryzykiem. Było głupotą. Z gatunku tych, o których wiesz, a które musisz popełnić. –... może... mógł mieć pewne wiadomości...

– Wiadomości? Panowie coś wiecie? Wiecie coś o Staszku? – Spojrzała na mnie z nagłym przebłyskiem nadziei. Rana była świeża. Maria Kolberg jeszcze nie pogodziła się ze stratą.

– Być może... – Nie mogłem dokończyć zdania. Poczułem na ramieniu dłoń.

– Przepraszam panią bardzo. Jurek, mogę cię prosić na chwilę? – Głos kapitana był zduszony, płaski, bezbarwny. Palce wbijały mi się w ramię.

Wstałem z niezbyt wygodnego kuchennego taboretu. Gospodyni patrzyła na nas ze zdumieniem.

– Przepraszam. Zaraz wrócimy.

– Czyś ty zgłupiał? – warknął Wieteska, gdy znaleźliśmy się przed blokiem, ustawieni do niego tyłem. Nie chcieliśmy eksponować emocji. – Kobita ledwie żyje, a ty chcesz jej opowiedzieć o naszych problemach? Musimy się wziąć za Gordka i współników...

– Pozwól mi z nią pogadać – przerwałem mu. Czułem się paskudnie. – Potem ci wszystko wytłumaczę

– Tracimy czas.

– Obiecuję.

Spojrzał na mnie krzywo. Może go przekonałem. A może uległ wpływowi wyjątkowo paskudnego podmuchu wiatru pędzącego pierwsze krople porannego deszczu. W każdym razie powoli, jakby z niechęcią, udzielając mi pozwolenia na kredyt, skinął głową.

Gdy wróciliśmy, Maria Kolberg siedziała w tym samym miejscu i w tej samej pozycji, w której ją zostawiliśmy kilka minut temu. Czas jakby dla niej nie istniał. Tylko łyżeczka, wolno mieszająca dawno wystygłą herbatę, wprowadzała w tę scenę nieco ruchu.

– Pani Mario – zacząłem, gdy ponownie zająłem miejsce na taborecie – mojemu przyjacielowi porwano żonę i syna. Mnie porwano dziecko. Dwuletnie. Nie wiemy, czego porywacze od nas chcą.

Ale podejrzewamy, że mają związek z tym miejscem. Z Bornem Sulinowem. Dlatego bardzo nam zależy, by opowiedziała pani dokładnie, co się stało. Dlaczego uważa pani, że Staszka zamordowano.

Patrzyła na mnie bez słowa. Nie byłem pewien, czy w ogóle usłyszała, co mówię.

– Staszek interesował się historią miasta – odpowiedziała po dłuższej chwili, sennie, leniwie, jakby od niechcenia. – Najbardziej zajmowały go militaria. Pozostałości po Niemcach i Rosjanach. W końcu wpadł na trop podziemi.

– Gdy rozmawialiśmy po raz ostatni, mówił, że odkrył coś wyjątkowego – powiedziałem, skinąwszy głową. Wtedy nie zwróciłem na to szczególnej uwagi.

– Był bardzo podniecony. Twierdził, że dokonał wielkiego odkrycia. Że dzięki niemu miasto ożyje, ponieważ podziemia będą stanowiły magnes dla turystów. Bardzo mu zależało, żeby to – machnęła ręką dokoła – było niezłym miejscem do życia.

– Poświęcił cały wieczór, by mnie o tym przekonać.

– Doprowadził do tego, że władze przysłały zespół geodetów, którzy mieli za zadanie opracować mapę podziemi. Staszek był szczęśliwy. Zespół pracował kilka miesięcy, stworzył podobno dość dokładny plan podziemnego miasta. I wtedy został odwołany.

– Z jakiego powodu?

– Nie podano powodu. Po prostu wojewoda wydał decyzję o zakończeniu badań, ekipa się spakowała i pojechała do domu. Nieoficjalnie mówiło się o naciskach wojska. Staszek przez rok słał protesty, jeździł do rozmaitych urzędów, nalegał, organizował komitety poparcia...

– I nic to nie dało.

– Walił głową w mur. Władza zmieniała się kilka razy, ale nikt nawet nie chciał o tym słyszeć. Prosiłam, błagałam, by dał sobie spokój. Ale pan wie, jaki był uparty. Ubzdurał sobie, że sam skończy pracę. I znajdzie wejścia.

– Ekipa stworzyła mapę, a nie znalazła wejść?

– Nie znalazła. Mapę stworzono na podstawie jakichś odnalezionych planów niemieckich i...

– Tak?

– Badań radiestezyjnych.

– Ach tak. Badań radiestezyjnych.

Siedzący za mną Wieteska westchnął. Nie zwróciłem na to uwagi.

– Wykryto podobno podziemne tory kolejowe, bocznice, magazyny. .. Staszek wierzył, że to prawda. Mówił, że taka ogromna baza woskowa nie mogła funkcjonować bez choćby schronów przeciwlotniczych. Bez podziemnego szpitala. Że w Niemczech jest podobne, właściwie identyczne miasteczko i tam podziemia ciągną się kilometrami.

– I co? Doszedł do czegoś?

– Ja nie wiem. – Popatrzyła bezradnie. Przestała mieszać herbatę. Spojrzała w okno. Szarówka i rozkręcający się kapuśniaczek. – Przed wypadkiem, kilka tygodni przed wypadkiem, nagle zrobił się bardzo podniecony. Mówił, że jest blisko. Że jeszcze chwila i cała Polska będzie o nim mówiła.

Cisza.

Rana szarpnęła cienką, rozpaloną igłą bólu. Możliwe, że Johny miał rację. Coś bardzo brzydko pachniało. Było mi tak zimno, że nie mogłem opanować drżenia.

– Po czym miał wypadek.

– Tuż przed nim zadzwonił. Był śmiertelnie wystraszony. Mówił, że wdepnął w coś bardzo groźnego, naraził się bardzo nieprzyjemnym ludziom.

Wstrzymałem oddech. Miałem wrażenie, że Wieteska również.

– Powiedział komu?

– Powiedział, że bardzo się boi i że być może będziemy musieli wyjechać. Pół godziny później nie żył.

– Czy opowiedziała pani to wszystko policji?

– Powiedziałam. Zanotowali, ale dali do zrozumienia, że nikt nie wierzy w te bajeczki o podziemiach. Że raczej prokuratura nie będzie prowadziła śledztwa z tego powodu.

– Prokuratura nie brała pod uwagę wiedzy o podziemiach jako motywu?

– Tak właśnie powiedzieli. W ogóle nie prowadzili śledztwa w sprawie zabójstwa. Oficjalna wersja była taka, że Staszek miał wypadek, a sprawca zbiegł.

– Czy policja przeszukiwała jego rzeczy?

– Pobieźnie. Mówiłam. Nie uważali pasji Staszka za motyw.

– A czy pani... mogłaby... pokazać nam jego pokój? I pozwolić, żebyśmy w nim poszperali? Wahanie trwało tak długo, że miałem pewność, iż Maria Kolberg nie usłyszała pytania. Musiałem wyteńczyć słuch, by przez pogwizdywanie wiatru w oknach usłyszeć odpowiedź.

– Proszę. Od jego śmierci niczego nie ruszałam.

– Nic – powiedziałem zniechęcony czterdzieści minut później. Siedziałem przy biurku Staszka i właśnie skończyłem przeszukiwać ostatnią szufladę

– Mówiłem – odparł Wieteska cicho. – Tracimy czas.

– Tego się nigdy nie wie, dopóki go się nie straci.

– To teraz już wiesz.

– Teraz już wiem.

– Może w końcu powiesz mi, o co chodzi.

– Za chwilę. Teraz wypada się pożegnać.

Wstałem. Wyszliśmy z pokoju. Maria Kolberg nadal siedziała w kuchni. Tym razem na stole była kawa.

– Nie znaleźliśmy niczego...

Podniosła głowę. Miała szarą, zniszczoną twarz.

– Staszek miał jeszcze swoje stanowisko pracy w bibliotece – powiedziała wolno, jakby z wahaniem. – Był zaprzyjaźniony z kierowniczką. Spędzał tam wiele godzin, wertując książki, szperając w internecie, korespondując z miłośnikami starych fortyfikacji.

- Stanowisko pracy?
- Kierownicza udostępniła mu biurko, które z czasem zawłaszczył. Stało w najdalszym rogu, oddzielone szafą. Miał tam swój kącik do rozmyślań, jak to nazywał.
- I przechowywał tam coś.
- Mógł przechowywać. Mówił, że w domu nie mieści się ze wszystkim.
- Czy ktoś wie o tym jego kąciku?
- Kierownicza biblioteki i bibliotekarze. Może oni powiedzieli komuś. To mała społeczność. Z drugiej strony jego pasja tak bardzo ludzi nie obchodziła, żeby chcieli o tym mówić.
- Od której czynna jest biblioteka? I jak do niej trafić?

4

Przekonanie skądinąd przeuroczej bibliotekarki, by dopuściła nas do biurka używanego przez Stanisława Kolberga, nie było ani proste, ani szybkie. Uśmiechałem się, uśmiechał się najlepszymi uśmiechami ze swego repertuaru i Wieteska. Przekonywałem, postulowałem, dezyderowałem. Gdy osłabłem, do głosu dochodził były as wojsk lotniczych. Bibliotekarka trwała, niczym Spartanie w wąwozie Termopile.

W końcu uległa; może przekonała ją moja blada facjata, a może żarliwość w głosie Johny ego. Może naprawdę lubiła Staszka i nawet jeżeli nie podzielała jego pasji, miała dla niej zrozumienie i życzliwość. Może stanowili pokrewne, zakochane w historii i książkach dusze, a my wydaliśmy się jej spadkobiercami tej tradycji.

Biurko było duże, dębowe, najpewniej pochodzące jeszcze sprzed wojny. Panował na nim wzorowy porządek. Wyposażeni w zapewnienie, że nikt niczego od śmierci Staszka nie ruszał oraz nikt nie okazywał zainteresowania, przystąpiliśmy do dokładnych oględzin. Okazały się rozczarowaniem. W trzech szufladach nie było niczego ciekawego. Czwarta była zamknięta na klucz.

- Jak bardzo chcesz zajrzeć do środka? – zapytał Wieteska szeptem.
- Rozejrzałem się. Bibliotekarka w drugiej części sali rozmawiała przez telefon.
- Nie lubię zamkniętych szuflad.

Kapitan wyciągnął z kieszeni wielofunkcyjny szwajcarski scyzoryk, zastanawiał się przez chwilę, po czym otworzył jedno z ostrzy. Manipulacja przy zamku potrwiała naprawdę krótko. Wewnątrz nie było niczego poza stalową płaską kasetką o formacie standardowej kartki A4. Miała grubość około pięciu centymetrów.

- Rozejrzałem się. Nikogo. Kasetka zniknęła w torbie, którą trzymałem na ramieniu.
- Dobrze. Mamy już w ręku wszystkie dowody. Pogadaliśmy z wdową po twoim znajomym.
- Teraz chciałbym, żebyś pokazał mi ranę – powiedział Wieteska, gdy usiedliśmy w samochodzie. Zaczęło padać na dobre. Szyba błyskawicznie zaparowała.
- Nie mamy czasu...

– Ależ mamy – wybuchnął. Niemal podskoczyłem. – Żeby zrobić, co masz zrobić, potrzebujesz obu rąk.

Miał rację. Całe lewe ramię płonęło. W ranie najwyraźniej zachodziły reakcje chemiczne wytwarzające znaczne ilości ciepła. Przed oczami przelatywało mi coraz więcej kolorowych błysków. Jeżeli do tego dodać, że ostatniej nocy nie spałem w ogóle, a ostatni posiłek zjadłem przed dwudziestoma czterema godzinami, nie było niczym dziwnym, że...

... zemdląłem.

5

Odpyływałem i wracałem.

Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem szarość. Gdy odzyskałem pamięć, wróciło wspomnienie o synu. Dwulatek śmiał się i wyciągał do mnie ręce. Potem wróciło uczucie; zorientowałem się, że leżę na czymś miękkim i wygodnym.

Mrugnąłem parę razy oczami. Powoli wracała ostrość obrazu i nasycenie barw. Pierwszym widokiem była zatroskana podobizna pochylającego się nade mną kapitana Jana Wieteski. Miał szarą, nieogoloną, ściągniętą zmęczeniem twarz i niepokój w oczach.

– Gdzie jestem? – zapytałem.

To, co się wydobyło z gardła, nie było głosem, tylko schrypniętym skrzekiem, nie głośniejszym od szeptu.

– Szpital. Prywatny. W Szczecinku.

– Co się stało?

– Zemdląłeś.

Ponownie zamknąłem oczy. W głowie się kręciło, było mi niedobrze, serce tłukło się w piersiach.

– Nastrzykali cię antybiotykami po uszy. Wycięli trochę skóry. Nie chciałeś się leczyć wczoraj i spieprzyłeś sprawę. Lekarze mówią coś o sepsie.

Nie bardzo docierały do mnie słowa. Nie czułem bólu. Szczerze mówiąc, byłem odrętwiały. Może to wina leków. Oddychałem ciężko i szybko. Raziło mnie światło lamp. Czas odmierzał równy rytm kroplówek.

Sepsa. Ciekawe. Podobno od tego się umiera.

Jeżeli tak, nie zostało mi wiele czasu.

– Zabierz mnie stąd – wychrypiałem.

Wieteska nachylił się.

– Zgłupiałeś? Zaraz cię odtransportują na oddział intensywnej terapii.

– Zabierz mnie stąd. Powiedz, że muszą mnie postawić na nogi. Na dobę. Potem się zgłoszę.

Zmarszczył brwi. Nie uśmiechało mu się spełnienie prośby. Z drugiej strony wiedział też, że mam ważniejsze sprawy na głowie niż leżenie w łóżku.

Czterdzieści minut później, po kilku bardzo nieprzyjemnych rozmowach z lekarzami i kilku kolejnych zastrzykach, opuściłem pokój. Byłem słaby jak dziecko. Początkowo musiałem być podtrzymywany przez Wieteskę, inaczej bym upadł. Ostrożnie, chwiejąc się i zataczając, wszedłem do windy, która zwiozła nas na parter, równie niezdarnie przeszedłem przez parking i wsiałem do samochodu. Wieteska, od tej pory etatowy kierowca, ruszył z parkingu. Byłem mokry od potu. W głowie huczało z siłą wodospadu Niagara.

– Jak się czujesz?

– Świetne pytanie.

– Masz szczęście, że nie skończyło się amputacją.

– Tak, mam cholerne szczęście. Straciliśmy masę czasu.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Powinieneś się cieszyć, że żyjesz. Sepsa to poważna sprawa.

– Gdyby nie mały, byłoby mi wszystko jedno, czy żyję.

Tym razem nie spojrzał na mnie z ukosa. Po prostu przepalił mnie wzrokiem bazyliuszka.

– Możesz łaskawie nie opowiadać bzdur?

Na tak zadane pytanie nie odpowiedziałem.

– Straciliśmy masę czasu – powtórzyłem. Serce waliło w tempie karabinu maszynowego. – Otworzyłeś kasetkę?

– Taaa. – Wieteska wyjechał poza miasto i przyspieszył. Mieliliśmy do pokonania kilkanaście kilometrów. Pogoda była jeszcze gorsza niż rano. Nie dość, że padało i wiało, to jeszcze spadła temperatura. Nie ma to jak dobra sceneria dla ponurych myśli. – Otworzyłem. Dwa zeszyty notatek i mapa. Bardzo ciekawe. Możliwe, że miałeś rację.

– W kwestii?

– Mój lotniczy nos mówi, że tego twojego Staszka rzeczywiście zamordowano. Zdaje się, że facet odkrył dwa wejścia do podziemi, co bardzo się komuś nie spodobało.

– Opowiesz mi?

– Nie, kochany. Na razie to ty mi opowiesz. Przestaniesz się ze mną bawić w ciuciubabkę i bardzo ładnie wszystko wyśpiewasz.

Zamknąłem oczy. Mój przyjaciel żądał, bym mu zaufał. Bym powierzył mu życie. Swoje i syna. Czy miałem inne wyjście?

– Podejmując decyzję, że po przeprowadzce w nasze czasy nie niszczymy emitery, tylko zachowujemy go jako polisę ubezpieczeniową, wydaliśmy na siebie wyrok.

– Zaczyna się jak w powieści kryminalnej.

– Dalej będzie jeszcze lepiej.

– Dlaczego wyrok?

– Bo gra o emiter się nie skończyła. I mam wrażenie, że jesteśmy w niej tylko małymi trybikami.

– Jureczku, bo umrę na zawał. Mógłbyś tego nie opowiadać w odcinkach?

– Po naszej zwycięskiej kampanii we wrześniu '39 lepiej by było, gdyby ta bomba zniszczyła go na amen. Ale nie zniszczyła. Naszymi działaniami, co oczywiste, zainteresowali się Niemcy. Bardzo ich ciekawiło, co tak gwałtownie dało im w dupę, że stracili w trzy dni połowę czołgów.

– Ten etap możesz pominąć.

– Zainteresował się nami również sowiecki wywiad wojskowy. Rosjanie współpracowali wtedy z Niemcami, więc mieli oficjalny dostęp do rozmaitych informacji. Mieli też w Niemczech i Polsce bardzo rozbudowaną siatkę szpiegowską. Można powiedzieć, że to, co wiedzieli Niemcy, wiedzieli też Rosjanie. No i, rozumiesz, zmontowali operację, którą nazwali „Jutrzenka”. Miał na nią oko sam towarzysz Stalin. Bezpośrednio podlegał mu szef operacji. Byli tak sprytni, że w '43 udało im się podprowadzić Wojtyńskiemu reaktor. Tylko fart spowodował, że nie przejęli emitera. Byli naprawdę blisko. Potem nie zrezygnowali. Wpadli na nas w Stanach.

W oczach Wieteski mignął błysk zaniepokojenia.

– Namierzili nas w Stanach?

– Niestety.

– Okej. Rozumiem. Ale nie rozumiem, dlaczego nie uderzyli na nas w Stanach, zanim bryknęliśmy w naszą epokę.

– Dziesięć dni przed wyjazdem zidentyfikowałem agenta GRU. Śledził mnie. Wyjechałem poza miasto. Załatwiłem go. Możliwe, że w ten sposób pokrzyżowałem ich plany.

– Załatwiłeś?

– Chciałem go wziąć żywcem, ale próbował mnie przejechać. Dość paskudnie go postrzeliłem. Przed śmiercią powiedziałem mu, że wiem, że pracuje dla GRU. Strzelałem na ślepo, ale trafiłem. Przyznał się.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Dał do zrozumienia, że on i jego koledzy mają wśród nas informatora. Wolałem nie ryzykować.

– Ach tak? – zdumienie niemal odebrało mu mowę. Patrzył na mnie z wyrzutem.

Nic na to nie mogłem poradzić. I tak nie wiem, czy nie odsłaniałem się zbyt mocno. Za jego szczerym zaangażowaniem w sprawę świadczył fakt porwania żony i syna. A być może nie był to czynnik wystarczający.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem, co mi chcesz powiedzieć.

– Dobrze – mruknąłem.

Byłem po czubek głowy nafaszerowany środkami przeciwbólowymi, co dało paradoksalny efekt: myślałem wolno, a ręka bolała coraz bardziej.

– Wśród nas jest ruski informator?

– Śmieszne, no nie?

– Bardzo.

– Ale najprawdopodobniej tak właśnie jest.

– Rozumiem. Mówimy o operacji ruskiego wywiadu, która została przeprowadzona prawie siedemdziesiąt lat temu. Ci ludzie już dawno umarli.

– Johnny, spójrz na sprawę inaczej. Oderwij się od standardowego myślenia.

– Już się odrywam. I co?

– Przecież emiter powoduje, że tak naprawdę nie ma znaczenia, czy ktoś żyje, czy nie. Można się cofnąć w czasie i ktoś zaczyna żyć, choć niby nie ma prawa. My też nie powinniśmy funkcjonować w '39. Żaden podręcznik o nas nie pisał. A jednak istnieliśmy.

– Kurna, nie filozofuj. Jak się zaczniemy zgłębiać w paradoksy czasowe, to się ze śmiechu nie pozbieramy. Tego się na trzeźwo nie da ogarnąć.

– Mówimy o GRU. Jest tak samo, jak było. Nawet nazwa się nie zmieniła. A na pewno nie zmieniły się interesy państwa, które ta szacowna instytucja reprezentuje.

– Taaa. Opowiesz dalej?

– Fakty, Johnny. Po pierwsze, zabiłem w Stanach sowieckiego agenta, którego zadaniem było śledzenie nas i emitera. Facet stanowił część siatki, która była częścią dużej operacji. Po drugie, podejrzewamy, że emiter gwizdnęła nam firma, która ma sporo interesów z Rosją i siedzibę w Bornem Sulinowie, byłej bazie wojsk sowieckich. Po trzecie, data założenia tej firmy zgadza się idealnie z datą opuszczenia bazy przez wojska sowieckie. Po czwarte, Galaś, wychodząc bez pożegnania z hotelu, daje do zrozumienia, że w sprawę zamieszani są Ruscy. Ładny ciąg?

– Bardzo ładny. Aż za ładny. Przy tym wszystkim wypada tylko mieć nadzieję, że to są ci sami ludzie, którzy porwali chłopaków, Rozalkę i Wojtkę.

– Całkiem możliwe. Nie wiem tylko, czy to dobrze.

– Załatwimy dwie sprawy za jednym zamachem. Zabijemy skurwysynów. A potem, przysięgam, osobiście wysadzę emiter w powietrze.

Coś mi mówiło, że nie będzie to takie proste, ale powstrzymałem się przed komentarzem. Całym moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Tak silny, że aż się zachwiałem.

– Kiepsko?

– Bywało lepiej.

– Powinieneś leżeć.

– A dzieci uwolnią się same.

– Taaaa. Nadal parę rzeczy mi musisz wyjaśnić.

– Chyba tak.

– Najbardziej mnie interesuje, skąd wiedziałeś, o co pytać agenta, którego byłeś łaskaw zastrzelić. Skąd wiedziałeś, że masz na karku GRU, a nie na przykład Powszechne Towarzystwo Różańcowe imienia Brata Alberta?

2 września 2007, Waszyngton

Gabinet Ovalny tylko w telewizji wygląda na duży.

W rzeczywistości jest dość kameralnym pomieszczeniem. Mimo pewnej ciasnoty George W. Bush, czterdziesty drugi prezydent Stanów Zjednoczonych, lubi w nim pracować i przyjmować gości. Tu często wpada na dobre pomysły, często z setki rad dawanych przez doradców umie wybrać tę jedną, właściwą. Tak bywa: kierowanie supermocarstwem i zarządzanie połową światowych kryzysów często nie zostawia czasu na szczegółową analizę zagadnienia. Trzeba zdać się na opinie innych. To czasami kwestia szczęścia: wybrać rozwiązanie, które w miarę efektywnie prowadzi do celu.

Spotkanie, które zacznie się za chwilę, nie ma nic wspólnego ani z efektywnością, ani tym bardziej ze szczęściem. Jeżeli już, to można mówić o gównianym pechu, zsranej lekkomyślności i pieprzonej niekompetencji. Teksański słownik prezydenta nie wyklucza i gorszych określeń. Może i do nich przyjdzie się odwołać.

George W. Bush rzuca ze złością raport na biurko. Dokument liczy osiem stron. Jest lakoniczny, napisany wojskowym, konkretnym do bólu językiem. Ale konkluzje są przerażające. Nawet ciężko je sobie wyobrazić. Możliwe, że aparat pojęciowy, którym na co dzień posługuje się nawet ktoś taki jak szef najpotężniejszego państwa na świecie, jest niewystarczający, by to nazwać. By znaleźć rozwiązanie. By zapobiec klęsce.

Głowa sekretarza w drzwiach. Gówniane myśli w głowie. Jakiś nowy 9/11 na horyzoncie.

– Panie prezydencie...

Bush macha niecierpliwie ręką.

Wchodzą.

Kompetentni. Poważni. Zatroskani.

Sekretarz obrony. Sekretarz stanu. Szef Kolegium Połączonych Sztabów. Doradca do spraw bezpieczeństwa. Szef CIA. Szef FBI. Bez słowa siadają na kanapie i fotelach. Jest ciasno, ale nikt o tym nie myśli. Nie woła kawy. Nie planuje, jak spędzi resztę wieczoru.

Zresztą prezydent od razu przechodzi do rzeczy.

– Zanim zidentyfikujemy sukinsyna, który za ten pieprzony burdel odpowiada i powiesimy go za jaja, może mi ktoś opowie od początku, co się, do ciężkiej cholery, stało?

Sekretarz obrony wzdycha. To jego działka. Chowanie głowy w piasek należy odłożyć na inną okazję.

– Panie prezydencie, kilka tygodni temu MDS zakończył pomyślnie testy. System został wszechstronnie obciążony, symulacje wykazały pełną efektywność. Zgodnie z procedurą szef projektu w podsumowaniu wnioskował o przeprowadzenie prób w warunkach bojowych. Taka decyzja została podjęta. – Sekretarz spogląda przelotnie na szefa połączonych sztabów. Cztery gwiazdki błyszczą na

pagonach. Generał kiwa nieznacznie głową. – Jak pan wie, sytuacja w Afganistanie bardzo się ostatnio zaostriżyła...

– Wiem. Też oglądam CNN – mówi Bush.

Nikt się nie uśmiecha. Prezydent jest lekko zaróżowiony na twarzy. Do prawdziwych emocji jeszcze daleko, ale to pierwszy sygnał. Doświadczenie uczy, że nie należy go lekceważyć.

– Oczywiście, panie prezydencie. Przepraszam. Wysyłamy jednostkę pancerną, wspartą śmigłowcami i artylerią. Włączamy zespół MDS-u wraz z ochroną do tego oddziału...

– Właśnie, Bob. Zatrzymajmy się na chwilę. Popraw mnie, jeśli się mylę. Ten oddział jest... był...polski?

Oto pierwsza rafa.

Kilka tygodni temu prezydent osobiście aprobuje takie rozwiązanie. Polacy długo męczą go w tej sprawie. Sprawiają wrażenie, jakby spuszczenie lania talibom było kwestią najwyższej wagi państwowej. Deklarują maksimum dobrej woli i kompetencji.

Trafiają w dobry czas. Stanom Zjednoczonym z kolei zależy na jak najszerzej koalicji. W Iraku – wpadka. Broni chemicznej nie ma. W Afganistanie idzie tak sobie. Gra zatem toczy się o to, by świat nie postrzegał tej wojny jako wojny amerykańskiej. Okazja w postaci ambitnych Polaków sama pcha się w ręce.

Skutek?

Zniknięcie pięciuset żołnierzy bez śladu.

Jednak zgromadzeni w pokoju politycy i wojskowi są zbyt doświadczonymi ludźmi, by zwać winę na najwyższego zwierzchnika. Wiedzą, na czym polega zabawa i co im naprawdę chce przekazać prezydent. Gdy media dowiedzą się o sprawie, ukrzyżują ich. W tym pokoju należy wypracować wersję.

Odpowiednią wersję wydarzeń.

– Tak, panie prezydencie. Wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt, jaki Polacy zdołali wykrobać. Zintegrowany z nami pod względem informatycznym. Częściowo przebrojony w nasze systemy ogniowe, systemy obserwacji i radiolokacji. Naszpikowany najlepszymi ludźmi. Wszystkich oficerów sprawdził nasz wywiad.

– A zatem mamy oddział polskich Rambo. Czy nasi ludzie choć trochę zbliżyli się do tego poziomu?

Sekretarz obrony jest przyzwyczajony do tego typu uwag. Wie, że najczęściej kryją bezzadność.

– Dowódcą jednostki MDS-u została mianowana kapitan Nancy Sanchez, oficer piechoty morskiej z dziesięcioletnim stażem. Ma wszelkie niezbędne certyfikaty. Jej lista referencyjna jest bez zarzutu.

– Latynoska?

– Jej mąż... były mąż... jest pochodzenia meksykańskiego. Ona pochodzi z konserwatywnej rodziny z Południa. Ojciec jest republikaninem. Nazywa się Whitman.

Prezydent ukrywa rozczarowanie. Lepiej byłoby, gdy oficer dowodzący MDS-em należał do mniejszości etnicznej. Prasa to lubi.

– Mów dalej, Bob.

– Oddział MDS ląduje w L. To taka dziura w południowo-zachodniej Polsce. Sanchez melduje stanowisku dowodzenia w Rammstein, że wszystko idzie zgodnie z procedurą. Nazajutrz batalion wraz z MDS-em wyjeżdża na poligon. Dociera na miejsce. Systemy MDS-u automatycznie meldują całkowitą zgodność z procedurami. Tu jest zdjęcie wykonane w dniu wczorajszym o godzinie szesnastej zero sześć.

Sekretarz obrony wyjmuje z koperty dużą czarno-białą odbitkę. Przedstawia ona obraz z satelity.

Wyraźny, jakby wykonano go z wysokości kilku metrów. Las. Pośrodku polana. Na niej równe pudełka czołgów i transporterów. Dziesiątki innych pojazdów. Nieco z boku cztery śmigłowce, dobrze znane Amerykanom hindy. A dokładnie pośrodku – pękata sylwetka MDS-u. Obok niej daje się nawet rozróżnić drobne ludzkie postacie.

Sekretarz obrony wyciąga drugie zdjęcie.

– To przedstawia sytuację z godziny siedemnastej.

Polana jest pusta. Widać nawet ślady gąsienic.

– Nasze systemy pomiarowe zarejestrowały, że o godzinie szesnastej pięćdziesiąt została uruchomiona kopuła pola siłowego. To było zaplanowane uruchomienie w warunkach polowych.

Jednocześnie satelita meteo odnotował w tym rejonie poważną burzę z silnymi wyładowaniami elektrycznymi. O szesnastej pięćdziesiąt dwie zasilający system reaktor dał pełną moc. Sto procent. Wiele milionów kilowatów. To jest nowość. Jednak w sposób właściwy rozumie ją jedynie szef Kolegium Połączonych Sztabów.

Nagle szarzeje na twarzy.

– To znaczy, Bob? Coś tak nagle zamilkł? – Bush przygląda się ze zdziwieniem swemu zwykle kamiennie spokojnemu ministrowi.

Robert Gates należy do ludzi opanowanych, wręcz flegmatycznych.

– Oznacza to, panie prezydencie, że została uruchomiona, całkowicie tym razem niezgodnie z procedurą, druga funkcja MDS-u. Funkcja skoku czasowego. I sądząc z użytej mocy, musiał to być długi skok.

– Długi skok? Długi skok w przeszłość?

– Teoretycznie również w przyszłość. Choć sądzę, że była to raczej pierwsza możliwość.

Prezydent przez dłuższą chwilę próbuje dokładnie zrozumieć to, co słyszy, i nie jest to proste zadanie.

Podróże w czasie dobrze wyglądają w filmach science fiction. Gorzej, gdy z ich skutkami musi się zmierzyć polityk, w którego głos wsłuchuje się cały świat.

– Po co ktoś miałby skakać w przeszłość podczas ćwiczeń wojskowych?

– Ciężko mi to w tej chwili stwierdzić, panie prezydencie. Nasi ludzie od wczorajszego wieczoru non stop przesłuchują wszystkich, którzy mogą być zamieszani w to zniknięcie.

– Najbardziej zamieszani są ci, którzy zniknęli. A tych się nie da przesłuchać – mruczy pod nosem sekretarz stanu.

Już układa sobie w głowie instrukcję, którą musi wysłać ambasadorowi w Warszawie. Czeką ją długa noc. I ambasadora też.

– Co tam mamrocześ, Condie?

– Myślę o skutkach, panie prezydencie. O skutkach międzynarodowych.

– Bądź pewna, Condie, że ja również. Zastanawiam się, jakie będą cholerne międzynarodowe skutki naszej cholernej nieudolności.

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie, sądzę, że mamy poważniejszy problem. – Głos dyrektora CIA brzmi głucho. Ten rumiany na twarzy mężczyzna nie patrzy na głowę państwa. Ma wzrok zatopiony w notatkach.

– No, wydaje mi się, że zniknięcie najnowszego systemu obrony wartego... Bob, przypomnij mi, ile? Ile MDS jest wart?

– Prace badawcze plus wykonanie prototypów...

– No, słucham, Bob?

– Sześć miliardów dolarów.

– Sześć miliardów dolarów.

– Pięknie. – Prezydent wstaje. Nie jest już różowy na twarzy. Policzki przybierają barwę czystej czerwieni. – A więc już samo zniknięcie sprzętu wartego sześć miliardów dolarów wydaje mi się poważnym problemem. Nie mówiąc o tych pięciuset Polakach i ich uzbrojeniu. Mamy poważny problem na poziomie międzynarodowym, Michael.

– I historycznym, panie prezydencie. – Michael V. Hayden, dyrektor CIA, podnosi w końcu głowę. Zmęczone oczy wpatrują się w prezydenta przez grube soczewki okularów.

– Historycznym? Co chcesz przez to powiedzieć, Mike?

Hayden wyciąga z teczki kilka kartek papieru, po czym podaje je prezydentowi.

– To jest wyciąg z naszego archiwum. Siłą rzeczy bardzo pobieżny. Mieliśmy bardzo mało czasu. Moi ludzie odnaleźli dokumenty, pochodzące jeszcze z okresu drugiej wojny światowej...

– Mike, przepraszam cię, ale nie mamy czasu na zajmowanie się przeszłością. – George Bush junior jeszcze bardziej czerwienieje.

W normalnych okolicznościach rozmówcy przeważnie w tym momencie wycofują się ze swoich argumentów. W normalnych okolicznościach.

– Za pozwoleniem, panie prezydencie. Ta przeszłość niestety należy do teraźniejszości.

Cisza. Przez grube kuloodporne szyby dobiega daleki szum Pennsylvania Avenue. Mieszkańcy miasta wracają do domów, by spędzić wieczór w rodzinnym gronie. Niezliczone bary i restauracje zaczynają tętnić wieczornym życiem. .

Może w tonie dyrektora CIA jest coś, co powstrzymuje prezydenta przed wybuchem. Może to jakiś szczególny, do tej pory niewidziany wyraz twarzy jednego z najbliższych współpracowników. W każdym razie Bush, po pewnym czasie co prawda, jest w stanie zadać pytanie spokojnym tonem.

– Możesz mi to wyjaśnić, Michael?

– Panie prezydencie, dokumenty i notatki przechowywane w archiwum CIA jednoznacznie mówią, że oddział wojskowy dokładnie o takiej charakterystyce jak ta, którą był łaskaw zreferować sekretarz Gates, pojawił się w Polsce 1 września '39 roku, parę godzin po wybuchu drugiej wojny światowej. Pojawił się, po czym zaczął walczyć.

– Zaczął walczyć? Oddział z naszych czasów walczący w drugiej wojnie? Czy mówimy o jakiejś polskiej wersji tej zabawnej historyjki o lotniskowcu Nimitz, który przeniósł się pod Pearl Harbor i skopał dupy Japończykom?

– Tym razem to niestety nie film, panie prezydencie.

– Jak...? – George W. Bush chce w końcu dać upust rosnącej od pewnego czasu frustracji.

Sytuacja jest tak idiotyczna, że aż brakuje słów, by ją nazwać. Jednak prezydent zatrzymuje się, niemal w ostatniej chwili. Dlaczego idiotyczna? Przecież sam tego chciał. Doskonale pamięta chwilę, gdy po raz pierwszy zreferowano mu możliwości nowego systemu: „Można cofnąć historię, panie prezydencie. Można uniknąć już popełnionych błędów”. Co wtedy czuł? Podniecenie. Nie sposób było nawet ogarnąć rysujących się możliwości. Pytanie: czy MDS wraz ze wszystkimi ludźmi może się cofnąć nie o godzinę lub dwie, ale o ponad sześćdziesiąt lat? Może. Prezydent nie jest inżynierem, nie ma pod ręką konkretnych danych, ale głowę da sobie uciąć, że możliwości MDS-u są całkowicie wystarczające, by dokonać skoku odległego nawet i o dwa stulecia. Czemu więc się dziwi? Czemu odrzuca to, co ma przed oczami?

Odpowiedź: ponieważ to niemożliwe. Nie da się ogarnąć rozumem. Czymś zupełnie innym jest wysłuchiwanie tego typu historii, gdy siedzi się w wygodnym fotelu, a czym innym oglądanie na własne oczy cudu.

– Polski oddział włączył się do walki przeciw Niemcom – cedzi przez zęby czterdziesty drugi prezydent Stanów Zjednoczonych. – A co z naszymi?

– Z tego, co wiemy, nasz oddział również walczył.

– Ta... jak jej tam...

– Sanchez, panie prezydencie.

– Ta Sanchez wydała rozkaz, by nasi ludzie walczyli przeciw Niemcom we wrześniu '39 roku?

– Na to wygląda, panie prezydencie.

– Przecież to absurd. Powinna zrobić wszystko, by MDS wrócił do swoich macierzystych portów.

– To nie takie proste, panie prezydencie.

Szef CIA rozgląda się po pokoju. Widzi sześć wpatrzonych weń par oczu i pobielających, zaciśniętych pięści. Sześć zasznurowanych w wąską kreskę ust. Zaczyna się poważnie zastanawiać, czy ma w tym pokoju choć jednego sojusznika.

–Nie?

– Z zeznań Sanchez, złożonych przed pracownikami OSS... to jest poprzedniczki...

– Wiem, co to jest OSS – warknięcie. Nikt nie ośmiela się nawet westchnąć.

– Tak jest. Przepraszam, panie prezydencie. Otóż z zeznań kapitan Sanchez złożonych przed pracownikami OSS w roku 1940, mniej więcej sześć miesięcy po rozpoczęciu wojny, wynika, że MDS padł ofiarą sabotażu. Ktoś przeprogramował system, wpuszczając do niego wirusa. Podróż możliwa była początkowo tylko w jedną stronę. Po pojawieniu się w przeszłości oddział został zaatakowany przez Niemców. Odparł atak. Oficerowie na czele z dowódcą doszli do wniosku, że ponieważ nie mają szans wrócić, zostaną szybko odkryci, wylądowali bowiem po niemieckiej stronie frontu. Więc włączyli się do walki. Zdaje się, że sporą rolę w ich motywacji grała też chęć rewanżu na Niemcach.

– Chłopcy chcieli sobie postrzelać.

– Na to wygląda. Co ciekawe, po dwóch dniach udało się odblokować system i zarazem wykryć sabotażystę.

– Więc? Dlaczego nie wrócili?

– Ponieważ zanim zdążyli wypłatać się z walki i uruchomić system, padli ofiarą nalotu. Bomba uszkodziła MDS. Powrót okazał się niemożliwy, przynajmniej w tym momencie, ponieważ później...

Prezydent podnosi rękę. Ze świstem wypuszcza powietrze. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że podświadomie wstrzymywał oddech.

Spogląda na zegarek. Czas podjąć decyzję. Wstaje i podnosi słuchawkę jednego ze stojących na biurku telefonów. Po sekundzie słyszy głos sekretarki.

– Maureen, czy dzisiaj mam jeszcze jakieś spotkania?

– Tylko jedno, panie prezydencie. Gubernator Kalifornii...

– Odwołaj je. Powiedz, że uwielbiam jego filmy, ale bardzo źle się czuję.

–Ale...

– Powiedz, co chcesz. Nie ma mnie dla nikogo do odwołania.

Rzuca słuchawkę, jakby go parzyła.

– A państwo? Jak tam plany na wieczór?

Cisza. Nikt nawet nie mruga.

– Doskonale. – Prezydent zaciera ręce. – Proponuję zamówić kawę. A ty, Michael – zwraca się bezpośrednio do dyrektora CIA – bądź łaskaw opowiedzieć nam to wszystko od początku. Całą historię oddziału kapitan Sanchez i tego polskiego batalionu. Jakim cudem po walkach w Polsce ci ludzie znaleźli się w Stanach. Wiesz, trochę szczegółów.

– Oczywiście, panie prezydencie. Otóż...

Michael V. Hayden opowiada blisko półtorej godziny. Wszyscy piją ogromne ilości kawy. Mężczyźni wieszają marynarki na oparciach krzeseł. Nikt nie zwraca uwagi na zapadającą za oknem ciemność.

Szum ulicy milknie. Gabinet pogrąża się w półmroku. Głos dyrektora CIA jest cichy, ale dawno to doświadczone audytorium nie słuchało niczego z takim napięciem i uwagą. Na razie chłoną fakty. Na analizę przyjdzie czas.

– Tak to wygląda, panie prezydencie. W skrócie, oczywiście.

Cisza.

– Więc kapitan Sanchez nie żyje, a emiter pola siłowego zniknął. Równocześnie na początku września '44 roku zniknęli także polscy oficerowie? Z jak mu tam...

– Grobickim.

– ... Grobickim, jej mężem, na czele.

– Tak. W powłoce przekazanej generałowi Travisowi zostawili trochę elektronicznego złomu. Travis był na tyle zapobiegliwy, że nie dość, że zostawił bardzo dokładny opis sytuacji, to jeszcze polecił zachować pozostałości powłoki emitera wraz z jego zawartością, a całość informacji utajnił. Na podstawie specjalnie opracowanej instrukcji zatwierdzonej przez prezydenta Roosevelta nie można było do tych informacji dotrzeć wcześniej niż wczoraj. Moi ludzie w porozumieniu z konstruktorami systemu przez całą wczorajszą noc analizowali te szczątki. Ze stuprocentową dokładnością można orzec, że nie są to oryginalne części MDS-u. Ktoś wystrychnął Trávisa na dudka.

– Jak myślisz, czy to ma związek ze zniknięciem tych polskich oficerów?

– Jedna z hipotez sformułowanych przez Trávisa zakłada, że w jakiś sposób ponownie weszli oni w posiadanie emitera, uruchomili go i odfrunęli w nasze czasy. Szczerze mówiąc, zgadzam się z tym.

– A zatem Grobickiego i spółki należy poszukać w naszej rzeczywistości.

– Szukamy, panie prezydencie. Problem w tym, że nasze systemy nasłuchowe nie odnotowały ani dziś, ani wczoraj, ani w dającej się zbadać przeszłości żadnych drgań pola magnetycznego, świadczącego o pracy emitera. Wygląda na to, że...

– Tak, Michael?

– Że oni jeszcze nie wylądowali.

– Twierdzisz, że wylądują za jakiś czas?

– Całkiem możliwe, panie prezydencie.

– A zatem... poczekamy na nich.

– Poczekamy.

– I jak już się doczekamy, chciałbym, żebyśmy zadali im kilka pytań dotyczących odpowiedzialności za sprzęt, a także za... zmiany w historii.

– Nie unikną odpowiedzialności.

– Śledztwo w sprawie tego sabotażu ma być prowadzone wszystkimi dostępnymi środkami.

– Tak jest. Mamy w Polsce kilka specjalnych zespołów śledczych. Polski wywiad też się włączył do akcji.

– Bazujemy na własnych zasobach – warczy prezydent.

Cała ta historia wytrąca go z równowagi. Jednak zgromadzeni w pokoju wojskowi i politycy oddychają z ulgą. Obywa się bez wskazywania winnych i publicznej egzekucji. Część osób zaczyna się podnosić.

– Za pozwoleniem, panie prezydencie. – Tym razem zabiera głos milczący dotąd Robert S. Mueller III, dyrektor FBI.

– Tak, Robercie? Jeszcze jakieś kłopoty?

– Obawiam się, że tak, panie prezydencie. Od pewnego czasu notujemy wzmożoną aktywność rosyjskiego wywiadu...

– To chyba nic nadzwyczajnego?

– Nie. Ale, jak pan wie, Rosjanie bardzo się interesowali procesem konstruowania MDS-u. Musieliśmy przedsięwziąć nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, by ochronić tajemnicę produkcji. Z moich informacji, potwierdzonych zresztą przez CIA, wynika, że nam się udało. Jednak Rosjanie nie zrezygnowali. Rozpoznanie operacyjne wskazuje, że GRU również posiada wiedzę na temat tego, co się wydarzyło w przeszłości, i może mieć własny plan przechwycenia emitera. Jest prawdopodobne, że poluje na tych polskich oficerów. Tak samo jak my.

Zanim prezydent formułuje odpowiedź, zabiera głos dyrektor CIA.

– W archiwum zachowała się notatka Tralisa mówiąca o nasilonej aktywności sowieckiego wywiadu w kwestii pozyskania MDS-u. Sowietów w '43 i później próbowali przejąć go w Polsce. Gdy MDS został wywieziony do Stanów, nasilili działania wokół Tralisa i jego ludzi.

– Rozumiem, że te działania nie przyniosły efektu.

– Nie, panie prezydencie.

– Właśnie dlatego uważamy, że nadal są zainteresowani przechwyceniem MDS-u – wtrąca Mueller.

– Operacja, która trwa siedemdziesiąt lat? Co za absurd. Wygląda na to, że Rosjanie wiedzieli o MDS-ie, zanim go skonstruowaliśmy.

Bush siada ponownie. Jest zmęczony. Zaczyna mieć migrenę. Najgorsze jest jednak to, że udaje mu się w końcu uchwycić myśl, która biega po głowie, odkąd zaczął tę rozmowę. Myśl dotyczącą prawdziwych skutków zmiany historii. Radykalnej zmiany.

– Paradoksy czasowe. Skutki zabawy czasoprzestrzenią... – wtrąca sekretarz Rice.

– Z pewnego punktu widzenia tylko pięć, panie prezydencie. – Mueller stara się nie słyszeć wtrętu. – Od 1944 do 2007 nic się nie działo.

Prezydent milczy. Rozważa sytuację. Ma za sobą niejedną kryzys, ale teraz naprawdę brak mu pomysłu, co robić dalej. Śledztwo, tak. Jednak co będzie, jeżeli continuum czasowe naprawdę ulegnie zakłóceniu?

– Czy analizowaliście wariant – mówi, ostrożnie dobierając słowa – że komuś, komu tak bardzo zależy na przechwyceniu systemu, może chodzić o zmianę losów świata, począwszy od roku na przykład '39 albo '40, w sposób radykalny? Że ktoś chce raz na zawsze zmienić bieg historii?

– Teoretycznie prawdopodobne. Sądzę jednak, że nic takiego się nie stało, ponieważ wiedzielibyśmy o tym. To w końcu przeszłość. Jej przebieg można sprawdzić w podręcznikach.

– Chyba że ta zmiana się dopiero wydarzy. I pewnego ranka obudzimy się w innym świecie. Z tym stwierdzeniu jakoś nikt nie chce podjąć polemiki.

– Może jest sposób, by naprawić sytuację. – Głos szefa Kolegium Połączonych Sztabów jest tak cichy, że z trudem przebija się do świadomości zebranych.

– Inny sposób? – Prezydent na nic nie liczy. W głosie jego głównego generała nie ma ani pewności siebie, ani wiary. Mimo to George W. Bush jest gotów go wysłuchać.

– Możliwe, że nie będziemy musieli prowadzić śledztwa i uganiać się za tymi polskimi dezerterami. Wszystko naprawimy... w zarodku.

– Możesz mówić jaśniej, Frank?

– Po prostu usuniemy przyczynę, panie prezydencie.

ROZDZIAŁ VI

Powstanie

3 sierpnia 1944, Warszawa

Ciężki, gryzący dym zasnuwał pole bitwy, widoczność była ograniczona do kilku metrów. Wojtyński leżał na ziemi. Jego mundur był w wielu miejscach nadpalony i podarty. Kamizelka kuloodporna wzięła na siebie impet niedawnej eksplozji i w dziewięćdziesięciu procentach wyhamowała go. Jednak pozostałych dziesięć procent spowodowało bardzo poważne rany i obrażenia. Lewa ręka trzymała się na kilku włóknach, krew uchodziła z rany szerokim strumieniem. Drugi odłamek spowodował paskudną ranę nieco powyżej kolana.

Major zachował przytomność. Sanitariusz zaaplikował swojemu dowódcy zastrzyk morfiny, po czym ze zdumiewającą, biorąc pod uwagę warunki, biegłością zabrał się do opatrywania przedramienia.

– Rozumie pan? – szeptał Wojtyński wprost do mego ucha.

Z trudem rozróżniałem słowa. Bitewny zgiełk narastał. Miałem nieodparte wrażenie, że linia frontu szybko przesuwa się w naszym kierunku.

– Rozumiem – odparłem. – Emiter w zamian za dostawy. I chip jako gwarancja wykonania umowy.

– Jest jeszcze coś.

Zamknął oczy. Był blady jak ściana. Życie ulatywało z niego w zastraszającym tempie.

– Musi pan odpocząć – zaprotestowałem słabo. W głowie mi się kręciło od nadmiaru wrażeń.

– Sowietci...

Nadstawiłem ucha.

– Wiedzą o nas dużo... zbyt dużo... w zeszłym roku zgarnąłem ich agentów... udało im się podejść bardzo blisko... przechwycić reaktor... mam informacje, że nie zrezygnowali... chcą za wszelką cenę przejąć emiter.

– Sowietci?

Mogę się założyć, że zdumienie w moim głosie było przedniej próby. Nie wiem, czemu ulegałem złudzeniu, że walczymy tylko przeciwko Niemcom.

– Są groźni... mają duże wpływy... chcą odwrócić losy wojny.

– Przecież wygrywają wojnę.

– Wygrywają tylko małą część. Chcą nadal zagrać o całą pulę. O Europę. O cały... świat.

– Przecież to absurd.

– Nie dla nich. Oni nie zrezygnują. Nigdy.

Nie miałem czasu się nad tym głębiej zastanawiać. Kanonada przybrała na sile. Głowę bym dał, że słyszę kłopot czołgowych gąsienic i wrzaski piechoty. Kontratak Niemców nabierał coraz większego rozpędu. Sanitariusze delikatnie położyli majora na noszach.

Jednak major nie skończył jeszcze. Złapał mnie za rękę i przyciągnął ku sobie. Nachyliłem się.

– Prawa kieszeń munduru. Pendrive z nagraniem. Niech pan uważnie go wysłucha. I wyciągnie wnioski.

Zamknął oczy. Sanitariusze podnieśli nosze.

Uścisnąłem delikatnie zdrową rękę i puściłem się biegiem, by odnaleźć swoich towarzyszy.

2

27 września 2012, Borne Sulinowo

– Wojtyński? – Wieteska aż przyhamował. W jego głosie pobrzmiwała mieszanina zdumienia, podziwu i niedowierzania. – Jeszcze z grobu rządzi? Sprzed sześćdziesięciu ośmiu lat?

– Johnny, on wedle naszej miary żył jeszcze dwa miesiące temu. Daj spokój.

– Zawsze, kurwa, jakoś bierzesz jego stronę.

– On walczył. My robiliśmy biznes. Nie biorę jego strony.

– Poniewczasie zebrało ci się na wyrzuty sumienia?

Wiedział, że mam rację. Był świetnym żołnierzem, wyśmienitym pilotem, odważnym człowiekiem. Ale pięć lat temu zaaprobował taki podział ról.

Jeśli chodzi o mnie, odpowiedź na zadane pytanie brzmiała: nie. Nie miałem już czasu na wyrzuty sumienia. Kiedyś nie mogłem przez nie spać. Teraz było ważne zupełnie co innego. Miałem przemożne, dojmujące poczucie upływającego czasu. I nie chodziło tylko o paskudzącą się ranę, o coraz większe dreszcze, zawroty głowy, powodującą słabość gorączkę.

Powodem raczej było poczucie zmarnowanych szans. Dokonania niewłaściwych wyborów.

Coś, co kiedyś miało znaczenie, po prostu uciekło. Zostało zaprzepaszczone.

– Nie mam wyrzutów sumienia – powiedziałem pojednawczo. – Zatrzymaj.

–Bo?

– Trudno jest oglądać film, prowadząc.

–Film?

– Daj laptopa. Coś ci puszczę.

Nagranie dokonane zostało najprawdopodobniej za pomocą telefonu komórkowego, bo jego jakość pozostawiała wiele do życzenia. Wojtyński siedział na zwykłym drewnianym krześle ustawionym na tle szarawej ściany. Miał na sobie znoszoną wojskową bluzę. Pomieszczenie było kiepsko oświetlone.

Ten, kto trzymał komórkę, najwyraźniej nie należał do ludzi szczególnie cierpliwych, bo obraz chwiał się i kiwał w obie strony.

Wszystkie te drobiazgi bledły jednak przy treści przekazywanej przez siedzącego na krześle człowieka.

– Nazywam się Janusz Wojtyński, mam stopień majora. Dowodzę Pierwszym Samodzielnym

Batalionem Rozpoznawczym Armii Krajowej, utworzonym na bazie jednostki powstałej w sierpniu 2007 roku oraz zaciągu z szeregów młodych żołnierzy Armii Krajowej. Jest 17 czerwca 1944 roku.

Pauza.

– Trwają przygotowania do zbrojnego przejścia Warszawy z rąk Niemców. Nie jestem pewien, jak to się odbędzie, mój wpływ na kierownictwo Armii Krajowej po śmierci generała Roweckiego zmniejszył się znacznie. Mnie i moim ludziom wyznacza się marginalne zadania. Jednak nie to jest najistotniejszą treścią mojego komunikatu.

Pauza.

– Jest oczywiste, że fakt pojawienia się jednostki wojskowej z przyszłości wzbudził zainteresowanie mocarstw. Pomimo podejmowanych przez nas prób uszczelnienia obiegu informacji zarówno służby niemieckie, jak i sowieckie dysponują stosunkowo dużą wiedzą na temat nie tylko naszych możliwości taktycznych, ale również technologicznych. Z oczywistych względów przedmiotem najwyższego zainteresowania jest emiter pola siłowego, tak zwany MDS, umożliwiający

skoki w czasie. Już niedługo, po spełnieniu warunków wynikających z umowy, prześlemy go Amerykanom. Jednak, szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy nawet w Stanach Zjednoczonych emiter przestanie być przedmiotem gry wywiadów. Jestem w zasadzie pewien, że nie przestanie.

Pauza.

– Obaj nasi sąsiedzi na obecnym etapie wojny są zainteresowani przejęciem tej technologii – z nieco innych powodów. Niemcy przegrywają. Nie sądzę, by nawet gdyby udało się przejąć emiter, starczyło im czasu, by rozszyfrować technikę tkwiącą w tym urządzeniu i zaprząć ją do rydwanu Rzeszy.

Głos z offu:

– Poeta z ciebie. Rydwanu Rzeszy...

Śmiech. Brzmiący znajomo. Jamróż?

– Cicho. To poważne wystąpienie.

Wojtyński próbował zachować kamienną twarz, ale w końcu też się uśmiechnął. Po chwili spoważniał.

– Sądzę, że bez pomocy fachowców z XXI wieku przerasta to możliwości Niemców, czy może generalnie: ludzi współczesnych. Czym innym jest natomiast wykorzystanie emitera do podróży w czasie. W przeszłość, by spróbować nieco inaczej pokierować losami wojny, czy może raczej, będąc wyposażonym w wiedzę, wpłynąć na Hitlera, by pokierował nieco inaczej losami wojny, albo w przyszłość... Tu możliwości jest wiele, nie będę ich w tej chwili rozpatrywał. Ale próba skoku na przykład w nasze macierzyste czasy i przejścia choć części nowoczesnego uzbrojenia mogłaby nawet jeszcze na tym etapie zmienić przebieg konfliktu.

Pauza.

– Sowietom do sprawy podchodzą inaczej, moim zdaniem daleko poważniej i bardziej długofalowo. Nie zrezygnowali z planów podboju Europy i narzucenia jej bolszewizmu. Osobiście sądzę, że nie zrezygnują, dopóki będzie istniał Związek Sowiecki. Przyczyna jest prosta: mogą na dłuższą metę istnieć tylko w ten sposób, że ich sąsiadami, dalszymi i bliższymi, będą również państwa o ustroju komunistycznym. Etap pierwszy został przegrany, Niemcy trzy lata temu uprzedzili sowiecki atak. Cios był na tyle silny, że Sowietom nie są w stanie podporządkować sobie Europy. Pokonają Niemcy, ale dalej pójść nie dadzą rady, alianci zachodni stanowią zbyt dużą potęgę. Co jednak nie znaczy, że Rosjanie zrezygnowali ze swoich planów. Wprost przeciwnie. Mam sygnały, że ich działania się nasilają. Emiter jest dla nich szansą na powrót do punktu wyjścia, i to wyposażonych w wiedzę o rzeczywistym rozwoju wydarzeń.

Pauza.

– W zeszłym roku stoczyłem batalię z kilkoma agentami sowieckiego wywiadu, którym udało się podejść na tyle blisko, by niemal doprowadzić do przechwycenia emitera. W ramach operacji „Jutrzenka” przejęli część systemu, mianowicie reaktor atomowy, i nawet wywieźli go do Moskwy w celu przeprowadzenia badań. Reaktor był zaminowany, sądzę, że wybuchł przy próbie otwarcia. Po

tym fakcie sowieckie działania nie ustały. Wręcz przeciwnie: od kwietnia ubiegłego roku do teraz udało mi się schwytać lub zlikwidować siedmiu agentów GRU. Mają nieograniczone środki finansowe, mają w Polsce swoich popleczników, coraz bardziej wgryzają się w strukturę społeczną. Ich zadaniem jest namierzenie lokalizacji emitera i przechwycenie go. Z informacji uzyskanych od tych ludzi wynika, że siatka w Polsce obejmuje kilkudziesięciu ludzi, nie licząc wielu informatorów i wtyczek zarówno w strukturach AK, jak i Gestapo. Sowieci silnie inwigilują Niemców, a zwłaszcza postępy Gestapo w tropieniu mojego oddziału. Od jednego z wysoko postawionych pracowników GRU wiem również, że mają silnie rozbudowane siatki agentów w Stanach Zjednoczonych, które przeniknęły do struktur amerykańskiego wywiadu oraz ochranianych przezeń techników z niegdysiejszej obsługi MDS-u. Z wiadomych względów fachowcy z obsługi systemu są dla Sowietów tak samo ważni jak sprzęt.

Pauza.

– Reasumując. Ani Gestapo, ani GRU nie zrezygnowało z planów przejścia MDS-u. Przeciwnie, działania obu organizacji prowadzone są bardzo energicznie. Mają różne natężenie i sposoby pozyskiwania informacji, ale stanowią ogromne zagrożenie dla Polski i polskich interesów. Charakterystyczny jest fakt, że zasada działania emitera niweluje w pewien sposób moment przechwycenia go. Z pewnego punktu widzenia na uruchomienie wehikułu czasu nigdy nie jest za późno, bo przecież można cofnąć się w czasie i spróbować odwrócić bieg wydarzeń. Osobiście sądzę, że zagrożenie nie minie nawet w czasach, z których ruszyliśmy, czyli w XXI wieku. Wynalezienie tego piekielnego urządzenia pozwala na manipulacje, których skutki mogą być długofalowe. Można wyobrazić sobie sytuację, że przyszłość wygląda całkiem inaczej niż ta, którą opuściliśmy pięć lat temu. Dlatego kluczowe jest ochronienie emitera przed dostaniem się w niepowołane ręce. Szczerze mówiąc, najkorzystniejsze byłoby zniszczenie go, w optymalnym wariantcie, po powrocie do roku 2007. Jestem jednak pewien, że Amerykanie nie zdecydują się na taki krok.

Nagranie się urwało. Ekran laptopa jeszcze przez chwilę lśnił błękitno, po czym pociemniał.

Wiatr targał samochodem. Czułem, że mam coraz większą gorączkę. Włożyłem ogromny wysiłek w zachowanie przytomności umysłu.

– Karkołomne.

– Dość karkołomne. Ale trzyma się kupy.

– GRU mota operację „Jutrzenka”. Wojtyński nie daje się wywieść w pole. Jednak „Jutrzenka” trwa nadal. Sowieccy agenci próbują uderzyć w nas w Stanach. Niemal im się udaje, tyle że likwidując ich agenta, zakłócasz ich akcję. Udaje nam się zwać, to znaczy przenieść się do 2012.

–Tak.

– Tamci dalej nie rezygnują. Ponieważ wiedzą – przypuśćmy, że w tym wypadku źródłem ich wiedzy jest ta szumowina Cupryś, który wygadał wszystko Niemcom, a ci z kolei przekazali informacje, świadomie albo nie, Sowietom – że naszym punktem startu był rok 2007. Więc zostawili w archiwum, z odpowiednią adnotacją, informację, że począwszy od takiej i takiej daty, może się

pojawić nasza wesoła gromadka wraz z emiterem. W okolicy punktu, z którego wystartowaliśmy, zostaje założone stanowisko obserwacyjne. Albo obserwacja jest prowadzona z satelity. Albo jeszcze jakoś inaczej. Nie jestem na bieżąco z najnowszymi powieściami szpiegowskimi.

– Jest prowadzona obserwacja – przytaknąłem. Sposób jej prowadzenia był w tej chwili mało istotny.

– Zjawiamy się. Siatka wszczyna alarm. Mobilizuje swoich ludzi, co, jak przypuszczam, nawet w Stanach dla ruskiego wywiadu pewnie nie jest jakimś problemem. Pytań mam tyle, że nawet sam nie wiem ile.

– Pytaj. Byle szybko.

– Po pierwsze: dlaczego nie podgrandzają nam emitera w Stanach?

– Nie wiem. Mogę zgadywać.

–Wal.

– Chcą, abyśmy wzięli na siebie ryzyko transportu do Polski. Sam wiesz, ile nas to zachodu kosztowało.

– Nas? – zdziwił się uprzejmie.

To on, ryzykując aresztowaniem, przekupił najpierw kilku pracowników firmy kurierskiej, a potem ważnego funkcjonariusza amerykańskiej służby celnej. Kontener z emiterem zaplombowano, opatrzone naklejką „Sprzęt komputerowy i części elektroniczne”, po czym załadowano do firmowego samolotu.

– Ciebie.

– Już lepiej. A po drugie?

– Emiter potrzebny jest im w Polsce. Albo w Rosji. A Polska leży trochę bliżej Rosji niż Stany.
– Taaa. – Zamyślił się na chwilę.

Ruch na szosie był minimalny. Wolnym krokiem nadchodził zmierzch. Mżawka przyniosła ze sobą mgłę. Widoczność znacznie się pogorszyła. To mogła być dla nas sprzyjająca okoliczność.

– Pytanie drugie: co ma wspólnego operacja GRU sprzed siedemdziesięciu lat i obecnymi czasami? Związek Sowiecki już dawno nie istnieje.

– Nie mam pojęcia. Może chodzi o jakieś interesy. A może po prostu o przechwycenie technologii.

– Taaa. Może rzeczywiście łatwiej gwizdnąć ją nam niż Amerykanom. Tyle tylko, że to trochę dziwne.

– Tu są same dziwne rzeczy.

– Jeżeliby GRU miało po prostu zlecenie na przechwycenie emitera, nie bawiłoby się w porwania i tak dalej. Wywiozłoby klamotę w poczcie dyplomatycznej, gdzieś w tajnym ośrodku fachowcy rozebraliby go na śrubki i dokładnie zbadali. Żaden Galaś nie byłby im potrzebny.

– Chyba że chcą emiter uruchomić.

– Operacja może mieć zupełnie inny cel, niż myślimy.

– Mam kłopoty z myśleniem.

– Jak zawsze. Pytanie trzecie: co ma z tym wspólnego zamach na lotnisku?

– Może nic. Ale trąci mi to klasyczną operacją odwracającą uwagę.

– Że niby robi się burdel pierwszej klasy i nikt nie ma głowy do kradzieży emitera?

– Dokładnie.

– A więc jednak.

–No?

– Mieliśmy zginąć w strzelaninie.

– Albo mieliśmy zostać zidentyfikowani przez terrorystów i przekazani Rosjanom. Aby pomóc przy uruchomieniu emitera.

– A więc porwanie dzieciaków jest planem B?

– Tak mi się zdaje. Uciekliśmy z lotniska, czego nikt nie planował. Nasi przyjaciele z GRU stracili nad nami kontrolę. Mieli emiter, ale nie mieli nas. Ale my, jak to my, popełniliśmy błąd. Zamiast zwać gdzie pieprz rośnie, zostawiliśmy dzieciaki w hotelu, a sami pojechaliśmy szukać emitera. No więc dzieciaki zostały porwane i GRU odzyskało kontrolę. Okazało się, że do uruchomienia emitera jest potrzebny Galaś. No więc zadzwonili do niego nad ranem, powiedzieli, co zrobisz Rozalce albo Johny'mu, jeśli nie zgodzi się spełnić ich żądań. Ubrał się i zniknął. W tej chwili pewnie uruchamia, albo już uruchomił, emiter.

– Tak. Ładnie się składa. Idźmy dalej. Dlaczego akurat Borne Sulinowo?

– Najwygodniejsza przykrywka. W miejscu takim jak to każda firma, która daje ludziom pracę, jest na wagę złota. Założę się, że żadnej władzy do głowy nawet nie przyjdzie się dopytywać, czym tak naprawdę zajmuje się firma Gordek i Wspólnicy. A jeżeli są to goście, o których myślimy, to Borne ma jeszcze jedną zaletę: o ile się zna podziemia, można tu ukryć dosłownie wszystko, co się chce. A ci goście je znają, mogą się założyć.

– Złożmy to do kupy. Emiter, Borne, podziemia, Rosjanie, GRU. Co jest na końcu równania? I co ma wspólnego z „Jutrzenką”?

Powiedziałem mu.

Nie miałem żadnych dowodów, żadnych bezspornych faktów, które podpierałyby mój domysł. Plotki, pogłoski, urywki dawno zasłyszanych nieoficjalnych informacji. To wszystko.

Ale byłem pewien, że mam rację.

Co więcej, mój wieloletni przyjaciel, kapitan wojsk lotniczych Jan Wieteska nie protestował. Kilka prostych zdań najwyraźniej przemówiło mu do wyobraźni. Spojrzał na mnie tak, jak jeszcze nigdy na mnie nie patrzył.

– Jeżeli masz rację, to jest najpoważniejszy problem, z jakim mieliśmy do tej pory do czynienia. Poważniejszy niż cała ta wojna, w której jeszcze niedawno walczyliśmy. I nasze dzieci nie są w tym niestety najważniejsze.

– Niestety.

– Najpewniej przy tym zginiemy.
– Prawdopodobnie.
– Jestem pod wrażeniem twojej argumentacji. Jaki mamy plan?
– Mapa – odparłem. – I notatki. Potem plan.
– A ja będę prowadził.
– Najpierw musimy zrobić zakupy
– Leżałeś w tym szpitalu przez parę godzin. Nudziło mi się. Mamy cały bagażnik różnych klamotów.

– Skąd wiedziałeś, co kupić?
– Ryzyk–fizyk. Ale założę się, że trafiłem.
Trafił, a jakże.

Potężne, wytrzymałe latarki z solidnym zapasem baterii. Zestaw lin taterniczych i rozmaitego osprzętu. Dwa lekkie plecaki. Kompas. GPS. Zapas jedzenia i wody. Dwa niekrępujące ruchów czarne kombinezony. Dwie pary wygodnych butów.

– Trochę przejrzałem notatki twojego nieżyjącego kumpla. I mapkę. I jakoś tak wpadłem na to, że możemy potrzebować światła i ubrania, które będziemy mogli śmiało wyrzucić po robocie.

– Daj mi te notatki. I mapę.
– Mogę ci powiedzieć, co tam jest.
– Po prostu daj. I jedź.

Sięgnął do tyłu i podał mi dwa zeszyty oraz złożony na czworo arkusz papieru. Zapaliłem górną lampkę i zagłębiłem się w lekturze.

Nawet nie zauważyłem, kiedy dojechaliśmy na miejsce. Samochód po prostu stanął, a ja ocknąłem się z zamyślenia. Panowały kompletne ciemności.

Rozejrzałem się.
– Gdzie jesteśmy?
– Bunkier oznaczony jako „W”.

Zerknąłem na mapę. Zaznaczone na niej obiekty, korytarze i magazyny zlały się w jedną nieokreślonego koloru plamę o nieostrych konturach. Było pewne, że tym razem nie odegram żadnej roli jako przewodnik wycieczki.

– Wejście?
– Nie przekonamy się, dopóki nie sprawdzimy. Miałeś opowiedzieć o swoim planie.
– Opowiem, jak go wymyślę.

Ponieważ nie było to nic nadzwyczajnego, Wieteska po prostu wzruszył ramionami.

Wysiadłem i natychmiast wstrząsnął mną deszcz. Podmuch wiatru przyniósł chłód i wilgoć; deszcz nie padał, ale mgła nasączyła powietrze miliardami drobnych kropelek wody. Widoczność sięgała najwyżej dziesięciu metrów.

Dookoła szumiał sosnowy las. Droga, którą przyjechaliśmy, po paru krokach niknęła w ciemności. Przed samochodem majaczyła jakaś budowla o nieokreślonych kształtach. Mogła mieć wielkość kiosku z gazetami lub kilkupiętrowego bloku.

Wieteska także wysiadł, po czym otworzył klapę. Wyposażenie, popakowane w torby i równo ułożone, zajmowało niemal całą wolną przestrzeń bagażnika. Wieteska podał mi jeden z kombinezonów.

– Firma Gordek i Wspólnicy posiada na własność duży magazyn, tuż koło lotniska. Według notatek twojego przyjaciela, jest bardzo możliwe, że stamtąd, gdzieś z piwnic, prowadzi jedno z wejść do podziemi.

– To więcej niż możliwe. Nie wyobrażam sobie takich magazynów bez piwnic czy nawet solidnych schronów przeciwlotniczych. Ale tamtędy raczej bym nie próbował.

– Poważnie? – Wskazał na majaczący w ciemności bunkier. – Tutaj jest drugie odkryte przez Kolberga wejście.

– Gdzie my właściwie jesteśmy?

– Dawny bunkier łączności. – Johnny dociągnął suwak kombinezonu, po czym na dachu samochodu rozłożył mapę i poświecił latarką. Pokazał jeden z punktów w samym środku lasu. – Jakies półtora kilometra od magazynów pana Gordka i partnerów.

– Takich wejść powinno być tu więcej.

– Twój kumpel odkrył dwa. W notatkach jest mowa o planach dalszej eksploracji podziemi. Podejrzewał, że...

– Czytałem. Podejrzewał to samo co my.

– I co się pięknie składa.

Nie odpowiedziałem. Jeżeli odkrył to, co my zaraz odkrywamy, i spotkał go taki koniec... .. to jaki spotka nas?

Włożenie kombinezonu zajęło mi więcej czasu niż Wietesce. Byłem zeszytniały, obolały i trawiony gorączką. Ręka płonęła i bolała przy każdym ruchu. Doszło do tego, że Wieteska musiał zasnurować mi buty i spakować plecak. Przypasałem kaburę, włożyłem do niej glocka i zapasowe magazynki. Za pasek zatknąłem latarkę. Johnny przełożył przez ramię zwój liny, drugim identycznym obarczył mnie.

Zakręciło mi się w głowie. Oparłem się o samochód.

– Powinienem pójść sam – powiedział Wieteska. W czarnym kombinezonie, zrolowanej na głowie kominiarce i z glockiem w kaburze na nodze wyglądał jak żołnierz sił specjalnych. Ze swoim wojennym doświadczeniem był nim zresztą. – Nie nadajesz się do nocnych wypraw w nieznane.

– Dam sobie radę – odparłem.

Johnny nie protestował. Składając propozycję, spełnił obowiązek. Wiedział, że gdyby sytuacja była odwrotna, żadną siłą nie odwiódłbym go od próby odzyskania najbliższych. Szkoda było czasu na dyskusje. I tak zbyt wiele go straciliśmy przez mój pobyt w szpitalu.

Dobylem zza pasa latarkę i zapaliłem ją. Szeroki snop światła wydobył z mroku budowlę. Nie była ani kioskiem, ani blokiem. Po prostu parterowy betonowy barak, długi może na dwadzieścia metrów.

Kilka okien, czy raczej ziejących pustką otworów. Wejście także pozostawiało wiele do życzenia – odrzwia zostały ukradzione wieki temu, framuga wyrwana z korzeniami. Nieznany poszukiwacz skarbów zdołał nawet w paru miejscach ukruszyć beton.

Ruszyliśmy.

Pierwsze pomieszczenie za wiatrołapem było stosunkowo niewielkie, może dwadzieścia metrów kwadratowych. Oświetliłem je – surowe betonowe ściany pomazane graffiti, betonowy sufit i podłoga z masą niezidentyfikowanych szczątków walających się tu i tam. Martwota i opuszczenie aż biły z tego miejsca.

Zgodnie ze wskazówkami odnalezionymi w notatkach Staszka przeszliśmy dalej, do drugiego pomieszczenia. Stamtąd prowadziły schody do piwnicy. Gdy zeszliśmy, obliczyłem, że znajdujemy się jakieś cztery, najwyżej pięć metrów pod powierzchnią gruntu.

Byliśmy w komorze, długiej i wąskiej kiszce, której dalszy ciąg niknął za zakrętem. Wieteska ruszył pierwszy. Stłumione, krótkie echo odbijało młaińnięcia podeszew na wilgotnym betonie; nastrój wyprawy robił się coraz bardziej kompatybilny z naszymi osobistymi odczuciami.

Miałem ponadto nieodparte wrażenie, że ktoś nas obserwuje.

Za zakrętem piwnica przekształcała się w wąski korytarzyk. Strop miałem niespełna dziesięć centymetrów nad głową. Przeszliśmy kilkanaście kroków i byliśmy zmuszeni się zatrzymać. Gdy docierasz do betonowej ściany, z reguły jest ona dość istotną przeszkodą w płynnym ruchu naprzód.

– Co teraz? – zapytałem.

Albo przeoczyłem, albo zapomniałem ten fragment notatek. Miałem nadzieję, że Johny lepiej ode mnie orientuje się w sytuacji.

– Patrz. – Wieteska oświetlił latarką ścianę.

Cztery niewielkie otwory, jak po kołkach do zawieszania książkowych półek.

– Widzę. I co z tego wynika?

– Dasz radę mi pomóc?

– Byle nie wymagało użycia dwóch rąk.

– Będziesz pchał jedną z siłą dwóch.

Johny wyjął z plecaka trzy grube i długie śrubokręty. Wetknął je w otwory i spojrzał na mnie zachęcająco. Odłożyłem latarkę.

– W prawo.

Popchnęliśmy. Betonowa ściana, która sprawiała wrażenie, że nie ruszyłoby się jej inaczej niż za pomocą pokażnej ilości materiału wybuchowego, z lekkim zgrzytem przesunęła się, odsłaniając niezgłębioną czarną czeluść. Wieteska spojrzał na mnie przelotnie i uśmiechnął się.

– Już? Tajemnicze wejście do rzekomo nieistniejącego miasta jest po prostu ścianą, którą można odepchnąć ręką?

– Po pierwsze trzeba wiedzieć, że się rusza. Z zewnątrz na to nie wyglądało, no nie? Po drugie, to nie jedyna przeszkoda.

– Będą dalsze niespodzianki?

– Rozliczne.

Podniosłem z podłogi latarkę. Z ciemnej czeluści wionęło stęchlizną i wilgocią. Wejście do niej było ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę. Mimo to wszedłem jako pierwszy.

– Zostawiamy otwarte?

– A da się otworzyć od wewnątrz?

– Da się – powiedział Wieteska, studiując fakturę ściany od wewnętrznej strony. Były w niej takie same otwory.

– Zamykamy – zdecydowałem.

Ruszyliśmy, gdy echo odbijało jeszcze huk powracającej na miejsce płyty. Przypomniały mi się rozmaite filmy przygodowe, których bohaterowie, wchodząc do podziemi, byli z reguły zatrząskiwani w tych podziemiach na amen przez rozmaite mechanizmy – sprężyny, systemy bezwładnościowe, im odleglejsze w czasie, tym bardziej wyrafinowane – i nie powiem, by to wspomnienie dodało mi otuchy. Jednak gorączka i pragnienie jak najszybszego zakończenia wyprawy – nie brałem nawet pod uwagę innego rozwiązania niż sukces – pomogły skutecznie odgonić przepływające przez głowę obrazy. Przemknęło mi przez myśl, że gdy nie uda mi się odzyskać Johnyego, nie będzie najgorszym z rozwiązań pozostanie tutaj na zawsze. Gdy zaś Johnyego odnajdę i wyrwę z łap porywaczy, nadzieja będzie motorem działania i wtedy z pewnością znajdę alternatywne wyjście.

Wieteska szeleścił mapą.

– Wiem, gdzie jesteśmy. A ty wiesz, czego szukamy?

– Korytarza na tyle szerokiego, by zmieściło się kilka wieloosiowych ciągników z naczepami. Ten korytarz musi mieć wyjazd na zewnątrz.

– Może nie musi? Może odpalą emiter tutaj? Po co się pokazywać na zewnątrz, i to jeszcze z takim towarkiem?

– Ryzykowałbyś odpalenie pola siłowego wewnątrz tych murów?

– Nie wiem. Nie znam się na tym.

– Ja bym nie próbował. Pola siłowego chyba nie da się spłaszczyć. Ma kształt kopuły o kolistej podstawie. Koło można zmniejszać lub zwiększać, ale musi pozostać kołem.

– Więc gdzie to zrobić?

– Magazyny mają koło lotniska. Nieczynne lotnisko to otwarta przestrzeń i nikt nie przeszkadza.

– Tam się powinniśmy zasadzić.

– Część terenu należy do nich. Na pewno mają kamery i inne zabawki. A resztę patrolują strażnicy. Zwłaszcza jeżeli się nie mylimy i na przykład na dzisiejszą noc zaplanowali start. Na zewnątrz nie mamy szans we dwóch i, z tym uzbrojeniem.

- A te cholerne kazamaty zwiększają nasze szanse?
- Może ich zaskoczymy.
- Może?
- Zlikwidowali Staszka. Przegapili zeszyt z notatkami.
- Pachnie amatorszczyzną?
- Nawet GRU popełnia błędy.
- Więc czują się bezpieczni.
- Na to liczę.
- I trzymają tu dzieciaki?
- Możliwe. Oby.

Wieteska oderwał się od rozmowy i ponownie spojrzał na mapę.

- Stacja kolejowa.
- Słucham?
- Na mapie jest zaznaczona podziemna stacja kolejowa. Długa na co najmniej trzysta metrów.

Szeroka na pięćdziesiąt. Zmieścisz tam nie kilka, ale kilkadziesiąt ciężarówek. Prowadzą od niej dwie linie, przeciwbieżnie. Obok jest od cholery różnych pomieszczeń, niektóre na kilka kondygnacji w głąb. Można tam ukryć dywizję wojska, a nie parę dzieciaków. Staszek zdążył, zdaje się, spenetrować tylko małą część. Przeszukanie tego zajmie nam pół życia.

- Może nie będzie trzeba.

Spojrzał na mnie z zainteresowaniem, ale nie rozwijałem tematu. Niewielki przedmiot, który ongiś wymontowałem spod podwozia voyagera, tkwił w plecaku. Nie byłem pewien, czy na pewno działał tak głęboko pod ziemią, otoczony tyloma warstwami zbrojonego betonu. Jednak szczerze mówiąc, liczyłem na to. Jeden z fundamentów mojej nadziei na szczęśliwie zakończenie opierał się na założeniu, że urządzenie to jest niezawodne.

- Jak daleko jesteśmy od stacji?
- Jakies półtora kilometra.
- To już.
- Panie przodem.
- Nie tym razem.

Ruszyliśmy ponownie, teraz z kapitanem w roli przewodnika.

Szliśmy sklepionym łukowato szerokim korytarzem. Na stropie w regularnych odstępach wisały dawno umarłe lampy. Powietrze było niesamowicie zatęchłe i wilgotne, a przy tym zimne. Para wydobywająca się z ust tworzyła w świetle latarek całkiem ciekawe kompozycje przestrzenne; gdybym miał czas na staranniejszą obserwację, z pewnością uznałbym je za warte uwiecznienia.

Ale nie miałem. Byłem skupiony na obserwacji drogi przed sobą oraz stanu własnego organizmu. Stan ten pogarszał się w zauważalny sposób; jeszcze po wyjściu ze szpitala, choć czułem się zamroczony działaniem środków przeciwbólowych, mogłem w miarę normalnie działać. Teraz każdy krok sprawiał trudność. Czułem, że zbliżam się do granicy, kiedy posuwanie się do przodu będzie możliwe dzięki silnej woli, a nie motoryce i sprawności organizmu. O silną wolę byłem spokojny, dawno nie miałem takiej motywacji; jednak nawet najsilniejszy duch musi być choć w minimalnym stopniu wyposażony w środki, za pomocą których realizuje wytyczne podyktowane przez wolę. Gdy gorączka i ogólne spowodowane zakażeniem osłabienie wyłączą w końcu mięśnie, środków zabraknie.

Tytułem próby wyciągnąłem przed siebie lewą rękę. Pomijam fakt, że nie byłem jej w stanie podnieść na wysokość oczu; drżenie dłoni było widoczne nawet w tych ciemnościach i pomimo migających przed oczyma kolorowych plam. Od dłoni do barku właściwie nie czułem nic poza bólem, co gorsza, promieniującym w głąb ciała.

Rzucane przez latarki plamy światła spowodowały, że zrobiło mi się niedobrze. Zachwiałem się tak mocno, że uderzyłem zdrowym ramieniem o ścianę. Wieteska zdążył oddalić się już o dobrych kilka kroków. Oparłem się o zimny beton i ciężko oddychałem. Puls oscylował zapewne w okolicach stu uderzeń na minutę.

Rozejrzałem się. Gdzie właściwie jestem? Czemu obraz przed oczami buja się i chwieje?

Usłyszałem zbliżające się kroki, które nagle, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia zaczęły brzmieć niczym wystrzały artyleryjskie. Czułem się, jakbym siedział na dnie studni podczas burzy. Kołysanie i huk.

Grzmot zbliżył się i zaświecił w oczy z siłą tysiąca słońc.

– Chyba nadszedł czas – zagrzmiało.

O czym mowa? Czegóż chce ode mnie ten grzmiący i miotający pioruny olbrzym? Nie wiadomo. Czy nie wie, nie zdaje sobie sprawy, że kluczową kwestią w tej sytuacji pozostaje położenie się spać? Odpoczynek. Nie znaczy to, że przestały mnie zajmować kolorowe wzory, tak pięknie układające się przed oczami. Nie. Po prostu muszę dać odpocząć umęczonym nogom.

Ale intruz nie myślał o odpoczynku. Grzmoty ustały, po kilku tygodniach, a może miesiącach rozległ się zgrzyt, jakby rozdzieranej blachy, coś zaszurało głośno, potem poczułem dwie głuche detonacje.

Nie wiem, czy stałem, czy siedziałem. Miałem zamknięte oczy, bez tego blask pewnie by mi je wypalił. I tak czułem ból idący od oczodołów w głąb czaszki. Być może mój mózg właśnie się gotował.

– Nie ruszaj się – usłyszałem gromowy grzmot.

Chętnie zatkałabym uszy, ale czułem się, jakbym siedział w beczce melasy. Nie byłem pewien, czy ruszam się naprawdę, czy tylko wewnątrz wyobraźni. Echo jeszcze kilkakrotnie wepchnęło mi w uszy treść przed chwilą wypowiedzianych słów.

Poczułem ucisk na szyi, przez kilka tygodni nic się nie działo, po czym ktoś zaczął mnie przypalać rozgrzanym do czerwoności żelazem. Nie zdążyłem zareagować, obronić się, wykrzyczeć protestu...

... gdy płynny ołów wdarł się do wnętrza mojego organizmu...

... i zaczął krążyć, siać spustoszenie, zagarniać coraz to nowe tereny...

... aż w końcu odzyskałem siły na tyle, by go powstrzymać, stoczyć zwycięską walkę, batalię zakończoną niekwestionowaną wiktoria...

Otworzyłem oczy.

Światło latarki skierowane w bok nie raziło. Grzmoty ucichły, słyszałem normalne odgłosy ludzkiej krzątania: szelest materiału, zgrzyt plecakowego suwaka, oddech.

Poczułem przypływ energii. Ból zmniejszył się znacznie, gorączka jakby spadła; w każdym razie nie przeszkadzała tak bardzo. Ustało drżenie rąk. Gdy się podniosłem, czułem, że znów panuję nad własnym ciałem, jestem w stanie nim kierować, zmusić do wykonywania poleceń generowanych przez mózg.

Myśli odzyskały dawną klarowność.

– Co się stało? – zapytałem.

Wydobyty z krtani głos był matowy i schrypnięty, ale słowa dało się zrozumieć: odzyskałem więc także zdolność komunikacji.

– Odjechałeś. Myślałem, że to koniec – stwierdził stojący o krok niewysoki mężczyzna.

Przypomniałem sobie: kapitan Jan Wieteska. Przyjaciel.

– Koniec?

– Że mi tu zejdziesz, w tej piwnicy.

– I co? Stał się cud?

– Ten cud nazywa się moja zapobiegliwość. W szpitalu lekarze za nic nie chcieli się zgodzić, żeby cię puścić. Powiedzieli, że mogą być właśnie takie skutki. Wiedziałem, że prędzej zwiejesz, niż dasz się zatrzymać...

– Słusznie.

– Więc pogadałem sobie w cztery oczy z jednym chirurgiem. Bardzo rozsądny gość. Zapytałem go, co może doradzić, gdy stanie się właśnie to, co się stało przed chwilą. Zdradził mi w sekrecie, że w takich przypadkach można delikwentowi zaaplikować adrenalinę w zastrzykach. Czasami używa jej wojsko. Znajdujesz żyłę albo tętnicę szyjną i wstrzykujesz. Pacjent staje na nogi i może działać.

– I dał ci? Ten chirurg?

– Musimy się zbierać. Ta dawka nie podziała zbyt długo. Załatwiamy, co mamy załatwić, a potem jedziesz do szpitala.

Posłusznie wstałem, poprawiłem plecak, klepnąłem się po kaburze. Niedawne majaki były tylko złym wspomnieniem.

– Dzięki. Możemy iść.

– Nie dał mi, tylko po długich namowach zgodził się sprzedać – odparł Wieteska, gdy uszliśmy kilkadziesiąt kroków. Widziałem ostro i wyraźnie, kroki brzmiały normalnie, latarki oświetlały drogę.

Wszystko wróciło do normy. – Tak na oko liczę, że cena była skalkulowana na poziomie pięciuset procent rynkowej.

– Oddam ci.

– Bez łaski.

– No to nie.

– Niewdzięcznik.

– Daleko jeszcze?

– Zaraz będziemy skręcać.

Rzeczywiście po może stu metrach korytarz gwałtownie skręcił w prawo i zaczął opadać w dół. Wieteska zatrzymał się i zdjął plecak.

– Trochę ostrożności nie zawadzi. Jak się czujesz?

– Żyję.

– To najważniejsze.

Wyjął rolkę szerokiej nieprzezroczystej taśmy samoprzylepnej, oderwał cztery solidne kawałki, po czym zakleił szybkę latarki, redukując światło o cztery piąte. Po chwili również moja latarka świeciła z mocą niewiele większą od energicznego robaczka świętojańskiego. Johny ponownie sięgnął do plecaka i wyciągnął z niego dwa noktowizory. Gdy założyłem na głowę urządzenie i włączyłem je, świat się zazielenił.

Dobylem glocka i sprawdziłem magazynek. Wszystkie naboje znajdowały się na miejscu. Wieteska przyglądał się w milczeniu moim przygotowaniom.

Daleki dźwięk.

Jakby uderzenie młotem w szynę. Echo zniekształca szczegóły, jednak kierunek jest oczywisty.

Nie chowam pistoletu, Wieteska dobywa swój.

Ruszamy.

Dobylem glocka i sprawdziłem magazynek. Wszystkie naboje znajdowały się na miejscu. Wieteska przyglądał się w milczeniu moim przygotowaniom.

Daleki dźwięk.

Jakby uderzenie młotem w szynę. Echo zniekształca szczegóły, jednak kierunek jest oczywisty.

Nie chowam pistoletu, Wieteska dobywa swój.

Ruszamy.

ROZDZIAŁ VII

Pułapka

16 czerwca 1942, San Antonio

– Pięknie wyglądasz – powiedziałem.

Staralem się nadać swemu głosowi obojętne brzmienie, ale zdaje się, że nie bardzo mi wyszło. Nigdy nie wychodziło.

– Kłamczuszek. – Nancy uśmiechnęła się czule.

Była świetnym, wszechstronnie wyszkolonym żołnierzem, na niektóre tematy wiedziała znacznie więcej ode mnie, jej inteligencja była brylantowa; ale przede wszystkim pozostawała kobietą. A kobiety przywiązują wagę do swego wyglądu. W dziewiątym miesiącu ciąży uporanie się z własnym wizerunkiem naprawdę nie jest łatwe.

– Nie kłamię – odparłem.

Pocałowałem ją delikatnie i po raz setny dzisiaj dotknąłem wydęte go brzucha. Kosmita uwięziony wewnątrz poruszył się. Za tydzień wy chynie na świat. Mój syn.

– Faceci w połowie stanu za tobą szaleją.

Na to ona uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem, przeznaczonym tylko dla mnie. Była w nim duma, miłość i odrobiona zawstydzienia. A także szczypta szelmowskiej wesołości.

– Dziękuję – powiedziała po prostu.

A ja, żeby nie zrobiło się zbyt słodko, poderwałem się na nogi i podszedłem do okna. Dom, usytuowany przy jednej z najbardziej prestiżowych ulic San Antonio w Teksasie, należał do zamożnych, ale nierzucających się w oczy. Na pewno nie zależało nam, by zwracać na siebie czyjąkolwiek uwagę. Przed gankiem znajdowało się kilka metrów trawnika, dalej biegł chodnik, za nim ulica. Panował na niej wzmożony ruch, ale jedna rzecz była niezmienna. Samochód parkujący naprzeciwko. Dziś była to blaszana furgonetka jakiejś firmy hydraulicznej.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – zapytałem, przyglądając się przechodniom. Nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, że Nancy zaczęła obserwować mnie uważnie. Zmiana tonu, choć dla postronnych niezauważalna, dla mojej żony była wystarczająco wyraźna. – Trzy lata od największego punktu zwrotnego w dziejach, a nami nikt się nie interesuje?

Pytanie było naiwnie podchwytliwe, co, jak sędzę, Nancy doskonale wyczuła. Niemożliwe, by przez tyle czasu nie zauważyła siedzących nam na karku zespołów inwigilujących.

– Też o tym myślałam – powiedziała ostrożnie.

Gra między nami trwała od dawna.

Ciekawe, swoją drogą. Kochałem ją jak nikogo na świecie, miałem wrażenie, ba, pewność, że ona mnie również. Czuliśmy, że stanowimy dwie połowy całości, nie widzieliśmy świata poza sobą. Jeśli o mnie idzie, inne kobiety, choćby nie wiem jak atrakcyjne, inteligentne i dające do zrozumienia, że są gotowe iść na całość, mogłyby nie istnieć; dałbym głowę, że Nancy myślała podobnie. Nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. Naprawdę żadnych...

... prywatnie.

Natomiast na polu, że się tak wyrażę, służbowym toczyła się między nami rozgrywka o nie do końca określonych regułach. Nie do końca również identyfikowałem cele, które jej przyświecały. Jak wspomniałem, Nancy była żołnierzem, w stanie, można by rzec, spoczynku, ale miałem przemożne wrażenie, że ani na moment nie zapominała, jaka jest jej prawdziwa profesja i co za tym idzie, jakie są jej prawdziwe obowiązki względem kraju, któremu składała przysięgę.

Tak się składało, że był to kraj, w którym obecnie mieszkaliśmy. Ten sam, choć, hm, nie taki sam. Końcówki karkołomnej przygody wojennej we wrześniu '39 roku, naszej krótkiej zwycięskiejprzegranej kampanii nie pamiętałem, z tego prostego powodu, że w szczytowym okresie walk, kiedy zadawaliśmy miazdzące ciosy prącym w głąb Polski zagonom pancernym Wehrmachtu, zostałem ciężko ranny. Byłem nieprzytomny przez dwa tygodnie z okładem; z późniejszego okresu, szczerze mówiąc, także niewiele zapamiętałem. Wcześniej moi towarzysze podjęli decyzję o ewakuacji na Węgry i do Rumunii. Gdy ruszyliśmy drogą morską do Francji, a potem, po długim nerwowym oczekiwaniu w Marsylii, do Nowego Jorku, cierpiałem. Biodro, niemal zmiażdżone szrapnelem i cudem poskładane przez jednego z lekarzy dowodzonego przeze mnie oddziału, bolało przy każdej okazji. Bez okazji, szczerze powiedziawszy, także. Nie żebym się żalił. Ale moja forma fizyczna pozostawiała wiele do życzenia; niestety razem z nią na pewien czas zagubiłem też, jakby to powiedzieć, formę intelektualną. Toteż wtedy nie zajmowało mnie, w co tak naprawdę wdepnęliśmy.

Jakie konsekwencje miało to, czego dokonaliśmy.

Co mogłoby się stać, gdyby nasza wiedza i technika wpadały w ręce nie tylko wrogów, ale i – rzekomych czy prawdziwych – przyjaciół.

Jak mówią: Panie Boże, od przyjaciół mnie strzeż– z wrogami poradzę sobie sam.

Ale gdy doszedłem do formy i moje myśli przestały krążyć wokół dolegliwości fizycznych (wiem, wiem, byłem mięczakiem, typowym przedstawicielem swoich czasów) oraz banalnych problemów bytowych (dokumenty, legalizacja majątku, wybór miejsca pobytu, zakup nieruchomości, wykreowanie wiarygodnej legendy dotyczącej naszych życiorysów, przyswojenie sobie miejscowego akcentu i choćby pobieżne liźnięcie lokalnego, właściwego latom czterdziestym kolorytu obyczajowego), zacząłem się zastanawiać nad konsekwencjami.

To był długi proces, łańcuch skojarzeń, drobnych faktów, domysłów i hipotez. Po prostu puściłem wodze wyobraźni i spróbowałem wymyślić, jak wyglądało nasze pojawienie się na scenie dziejowej widziane oczami ludzi z czasów, w których przyszło nam żyć.

Wnioski, które wyciągnąłem, uderzyły mnie niczym kafar. Było niemożliwością, byśmy koniec końców pozostali niezauważeni. Toteż, paradoksalnie, widok parkującej po przeciwnej stronie ulicy furgonetki – nie zawsze była to furgonetka, czasami zwykle osobowe auto, zepsuty autobus, mobilny kram obwoźnego sprzedawcy – sprawił mi ulgę.

I zmobilizował do wzmożonej czujności, zwłaszcza że stanowiska mojej żony w tej delikatnej materii nie byłem w najmniejszym stopniu pewien.

–1? – zapytałem.

– Zauważyłam te zmieniające się samochody, jeśli o to pytasz.

Skrzywiła się nieznacznie, ale grymas raczej nie dotyczył samochodów. Po prostu piłkarz–kosmita śnił, podobnie jak ja kiedyś, o karierze w Manchesterze United i pięknie kopnął z woleja. Spędzał w ten sposób, zdaje się, trzy czwarte życia. Nancy już w tym momencie udowadniała, jak anielsko cierpliwą jest matką.

– I co to twoim zdaniem oznacza?

– Że ktoś nas śledzi.

Wzniosłem oczy do nieba w udawanym grymasie niesmaku. Zaczynała się nasza stara małżeńska gra: kto kogo przechytrzy. Oboje ją kiedyś uwielbialiśmy. Teraz, jeśli o mnie chodzi, nie bawiła mnie w ogóle. Może ze względu na temat.

– Poważnie? Że też na to nie wpadłem.

– Jesteś jak zwykle niezdolny

– Bo nie lubię, gdy uważasz mnie za durnia.

– Nie uważam. A więc ktoś nas śledzi...

– Kto?

– A więc z jakiegoś powodu wydajemy mu się istotni i godni marnowania czyjegoś czasu.

– Czyjego? I z jakiego powodu?

Powie? Nie powie?

– Mogę się tylko domyślać – powiedziała po chwili.

Widać, że starannie dobierała słowa, jednak wysiłki nie na wiele się zdały. Czytałem w niej jak w otwartej księdze. Może zaawansowana ciąża spowodowała, że nie umiała się maskować tak dobrze jak jeszcze kilka miesięcy temu.

–No?

– Przyjechali z nami wszyscy moi żołnierze i prawie cała ekipa techniczna. ..

– Z wyjątkiem tego dupka Örena.

– Z wyjątkiem doktora Michaela Örena, to prawda.

Dupki najczęściej irytowały mnie niezależnie od swojego stopnia naukowego.

– Więc któryś z nich...?

– Współpracuje z władzami? Możliwe.

– Przecież ustaliliśmy, że tego nie robimy. Oni nawet dostali od nas kasę na rozruch.

– Nie mogę gwarantować, że któryś z przeszło dwudziestu ludzi nie postąpi inaczej, niż się umówiliśmy.

– No dobrze – powiedziałem, konstatując z ulgą, że Nancy zdecydowała się jednak powiedzieć coś niecoś. – Załóżmy, że ktoś zdecydował się na współpracę z obecnymi władzami. Jaki mógłby mieć w tym cel?

– Mogę tylko zgadywać. – Wzruszyła ramionami. – Kasa, patriotyzm, nuda, frustracja, poczucie obowiązku... Sytuacja jest dość... ekstremalna, nie sądzisz?

– Może jest. Może rzeczywiście komuś się znudziła rutyna dnia codziennego. A może rzeczywiście postanowił pomóc wygrać wojnę swojej, trochę niegdysiejszej, ale zawsze, ojczyźnie. Ale jeżeli tak właśnie jest, ten ktoś powiedział o nas wszystkich. O tobie, o mnie i moich kumplach. I ci tajemniczy ktosie, na przykład przedstawiciele rządu tego pięknego kraju, zdając sobie sprawę, kogo mają w ręku, nie bawiliby się w żadne inwigilacje, tylko zwinęli nas ekspresowo i w hurtowych ilościach i zmusili po prostu do współpracy, prośbą albo groźbą, obojętne. Jeżeli już raz zdaliby sobie sprawę, kogo mają w ręku i co pozostało w Polsce, i skonfrontowali informacje z danymi wywiadu o naszych wyczynach, toby nie sterczeli na ulicy jak głupi, tylko działali. Na razie Japońce leją równo, w Pearl twoi krajanie ponieśli nawet większą klęskę, niż pamiętam z historii, więc to chyba jasne, że zrobiliby wszystko, żeby nas wykorzystać. Gdyby rzeczywiście zdawali sobie sprawę, kim jesteśmy.

– Masz rację – odparła, a ja po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że nie jest ze mną szczerą. Do tej pory coś ukrywała i nie o wszystkim mówiła. Teraz zaczęła kłamać. – Być może interesuje się nami policja po prostu. Prowadzimy rozległe interesy...

– Nasze interesy są w porządku – przerwałem jej. Być może odrobinę zbyt gwałtownie. – Zatrudniam dwa niezależne zespoły księgowych, wiceprezes jednego z banków dorabia sobie na boku w jednej z naszych spółek jako konsultant. Wszystko po to, by naprawdę nie było się do czego przyczepić.

– Więc może chodzi o coś innego.

–O co?

Pytanie zawisło w powietrzu. Zrozumiałem, że niczego więcej się nie dowiem. Nancy naprowadziła mnie na trop, ale dalej, o ile chciałem wyjaśnić zagadkę, musiałem iść sam.

Zastanawiałem się, czy warto.

27 września 2012, Borne Sulinowo

Czułem się świetnie.

Gdzieś na krańcach świadomości krążyła myśl, że to poczucie wywołane sztucznie, krótkotrwały stan mający za zdanie zamaskować faktyczny stan rzeczy. Cóż jednak z tego? Ręka prawie nie bolała, nie mogłem nią co prawda władać, ale przynajmniej przestała zawracać głowę swoimi problemami.

Posocznica, też coś. Durna sepsa. Myślało mi się klarownie i jasno, wrócił nawet optymizm. Może jego namiastka, może jakiś podły erzac optymizmu, niemniej po czarnych myślach, które poprzednio paraliżowały wolę działania, stanowił spory postęp. Chwilowo zaprzestałem wmawiania sobie, że ze względu na siły, przeciwko którym występuję, jakiegokolwiek próby odzyskania Johnny go skazane są na niepowodzenie. A nawet jeżeli nie, to życie z Johnym, ale bez jego matki, bez kobiety rozświetlającej zwykłym porannym uśmiechem prozę codziennego życia, będzie jałową, ponurą, w najlepszym razie pełną melancholii wegetacją.

Po prostu zmusiłem się do myślenia inaczej, w związku z czym zacząłem myśleć inaczej.

Dzieci są przyszłością, czy się tego chce, czy nie. Obojętnie: na ile wywiązałem się z obowiązków ojcowskich i czy prawidłowo rozegrałem ostatnie pięć lat; moje samopoczucie miało niewiele do rzeczy: mały, dwuletni świat mojego syna był w tej chwili najważniejszym ze światów.

Na tym właśnie moim zdaniem polega rodzicielska odpowiedzialność. Gdy trzeba, gdy naprawdę nadchodzi ten moment, gdy okoliczności nie pozostawiają innego wyjścia – po prostu poświęcasz wszystko, co do tej pory osiągnąłeś, rzucasz na pożarcie lwom i masz tylko jeden cel: spowodować, by świat twojego dziecka mógł bez zakłóceń się rozwijać. Nie wahasz się, nie obmyślasz zapasowych planów postępowania, nie zwracasz uwagi na jakiegokolwiek zagrożenie.

Gdy to sobie uświadomiłem, poczułem się naprawdę dobrze.

Parłem więc dziarsko do przodu, w kierunku, skąd przed chwilą doszedł metaliczny dźwięk. Starąłem się iść najszybciej, jak się da, jednocześnie uważając, by nie robić hałasu, nie wpaść z hukiem na jakąś przeszkodę, a także nie spowodować eksplozji jakiegoś przez Boga i ludzi zapomnianego ładunku wybuchowego. Zbyt dobrze pamiętałem uwagę Wieteski o pułapkach. W notatkach Staszka nie było na temat mowy, ale swego czasu, czytając o podziemnym mieście, natknąłem się na opinie, że jedną z przyczyn niemożności eksploracji podziemi jest fakt obfitego zaminowania przejść jeszcze przez wycofujące się pod koniec wojny wojska niemieckie. Rosjanie dali sobie spokój z rozminowywaniem pewnej części miasta; po prostu zamurowali wejścia i nie zapuszczali się w tamte rejony. Uznali widzieć, że to, co pozostało do ich dyspozycji, było więcej niż wystarczające.

Korytarz się skończył. Przystanąłem, czując na karku przyspieszony oddech Wieteski.

Noktowizor pozwalał wychwycić dalekie kształty: otwarte pancerne drzwi, służę, za nią kolejne drzwi. Dostrzegłem za nimi niewyraźny poblask. Czym prędzej zgasilem latarkę. Wieteska niemal równocześnie wyłączył swoją. Nie myliłem się: za drugimi drzwiami służy znajdowało się źródło światła.

Ostrożnie, z pistoletem wyciągniętym przed siebie przekroczyłem wysoki próg. Służa miała może dziesięć metrów długości, była znacznie szersza niż korytarz, którym się do tej pory poruszaliśmy. Stały w niej potężne urządzenia, których przeznaczenia mogłem się tylko domyślać; wyglądały na nieużywane od czasów wojny.

– Za gładko idzie – szepnął Wieteska prosto w moje ucho.

– Wiem – odparłem. – Wystarczyło zamknąć te dwie pary drzwi...

– Nie widziałem do tej pory żadnych czujników ani kamer. – Jasne. Ta uwaga wyjaśniała, dlaczego Wieteska świecił głównie na sufit i ściany. – Ale to nie znaczy, że ich nie ma.

Nie przychodziła mi do głowy żadna sensowna odpowiedź.

Zresztą i tak nie byłbym w stanie jej udzielić, nawet gdyby była niezwykle błyskotliwa i mądra, po prostu dlatego, że nagle mury korytarza zadrżały od gwałtownego huku o szybko potężniejącym brzmieniu. Echo odbijało dźwięk, potęgując go i zwielokrotniając. Hałas atakował ze wszystkich

stron, wwierał się w mózg, zniewalał. Był tym bardziej dokuczliwy, że kontrastował z panującą jeszcze przed chwilą ciszą. Osobną sprawą były wibracje; korytarz zdawał się poruszać. Może to gorączka i ogólne osłabienie, ale tak właśnie wyobrażałem sobie trzęsienie ziemi. Jednoznacznie kojarzyło mi się z końcem świata.

Mimo wszystko zdołałem zareagować. Gdy moje zmysły jako tako oswoiły się z hukiem i wibracjami, ruszyłem do przodu. Przeszedłem przed drugą parę drzwi. Zrobiło się już na tyle jasno, że podniosłem do góry noktowizor.

Przede mną: krótki, może dwudziestometrowy korytarz.

Za nim: fragment stacji kolejowej. Niewyraźny kontur dużej wojskowej ciężarówki.

Ogarnął mnie duszący zapach spalin wytwarzanych przez wiele silników. Powietrze błyskawicznie zrobiło się ciężkie, duszne i słodkie, przesycone tak mocno trującymi związkami chemicznymi, że oddychanie stało się prawie niemożliwe. Wentylacja, o ile w ogóle działała w tych opuszczonych podziemiach, w co, szczerze mówiąc, mocno wątpiłem, nie dawała sobie rady z tak dużą ilością zanieczyszczeń.

Postąpiłem z najwyższym trudem jeszcze kilka kroków, po czym zatrzymałem się, krztusząc się i kaszląc. Musiałem zamknąć oczy. Szczypały i bolały jak jasna cholera. Będąc tak blisko celu, miałem jednocześnie świadomość, że równie dobrze mógłbym znajdować się w Warszawie. Cel stał się nieosiągalny.

Ryk silników wzmógł się, po czym zmienił ton. Ustawiona prostopadle do naszego korytarza kolumna zaczęła ruszać w drogę, poczynawszy od czoła, zlokalizowanego po mojej prawej stronie. Wśród tej kakofonii rozróżniłem charakterystyczne klekotanie tysięcy diesli. A zatem wśród pojazdów znajdowały się czołgi. Pięć lub sześć. Może siedem.

Pięknie.

Okazało się, że po raz kolejny nie doceniłem kapitana Wieteski. Trącił mnie w zdrowe ramię i gdy się odwróciłem, zapłakany, kaszlący i ogłuszony, poczułem, że ściąga mi z głowy kominiarkę oraz noktowizor, a w ich miejsce wciska coś ciasnego, wykonanego z elastycznego materiału. Gdy to coś całkowicie pokryło moją twarz, jednocześnie ściśle opasując tył głowy, uszy i część szyi, zacząłem oddychać. Powietrze było gorące i śmierdziało jakimś środkiem chemicznym, ale nadawało się do użytku nieporównanie bardziej niż czołgowe spaliny.

Maska przeciwigazowa w niektórych okolicznościach może uratować życie.

Uśmiechnąłem się, miałem wrażenie, że zamaskowany Wieteska odpowiedział uśmiechem. Wykonałem kilka głębokich wdechów. Znowu myślałem normalnie. Odzyskałem możliwość poruszania się.

Ostatnie metry korytarza pokonaliśmy biegiem, po czym się zatrzymaliśmy. Gdy ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz, w słabym świetle podsufitowych lamp (a więc jednak! użytkownicy podziemi musieli uruchomić jakiś generator prądu) zobaczyłem gigantyczną stację kolejową. Właśnie ruszały ostatnie ustawione parami ciężarówki zamykające tył kolumny. Podskakując na nierównościach

terenu, posuwały się do przodu z prędkością może dwudziestu kilometrów na godzinę. Czoło kolumny ginęło w półmroku, ale na moje oko musiało znajdować się jakieś pół kilometra, może osiemset metrów dalej. Nagle dostrzegłem długi na co najmniej dwadzieścia metrów wieloosiowy pojazd, a na nim podłużne, matowo opalizujące cygaro. Może to omamy? W ostatnich przeblyskach światła podejrzenia zamieniły się w pewność, a ciężar tej pewności przygniótł mnie niemal do ziemi...

Uważnie się rozejrzałem. Żadnych ludzi. Wszyscy najpewniej znajdowali się w pojazdach, co wskazywało, że zakończyli podziemną część zadania.

Scenariusz na najbliższą przyszłość:

Kolumna wyjeżdża na zewnątrz.

Używa emitera, który prawdopodobnie jest już uruchomiony i gotów do użycia.

Wraz z czołgami i tymi podłużnymi walcami na wieloosiowych ciągnikach odlatuje w nieznane.

Ucieka.

Gdzie?

W tej chwili to najważniejsza kwestia. Mająca niestety wyższy priorytet niż dopytywanie się o miejsce pobytu dzieci, Rozalki i Wojtka. Sytuację komplikował fakt, że zamiar schwytania języka i zmuszenia go do udzielenia wyjaśnień spełził właśnie na niczym. Nie było kogo chwytać. Nie było komu przystawić do głowy pistoletu i wydyszeć w twarz pytania.

Przyznam, w tym momencie trochę się pomyliłem, sądząc, że nie ma komu przystawić pistoletu do głowy. Było komu.

Mnie.

– Jestem pełen podziwu, pułkowniku – usłyszałem niedaleki głos.

Po chwili uświadomiłem sobie, choć bez stuprocentowej pewności, że jest to być może głos należący do rozmówcy z telefonu przekazującego instrukcje postępowania po porwaniu dzieciaków. Dziwne, że wtedy nie dosłyszałem leciutkiego śpiewnego akcentu.

– Kolumna co prawda właśnie odjechała, ale biorąc pod uwagę pana ranę i ilość trudności, które musieliście pokonać, by nas odnaleźć, fakt, że spóźniliście się zaledwie o trzy minuty, należy uznać za ogromny sukces. Gratuluję.

Zastygłem. Widziałem, że z ludźmi określonego typu nie ma żartów. Głębsze westchnienie mogą zinterpretować jako chęć oporu. Dalszy ciąg wypowiedzi tajemniczego głosu utwierdził mnie w przekonaniu, że obrona przez mnie linia postępowania była całkowicie słuszna.

– Proszę wyciągnąć przed siebie obie ręce, a potem odrzucić broń. Obaj.

Posłuchaliśmy. Podwójny zamach, podwójne stuknięcie i glocki zniknęły w półmroku.

– Teraz możecie się odwrócić. Powoli.

185

Nieco w głębi stacji kolejowej stało czterech mężczyzn ubranych w maskujące wojskowe kombinezony, z maskami pe-gaz na twarzy i uzbrojonych w karabiny szturmowe systemu Kałasznikowa. Ten, który przemawiał, stał o pół kroku przed szeregiem.

Kiedy wybiegliśmy z bocznego korytarza i odprowadzaliśmy wzrokiem odjeżdżającą kolumnę, oni po prostu stali i czekali. Wyszliśmy na strzał jak dzieci. Jak pieprzeni amatorzy.

– Wiedzieliście, że przyjdziemy.

– Oczywiście, drogi pułkowniku.

Mimo pewnego zniekształcenia słów przez maskę wyczułem w jego głosie zadowolenie. Nawet nie zastanawiałem się, skąd wie, że jestem pułkownikiem. Założyłem, że ludzie ci, kimkolwiek są i cokolwiek planują, mają świetne, brane z pierwszej ręki informacje.

– Jest pan człowiekiem przewidywalnym. Gdy wykreuje się pewne konkretne okoliczności, kierują panem odruchy serca i przyzwoitość. Przyjęliśmy jako pewnik, że pomimo naszych ostrzeżeń będzie pan szukał syna. A gdy dowie się lub domyśli co nieco o naszej działalności, będzie się pan starał jej zapobiec. Podsypaliśmy więc panu trochę okruszków i przybiegł pan jak po sznurku. Nawet stan zdrowia nie był w stanie przeszkodzić.

– Wszystko było ukartowane?

– W dużej mierze.

Satysfakcja. Zwykle zadowolenie zawodowca, który po prostu dobrze wykonuje swoją robotę. Też bym się tak czuł na jego miejscu.

– Trochę nam pan brykał, pomysł z zamianą samochodu był niezły.

– W vanie znaleźliśmy GPS w desce rozdzielczej. Wasz, jak rozumiem.

– Tak jest. Chce pan zobaczyć syna?

– Jest tutaj? – zapytałem.

Czułem, że słabnę. Adrenalina, ta z zastrzyku, pomału przestawała działać. Znużenie i dreszcze powróciły, może nawet silniejsze niż wcześniej.

– Oczywiście. Cały i zdrowy. Jak i reszta. Moi ludzie was obszukają. A potem pójdziemy.

Po gruntownej rewizji, w wyniku której, co dziwne, zostawiono nam wszystko z wyjątkiem broni, latarek, noży i śrubokrętów, pomaszerowaliśmy jednym z bocznych korytarzy. Po może stu metrach prowadzący mężczyzna zatrzymał się przy stalowych drzwiach. Odsunął dwie solidne zasuw. Stare żelastwo skrzypnęło głośno.

Pomieszczenie nie było duże, jakieś cztery na cztery i pół metra. Pod ścianą trzy piętrowe prycze zasłane kolorowymi kocami. Za parawanem zlew i chemiczna toaleta. Pośrodku stół i kilka krzeseł. Ściany surowe, betonowe, ale szczerze mówiąc, nie spodziewałem się czegoś innego. Całość oświetlały dwie żarówki o niewielkiej mocy.

Ale najważniejsze znajdowało się obok stołu: gromadka przestraszonych, lecz na pierwszy rzut oka całkowicie całych i zdrowych osób: Rozalka, Wojtek, Galaś oraz chłopcy: Staś, a także...

... mały, z trudem do pasa sięgający dorosłemu mężczyźnie pocisk...

... złożony z rozpostartych rąk i szaleńczego radosnego okrzyku:

„Taaaaataaaaaa...”, który niósł się po ścianach i korytarzach.

Pocisk wpadł w wyciągnięte ramiona ojca, został podciągnięty do góry i solidnie obcałowany. Łzy były obustronne: ojciec wypłakiwał się w policzki syna, syn moczył łzami rękaw kombinezonu ojca.

Obok rozgrywały się podobne sceny: Wieteska próbował udusić Rozalkę, Staś tańczył dookoła, a Galaś z Kurcewiczem patrzyli na to z lekkim uśmiechem na ustach. W to radosne święto wdał się jednak spokojny, choć niewątpliwie niezwiastujący niczego przyjemnego głos lidera grupy zamaskowanych żołnierzy.

– Jak pan widzi, pułkowniku, wszyscy pozostają w najlepszym zdrowiu. Chętnie bym panu jeszcze potowarzyszył, ale na nas już czas.

– Co dalej? – zapytałem, starając się odciążyć chorą rękę. Z trzymanym w objęciach wiercącym się i dokazującym dwulatkiem nie było to łatwe.

– Zamykam drzwi. Za godzinę zadziała mechanizm zegarowy, który je otworzy. Jeśli traficie do wyjścia, wyjdziecie.

– Tak po prostu?

– No cóż, nie posłuchał pan mojej rady, by siedzieć i czekać na rozwój sytuacji. Ale my nie jesteśmy ludźmi mściwymi. Jesteśmy żołnierzami, walczymy za ojczyznę. Nasza akcja zakończyła się całkowitym sukcesem. Nie ma potrzeby was likwidować.

– Do widzenia zatem, panie...

Zawahał się.

– Rokossowski. Major Jewgienij Rokossowski.

– Rosjanin? To oficjalna akcja? – zaryzykowałem, patrząc mu prosto w oczy.

Pokręcił głową.

– Nie mówię „do widzenia”. Raczej się już nie zobaczymy.

Wyszedł, a za nim wyszła eskorta. Huknęły drzwi, zgrzytnęła zasuwka. Usłyszałem kilka kliknięć, jakby ktoś uzbierał alarm. Rozległy się szybkie kroki. Po chwili zapanowała dzwoniąca w uszach cisza.

Odwrociłem się, po czym postawiłem Johnygo na podłodze. Czułem, że zaczyna mi się kręcić w głowie. Zacząłem walczyć, by utrzymać się na powierzchni. By zachować świadomość i zdolność działania.

– W porządku? – zapytałem.

Galaś skinął głową, Wojtek Kurcewicz natomiast wzruszył ramionami. Obaj wyglądali dość ponuro.

Nie ma się co dziwić: przebywanie w tych murach dłużej niż kilka godzin bez wątpienia mogło przyprawić człowieka o napad melancholii.

– Bywało się w lepszej formie – powiedział za wszystkich Wojtek. Nie sprawiał wrażenia, jakby rana zbyt mu dokuczała.

– Jak wszyscy – odparłem sentencjonalnie. – Kłamał czy mówił prawdę?

– Kłamał – powiedział Galaś. Zbyt obojętnym tonem, jak na mój gust. – Musiałem im pomóc z emiterem, niestety. Spędziliśmy razem trochę czasu. Nie wyglądali na ludzi, którzy lubią po sobie zostawiać nieposprzątane.

– Pomogłeś im uruchomić emiter? – zapytałem, niepewny, czy uda mi się ukryć frustrację.

– Musiałem. – Wzruszył ramionami. – Pokazali mi dzieciaki i po prostu kazali się zabrać do roboty.

Wieteska spojrzał na mnie znacząco.

– Domyślasz się, o co im chodzi? – nie ustępowałem.

– Nie. – Galasiowi na pewno nie podobало się to przesłuchanie, ale zachował cierpliwość. Nie wiedział tego co ja. Nie widział śmiercionośnego cygara na wielkim transporterze. – Przywieźli mnie do jakiejś piwnicy, gdzie był emiter, kazali wprowadzić kody, spiąć moduły, a potem przywieźli tutaj.

Jedno wiem, że to Rosjanie. Przez drzwi słyszałem, jak gadają po rosyjsku.

– Okej. – To się zgadzało. Wszystko się niestety zgadzało. – Więc myślisz, że raczej stąd nie wyjdziemy?

– Mówiłem ci. Posprzątają po sobie.

Tekst rodem z Quentina Tarantino niezbyt spodobał się Wietesce.

– Gadanie. Pojechali sobie, tak? Więc raczej nas nie zastrzelą.

– Nie muszą. Umrzemy tu z głodu i chłodu.

– Drzwi jakie? – zapytałem dla odwrócenia uwagi.

Melancholia, owszem. Ale nie nadmierna melancholia. W naszej naturze nie leżało bierne oczekiwanie na rozwój wypadków.

– Dwa centymetry stali. – Galaś ćwiczył chyba wypowiadanie poszczególnych wyrazów bez różnicowania intonacyjnego. Był w tej materii utalentowanym człowiekiem. – I framuga stalowa.

– Inne wyjście?

– Brak.

Mogłem mu wierzyć. W przerwach pomiędzy uruchamianiem emitera naszym nowym–starym wrogom musiał zbadać dokładnie piwnicę i przegadać z Wojtkiem wszystkie warianty ucieczki, nawet te niemożliwe. Ot, choćby dla zabicia czasu.

Nie zdążyłem zadać następnego pytania.

Całe moje życie w ciągu ostatnich pięciu lat (a przynajmniej duża jego część) powinna mnie przyzwyczaić do ciągłych zwrotów akcji, do jazdy z wdepniętym do dechy pedałem gazu, do ciągłego biegu zjazdowego, którego trasa zaskakuje stromymi padakami i ostrymi zakrętami. Nie wiem więc, czemu zaskoczyło mnie to, co stało się w ciągu najbliższych sekund. Z jakiego powodu poczułem się zdziwiony.

Nim bowiem zdołałem przedsięwziąć kroki adekwatne do sytuacji, wlać otuchę w serca towarzyszy niedoli i przedstawić plan wydobywania się z tarapatów, plan, który byłby przyjęty z właściwym do mego wieku i urzędu respektem, usłyszałem zgrzytnięcie zasuw, skrzypnięcie

zawiasów i w ślad za wchodzącymi do lochu ubranymi na czarno postaciami wydane stanowczym głosem polecenie:

– Na ziemię! Ręce na głowę i na ziemię! Wszyscy!

Nie wiem czemu, ale rozkaz mnie ucieszył. Głos mówił najczystszy nadwiślańskim akcentem. Urywane, właściwie wyszczekane głoski wskazywały na żołnierzy sił specjalnych, którzy takim właśnie głosem wydają komendy. Moi towarzysze i ja karnie położyliśmy się na betonowej posadzce.

Usłyszałem ostrożne kroki, kilka par gumowanych podeszew zaszurało na betonie.

– Czysto – rozległ się inny głos.

Pewnie, że czysto. Poza więźniami nie było w pomieszczeniu nikogo innego.

– Który z was nazywa się Grobicki? – zapytał ten sam głos co na początku.

Moje wahanie trwało bardzo krótko. Zabawa w kotka i myszkę najwyraźniej się skończyła.

– Ja – powiedziałem.

– Wstań. Powoli.

Podniosłem się do przykłąku, a potem, z niejakim trudem i Johnym (któremu znowu zaczęła się trząść broda) przyczepionym do ramienia, stanąłem na nogach.

Było ich czterech. W czarnych mundurach, kaskach, goglach i kominiarkach zasłaniających dolną połowę twarzy. Cztery lufy wytłumionych pistoletów maszynowych Heckler & Koch MP-5 patrzyły na mnie z zainteresowaniem.

Rozmówca, być może przywódca grupy, przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Nie porównywał mojej zmęczonej fizjonomii do żadnego zdjęcia. Nie musiał. Miał moje dane wryte w pamięć na sztywno.

Skinął nieznacznie głową.

– Kapitanowie Wieteska i Kurcewicz? Kapral Galaś?

Z ziemi rozległo się potrójne „tak”.

– Wszyscy wstać.

Po chwili cała nasza ekipa znajdowała się na nogach. Identyfikacja moich towarzyszy również zakończyła się sukcesem.

– Idziemy. – Dowódca wskazał lufą drzwi.

Generalnie bardzo cenię u ludzi, zwłaszcza u żołnierzy, konkret i lakoniczność, ale tym razem wolałbym, by rozmówca był odrobinę rozmowniejszy.

– Gdzie? – zapytałem.

Nie spodziewałem się żadnych rewelacji w postaci odwiezienia do luksusowego hotelu i zapewnienia odpowiadającej jego standardowi opieki medycznej, ale mój rozmówca w ogóle nie udzielił żadnych wyjaśnień. Po prostu podniósł nieco lufę i ponownie pokazał drzwi.

– Posłuchaj – powiedziałem najbardziej przekonującym tonem, jaki mogłem z siebie wykrzesać.

– Jestem poważnie ranny. Mój przyjaciel również. Mamy ze sobą dwoje małych dzieci i kobietę. Oni

spędzili ostatnie trzy dni w tej cholernej piwnicy. Są głodni, spragnieni i w stresie. Mam wrażenie, że ty i ja stoimy po tej samej stronie. Nie musisz nas prowadzić pod broń.

Nie wiem, czy przekonał go mój wygląd, ton, czy może wiedział o nas coś niecoś. Może podziały na niego resztki mojego pułkownikowskiego autorytetu. Dość, że zawahał się przez dłuższą chwilę, cofnął o pół kroku i opuścił pistolet maszynowy.

– Mam rozkaz dostarczyć was do punktu dowodzenia – powiedział nieco łagodniejszym tonem.

Jego koledzy stali bez ruchu, ale miałem wrażenie, że akceptują obecną linię swojego dowódcy. Żaden profesjonalista nie lubi popisywać się siłą, jeżeli nie musi.

Nie bardzo wiedziałem, co dobrego może spotkać mnie w punkcie dowodzenia, ale jakoś nie mogłem wymyślić alternatywnego scenariusza, który byłby do zaakceptowania przez tych czarno odzianych, niewysokich, sprawiających wrażenie w najwyższym stopniu profesjonalnych ludzi. Więc po prostu stwierdziłem:

– Chodźmy.

I by dać dobry przykład, ruszyłem jako pierwszy.

Gdy przestąpiłem próg, zobaczyłem następnych czterech żołnierzy, rozmieszczonych w różnych częściach korytarza i odwróconych do nas plecami. Obserwowali i zabezpieczali podejścia. Jeden z nich ruszył korytarzem, którym przyszliśmy i którym naszym śladem nadeszli nasi nowi kumple. Chcąc nie chcąc, poszliśmy za nim. Obok maszerował dowódca z trzema operatorami. Pochód zamykało trzech żołnierzy idących tyłem i stanowiących ariergardę niewielkiej kolumny.

– Widziałeś? – usłyszałem za plecami cichy głos.

– C4?

– Na oko trzy kilo. Zawaliłoby się co najmniej ze sto metrów korytarza, razem z naszą celą.

– Słowny człowiek z tego Rokossowskiego.

– Prawdziwy komunista.

Rosjanie zamontowali ładunki wybuchowe tuż koło wejścia. Mechanizm zegarowy nie miał otworzyć drzwi, tylko aktywować zapalnik materiału wybuchowego. Gdyby nie ośmiu czarno ubranych żołnierzy, zostałoby nam około czterdziestu minut życia.

Jeśli zresztą wziąć pod uwagę nasze położenie, możliwe, że nie pożyjemy nawet tak długo. Ale szanse w pewnym stopniu wzrosły.

– Natknęliście się na kogoś? – zapytałem idącego tuż przed mną dowódcę. I widząc, że się waha, dodałem: – Po drodze?

– Widzieliśmy, jak tamci was zamykają. Poczekaliśmy. Oni odeszli. Rozbroiliśmy zapalniki. Tyle.

– Nie ciekawiło was, gdzie poszli?

– Rozkaz dotyczył was – uciął.

To dawało do myślenia.

Było oczywiste, że chłopaki są częścią większej operacji. Brak zainteresowania Rosjanami nie wskazywał, miałem nadzieję, że operacja ich pomija. Stanowiliśmy jeden z celów, i to o niezbyt wielkiej wadze, skoro do obsługi naszej skromnej grupki wyznaczono tylko ośmiu ludzi.

Nagle zgasło światło.

Nie było żadnego mrugania lamp, żadnego słabnącego blasku żarówek. Po prostu w jednej chwili mogliśmy poruszać się bez żadnego trudu, mając w zasięgu wzroku wszystko, co niezbędne, a w następnej zapanował mrok absolutny, wszechogarniający, niemal fizyczny.

Na mnie podział w sposób szczególny: wyświetlił mi się przed oczami scenariusz na najbliższe godziny. Choć nie był dla mnie w żadnym stopniu korzystny, poczułem ulgę. Wiedziałem dokładnie, o co toczy się gra, jaka jest jej stawka, jaki jest plan działania naszych przeciwników. Co najważniejsze, miałem pełną jasność co do mojej dalszej roli. Etap improwizacji właśnie dobiegł końca. Czas na zdecydowane kroki.

Krok pierwszy: uświadomienie otaczającym mnie żołnierzom, w co naprawdę gramy.

Krok drugi: odzyskanie swobody działania.

Krok trzeci: zapobieżenie...

Błysnęło kilka cienkich wiązek światła. Przymocowane do luf latarki nerwowo przeszukiwały ciemność. Ciężkie, chrapliwe oddechy zakłócały ciszę.

Ruszyliśmy, ale nim dotarliśmy do drzwi służby, idący przed nami żołnierz zatrzymał się i podniósł rękę.

Dowódca gestem nakazał reszcie grupy też się zatrzymać.

– Pułapka – rzucił żołnierz przez ramię. – Dwa ładunki. Uruchamiane fotokomórką.

– Oczyść – rzucił dowódca.

Tamten bez słowa bardzo powoli podszedł do ściany. Zarzucił broń na plecy, sięgnął do plecaka, zamontował na hełmie latarkę czołówkę. Przez chwilę przyglądał się zamocowanemu do ściany prostokątnemu ładunkowi, po czym ostrożnie wyciągnął przed siebie rękę.

Błysk był oślepiający, tym jaśniejszy, że skontrastowany z dotychczasowym półmrokiem. Jednocześnie ryknął grzmot, mocarna pięść podmuchu obaliła nas na ziemię. Nad głowami przetoczyła się fala uderzeniowa, niosąc ze sobą sporą ilość różnej wielkości betonowych odprysków.

Udało mi się upaść tak, że wziąłem cały impet na siebie. Johnny wylądował w zagłębieniu zdrowego ramienia. Całe szczęście ładunek nie był zbyt mocny: choć stałem nie dalej niż piętnaście metrów od epicentrum wybuchu, poza siniakami, dzwonieniem w uszach i wirującymi przed oczami kolorowymi plamami nie odniosłem większych obrażeń.

Wstałem, nim jeszcze opadł kurz. Johnny patrzył na mnie z przerażeniem i cichutko popłakiwał. Mimo wszystko uważałem go za niezwykle twardego faceta. Dziewięćdziesiąt procent innych dzieci z pewnością zanosiłoby się rozpaczliwym szlochem i próbowało uciec gdzie pieprz rośnie. Mój syn tylko mocniej wtulił się w materiał kombinezonu.

Dwaj żołnierze ostrożnie poszli do przodu. Po kilku krokach stanęli. Długo oświetlali miejsce eksplozji. Żołnierz, który nas prowadził, leżał na boku, skręcony niczym szmaciana lalka.

– Przeszliśmy tą drogą. Wy też przeszliście. I wtedy nic nie wybuchło – powiedziałem.

– Zaktywowali fotokomórkę drogą radiową – odparł dowódca.

Może był poruszony śmiercią podwładnego. Głos miał jednak opanowany, jak przed wybuchem.

– Pójdźmy inną drogą – powiedział jeden z żołnierzy, oglądając wygięte wybuchem drzwi do śluzy. – Dalej na pewno są następne pułapki.

– On może mieć rację – wtrąciłem. Mały Johny usnął z kciukiem w buzi. Lewa ręka paliła mnie żywym ogniem. Prawa omdlewała. Galaś bez słowa wziął ode mnie dziecko. Spojrzałem na niego z wdzięcznością. – Możemy pójść śladem kolumny. Ona musiała przecież wyjechać na zewnątrz.

– Nie wiadomo, jak daleko jest wyjście.

Próbowałem przypomnieć sobie mapę podziemi.

– Może kilometr – odparłem. – To prosty korytarz prowadzący od stacji.

Namyslał się jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową. Nie widział powodów, by upierać się przy swoim. Posuwanie się dalej służą i korytarzem byłoby szaleństwem. Droga, którą zaproponowałem, nie stanowiła jakiegoś pewnego rozwiązania, ale przynajmniej dawała szansę.

Zawróciliśmy.

Stację kolejową osiągnęliśmy po kilku minutach. W powietrzu czuć było jeszcze smród spalin.

Żołnierze rozglądali się z ciekawością. W świetle długich i cienkich sztychów latarek nie mogli właściwie ocenić rozmiarów pomieszczenia, ale i tak zrobiło na nich wrażenie. Peron, a właściwie rampa załadownicza, zajmujący całą lewą stronę, ciągnął się przez co najmniej dwieście metrów. Do końca stacji nie sięgała nawet najmocniejsza latarka.

Dowódca wyznaczył dwóch żołnierzy jako przednią straż. Udzielił im krótkich instrukcji (niestety mówił tak cicho, że nie usłyszałem, czego dotyczyły), po czym, gdy ruszyli, gestem nakazał, byśmy poczekali. Dopiero gdy żołnierze, a raczej sygnalizujące ich pozycje światło oddaliło się może o sto metrów, dał sygnał do rozpoczęcia marszu. Sam szedł z przodu razem z jeszcze jednym żołnierzem.

Trzej ostatni maszerowali kilkanaście metrów za nami.

– O co chodzi z tymi czołgami, Jureczku? – zapytał szeptem Wieteska.

Nawet nie zauważyłem, kiedy i w jaki sposób znalazł się obok mnie. Co ciekawe, jego pytanie, choć naprawdę wypowiedziane bardzo cicho, dotarło do Wojtka Kurcewicz i Galasia. Obaj przysunęli się do mnie i najwyraźniej ich również interesowała odpowiedź.

– Zostawili ci adrenalinę? – odpowiedziałem pytaniem.

Spojrzał na mnie uważnie, a potem poświecił w twarz latarką. Zmrużyłem oczy.

– Za wcześnie – orzekł. – Nie wiadomo, co się wydarzy.

– Nie wiadomo – przytaknąłem. Świat zaczął się kołysać. Poczułem mdłości. Ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę, to pokonywanie oporu Wieteski. – Dlatego daj mi teraz. Potem może nie być czasu.

–No...

Zawahał się. Argument był nie do odparcia. Wojnę i walkę nosiliśmy jak drugą skórę. Ja wiedziałem, a oni wyczuwali, że główny punkt programu dzisiejszego wieczoru dopiero przed nami.

– Dobra.

Cała operacja zajęła nie więcej niż piętnaście sekund. Nasi przyjaciele z jednostek specjalnych chyba nawet niczego nie zauważyli. Stałem i pochyliłem się nieco, Wieteska szybkim ruchem wyciągnął z kieszeni strzykawkę, poświecił mi na szyję, po czym szybkim ruchem wbił igłę w żyłę. Poczułem silne ukłucie, coś zaszczypało, ale ulga była niemal natychmiastowa. Dreszcze i zawroty głowy prawie ustały, kolorowe plamy sprzed oczu zamieniły się w zwykłą grę białą—szaro—czarnych półcieni.

Poczułem się ponownie gotów do akcji.

Stacja skończyła się i płynnie przeszła w tunel na tyle szeroki, by zmieściły się w nim dwie lokomotywy jadące obok siebie. Szyny i podkłady, zdemontowane, leżały pod ścianami. Plan najwyraźniej nie przewidywał użycia pociągu, a ciężarówkom niezbyt wygodnie jeździć po torach kolejowych. Długie to musiały być przygotowania.

– No to co z tymi czołgami? – Wieteska uznał, że gdy spełnił samarytańskie obowiązki, ma prawo żądać odpowiedzi na pytanie.

– Baza sowiecka przez prawie pięćdziesiąt lat – powiedziałem. – Stacjonowało tu od cholery wojska, między innymi pułk pancerny. Myślisz, że trudno zamelinować trochę sprzętu w podziemiach? Jak Ruscy stąd wyjeżdżali w '93, był kosmiczny bajzel. Możliwe, że komuś bardzo zależało, by był jak największy Posmarowano, komu trzeba, po czym z ewidencji zniknęło parę czołgów i cholera wie jakiego sprzętu.

– Pięknie. – Wieteska cmoknął z uznaniem. – Znali te podziemia jak własną kieszeń, nie problem było wydzielić pewną część, pozostawić kilka tajnych wejść, a resztę zamurować, zaminować, zabezpieczyć i czekać.

– Na emiter – stwierdził Wojtek.

– Dostarczyliśmy, co trzeba, można było uruchomić akcję. – Galaś ziewnął nerwowo i poprawił sobie zwisającego z ramienia Johnyego.

– Może być jeszcze gorzej – mruknąłem. Nie widziałem powodu, by nie wprawić ich w jeszcze bardziej ponury nastrój. – W notatkach Staszka Kolberga wyczytałem, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stacjonował w tym miejscu oddział strategicznych wojsk raketowych.

Nieoficjalnie.

– Kto to jest Staszek Kolberg? – zapytał Kurcewicz.

– Nie słyszałeś? Facet, który zostawił notatki. – Wieteska odzyskał dobry humor. Sądzę, że był w stanie zaakceptować każdy kataklizm, byle Rozalka była u jego boku.

– Czyli broń atomowa? – sprecyzował Galaś.

– Owszem. Wtedy skala operacji zaczyna mieć sens.

– „Jutrzenka”, która zaczęła się w 1940, za czasów towarzysza Stalina, trwa do dzisiaj – mruknął

Johny. Zaczął niemal pogwizdywać.

– Co to jest „Jutrzenka”? – zapytał Galaś.

– Podróże w czasie i broń atomowa. Opowiedzieć ci na poczekaniu kilka dowolnych scenariuszy?

– Że niby prostowanie historii, tyle że na skalę strategiczną?

– Nie tylko Dreszer na to wpadł. Ruscy też.

Wkrótce się okazało, że to niepełna lista. Wtedy jednak o tym nie wiedzieliśmy. Potknąłem się na jakiejś nierówności. Jednocześnie poczułem powiew świeżego, zimnego powietrza.

Dowódca stanął i podniósł rękę. Zatrzymaliśmy się i my.

Dwaj czołowi żołnierze przeszli jeszcze parę kroków i także się zatrzymali. Uważnie oświetlali ściany, podłogę i strop. Inspekcja najpewniej wypadła pomyślnie, bo gestem dali znać, że droga wolna.

Korytarz zaczął wznosić się w górę.

Powietrze stało się zimne i rześkie. Usłyszeliśmy szum deszczu. I jeszcze coś.

Basowy, zachrypnięty pomruk.

Coraz bliższy. Coraz potężniejszy. Złowieszczy.

22 stycznia 1945, Berlin

Majestatyczna, monumentalna siedziba Kancelarii Rzeszy w niczym nie przypomina budynku, którym była jeszcze niedawno. W fasadach zamiast okien zieją dziury. Szyb brak; w ich miejsce przybito nieheblowane deski. Elewacje zostały poranione odłamkami bomb. Część jednego z górnych pięter leży w gruzach.

Jednak najważniejsze skrzydło Kancelarii jest w dobrym stanie. Choć bombardowania są liczne, miejsce, gdzie urzęduje Führer, pozostaje nietknięte, co otoczenie kanclerza uznaje za symbol. Tu czas się zatrzymał: są, jak dawniej, meble, obite skórą fotele, gruby dywan, a nawet szyby w oknach zasłoniętych grubymi kotarami. Proste, funkcjonalne rzeczy.

Adolf Hitler ceni prostotę i umiar.

Kroki dwóch ludzi odbijają się od ścian. Obaj mają na sobie galowe mundury SS. Czerń materiału kontrastuje ze srebrem szamerunku, wysokie siodlaste czapki podrygują w rytm wybijany przez wypastowane do połysku oficerki. Przybysze mijają kolejne posterunki przybocznej gwardii Führera, okazują przepustki i są przepuszczani bez pytań.

Dochodzą do sekretariatu. Generał Wilhelm Burgdorf, adiutant Führera do spraw wojskowych, podnosi głowę znad biurka. Wstaje, podchodzi do drzwi gabinetu. Puka.

– Mein Führer, przybyli Hauptsturmführer Spilker oraz Sturmbannführer Skorzeny.

– Niech wejdą – słychać ze środka słaby głos.

Burgdorf cofa się o krok i patrzy na przybyłych.

– Führer oczekuje panów. Ma dla was kwadrans.

Obaj bez słowa przekraczają próg gabinetu.

Wódz po przenosinach z Wilczego Szańca właściwie w nim mieszka. Opuszcza to miejsce tylko podczas nalotów – wtedy przenosi się do wybudowanego w ogrodzie schronu. Nie ryzykuje; wie, że Niemcy w godzinie próby nie mogą pozostać bez przywództwa. W ostatnim czasie jedyny wyjątek robi dla Goebbelsów; w towarzystwie ochrony i lokaja odwiedza ich w prywatnym mieszkaniu. Nie rozmawia zresztą wtedy o polityce – czas schodzi towarzystwu na wspomnieniach i snuciu planów odbudowy Berlina po wojnie.

Jednak swą energię poświęca głównie, co oczywiste, działaniom na frontach. Niekończące się narady, łamanie oporu nieuważnych i defetystycznie nastawionych generałów, rozstrzyganie dziesiątków problemów – oto troski dnia codziennego. Führer śpi po trzy godziny na dobę. Od lipca zeszłego roku dokucza mu ból bębenków. Ma kłopoty z błędnikiem. Często nawet w ciągu dnia musi się kłaść, by opanować rozkołysany świat.

Adolf Hitler wstaje i powoli zbliża się ku gościom.

Przybysze odnotowują z przykrością, że powłóczy nogą, stara się ukryć drżenie lewej ręki. Głowa mu się chwieje, cerę ma ziemistą, garbi się. Porusza się wolno i niezdecydowanie. Wygląda jak starzec. Tylko oczy płoną dawnym blaskiem. Nadal widać w tych oczach siłę. Nadzieję. Geniusz.

– Witam was, panowie – mówi głucho Führer.

Goście muszą wyteńczyć słuch, by rozróżnić poszczególne słowa. Kanclerz ściska im dłonie. Uchwyt ma słaby, niemal zniewieściały.

– Przejdźmy od razu do konkretów. Mam dużo pracy.

Hauptsturmführer Alfred Spilker, niższy i wzrostem, i rangą, jest niedysiejszą gwiazdą warszawskiego Gestapo, szefem niewielkiej komórki do zwalczania kierownictwa polskich struktur podziemnych. Teraz wyraźnie utyka. Rany, które odniósł w sierpniu '44 w Warszawie, do dziś o sobie przypominają nagłymi gwałtownymi napadami bólu. Sturmbannführer Otto Skorzeny, as wśród spadochroniarzy, jest człowiekiem wysokim i silnie zbudowanym. Słynie z brawurowej odwagi. Należy do ulubieńców Führera. Jego wyczyny podczas uwalniania Mussoliniego z rąk włoskich partyzantów oraz w czasie ofensywy w Ardenach już obrastają legendą.

Obaj oficerowie spoglądają po sobie.

– Mój Wodzu, ostatnich kilka lat spędziłem w Warszawie – mówi cicho Spilker. – Jak pan być może pamięta, między innymi zajmowałem się tam pewną sprawą...

– Pamiętam. Nie skończyła się jednak najlepiej ani dla pana, ani dla Rzeszy, czy tak, Spilker? –

Mimo niezbyt starannie zawołowanej krytyki Hitler uśmiecha się życzliwie. – Teraz ta historia już chyba nie ma znaczenia, prawda?

– Otóż ma, mój Wodzu. Jeżeli pan pozwoli...

– Przybysze z przyszłości wystrychnęli pana na dudka.

Kancelarz ponownie nie pozwala Hauptsturmführerowi dokończyć zdania. W gruncie rzeczy z przekory. Ceni Spilkera. Uważa go za inteligentnego policjanta i wiernego członka partii. Pominąwszy wspomnianą rozgrywkę, jego zawodowy życiorys jest drogą usianą sukcesami.

– W pierwszym rozdziale, przy którym co prawda popełniliśmy sporo błędów, ale i sporo się nauczyliśmy. Czas na drugą partię.

– Jest jakieś drugie rozdział? Czego wy właściwie ode mnie chcecie, panowie?

– Mój Wodzu, nasza prośba może wydać się panu niezwykła. Wygórowana. Wręcz nieodpowiedzialna. Zdajemy sobie sprawę, że sytuacja jest ciężka, że brakuje sprzętu i ludzi, że brakuje paliwa... – Spilker przerywa, widząc wzniesioną do góry dłoń wodza.

Zapada cisza. Hitler przez dłuższą chwilę stoi nieruchomo. Palce zaciskają się i prostują. Cała lewa strona ciała zaczyna się trząść. Dłoń drży. Okiem wstrząsa nerwowy tik.

Spilker ma pewność, że ich misja właśnie spaliła na panewce. Zna doskonale upór Führera, jego umiejętność niepoddawania się naciskom, dążność do narzucania wszystkim swojej opinii. Jest przekonany, że za chwilę on i Skorzeny będą świadkami jednego ze słynnych wybuchów wściekłości.

Tym mocniej ton, którym zostaje udzielona odpowiedź, ich zaskakuje.

– Mój drogi Spilker, ma pan całkowicie błędną ocenę sytuacji. Speer robi doskonałą robotę. Produkcja odbywa się na normalnym poziomie. – Hitler mówi cicho, z wyczuwalnym przygnębieniem w głosie. – Niemcy nie mają problemu zaplecza. To nie w sprzęcie problem, ale w braku lojalności. Utracie wiary. Wszyscy mnie zdradzają. Okłamują na wszystkie strony. Na nikim nie mogę polegać. – Cisza. Dalekie odgłosy bombardowania. Twarz wodza oświetla słabe światło pojedynczej żarówki. – Brakuje nam ludzi ukształtowanych na miarę naszych ideałów. Wojna przyszła za wcześnie. Gdybym miał jeszcze dwadzieścia lat, doprowadziłbym nową elitę do dojrzałości... Wojenna polityka rewolucyjnego państwa, takiego jak Trzecia Rzesza, tylko z konieczności jest polityką drobnomieszczańskich reakcjonistów. Nasi generałowie i dyplomaci, z nielicznymi wyjątkami, są ludźmi z innego wieku, a ich metody prowadzenia wojny i uprawiania polityki zagranicznej również należą do minionego stulecia.

Kancelarz siada za biurkiem. Ten gest wskazuje, że tym razem być może wybuchu wściekłości nie

będzie. I dalszej części monologu. Może audytorium na nią nie zasługuje.

– Mój Wodzu, nie wątpimy w pana słowa. Może być pan pewien naszej lojalności. Przychodzimy do pana bezpośrednio, ponieważ – Spilker nie jest pewien, czy nie popełnia błędu: przerywanie Hitlerowi nie zawsze kończy się szczęśliwie dla przerywającego – tylko pan może właściwie ocenić skalę naszych zamierzeń. I zmierzyć się z ich skutkami.

Komplement jest celnie ulokowany. Napięcie spada w sposób odczuwalny.

– Niech pan nie odnosi tego, co powiedziałem, do siebie. Tacy ludzie jak pan i nasz drogi Sturmbannführer... możecie służyć za wzór. Wysłucham was, choć musicie się pospieszyć. Zaraz mam spotkanie z Guderianem i Jodlem.

Do rozmowy włącza się Skorzeny. Znacznie góruje nad oboma mężczyznami wzrostem. Zdaje sobie

sprawę, że cieszy się sympatią Führe-ra. Chce to wykorzystać.

– Mój Wodzu, chcemy prosić o pozwolenie na stworzenie jednostki specjalnej w sile batalionu złożonego z najlepszych żołnierzy SS, wyjątkowych zarówno pod względem lojalności, jak i wyszkolenia oraz doświadczenia. Razem z Hauptsturmführerem chcielibyśmy mieć możliwość wyboru ludzi i sprzętu, swego rodzaju carte blanche od pana. Być może będzie to oznaczało pozbawienie jednostek frontowych najlepszych żołnierzy. I najlepszego sprzętu, który musi znajdować się w idealnym stanie. Wszystko po to... – Milknie, wiedząc, że dochodzi do punktu krytycznego. Do uzasadnienia. – ... by wygrać wojnę w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Cisza tym razem aż dzwoni w uszach. Nie może być bardziej ważkiego argumentu. Kanclerz się prostuje. Oczy zaczynają płonąć. Ręce niemal przestają drżeć.

– Chce pan wygrać wojnę za pomocą jednego batalionu?

– Tak jest, mój Wodzu.

– Słucham szczegółów. Oby to nie był kiepski żart, Skorzeny.

– Mój Wodzu, wbrew pozorom rozgrywka z oddziałem polskiego wojska przybyłego do nas z przyszłości, a którą przez ostatnich kilka lat prowadziłem w Warszawie, nie dobiegła końca – przejmuje rozmowę Spilker. – Dysponujemy solidną wiedzą oraz pewnym bardzo silnym atutem pozwalającym nam kontynuować akcję. Co najważniejsze, technika, którą dysponuje nieprzyjaciół, ma pewną bardzo interesującą dla nas właściwość. Pozwala mianowicie w pewnym sensie nie zwracać uwagi na upływający czas.

– No cóż, Spilker, to brzmi fantastycznie. Problem w tym, że nie macie takiej techniki. Spilker i Skorzeny uśmiechają się od ucha do ucha. Gdy udzielają wyjaśnień, a potem opowiadają o swoim planie, Führer siada. Nie przerywa ani słowem.

Po kwadransie Guderian i Jodl dołączają do narady, jednak jej tematyka jest zgoła inna od uprzednio zaplanowanej. Spotkanie trwa jeszcze blisko sześć godzin. Kończy się grubo po północy. Führer wydaje precyzyjne, jasne rozkazy. Jodl i Guderian mają niezwłocznie puścić maszynę w ruch.

Obaj oficerowie SS zostają awansowani na wyższe stopnie. Führer mianuje Obersturmbannführera Otto Skorzenego dowódcą operacji, której zostaje nadany kryptonim „Neuer Welt”.

Jest 23 stycznia 1945 roku.

WALKA

27 września 2012, Borne Sulinowo

1

Generał major Andriej Konstatynowicz Kazakowcew jest weteranem obu wojen czeczeńskich oraz błyskawicznej kampanii gruzińskiej. Początkowo służy w wojskach pancernych, jak ojciec i dziad. A potem przechodzi do wywiadu – także śladami przodków. GRU szybko staje się jego życiem.

Choć odchodzi od niego żona, a syna widuje raz na rok, nie czuje żalu. Wypełnia go raczej poczucie odpowiedzialności. Gdy się czuje powołanie i ma do spełnienia misję, od której zależą losy ojczyzny, Europy, świata, nie czas na życie osobiste.

GRU nie jest tak potężne jak kiedyś. Owszem, ma liczną rzeszę pracowników etatowych i współpracowników, prowadzi operacje na całym świecie, dysponuje ogromnym budżetem. Działanie wywiadu i zyski, jakie ten wywiad przynosi, są nadal doceniane przez sterników nawy państwowej.

Jednak cele współczesnej Rosji, ukochanej, umiłowanej ojczyzny, zmieniają się, dostosowują do wymogów współczesnego świata.

Można rzec: stosują prawo mimikry. Z potężnej, ofensywnej polityki zrezygnowano na rzecz koegzystencji. Efekt jest taki, że wpływy utracono, Rosja natomiast zapada się coraz bardziej w ruchomych piaskach światowego wyścigu ekonomicznego, w którym gospodarka oparta na surowcach musi przegrać, gdyż nie jest w stanie wytrzymać konkurencji z gospodarkami opartymi na technologiach. Zatem dawnych wpływów brak, po dawnym szacunku i respekcie również nie zostało śladu, a o sile, którą można by szacunek i respekt wymuszać, nawet szkoda gadać.

To wszystko generał major Kazakowcew doskonale rozumie. To wszystko generała majora Kazakowcewa bardzo martwi. Jest człowiekiem inteligentnym i mądrym. Stara się być na bieżąco z polityką, choć czasami, Bóg świadkiem, kosztuje go to zbyt wiele. Dostrzega płytkość, nieuczciwość i zwykłą durnotę rządzących. Nie może słuchać mętnych wywodów tłumaczących, że czarne jest białe.

Ma swoje zdanie. Dla niego zasady są zasadami. Oto jedna z nich, bardzo prosta: w życiu społeczeństw najważniejszy jest porządek i idee zdolne masy ludzkie spoić i popchnąć do wielkich czynów. Naród rosyjski został do tego stworzony: trudno znaleźć na świecie inną nację, która wydałaby tylu artystów, konstruktorów, uczonych, myślicieli. Brakuje idei. Brakuje spoiwa. Brakuje wytłumaczenia i uporządkowania świata.

Wreszcie...

... brakuje przywódcy.

To główny problem.

Jednak Andriej Konstatynowicz Kazakowcew ma szczęście. Jest po prostu w czepku urodzony. Siedem lat temu jego jałowa pancerniacka kariera nabiera nieoczekiwanego przyspieszenia. Rozkaz wyrywa go z koszarowej rutyny i każe stawić się w dowództwie. Potem jedzie w nieznane. Obcy ludzie w obcym domu zadają mu tysiące pytań. Przyglądają się. Oceniają. Rozgryzają.

Test musi wypaść pomyślnie. Nic dziwnego. Andriej to żołnierz całą gębą: wzrok śmiały, odwaga przednia, myśl ostra jak damasceńska stal.

Proponują wstąpienie do wywiadu. W to mu graj. Pociąga go ryzyko i tajemnice. Szkolenie przechodzi śpiewająco.

Wojna gruzińska zastaje go na stanowisku zastępcy szefa wywiadu Pięćdziesiątej Ósmej Armii. Swoją robotę wykonuje celująco. Dzięki niemu gruzińskie zamiary dla nikogo w sztabie nie są tajemnicą. Rozgryzione są punkty koncentracji wojsk, główne kierunki uderzeń; potem, w drugiej fazie kampanii, stan obrony, zasoby, odwody, zamiary i plany.

Armia rosyjska nie wkracza do Tbilisi tylko dlatego, że inna jest wola Kremla. Ile z tego powodu w sztabie Pięćdziesiątej Ósmej Armii zgrzytania zębów, szkoda gadać.

Ale Kazakowcewa to nie martwi. Ma inny cel. Jego krokami kierują już odmienne motywacje. Takie, którymi można się zachłysnąć.

Można upaść od zawrotów głowy.

Trzy dni przed zakończeniem wojny w Gruzji znowu wzywają go do centrali. Wywożą w las, do tajnego ośrodka, gdzie spotykają się tylko najwyżsi dowódcy i najwyżej postawieni szpiedzy. Kilku wysokich rangą pracowników Głównego Zarządu zadaje mu pytania.

A potem jeden z nich, o szczupłej, pociągłej twarzy i dłoniach arystokraty, składa mu propozycję. Tak niezwykłą i śmiałą, że aż zapiera dech. Andriej w jednej sekundzie uświadamia sobie, że na taką propozycję, na taką okazję, na taką możliwość czeka od zawsze.

Doskonale zdaje sobie sprawę, że jego życie dochodzi do punktu, w którym są tylko dwie drogi do wyboru: zgoda albo śmierć. Wie, że gdy odmówi, wywiozą w las i zastrzelą. Akcja, o której opowiadają mu nieznajomi–znajomi dostojnicy, nie może wyjść na jaw. Dla tak doświadczonego oficera jak pułkownik Kazakowcew jest to oczywiste. Całkowicie akceptuje reguły gry.

Nie ma problemu z wyborem. Nie rządzi nim strach przed śmiercią. Rządzi nim radość, że są ludzie, energiczni, obdarzeni silną wolą i możliwościami działania, którzy myślą podobnie jak on, którzy wiedzą, jak można przywrócić porządek, jak sprawić, by Rosja ponownie stała się potęgą, przed którą drży świat.

Gdy zgadza się przystąpić do tego ekskluzywnego grona, wysłuchuje warunków, które całkowicie i bezdyskusyjnie akceptuje, a potem zostaje wprowadzony w szczegóły akcji, ma łzy w oczach. Jego dziad i ojciec poświęcili życie dla sprawy. Walczyli z całych sił o tak drogie sercu

Andrieja ideały. On otrzymuje szansę kontynuowania ich dzieła. Czuje dumę. I wie, że będzie walczył ze wszystkich sił. Bez wahania odda życie, jeśli nadejdzie czas.

Plan postępowania robi wrażenie. Zostaje nakreślony z rozmachem, fantazją, erudycją. Jest prosty, a jednocześnie wyrafinowany. Co najważniejsze – jego główną zaletę stanowi ogromna szansa skuteczności. Realizacja planu pozwoli osiągnąć wszystkie cele stawiane przez nowych przełożonych.

Andriej nie wraca do sztabu Pięćdziesiątej Ósmej Armii. Jeszcze w Moskwie dostaje awans na generała majora i przechodzi do pracy w jednym z zarządów GRU. Jego oficjalne zadania są nudne, proste i nie zajmują zbyt wiele czasu.

Zresztą ta sytuacja nie trwa długo. 17 stycznia 2009 roku wyjeżdża do Polski i przejmuje dowództwo polskiej części operacji „Jutrzenka” z rąk oficera, którego rozkaz przełożonych wzywa do Moskwy. Po ponad trzech latach oczekiwania nadchodzi wreszcie upragniony sygnał od rezydentury „Jutrzenki” w Stanach Zjednoczonych. Interesująca grupa ludzi wraz ze sprzętem ląduje w USA, po czym przyjeżdża do Polski. Tu zostaje otoczona staranną opieką Kazakowcewa i jego podkomendnych.

Dzięki rozgałęzionym kontaktom udaje się namówić jedną z bliskowschodnich organizacji terrorystycznych, które od dawna planowały zamach w Warszawie, na zgranie terminu zamachu na lotnisku z przyjazdem śledzonej grupy Bałagan i zamieszanie mają służyć za parawan porwania ludzi i uprowadzenia sprzętu. Poza faktem ucieczki obiektów z lotniska i koniecznością improwizowanego zorganizowania porwania operacja idzie gładko i trzyma się założonego harmonogramu czasowego.

Teraz wchodzi w fazę decydującą.

Odprawa z dowódcami sekcji prowadzona głęboko w podziemiach dobiega końca. Zarówno Andriej, jak i wszyscy jego podwładni ubrani są w mundury polowe armii rosyjskiej. Czas ukrywania się odchodzi w przeszłość.

– Podkreślam: kluczowym czynnikiem powodzenia jest zgranie w czasie z sekcją emitera pola siłowego – mówi Kazakowcew.

Zebrani słuchają w skupieniu. Wątle światło lamp oświetla zmęczone twarze. Ostatnich kilka dni to praca non stop i życie w ciągłym napięciu.

– Ruszamy dokładnie za dziesięć minut. Za niecałe pół godziny będziemy pod kopułą. Wszystko jasne?

Zebrani, oficerowie z dużym doświadczeniem bojowym, niejednokrotnie sięgającym jeszcze Afganistanu, kiwają głowami. Akcję przygotowywano od miesięcy. Jej szczegóły są dokładnie znane. Zresztą – w gruncie rzeczy nie jest zbyt skomplikowana. Zdarzało im się wykonywać znacznie trudniejsze rzeczy.

Jednak nigdy o takiej wadze. Takim znaczeniu. Konsekwencjach.

– Jakież pytania? – Kazakowcew lubi kończyć odprawy właśnie w taki sposób. Niektórzy nie dopuszczają do żadnych dyskusji, każą po prostu wykonywać polecenia. Ale nie Andriej: on chce wiedzieć, co jego ludziom leży na wątrobie. Choć akurat teraz, szczerze mówiąc, nie spodziewa się

żadnych wątpliwości. Jego podwładni, wybrani, wyselekcjonowani, fachowi zwolennicy nowych porządków, wiedzą wszystko, co powinni wiedzieć. Jednak tym razem Kazakowcewa zawodzi intuicja. Rękę podnosi pułkownik Wiktor Gołowko, szef sił rakietowych. To od sprawności i kompetencji jego ludzi zależy w ogromnej mierze powodzenie końcowej fazy operacji.

– Towarzyszu dowódcu, mam pytanie. – Twarz Gołowki jest skupiona. – Czy posiadamy jakiegokolwiek informacje o możliwym przeciwdziałaniu nieprzyjaciela?

– Według moich informacji, nie odnotowano żadnych ruchów mogących budzić zaniepokojenie. Czy tak, Sergiej?

– Tak jest, towarzyszu generale. – Szefowi ochrony kontrwywiadowczej operacji pułkownikowi Wasilewskiemu zwracanie się do przełożonych wedle zwyczajów przyjętych w Armii Czerwonej sprawia wyraźną przyjemność. – Ani meldunki patroli, ani ostatnie obserwacje satelitarne nie wskazują na jakiegokolwiek zewnętrzne zagrożenie. Poza tymi dwoma...

– O tak, ci dwaj to dopiero problem. – Kazakowcew uśmiecha się. Może sobie pozwolić na odrobinę rozluźnienia.

– Postępują dokładnie według założeń. – Wasilewski, choć zwykle surowy i wymagający, zarówno względem siebie, jak i podwładnych, również pozwala sobie na cień uśmiechu. – Weszli pół godziny temu.

– A więc będą naszymi gośćmi lada chwila. Bardzo dobrze. Jeżeli nie ma więcej pytań, ruszamy.

Siedmiu oficerów podnosi się, stuka obcasami i biegiem udaje się na stanowiska. Po minucie gra osiem potężnych silników ciężarówek, chwilę później dołączają inne. Kolumna liczy czterdzieści siedem maszyn i niewątpliwie stanowi najpotężniejszą siłę militarną w tej części Europy.

2

Są ugrupowani w pięć dwuosobowych patroli. Czekają od blisko tygodnia.

Zdają sobie sprawę, że są intruzami w tym czasie i miejscu; zgodnie z precyzyjnymi rozkazami zachowują maksymalną ostrożność. Po pierwsze, nie przemieszczają się w ciągu dnia w otwartym terenie. Szkolenie przeprowadzone przed rozpoczęciem operacji wyraźnie akcentuje informacje o tak zwanych satelitach umieszczonych hen, wysoko nad głowami, ale obserwujących Ziemię non stop.

Zwiadowcy za żadną cenę nie mogą zdradzić swej obecności: zarówno aktualnym gospodarzom tego terenu, jak i czasowym użytkownikom. Ich rola ma polegać na wypatrzeniu celu, błyskawicznym zawiadomieniu centrum dowodzenia, po czym niepostrzeżonym zniknięciu. Podstawowy cel operacji zostanie wykonany przez zgrupowane pod ziemią siły uderzeniowe. Dосkoczą, uderzą, wykonają zadanie, wrócą do podziemi, skąd dokonają powrotnego skoku.

Gdyby chodziło o samo przejście sprzętu i uzbrojenia, mogliby akcji dokonać wcześniej, bez ryzyka przeciwdziałania ze strony przeciwnika. Jednak chodzi także, a może przede wszystkim, o przejście ludzi, fachowców, którzy umieją zdobytego uzbrojenia w odpowiedni sposób używać.

Akcja zakłada zatem walkę, bowiem przeciwnik jest może niezbyt liczny, ale z pewnością dobrze uzbrojony i wyszkolony. Stąd ich tytu: kompania uderzeniowa wyposażona w najnowsze wersje czołgów Königstiger i Tiger, dywizjon niszczycieli czołgów Jagdpanther, bateria moździerzy Nebelwerfer, bateria samobieżnych flakvierlingów, dwie kompanie grenadierów pancernych na transporterach opancerzonych, pluton zwiadu, saperów, łączności, kilkunastu strzelców wyborowych.

Bazę mają w podziemiach. Znają je dobrze. Dowodzący akcją od strony wojskowej Obersturmbannführer Otto Skorzeny dysponuje dokładnym, bardzo szczegółowym planem. To, co znajduje się nad i pod ziemią, było kiedyś własnością Wehrmachtu. Czują się jak gospodarze.

Gdy kilka tygodni temu Skorzeny i Spilker – w macierzystej epoce –uzyskują od Führera wszechstronne pełnomocnictwa do przeprowadzenia operacji „Neuer Welt”, znajdujące się jeszcze w rękach niemieckich Gross Bom jest przez kilka tygodni wszechstronnie przygotowywane. Założenie oparte na informacjach pozyskanych od człowieka, który był bezpośrednim źródłem inspiracji operacji, jest proste. Rosjanie, przyszli gospodarze bazy, nie będą potrzebować całych podziemi. Jeżeli dostęp do pewnej, stosunkowo niewielkiej części okaże się zbyt skomplikowany, czasochłonny i kosztowny, machną ręką, zadowolając się tym, co łatwo osiągalne. Toteż niemieccy saperzy zamurują przejścia do części kompleksu, konstruując grube na kilka metrów zapory, które zostają zaminowane, a przede wszystkim dokładnie zamaskowane. W wyniku tych zabiegów Skorzeny i jego ludzie dysponują obszerną, odizolowaną powierzchnią, która posłuży za bazę wypadową. Punkt dowodzenia Skorzenego zostaje założony w podziemnym bunkrze, znajdującym się trzy kondygnacje poniżej poziomu gruntu. Wielki magazyn, największe pomieszczenie w kompleksie, zostaje jeszcze powiększony wwyż i wszcz. Chodzi o to, by zmieścić się tam cały gęsto upchnięty oddział i by można było go przykryć kopułą pola siłowego. To kluczowa kwestia. Skorzeny i Spilker zakładają, że powodzenie akcji zależy od niezauważonego lądowania w przyszłości. Dlatego robią wszystko, by dokonać go pod ziemią.

Lądowanie przebiega bez zakłóceń, choć ustawiona na minimum kolistą podstawa pola siłowego przebiega zaledwie pół metra od jednej ze ścian. . *

Niezwłocznie zostaje zarządzane dokładne rozpoznanie. Ku zadowoleniu dowódcy zapory pozostają nienaruszone i nie noszą śladów forsowania. Rozpoczynają pracę saperzy: uruchamiają zasilanie sieci elektrycznej w energię, kładą kable łączności. Trzecia drużyna sprawdza w tym czasie stare pułapki minowe: niektóre z nich nie nadają się do użytku, niektóre jednak znajdują się w zadziwiająco dobrym stanie. System minowy zostaje mocno rozbudowany; niecałą dobę po wylądowaniu Obersturmbannführera Skorzenego i jego ludzi chroni zaporą nie do przebycia. Ustawione w dwóch szeregach czołgi, działa samobieżne i transportery mogą ruszyć w ciągu minuty od ogłoszenia alarmu.

Jazda pod ziemią zajmie im sześć minut; osiągnięcie lotniska i rozwinięcie się do natarcia – kwadrans. Są gotowi.

Skorzeny czeka na sygnał.

Ma bezpośrednią łączność z patrolami obserwacyjnymi rozmieszczonymi w punktach strategicznych: śledzą one wszystkie znane Obersturmbannführerowi wejścia do podziemi, z wyjątkiem jednego, do którego nie ma dostępu, bo teren dawnych magazynów Wehrmachtu zajęty jest przez jakąś firmę.

Patrole szczególnie starannie obserwują teren lotniska, stanowi ono bowiem wymarzone miejsce do przeprowadzenia określonego typu operacji.

Skorzeny podnosi głowę znad mapy. Spilker siedzi po drugiej stronie stołu. Jest zmęczony i wyczerpany; dawne rany obniżają jego sprawność fizyczną. Jednak umysł pozostaje ostry i precyzyjny.

Dlatego Skorzeny jeszcze w Berlinie nie protestuje, gdy Sturmbannführer oświadcza stanowczo, że zamierza wziąć udział w operacji. Taki podział odpowiada Obersturmbannführerowi: on bierze na siebie ciężar zorganizowania wszystkiego od strony wojskowej; Spilker zapewnia wsparcie polityczne oraz kontrwywiadowcze. Obaj zdają sobie sprawę, że władze Rzeszy, zwłaszcza na obecnym etapie wojny, są infiltrowane przez sowieckie służby.

Utrzymanie „Neuer Welt” w tajemnicy jest absolutnie niezbędnym czynnikiem powodzenia. I Spilker podejmuje wszelkie konieczne działania; zna się na tym, jest policjantem z krwi i kości. Tajemnica zostaje utrzymana.

– Jesteś pewien, że data została dobrze wybrana? – pyta po raz kolejny Skorzeny.

Jest człowiekiem niecierpliwym. Lubi precyzyjne planowanie i błyskawiczne operacje. Czekanie nie leży w jego naturze.

– Źródło w Ameryce mówiło o trzeciej dekadzie września 2012 roku. Radiotelegrafści złapali jakąś stację radiową. Jest 27 września. Przyjadą.

Spilker uśmiecha się lekko. Choć przez ponad cztery lata pracy w Warszawie i ścigania oddziału zdążył się przyzwyczaić do faktu, że w jego czasach wylądowali goście z przyszłości, nadal ciężko mu ogarnąć intelektem logiczną stronę zagadnienia. Los dał Rzeszy możliwość rewizyty. Oddział wybrańców korzysta z niej. Ale nadal zrozumieć niełatwo.

– Źródło mówi, że Grobicki i reszta planują skok do przyszłości w trzeciej dekadzie września. Skąd pewność, że GRU o tym wie i planuje swoje działania w tym samym czasie?

To kluczowa kwestia: zgranie w czasie trzech różnych operacji prowadzonych przez trzy niezależne od siebie siły. Spilker nikomu nie zdradza swojej wiedzy przed wyjazdem. Uznaje, że tak jest bezpieczniej. Teraz nie ma jednak powodu, by dowodzącemu całą akcją zaufanemu oficerowi Fiihrera o tym nie opowiedzieć. Swoją rolę gra też próżność Sturmbannführera. Lubi czasami ulegać słabościom. Z tej gry jest szczególnie dumny. Nadchodzi czas, by się nią pochwalić.

A gdzieś pod spodem jest po prostu zwykła chęć zemsty. Z przyjemnością odpłaci Grobickiemu za kilka miesięcy bólu.

– Pamiętasz Hahna, Otto?

– Hahna? Szefa warszawskiego Sipo?

– Właśnie jego.

– Poznałem go kiedyś. W '43 chyba.

– Zanim zginął w tej durnej strzelaninie z Grobickim, zmontował niedużą, ale efektywną siatkę agentów w Stanach Zjednoczonych.

– On? Zajmował się wywiadem?

– Decyzją Fiihrera ściganie żołnierzy z przyszłości, a także przejęcie systemu do przenoszenia się w czasie miało pozostać w jednym ręku. Otóż ludzie Hahna poczynali sobie całkiem dobrze: porwali jednego z techników z obsługi systemu, namierzyli Grobickiego i jego rodzinę, ale, co najważniejsze, odkryli, że cała ta ekipa przybyszów z przyszłości jest po pierwsze otoczona dyskretną ochroną OSS, co nawet jest całkowicie zrozumiałe, a po drugie, co znacznie ważniejsze, ma ją na widelcu jakaś inna organizacja.

–GRU.

– Tak jest. Agenci Hahna odnieśli ogromny sukces: udało im się pozyskać informatora wewnątrz sowieckiej siatki. Sowietom wpadli na to, że Grobicki wystrychnął Amerykanów na dudka: przejął emiter pola siłowego i planował ucieczkę w swoje czasy. Sowietom, a co za tym idzie, i nam, było w to graj. Planowaliśmy, by GRU przejęło emiter z rąk Grobickiego, a my przejęlibyśmy go z rąk Sowietów.

Nawet jeden z naszych U-Bootów czekał na sygnał przy brzegach Zatoki Meksykańskiej. Jednak Grobicki tuż przed wyjazdem zabił jednego z sowieckich agentów. To wprowadziło zamieszanie.

Polacy zwiali. Sowietom, Amerykanie i my zostaliśmy z niczym.

– No właśnie, Alfredzie. Tu jest punkt, którego nie rozumiem. Grobicki i spółka uciekają...

– Ale znamy datę ich lądowania. Trzecia dekada września 2012 roku. Jedna z osób z otoczenia Grobickiego zdradza agentowi GRU tę datę. A my się o niej też dowiadujemy. Zakładamy więc, że GRU nie zrezygnuje.

– Przecież rzecz ma się odbyć w dalekiej przyszłości.

– To jest w gruncie rzeczy kwestia archiwalnego porządku, Otto. GRU przegrywa pierwszą fazę w roku '44, ale operacja jest kontynuowana. Wiemy przecież, jak im zależy na emiterze pola siłowego. Zostawiają precyzyjny opis sytuacji. Ich następcy w roku 2012 realizują fazę drugą. Mamy to potwierdzone z dwóch niezależnych źródeł: GRU jest skłonne czekać nawet i siedemdziesiąt lat, by dopiąć swego.

– Ale skąd pewność, że będą chcieli zabrać to, czego i my szukamy?

– Ponieważ to logiczne, Otto. Będą chcieli odwrócić losy wojny A to jest broń, która jest w stanie tego dokonać. Prawdziwa Wunderwaffe. I ona tu jest, w tych podziemiach. Czeka na nich. Czeka więc i na nas.

– Przecież wygrywają tę wojnę. Za chwilę wejdą do Berlina.

– Wygrywają tylko z nami. A ich celem jest cały świat.

– Skąd ty to wszystko wiesz, Alfredzie?

– Wystarczy poczytać „Prawdę” sprzed wojny. Tam jest jasno wyłożone, o co Stalinowi chodzi.

– Ale przecież teraz – Skorzeny rozgląda się po bunkrze, jakby widział go po raz pierwszy w życiu – Rosja sowiecka podobno już nie istnieje. Teraz to inne państwo.

– Polityka Rosji jest niezmienna od kilkuset lat, co najmniej od czasów Piotra Wielkiego. Cele pozostają te same.

Trudno odmówić temu racji. Skorzeny zamyśla się głęboko.

– Całą naszą operację opieramy na bardzo kruchych przesłankach.

– Logika to nie są kruche przesłanki, Otto. Sowietci są zawsze bardzo logiczni, choć jest to najczęściej logika niezrozumiała dla innych. Chcemy przechwycić broń, która pozwoli nam zniszczyć bolszewizm i zawrzeć sensowny pokój z Zachodem. Dzięki głupocie i nieudolności Amerykanów mamy w ręku MDS, tyle że brakuje nam czasu na rozgryzanie technologii. Wiemy, że w tych lochach Rosjanie trzymają coś, co nas interesuje, co pozostawili po latach swych rządów. Dziś, jutro lub pojutrze ruszą.

Zdobędziemy Wunderwaffe, wrócimy w nasze czasy i wygramy wojnę. Dla Führera, dla Niemiec, dla nas samych w końcu.

– Pobjemy Sowietów ich własną bronią.

– Właśnie tak.

Obersturmbannführer Otto Skorzeny chce odpowiedzieć, ale rezygnuje. Odchyła się na krześle i spogląda w głąb obszernej hali, gdzie stoi pancerna armada. W środku, wyższy i znacznie większy od reszty pojazdów, niczym rodzynek w cieście, tkwi MDS. Długa na piętnaście metrów ciężarówka pomalowana w ochronne zgniozielone barwy opalizuje lekko w mdłym świetle lamp. Jej zawartość oraz kilku wziętych do niewoli i zmuszonych do współpracy amerykańskich techników zapewnia im możliwość przybycia w to miejsce w tym czasie. Pojazd wygląda solidnie, złowieszczo nawet. W przedziwny sposób wzmaga poczucie siły. Wzmaga pewność siebie. Gdy Obersturmbannführer widzi go po raz pierwszy i zostają mu przedstawione ukryte w nim możliwości, uznaje, że śni. Jednak pomalą się przyzwyczajają; zmusza umysł do najwyższego wysiłku i stara się zrozumieć. W końcu uznaje, że zrozumieć do końca nie da rady; po prostu akceptuje.

Najważniejsza rzecz: akceptacja. I wiara.

Dzwoni stojący na stole telefon. Skorzeny podnosi słuchawkę.

– Herr Obersturmbannführer – słyszy w słuchawce głos jednego z obserwatorów. Pomimo słabej jakości przekazu kojarzy: SS-Scharführer Globtsche. Świetny żołnierz. Weteran. Jego

meldunkom można w pełni ufać. – W sektorze W-91 ruch. Trzy ciężarówki. Około dziesięciu, może dwunastu ludzi.

Zaczyna się.

Skorzeny wstaje. Zgromadzeni w bunkrze dowódcy grup bojowych patrzą na niego w napięciu.

– Gotowość bojowa – mówi. – Ruszamy na sygnał.

3

Nie jest to zwykła sytuacja, gdy operacją w polu dowodzi trzygwiazdkowy generał. Ale teraz tak właśnie jest: generał pułkownik Jonathan „Punch” Littell siedzi już którąś z kolei zasraną zimną i wilgotną noc i czeka, aż będzie mógł się dobrać sprawcom tego burdelu do dupy.

Nie jest to zwykła sytuacja, kiedy wydzielony, najbardziej elitarny oddział, jaki US Army jest w stanie wystawić, złożony z doświadczonych w boju żołnierzy Delt, Rangersów, Navy Seals i ludzi z rozpoznania radioelektronicznego, dowodzony przez byłego szefa sztabu sił amerykańskich w Europie, musi się patyczkować z jakimś kurduplastym polskim policjantem i jego przyglupim przydużym pomocnikiem. Ale teraz tak właśnie jest: niedawna rozmowa z Polakami, pomijając kwestię ich beznadziejnej wymowy i szkolnego akcentu, przyprawia generała o ból tyłka. Tylko narzucona z góry decyzja polityczna nakazująca współpracę z gospodarzami bez wywoływania trzeciej wojny światowej ogranicza reakcję Littella do wściekłego sapania; inaczej zuchwały gliniarz wraz z asystentem wylecieliby na orbitę okołozemską.

Nie jest to zwykła sytuacja, gdy zaraz po tym dupowatym wymoczku do stanowiska dowodzenia Littella przychodzi jeszcze większy kurdupel i patrząc bezczelnie tymi swoimi niebieskimi oczkami, które robią wrażenie najprawdopodobniej tylko na sklerotycznych emerytkach, oświadcza, że jego ludzie wezmą udział w akcji na co najmniej równoprawnych zasadach. Ale tak właśnie jest: kurdupel żąda wglądu w plany operacji i udziału swoich ludzi. Co śmieszne, choć ma generalską gwiazdkę na pagonach, wyraźnie liczy się ze zdaniem policjanta. Gada w tym swoim niemożliwym, szeleszczącym języku, którego żaden cywilizowany Amerykanin nawet nie stara się zrozumieć, wymoczek i przyduży kiwają głowami, po czym najzwyczajniej w świecie oznajmniają, co właśnie wymyślili.

Littell protestuje, zgrzyta zębami, ale wie, że musi ustąpić.

Jego cierpliwość jest wystawiona na próbę, ponieważ zdaje sobie niestety doskonale sprawę, że za wszelką cenę musi posprzątać bajzel, którego praźródło tkwi w Białym Domu.

Littell za długo siedzi w tym interesie, by nie wiedzieć, jak działają takie mechanizmy. Biura konstrukcyjne prywatnych firm wymyślają nowe typy uzbrojenia, Pentagon i generałowie podchwytyją je (co często zależy od siły lobbystów, a nie od jakości nowych systemów), po czym rekomendują komisjom parlamentarnym i w końcu Białemu Domowi. Im bardziej wyrafinowany i

kosztowny system, tym bardziej można być pewnym, że sprawa nie dość, że opiera się o Biały Dom, to jeszcze wypowiada się sam prezydent.

Littell od zawsze głosuje na Republikanów, poza tym uważa, że obecny gospodarz Pennsylvania Avenue 1600 radzi sobie nie najgorzej. Nie o to chodzi. Po prostu prezydent jest cywilem i myśli jak cywil. Dostrzega skutki polityczne, ale nie dostrzega konsekwencji. Nie dostrzega kontekstu.

W tym rzecz. Właśnie tu jest pies pogrzebany z tym cholernym MDS-em. Nikt nie może przewidzieć konsekwencji puszczenia zabawki w ruch. Potem, gdy już jest za późno, Waszyngton dostaje amoku: powstają plany ratunkowe, jedne śmielsze od drugih. Wszystkie tak naprawdę nie nadają się do niczego. Gdy Littell zostaje wyznaczony na dowódcę operacji „Comeback” i słyszy pierwotny plan, stanowczo protestuje. Uważa wysyłanie misji ratunkowej w czasy drugiej wojny światowej za szaleństwo; wystarczy już historycznego bałaganu, jakiego narobił ten cały Grobicki. Wygląda na to, że Rosjanom nie udaje się wykraść tajemnic MDS-u na etapie projektowania i konstruowania prototypu, ale najprawdopodobniej dokonują tego w przeszłości; jeżeli nawet nie, dzięki przeszłości może im się w końcu udać teraz.

Jednak nikt nie słucha jego argumentów; wszyscy jak mantrę powtarzają zaklęcia o misji ratunkowej przeprowadzonej z wykorzystaniem drugiego prototypu MDS-u. Misja wbrew oporowi Littella zostaje zorganizowana i z błogosławieństwem Białego Domu wysłana w przeszłość.

Efekt?

Kolejne miliardy dolarów i trzydziestu ludzi znikają bez śladu. Przeszukiwanie archiwów nic nie daje; najwyraźniej oddział ratunkowy nie dokonuje niczego, co mogłoby być odnotowane w historycznych dokumentach. Niektórzy eksperci uważają, że to dobrze; Littell ma na ten temat inne zdanie. Misja ewidentnie nie poszła gładko. MDS mógł dostać się w niepowołane ręce. Ten ktoś jeszcze go nie użył, ale to nie znaczy, że tego nie zrobi. A biorąc pod uwagę, że misja miała wylądować na terenie Niemiec...

Wszystko to przyprawia generała porucznika Jonathana Littella o prawdziwy ból głowy. Musi wypić piwo, którego nawarzyli inni. Szanse sukcesu marne, spektakularnej porażki – niemal stuprocentowe. Jednak generał wie, że ktoś musi sprzątnąć ten bajzel; w Ameryce takich rzeczy się nie zostawia. A on jest właściwym kandydatem, weteranem kilku wojen i kilkunastu operacji o kluczowym dla jego ojczyzny znaczeniu, z doświadczeniem operacyjnym, logistycznym i sztabowym. Uważa się go, i generał tym opiniom przyznaje całkowitą rację, za jednego z najzdolniejszych wyższych oficerów w Stanach Zjednoczonych. Jest poza tym człowiekiem odpowiedzialnym i, co tu dużo gadać, po prostu kocha swój kraj.

Siedzi więc teraz w zimnym namiocie, odgania ponure myśli i walczy ze sobą, by tych wszystkich Polaków nie poślą do diabła. Oni w ogóle nie biorą pod uwagę jego argumentów.

– Powtarzam: najlepszy efekt da zatrzymanie tych ludzi – cedzi przez zęby Littell, celowo starając się mówić z jak najgorszym akcentem. Ale tamci, zdaje się, nie mają kłopotów ze zrozumieniem.

– Jeszcze nie teraz. – Wymoczkowaty policjant kręci głową.

Faktem jest, że facet ma jaja; w tym gronie jest najniższy stopniem, nie jest żołnierzem, tylko szefem jakiejś zakichanej sekcji antyterrorystycznej, jakiegoś, pozał się Boże, polskiego FBI, ale gada jak stary wyga.

– Powiedzą nam co i jak. Przyciśniemy ich.

– Oni jeszcze nie wiedzą co i jak. Muszą dopiero na to wpaść. A my idziemy za nimi.

– Weszli do tych cholernych podziemi prawie pół godziny temu. I sygnał się urwał. Stracił pan nad nimi kontrolę.

– Nie. –Kurdupel w mundurze kręci głową.

Obaj z wymoczkowatym spijają sobie z dzióbeków. Narodowa solidarność, psiakrew. Jak on się nazywa? Dreszer? Może i Dreszer. Nazwisk tamtych nie sposób ani wymówić, ani zapamiętać. Ale Pentagon niechętnie bąka, że na tym terenie akcją dowodzą Polacy. Polacy, nie wiedzieć czemu, przysyłają gliniarza. A Littell, też nie wiedzieć czemu, ma się podporządkować.

– Czyżby?

Littell ma dość tych ludzi i tej durnej dyskusji. Chciałby ruszyć do akcji. Siedemdziesięciu komandosów tylko czeka na sygnał. Jest pewien, że pan Grobicki po pięciu minutach przesłuchania zaśpiewa jak skowronek. I będzie mówić o dużym szczęściu, jeśli skończy na piętnastu latach odsiadki.

– Posłałem za nimi dwie sekcje moich ludzi. – Dreszer nie daje się wyprowadzić z równowagi.

Jego ton wskazuje, że równie dobrze może mówić o pogodzie.

– Dlaczego...? – warczy Littell, ale zatrzymuje się wpół zdania.

Przypomina sobie, co słyszał z kilku bardzo kompetentnych ust na temat polskiej jednostki GROM: jej żołnierze są niekiedy lepsi od Navy Seals czy Delt. Uczeń przerasta mistrza. Generał nie może im zarzucić po prostu niekompetencji.

– Nie ma obawy. Nie zostaną zauważeni. Utrzymujemy kontrolę nad sytuacją.

– To wspólna akcja, panowie – upiera się Littell. – Myślałem, że będziemy uzgadniać działania.

– Utrzymanie kontroli nad tymi dwoma oficerami było uzgodnione, prawda? – policjant stara się mówić pojednawczym tonem.

– Elektroniczne.

– Co za różnica? Jeżeli zawodzi elektronika, musimy zdać się na tradycyjne sposoby, takie jak inwigilacja. Chcemy, by doprowadzili nas do źródła. Więc nie możemy tracić ich z oczu.

Littell zdaje sobie sprawę, że właśnie nadchodzi moment, kiedy musi ustąpić. Fakty: to FBI w bezprecedensowej współpracy z CIA namierza w Stanach sięgając korzeniami drugiej wojny

światowej rosyjską siatkę, której celem jest oczekiwanie na Grobickiego i kompanów, uderzenie i przechwycenie MDS-u...

... ale to Polacy znajdują drugi koniec nitki: firmę, która ma siedzibę na tym cholernym zadupiu, i jest więcej niż prawdopodobne, że stanowi przykrywkę dla tajnych operacji rosyjskich służb specjalnych.

To FBI we współpracy z niektórymi służbami podległymi Pentagonowi wykrywa lądowanie Polaków na pustyni niedaleko San Antonio i śledzi każdy ich krok aż do wyjazdu ze Stanów...

... ale to Polacy przejmują sprawę w Polsce, odkrywają, że Grobicki jest śledzony, i otaczają go dyskretną opieką. Nie reagują na porwanie czwórki towarzyszy Grobickiego, uznając, że kwestia wykrycia prawdziwych zamiarów sprawców kradzieży kontenera jest ważniejsza niż odbicie zakładników. Pozwalają Grobickiemu działać i liczą, że doprowadzi ich do rosyjskiej siatki.

Faktem jest, że Amerykanie dają się przekonać, kiedy Polacy wykładają karty na stół: zagrożenie, choć nie ma na to bezpośrednich dowodów, a jedynie podparte poszlakami hipotezy, jest o wiele większe niż samo użycie MDS-u. MDS to tylko narzędzie. Ważne, kto i w jakim celu go użyje. Jeżeli ten ktoś chce dokonywać ingerencji w przeszłość, do czego jest w stanie się posunąć? Jeżeli podejrzenia Polaków są słuszne, wszyscy mieszkańcy kuli ziemskiej mogą jutro lub pojutrze obudzić się w zupełnie innym świecie...

Biorąc pod uwagę, kogo Polacy podejrzewają o ingerencję, można założyć w ciemno, że będzie to świat rodem z Orwella. Lub jego bardziej diaboliczna modyfikacja.

Zatem Amerykanie za zgodą Białego Domu zmieniają priorytety: odzyskanie MDS-u tak, ale przede wszystkim zlikwidowanie zagrożenia ingerencji w przeszłość. Sprawy nie ułatwia zaginięcie misji ratunkowej wysłanej z drugim MDS-em. Frustracja wszystkich zaangażowanych w misję powiększa się. Skutki zaginięcia jednego MDS-u są takie, że już się wszystkiego odechciewa.

A dwóch?

Littell ma właśnie na końcu języka jakąś ciętą ripostę, która wyraża zgodę na proponowane przez wymoczkę i jego kumpla kurdupla rozwiązanie, a jednocześnie daje jasno do zrozumienia, co generał o takim rozwiązaniu sądzi, gdy w otworze wejściowym namiotu pojawia się głowa jednego z polskich łącznościowców.

– Ruch w kwadracie G-8 – mówi, a tłumacz szybko przekłada te syczące dźwięki na zrozumiały język. – Trzy duże ciężarówki. Wyjechały z magazynu. Stały po stu metrach. Dwunastu ludzi. Stawiają teleskopowy maszt.

– To oni. – Littell czuje podniecenie. – Może to beznadziejne oczekiwanie w tak beznadziejnym towarzystwie jednak się opłaci. – Wchodzimy.

– Jeszcze nie – oponuje policjant. Dreszer, stojący tuż obok niego, kiwa głową. – To na razie tylko MDS. Nie ma jeszcze tego, po co to robią.

Generał wali pięścią w stół.

I wtedy jak na złość w namiocie pojawia się jeden z jego ludzi.

– Panie generale, nasłuch geotektoniczny odnotował podziemne drgania. Trzy czwarte mili na zachód – mówi ten młody kompetentny kapitan. – Ich zdaniem to silniki spalinowe o dużej mocy. Co najmniej czterdzieści.

4

Kazakowcew siedzi w jednym z pierwszych wozów kolumny, sztabowym beteerze, i zerka na zegarek. Choć ma surową minę, w głębi ducha jest zadowolony. Idzie jak po maśle. Ponad czterystu ludzi różnych specjalności, dwie rozbudowane siatki szpiegowskie – w Ameryce i w Polsce – ogromne ilości sprzętu, broni, zapasów, paliwa, miesiące żmudnych przygotowań, lata nużącego czekania – i żadnego przecieku, żadnych nieoczekiwanych zwrotów akcji, żadnego zagrożenia. Wszystko odbywa się zgodnie z harmonogramem.

Stalowe gigantyczne wrota broniące wstępu do podziemi otwierają się. Kolumna, długa na przeszło kilometr, wyjeżdża na powierzchnię. Ziemia drży niczym przy przejściu stada mastodontów.

Kazakowcew podnosi klapę i siada w otwartym włazie transportera. Ogląda się. Pancerze odbijają mdłe światło gwiazd. Lufy drapieżnie spoglądają przed siebie. Zakłęta w rakietach śmierć tylko czeka na hasło.

Generał jest człowiekiem chłodno kalkulującym, opanowanym, nieskorym do poddawania się nastrojom. Ale teraz drży. Czuje, że jeżą mu się włosy na karku. Siąpiący z nieba deszcz mu nie przeszkadza. Rozpiera go radość, duma i trudne do opanowania uniesienie.

Ciężkie wozy się rozpędzają. Osiągną cel za pięć minut.

5

SS-Oberscharführer Georg Glückermann ma serdecznie dość. Bierze go ochota, by zeskoczyć z tego cholernego drzewa i uciec gdzie pieprz rośnie. Dokładnie siódma doba obserwacji! Siedzi z tym tępowym dupkiem Behmem na prymitywnej platformie na drzewie, odlewa się do blaszanych puszek, je byle co, moknie w tym cholernym deszczu i nieustannie obserwuje otoczenie, w tym dwa znajdujące się w zasięgu wzroku bunkry.

Jest pierwsza w nocy. Cisza aż dzwoni w uszach, usypia, otępia. Dlatego z początku Glückermann sądzi, że to, co zaczyna się dziać, należy do snu.

Ziemia drży. Zrazu trudno wyczuwalnie, potem coraz wyraźniej. Wibracje dochodzą gdzieś z dołu, są odległe, ale się zbliżają. Chwilę później, gdy obaj obserwatorzy podnoszą do oczu lornetki i starannie, metr po metrze przepatrują teren, bliższy bunkier, rozłożysta, parterowa budowla, zaczyna się przesuwac w bok. Glückermann przeciera oczy. Nie wierzy, choć na to czekał, przecież wie, na jakich zasadach funkcjonuje część zamaskowanych wjazdów do podziemi. Długi na pięćdziesiąt i szeroki na trzydzieści metrów betonowy kloc odjeżdża w bok. Wibracje się nasilają, Oberscharführer

może już łatwo odgadnąć ich przyczynę – to wiele, bardzo wiele silników spalinowych o dużej mocy. Bunkier przejeżdża dystans co najmniej równy swojej szerokości i odsłania czeluść gigantycznej dziury w ziemi. Glückermann siedzi za nisko, za daleko i pod zbyt niekorzystnym kątem, ale bezbłędnie rozpoznaje, co tak naprawdę widzi. Gdy w czeluści ukazują się niewyraźne kontury wielu pojazdów, łapie za słuchawkę telefonu i krzyczy:

– Sektor W-76. Glückermann. Kilkadziesiąt ciężkich pojazdów. Widzę czołgi i transportery opancerzone. Widzę kilka długich ciężarówek z naczepami. Udają się w stronę lotniska. Zajmie im to kilka minut. Nie więcej niż pięć.

– Scheisse – słyszy Glückermann.

Jest prawie pewien, że meldunek odebrał dowódca. Wyczuwa w jego głosie zdenerwowanie.

– Uciekną nam. Ruszamy! – Słysząc krzyk, który urywa się gwałtownie. Najwyraźniej szef odkłada słuchawkę.

Glückermann rzuca swoją i ponownie podnosi lornetkę. Pancerna kolumna jest już na powierzchni. Nabiera pędu.

Ziemia drży, niemal się chwieje.

Oberscharführer łapie karabin Sturmegewehr 44 oparły o gałąź.

– Nic tu po nas – krzyczy do Behmego, który najwyraźniej nie może się jeszcze otrząsnąć z szoku. – Idziemy za nimi.

Skacze, ląduje przewrotką na ziemi i biegnie. Nawet nie wie, czy towarzysz podąża za nim.

6

Podinspektor Jakub Tyszkiewicz jest gliniarzem, ale ma wojskową przeszłość. Dwie tury w Iraku, jedna, niedokończona, w Afganistanie. Umie poprowadzić ludzi w bój, wie też, kiedy się wycofać. Gdy Tyszkiewicz zaledwie kilka dni po tym nieszczęsnym Euro 2012, podczas którego tylko cud sprawił, że nie doszło do hekatomby (precyzyjnie: mieszanka cudu i ekwilibrystycznej improwizacji Tyszkiewicza i Krzeptowskiego), otrzymuje od premiera nominację na dowódcę operacji przechwycenia emitery pola siłowego, jest zdruzgotany. Po zapoznaniu się z aktami dochodzi do wniosku, że sprawa śmierdzi, jest niemal niemożliwa do rozwiązania, na dodatek, wskutek zaangażowania Amerykanów, ma silne konotacje polityczne, od czego Tyszkiewicz, pomny niedawnych doświadczeń, chce się trzymać jak najdalej. Ale premier uważa Jakuba za najwłaściwszego człowieka do przeprowadzenia tego rodzaju zadań. Pacyfikuje buntownicze nastroje w innych rządowych agencjach, które uważają się za bardziej kompetentne w realizowaniu tego rodzaju zadań, nakazuje pełną współpracę i stuprocentową realizację wszelkich żądań Tyszkiewicza, życzy podinspektorowi wszystkiego najlepszego, po czym wydaje polecenie jak najszybszego zabrania się do roboty.

Już pierwsze spotkanie z przedstawicielem Amerykanów, desygnowanym na dowódcę operacji

„Comeback” generałem Littellem, jest wysoce zniechęcające. Arogancki facet, obwiniający Polaków za zaginięcie systemu wartego sześć miliardów dolarów (co przy każdej okazji podkreśla, jakby te sześć miliardów Polacy wyjęli mu potajemnie z kieszeni) i lekceważący jakąkolwiek opinię, która nie wychodziłaby z jego własnych ust. Wygląda na człowieka, dla którego wszystko poza Stanami Zjednoczonymi mieści się pośrodku generalskiego tyłka. Tyszkiewicz przechodzi próbę nerwów, słyszy za plecami wściekłe sapanie Krzeptowskiego, najbliższego kumpla, jednocześnie zastępcy i doradcy, wysłuchuje aroganckich uwag Littella i za wszelką cenę stara się podejść do problemu merytorycznie. W końcu, po kilkunastu przegadanych godzinach, udaje się wypracować pewien chwiejny kompromis. Littell uznaje kompetencje Tyszkiewicza, Tyszkiewicz docenia wiedzę i prawdziwe zaangażowanie Amerykanina.

Spływające dane wywiadowcze pozwalają wyselekcjonować pewną grupę firm, które mogą stanowić przykrywkę dla rosyjskiej operacji przechwycenia emitery. W połowie sierpnia przychodzi od rezydentury amerykańskiego wywiadu w Rosji informacja, która wprawia Tyszkiewicza, Krzeptowskiego i Littella w osłupienie: CIA natrafiła na ślad spisku wewnątrz GRU, mającego na celu przywrócenie komunistycznych porządków w Europie. Po początkowej konsternacji rysujący się obraz rzeczywistości w miejsce zwykłego wzruszenia ramion (restytucja bolszewizmu w dwadzieścia lat po rozpadzie ZSRS!) zaczyna napawać przerażeniem. Grupa wysoko postawionych oficerów rosyjskiego wywiadu wraz z liczną gromadą niższych stopniem popleczników, głęboko wierząca w dawne ideały i równie głęboko niezgadająca się na tolerowanie obecnej pozycji Rosji w świecie, mająca dostęp do całego dossier wojennych perypetii Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, opracowuje plan przechwycenia emitery pola siłowego i użycia go w celu strategicznej zmiany historii, stworzenia prawdziwej alternatywy, realizacji planu podboju Europy wedle nowego, korygującego popełnione błędy scenariusza. Źródło CIA. twierdzi, że akcja odbędzie się w trzeciej dekadzie września w Polsce, po przybyciu do kraju grupy polskich oficerów z Grobickim na czele.

Tyszkiewicz ma zbyt małą wyobraźnię, by w pełni uzmysłowić sobie konsekwencje takiego planu. Czasy komuny pamięta słabo, zresztą schyłkowy okres realnego socjalizmu ma niewiele wspólnego ze stalinizmem z lat trzydziestych. Człowiekowi żyjącemu w XXI wieku naprawdę ciężko uświadomić sobie tak odmienne realia. Mimo to Tyszkiewicz nie lekceważy groźby. Czuje, że powodzenie spisku oznacza kataklizm. Świat zmieni się i choć będzie zamieszany w większości przez tych samych ludzi, całkowicie zmienią się warunki ich życia: kilometrowe kolejki po wszystko, nakazy pracy i wszechwładza policji politycznej to tylko pierwsze z brzegu konsekwencje, wcale nie najpoważniejsze.

Toteż rzuca się w wir pracy. Śledztwo przebiega dwutorowo: jeden wątek to zidentyfikowanie firmy, która służy za przykrywkę. Drugi: zastawienie pułapki na dotychczasowych użytkowników emitery: podpułkownika Grobickiego i jego kumpli. Amerykanie bardzo chcą im się dobrać do skóry, Tyszkiewicz ma inny pomysł. Chce wykorzystać Grobickiego jako przynętę. Pomimo wątpliwości i

nieoczekiwanych kłopotów plan udaje się jak dotychczas zrealizować. Grobicki doprowadza ich do Bornego Sulinowa, w którym mieści się siedziba firmy zajmującej na krótkiej liście Tyszkiewicza pierwsze miejsce. Elementy skomplikowanej układanki zaczynają tworzyć logiczną całość.

Etap śledztwa, żmudnych obserwacji i nużącego składania faktów odchodzi w przeszłość. Nadchodzi w końcu pora na działanie. I sprawy niemal od razu idą nie tak, jak powinny.

Gdy tylko osiem sekcji operatorów – pięć amerykańskich i trzy polskie – rusza do przodu i zmierza w stronę stojących pośrodku lotniska ciężarówek i wysokiego masztu z owalnym żółwiem na szczycie, drugi meldunek doprecyzowuje skład sił zmierzających w stronę lotniska. Słysząc je zresztą gołym uchem.

Cała akcja jest zaplanowana jako szybka operacja sił specjalnych; analiza wariantów sytuacji wskazuje, że przeciwnikiem jest grupa czterdziestu, może pięćdziesięciu ludzi, z których większość ma przeszkolenie wojskowe. W podziemiach znajduje się broń strategiczna, która wydobyta na powierzchnię i zapakowana do autobusu mającego zawieźć ją w przeszłość, musi zostać przechwycona. Stąd obecność siedemdziesięciu Amerykanów i blisko sześćdziesięciu operatorów GROM-u pod bezpośrednią komendą szefa jednostki, generała brygady Lucjana Dreszera.

Sekcje gładko posuwają się do przodu. Mają do przebycia, w zależności od zadania, sto pięćdziesiąt do dwustu metrów. Rozmieszczeni w kilku dogodnych miejscach snajperzy widzą swoje cele w celownikach optycznych karabinów.

I wtedy właśnie rozlega się w dowódczych słuchawkach głos obserwatora:

- Kolumna w zasięgu widzialności.
- Melduj – rzuca spokojnie Dreszer.
- Osiem ciągników. Rakiety Topol. Szesnaście bojowych wozów piechoty BMP-2. Osiem czołgów T-72. Cztery zestawy przeciwlotnicze Szyłka. Dwadzieścia ciężarówek.

Nawet w mdłym świetle niewielkiej elektrycznej lampki widać, jak Dreszer błędnie gwałtownie, a po nim błędą pozostali członkowie sztabu.

– Przerwywamy operację – krzyczy Littell do mikrofonu. Wściekle zaciska pięści. – Wycofać ludzi. Natychmiast!

Beteer skręca gwałtownie, niemal nie zwalniając. Ciężkie koła ryją bruzdy w rozmiękczonej przez deszcz polnej drodze. Za nim skręca reszta. Wieloosiowe transportery dźwigające na swych plecach platformy z rakietami balistycznymi muszą zwolnić. Ostatnie, czego chciałoby dowódca poszczególnych działów, to zagrzebanie się w błocie. Jeden po drugim pojazdy pokonują zakręt.

Cała ósemka. Za nimi dalsze beteery, czołgi, ciężarówki Ził, szyłki.

Wóz trzęsie, ale Kazakowce wyraźnie już widzi lotnisko. Rozległą trawiastą łąkę, na której północnym skraju czekają w gotowości jego ludzie. Emiter zostaje umieszczony na teleskopowym maszcie. Reaktor atomowy staraniem wielu ludzi przemycony do Polski daje pełną moc. Wszystko jest gotowe.

Generał dostrzega ciemne zarysy ciężarówek, masztu i ludzi. Śmieje się jak szalony. Nic już nie zdoła zakłócić przebiegu decydującej fazy operacji „Jutrzenka”.

Jeszcze pięćset metrów.

8

Obersturmbannführer Skorzeny nie jest pancerniakiem, tym większe wrażenie robi na nim start pancерnej kolumny. Ruszają czołgi, działa szturmowe, transportery. Tunel drży, smród spalin niemal odbiera oddech, a Skorzeny czuje euforię. Jedzie w transporterze dowodzenia umieszczonym w drugiej części kolumny. Przed sobą ma obszerną rufę królewskiego tygrysa.

Saperzy otwierają betonowo–stalowe wrota zagrażające drogę na powierzchnię. Z zewnątrz masywne odrzwia zamaskowane są trawiastym pagórkiem, który na rolkach odsuwa się na bok. Czołowy transporter wyjeżdża na powierzchnię, niemal w miejscu skręca i gna w stronę lotniska. Ma do pokonania znacznie (mniej więcej o połowę) większy dystans niż rosyjska kolumna. Skorzeny ma niemal stuprocentowe przekonanie, że się spóźni. Toteż rozkazuje wyciskać z silników, ile się da, pełną moc. Wspaniałe maszyny wyprodukowane przez firmy Maybach, Opel, Mercedes grają na najwyższych obrotach. Po dwóch minutach wszystkie pojazdy, niemal setka, są na górze i gnają, gnają, gnają ile tchu w mechanicznych płucach. Kolumna początkowo porusza się jedną drogą, później każdy pododdział obiera własną trasę według precyzyjnego, starannie zaplanowanego scenariusza.

W głowie Obersturmbannführera brzmią już rozkazy, które za chwilę wyda.

Oprócz tego, choć nie jest religijny, modli się prostymi słowami. Liczy na cud. Precyzyjnie: na kolejny cud. Pierwszym jest przecież uzyskanie nienaruszonego MDS–u wraz z obsługą, który wskutek drobnej awarii systemu wpada miesiąc temu prosto w ręce Niemców.

Może zdarzy się kolejny cud i zdążą.

9

Tyszkiewicz łapie Littella za rękę. Tamten próbuje się wyrwać, ale uścisk jest żelazny. Piwne oczy policjanta ciemnieją.

– Jeżeli tamci dojadą do mety, za chwilę znikną pod kopułą pola siłowego. I już ich nie zobaczymy. Jutro obudzi się pan w świecie jak z najgorszego koszmaru.

– Moi ludzie nie będą walczyli z czołgami. – Littell w końcu się wyrwa.

Sapie wściekle. Towarzyszący mu oficer Deltę znacząco kładzie dłoń na pasie z bronią. Krzeptowski marszczy brwi i wkłada rękę do kieszeni.

– Pozwoli im pan odjechać? Naprawdę? – Tyszkiewicz mówi całkowicie spokojnym tonem.

Huk zbliżającej się kolumny narasta.

Amerykanin chce odpowiedzieć, ale brakuje mu słów. Wie, że tamten ma rację. Jest wściekły i na niego, i na siebie. Doskonale zdaje sobie sprawę, że złe planowanie i złe przewidywanie rozwoju sytuacji doprowadziły już do niejednej klęski. Nie chce być następny w kolejce, zwłaszcza że ta klęska może mieć, ba, na pewno będzie mieć, skutki o niewyobrażalnej skali.

Inne jutro. Oto stawka.

Dreszer, nie oglądając się na nic, zaczyna wydawać rozkazy swoim ludziom. Rzuca krótkie komendy niczym wyroki śmierci.

– Snajperzy! – Littell krzyczy w końcu w mikrofon.

Ziemia zaczyna drżeć. Słyszy w słuchawce kolejne zgłaszające się sekcje. Zna swoich ludzi dobrze, nawet lepiej niż dobrze. W ich głosach nie słychać przesadnego optymizmu.

– Zmiana celu. Snajperzy: w pierwszej kolejności zaatakować kierowców i dowódców. Należy powstrzymać kolumnę. Sekcje piesze opanowują emiter. Naprzód!

To jest gównie ważne, taka improwizacja, taka nieoczekiwana zmiana planów. Zawsze prowadzi do bałaganu i snajperzy dobrze o tym wiedzą.

Ale wiedzą też dobrze, poinformowano ich bowiem przed akcją dość szczegółowo o stawce, jakie mogą być skutki zaniechania, czyli podkulenia ogona. Toteż spotterzy szybko namierzają nowe cele, strzelcy zmieniają położenie broni. Kilka zespołów w pośpiechu przenosi się na nowe stanowiska.

Dwudziestu dwóch ludzi pracuje intensywnie. Kolumna przebiega do przodu. Ciężkie pojazdy wypełniają soczewki celowników. Palce pieszczą spust.

Pierwszy strzał oddany z karabinu Barrett rozpoczyna największą europejską bitwę od czasów zakończenia drugiej wojny światowej.

10

Strzału nie słychać.

Po prostu nagle siedzący we władzy czołowego beteera lejtnant Awramiejew, stary doświadczony wyga Awramiejew, weteran kilku wojen, obecnie dowodzący sekcją zwiadowczą, dostaje w głowę. Fontanna krwi tworzy lśniący w świetle gwiazd wachlarz, który po sekundzie łamie się i opada na ziemię, a bezwładne ciało lejtnanta niknie we władzy transportera. Jadący za nim Kazakowce widzi wszystko z odległości nie większej niż dwadzieścia metrów, ale nim ma czas zareagować, siedzący obok niego żołnierz, dowódca beteera, też dostaje kulę. Głowa niemal eksploduje, hełmofon podskakuje niczym pajac na sprężynie, bezwładne ciało wali się na bok i tak zwisa, szarpane w takt kołysania się pojazdu. Kazakowce słyszy złowróżbny świst powietrza gdzieś za sobą, przez idiotycznie długi moment zastanawia się, czy właśnie tak wygląda śmierć, po chwili dochodzi do wniosku, że nie, że żyje dalej, że tajemniczy strzelec chybił, gdy zza pleców dochodzi okrzyk i kolejne ciało wali się na stalową podłogę trzeciego beteera.

Kazakowcewowi wydaje się, że widzi gdzieś z przodu niewyraźny błysk, kolejna kula leci w stronę celu, padają następne strzały. Generał nurkuje do wnętrza transportera. Załoga jest skonsternowana, patrzy na martwe ciało dowódcy i jeszcze nie rozumie, co się stało.

Trwa to najwyżej kilka sekund.

– Naprzód! – krzyczy Kazakowcew do kierowcy. Krzyczy tak, że mało nie pękną bębunki. – Gaz do dechy!

Kierowca w odpowiedzi wciska hamulec. Generał leci do przodu, wali głową w stalową gródź oddzielającą przedział wieży od przedziału kierowcy. Przez chwilę ma przed oczami ciemność, czuje jednak, że ciężki transporter skręca gwałtownie w bok, że sunie bokiem, wcale nie jest pewne, czy się w końcu nie wywróci. Kierowca dodaje gazu, ale kontynuuje skręt. Rufa beteera wali o coś z ogłuszającym hukiem, odbija się przy wtórce podnoszącego włosy na głowie zgrzytu dartej stali, po czym transporter jedzie dalej. Kołysze się i skacze, pokonuje fałdy terenu, przyspiesza.

Kierowca omija czołowy wóz, a teraz najwyraźniej przed czymś ucieka.

11

Glückermann biegnie skrajem lasu. Po lewej stronie ciągnie się polna droga prowadząca na lotnisko. Ze zgrzytem gąsienic jedzie nią pancerna kolumna. Wyprzedza Oberscharführera. Obciążony bronią i amunicją biegacz nie ma specjalnych szans z czołgiem czy ciężarówką na dystansie półtora kilometra.

Ale Glückermann jest zbyt świadom stawki gry, by po prostu odpuścić. Zbyt wielkie wrażenie zrobiła na nim odprawa przeprowadzona tydzień temu przez Obersturmbannführera Skorzenego. Glückermann aż się śmieje. Wunderwaffe! Cel wart każdej ceny. Jest żołnierzem i patriotą. Kocha ojczyznę, szanuje Führera, podziwia jego wielkość. Wie, że on i koledzy, którzy znaleźli się w tym dziwnym miejscu, w tak dziwnej epoce, ryzykują życie. Ale wie też, że tak trzeba; los jednostek czasami trzeba poświęcić. W imię wyższych celów.

Doświadczenie szepcze, że Skorzenemu zabraknie czasu, ponieważ rosyjska kolumna ma do przebycia znacznie mniejszy dystans niż jego własne oddziały. Nawet nieważny jest fakt, że w środku kolumny mknie osiem potężnych długolufych czołgów, które wyglądają na bardzo groźnych przeciwników.

Königstigery i tigery to też nie ułamki. Jagdpanthery potrafią poradzić sobie z każdym znanym Glückermannowi czołgiem. Rzecz w tym, by oddział Skorzenego zdołał dogonić przeciwnika, nim ten odfrunie na zawsze, i by czołgi miały możliwość stoczenia bitwy z czołgami przeciwnika. Wynik takiego starcia nie jest pewny, ale bez niego powstrzymać nieprzyjaciela nie uda się na pewno.

Oberscharführer musi zrobić wszystko, by powstrzymać kolumnę, by choć na minutę lub dwie zwolnić jej bieg, by wprowadzić nieco chaosu. Odkąd zeskoczył z drzewa i biegnie wzdłuż kolumny, myśli. Obserwuje i myśli.

W końcu zatrzymuje się gwałtownie. Droga jest w odległości siedemdziesięciu metrów. Mijają go czołgi, a potem zaczyna się rząd kilkunastu ciężarówek. Glückermann oddycha gwałtownie, uspokaja oddech. Opiera karabin o rosnącą na wysokości ramienia gałąź. Zgrywa muszkę ze szczerbinką. Dystans nie jest wcale taki mały, panują ciemności, pada deszcz, a kolumna porusza się szybko.

Jednak SS-Oberscharführer Georg Glückermann to najlepszy strzelec dywizji „Leibstandarte SS Adolf Hider”, a sturmgewehr to doskonały karabin. Pierwszy karabin drugiej wojny światowej na nabój pośredni.

Kula przelatuje siedemdziesiąt metrów, tłucze boczną szybę ciężarówki Urał, przebija szyję kierowcy i wylatuje drugim oknem. Żołnierz wali głową o kierownicę, przekręcając ją bezwładnymi rękoma. Ciężki samochód, załadowany blisko piętnastoma tonami amunicji, zaczyna skręcać w prawo. Zjeżdża z drogi, skacze z niewielkiej półmetrowej skarpy, siła odśrodkowa coraz bardziej ściąga go w bok. W końcu, niemal w zwolnionym tempie, ciężarówka się wywraca. Przez chwilę, trąc burtą i brezentem plandeki o ziemię, sunie jeszcze siłą bezwładu, po czym z okropnym zgrzytem wbija się w terenową fałdę.

Glückermann krzyczy głośno, po czym bierze na muszkę kolejny cel.

12

Tyszkiewicz klnie pod nosem, a jednocześnie w głębi ducha błogosławi swoją przezorność.

Sygnały, dyspozycje i instrukcje płynące wprost z kancelarii premiera w ciągu ostatnich, nerwowych miesięcy mówią jednoznacznie: priorytetem jest odzyskanie emitery i zwrócenie go Amerykanom oraz wykrycie rosyjskiej siatki rebeliantów z GRU w Polsce. Na to zostają przeznaczone wszystkie środki, zasoby ludzkie i wiedza. Tyszkiewicz dostaje władzę niemal absolutną. Pełni swe dotychczasowe obowiązki szefa wydziału antyterrorystycznego Centralnego Biura Śledczego, a jednocześnie koordynuje akcję odzyskania emitery. W ścisłej współpracy z Amerykanami.

Ale priorytet drugi, równie wyraźnie przez szefa rządu artykułowany, mówi: akcja ma być przeprowadzona dyskretnie. Jak najciszej, bez rozgłosu, tym bardziej bez wywoływania konfliktu dyplomatycznego. Jednym ze skutków takiego podejścia jest przydzielenie Tyszkiewiczowi do dyspozycji tylko sił specjalnych. Wszelkie doniesienia zza Atlantyku, z Moskwy oraz własne rozpoznanie wywiadowcze przekonują, że Rosjanie użyją tylko lekkich sił. Stu, może stu dwudziestu żołnierzy i specjalistów, którzy legalnie przyjechali do Polski jako cywile. Jednak im pełniejszy obraz „Jutrzenki” wyłania się z doniesień, tym bardziej podinspektor czuje się zaniepokojony; nie ma dowodów, ale czuje, że tego typu operacja w swej decydującej fazie musi być potężnie zabezpieczona. Jeżeli jest prawdą, że ta banda neostalinistów chce przenieść się w lata czterdzieste i zabrać ze sobą broń strategiczną, staje się wysoce wątpliwe, czy ci ludzie nie mają do dyspozycji broni cięższej niż

broń strzelecka. Podejrzanie, że bazą wypadową może być Borne Sulinowo, dawna baza wojsk sowieckich, w której ciężkiego sprzętu było aż nadto i która może służyć za doskonałą kryjówkę, tylko utwierdza Tyszkiewicza w jego przekonaniu.

Ale premier pozostaje nieugięty: żadnych ciężkich sił, żadnego lotnictwa. Siły specjalne to wszystko, czym główny koordynator akcji może dysponować. Amerykanie, ufni w precyzyjne rozpoznanie wywiadowcze, prezentują podobny punkt widzenia.

Jednak Tyszkiewicz nie rezygnuje. Na kolejne spotkanie, już po wylądowaniu na Okęciu Grobickiego z towarzyszami i rozpoczęciu przez niego epopei odzyskania najbliższych, zabiera ze sobą generała

Dreszera, szefa GROM-u. Wie, że generał cieszy się dużym szacunkiem premiera i szef rządu liczy się z jego zdaniem. A Dreszer całkowicie podziela pogląd Tyszkiewicza: operacja powinna dysponować odwodem sił szybkiego reagowania, ześrodkowanym na zapleczu operacji, by w razie nieprzewidzianego zwrotu akcji móc wkroczyć na pole bitwy.

Narada trwa wiele godzin, premier i towarzyszący mu minister obrony narodowej są jak zawsze sceptyczni. W końcu przyparci do muru wyrażają warunkową zgodę na zmobilizowanie pewnych sił wojsk lądowych i ulokowanie ich w pobliżu miejsca przyszłej rozgrywki. Czasu jest mało, wzmiankowane oddziały, postawione na nogi, w pośpiechu osiągają gotowość bojową i nocnymi przemarszami osiągają założone miejsca ześrodkowania.

Teraz Tyszkiewicz ze słuchawką przyciśniętą do ucha wykrzykuje sekwencję rozkazów. Wrzeszczy ile sił. Wie, że liczy się każda minuta. I zdaje sobie sprawę, że wsparcie nie przybędzie szybciej niż za kwadrans.

Precyzyjnie: pierwszy rzut wsparcia.

13

Generał major Andriej Konstantynowicz Kazakowcew klnie jak szewc, klnie, jak tylko można kłać w pięknej mowie Puszkina, Tołstoja i Dostojewskiego. Trzyma się stalowej grodzi, by choć trochę przeciwdziałać wściekłym wstrząsom transportera, i wyrzuca z siebie całe wiązanki przekleństw. Beteer zwalnia, kierowca wie, że gdyby utrzymywał dotychczasową prędkość, wóz najprawdopodobniej utknąłby, uszkodzony. Mimo wolniejszej jazdy nadal jednak pojazd kołysze się, niczym okręt na wzburzonym morzu..

Kazakowcew słyszy, jak strzelec otwiera ogień. Karabin maszynowy o budzącym szacunek kalibrze czternaście i pół milimetra zachłystuje się długimi seriami. Strzelec sam doszedł do wniosku, że kolumna zostaje zaatakowana przez snajperów, którzy prowadząc ogień z uprzednio przygotowanych stanowisk bojowych, być może częściowo ukrytych wśród pobliskich drzew, starają się wyeliminować dowódców wozów oraz kierowców. Toteż pokrywa ogniem las. Nie liczy, że trafi, trafienie w takich warunkach, przy bardzo ograniczonej widoczności, gdy transporterem rzuca i

kołysze na boki, gdy nie wiadomo, gdzie znajduje się przeciwnik, zakrawa na cud. Liczy po prostu, że zmusi tamtych do zaprzestania ognia, do zmiany stanowisk, choćby do odrobiny dekoncentracji. Gorące łuski spadają na stalową podłogę. Dym wypełnia przedział bojowy beteera, wukae zachłystuje się wrzaskiem.

– Uwaga! Tu dowódca! Wozy bojowe, las po prawej i prawa strona drogi. Ognia! I nie zwalniać! Gaz do dechy! – Kazakowcew krzyczy do mikrofonu radiostacji.

Wie, że słyszą go wszyscy dowódcy. Odzyskuje panowanie nad sobą. Zdaje sobie sprawę, że atak snajperów jest w gruncie rzeczy świadectwem bezradności przeciwnika. Cóż może kula kalibru dwanaście i siedem dziesiątych milimetra uczynić pancerzowi czołgu? Owszem, wróg atakuje kierowców, odnosi pewne sukcesy, ale to nie znaczy, że może powstrzymać kolumnę.

Już nie.

Wozy otwierają ogień. Grzmią armaty czołgów, szczekają wukae–my, chrypią trzydziestomilimetrowe działka bojowych wozów piechoty. Wróg, kimkolwiek jest, dostaje za swoje. Wszystkie potencjalne miejsca ukrycia się strzelców wyborowych zostają szczerze obdzielone.

– Dowódco! – słyszy Kazakowcew w słuchawce głos szefa pododdziału transportowego. – Jedna z moich ciężarówek się wywróciła. Dostaliśmy ostrzał z lasu!

– Jedź dalej! I ognia!

– Tak jest, towarzyszu generale.

Szlag...

Kazakowcew znowu wali głową w stalową gródź. Beteer się kołysze. Ryczą wybuchy czołgowych pocisków. Kanonada spotęgowana stalowym pogłosem wewnątrz transportera wwierca się w mózg.

14

Skorzeny słyszy strzały.

Ale, co dziwne, nie są to pojedyncze trzaski karabinowe, lecz potężne eksplozje dział ciężkiego kalibru. Z pewnością pierwszych skrzypiec nie grają jego ludzie. Czołowa grupa szturmowa złożona z czterech königtigerów i plutonu piechoty wedle kalkulacji Obersturmbannführera dopiero za dwie minuty dotrze na pole walki. Obserwatorzy, którym wydał ścisłe rozkazy właśnie na taką jak ta okoliczność, będą robili wszystko, by powstrzymać wroga. Dziesięciu dobrych, zdeterminowanych strzelców to nie byle co. Jednak Skorzeny się nie łudzi: nagły atak może spowolnić wroga, powstrzymać go nie zdoła. Strzelcy mogą zabić trzech, czterech, może pięciu kierowców wozów ciężarowych lub transporterów, jeśli ci ostatni będą na tyle nierozsądni, by podróżować z podniesionymi klapami. Ale to wszystko.

Rosjanie najpewniej orientują się, że w lesie ukrywa się kilku odważnych strzelców, którzy robią dobry użytek ze swych karabinów. Toteż otwierają ogień z dział i ciężkich karabinów

maszynowych, by przeciwnika ogłuszyć, zmusić do opuszczenia stanowisk, do schowania głowy w piasek. Obersturmbannführer jednak, planując operację, nie zostawił niczego przypadkowi. Jeden z wariantów akcji zakładał podobny rozwój wypadków. Na tę okoliczność Skorzeny ma w ręku pewien argument. Siłę zdolną zadać niespodziewany, miażdżący cios. Jako ostatni oddział, na samym końcu wszystkich grup, których zadaniem jest otoczenie lotniska i zaatakowanie go ze wszystkich stron, mkną cztery półgąsienicowe transportery z zamontowanymi dziesięciururowymi wyrzutniami niekierowanych pocisków rakietowych Nebelwerfer. To straszna broń. Odpowiednio skoncentrowana salwa nawet jednej wyrzutni jest w stanie wyrządzić nieprzyjacielowi ogromne szkody.

Dowódca baterii potwierdza odebranie rozkazu od Skorzenego. Na jego polecenie transportery hamują gwałtownie, ryjąc gąsienicami miękką piasek polnej drogi. Kanonierzy zeskakują z wozów, celowniczo odbierają dane od dowódcy, uważnie ustawiają prowadnice. W końcu blisko dziewięćdziesiąt sekund od momentu, gdy zadzwieczał w słuchawkach głos Obersturmbannführera, czterdzieści rakiet kalibru sto pięćdziesiąt milimetrów z wyciem i potężnym świstem opuszcza wyrzutnie, by rozpocząć dwukilometrowy lot do celu.

Czterdzieści odzianych w stal śmierci zatacza na nocnym wrześnieowym niebie świetlisty łuk.

15

Stanowisko dowodzenia Tyszkiewicza, Dreszera i Littella jest zlokalizowane prawie trzy kilometry od lotniska, w obszernym, wygodnym amerykańskim wozie. Wszechstronna łączność i rozbudowane systemy obserwacji pozwalają śledzić kilka obszarów lub celów naraz, mieć kontakt ze wszystkimi podległymi oddziałami i sekcjami oraz dostęp do najświeższych danych wywiadu, obrazu satelitarnego nie wyłączając. Amerykanie wspaniałomyślnie zgadzają się, by wóz stanowił centrum operacji „Comeback”. Początkowo wszystko idzie nie najgorzej. Osiem sekcji Delt, GROM-u i Sealsów dochodzi do skraju lotniska. Tam – na to nie ma rady – większa część z nich zostaje zauważona i ostrzelana z broni maszynowej. Żołnierze odpowiadają ogniem i wykorzystując fałdy terenowe i system wzajemnego ubezpieczania się, zaczynają posuwać się do przodu. Rosyjscy strzelcy strzelają gęsto, celnie, ale nie są w stanie powstrzymać skoordynowanego ataku.

Potem nadchodzą wiadomości o pancernym oddziale, który pojawia się nie wiadomo skąd i zmierza w stronę lotniska. Snajperzy podejmują nierówną walkę, przeciwnik odpowiada, straty są krwawe, kolumna zwalnia tylko nieznacznie.

Chwilę później na głównym ekranie, na którym od dłuższego czasu wyświetlany jest obraz jednego z fragmentów lotniska oraz krzątający kilkunastu ludzi przygotowujących emiter do działania (kamerę umożliwiającą dokonywanie obserwacji w trybie nocnym umieszczono na wysokim maszcie triangulacyjnym aż o cztery kilometry od celu, ale jakość obrazu jest zgoła fantastyczna), zaczynają się dziać zadziwiające rzeczy.

Najpierw z oddali, niejako spoza kadru, wszyscy zgromadzeni w wozie dowodzenia słyszą dojmujący basowy świst, jakby ryk rannego dinozaura wzmocniony sprzętem nagłaśniającym zespołu metalowego. Potem na zachodnim kawałku nieba ukazuje się szereg łukowato wygiętych smug mknących z dużą prędkością w stronę lotniska. Sekundę później smugi dochodzą celu i wybuchają z ogromnym łoskotem, pokrywając kłębam i dymu pokąźną część pasa startowego. Podmucha musi być potężny. Dwunastotonowym wozem dowodzenia pomimo znacznego oddalenia od epicentrum wybuchu kołysze potężna fala gorącego wiatru.

Tyszkiewicz patrzy na ekran zdumiony. Wszystkim, nie tylko jemu, w końcu żołnierzom bez wyjątku z doświadczeniem bojowym, odbiera mowę. Littell gapi się w ekran i bezwiednie otwiera usta.

Białobury dym zasnuwa pole bitwy, widoczność równa się zeru.

Jakub nie umie nazwać tego, co widzi. Ale jedno rozumie bardzo dokładnie: do rozgrywki włączył się ktoś trzeci. Potężna siła, która całkowicie nieoczekiwanie przyszła polsko-amerykańskim siłom z pomocą. Najprawdopodobniej niszczy przy tym emiter, ale sądząc z rozwoju wypadków, odzyskanie emitera zapewne i tak nie byłoby możliwe. Pozbawiając Rosjan możliwości ucieczki w przeszłość, niweluje ich najważniejszy atut, główny czynnik sprawczy operacji „Jutrzenka”.

Jakie cele przyświecają jednak nowo przybyłemu graczowi, tego nikt ze zgromadzonych dowódców nie umie zgadnąć.

Zresztą nikt nie ma czasu zastanowić się głębiej.

W bezpośredniej bliskości wozu dowodzenia rozbrzmiewają strzały. Krótkie nerwowe szczekanie trzystrzałowych serii, pojedyncze strzały snajperów, długa litania jakiejś ciężkiej maszynki. Wozem kołyszą wybuchy granatów.

Tyszkiewicz błędnie i sięga do kabury. Glock jest już w ręku i zostaje podniesiony niemal na wysokość oczu, gdy do środka przez uchylone drzwi wpada granat. Błysk i huk paraliżują zmysły jednocześnie.

Wszyscy zgromadzeni w centrum dowodzenia padają na ziemię, ogłuszeni, ślepi, bezbronni.

16

– Towarzyszu generale – Kazakowce słyszy w słuchawkach głos dowódcy jednego z patroli ubezpieczenia – przed nami obcy wóz wojskowy. Wygląda jak centrum dowodzenia. Sektor –9.

Kazakowce nie jest zaskoczony. Już nie. Skądś obcy snajperzy się wzięli. Najwyraźniej Polacy nie tacy ślepi, za jakich uważa ich centrala. Ale dobry dowódca dostrzega niespodziewane szanse, nawet jeżeli planiści nie biorą ich pod uwagę przed bitwą. Decyzja zostaje podjęta w jednej chwili.

– Zdobyć i wziąć do niewoli.

– Tak jest, towarzyszu dowódco.

Beteer przyspiesza. W peryskopie widać już lotnisko i wysoki maszt z emiterem pola siłowego. Obsługa czeka na kolumnę. Siły ochrony walczą z nacierającymi grupami bojowymi przeciwnika. Atak nie jest jednak zbyt silny i choć nieprzyjaciół zdobywa teren, Kazakowce nie ma wątpliwości, że zdąży.

Jadące za transporterem dowódcy bojowe wozy piechoty i czołgi ponownie otwierają ogień. Tym razem kładą zapórę pomiędzy atakującymi żołnierzami a obsługą emitera. Polski atak utyka.

I właśnie wtedy zdarza się coś jak z koszmarne snu.

Zza pleców, gdzieś daleko zza końca kolumny nadlatuje kilkadziesiąt białych smug i z ogłuszającym hukiem eksploduje mniej więcej pół kilometra przed czołowym transporterem. W jednej chwili pod niebo strzelają słupy dymu i ognia, wypływając z siebie setki i tysiące mniejszych lub większych odłamków, porozrywanych stalowych części, kamieni i piachu.

System obrony znany jako MDS, klucz do operacji „Jutrzenka”, efekt ofiarnej służby kilku pokoleń oddanych sprawie patriotów, niknie w tej koszarnej chmurze. A wraz z nim nadzieja.

Być może została tylko zemsta.

17

Glückermann strzela długą serią w stronę zamykającego rosyjską kolumnę gąsienicowego transportera o niskiej, zgrabnej sylwetce. Wie, że pocisk kalibru siedem i sześć dziesiątych milimetra uczyni stalowemu pojazdowi niewiele szkody. Ale jest z siebie zadowolony. Robi, co może.

Wprowadza zamieszanie wśród kilku ostatnich wozów wrogiego ugrupowania, powoduje, że przeciwnik jedną ciężarówkę wraz z obsługą musi wykreślić ze stanu ewidencji. Teraz po prostu stoi, dyszy z wysiłku i podniecenia i patrzy.

Liczy na to, że Obersturmbannführer Skorzeny, szczwany lis, bohater tylu spektakularnych akcji, kolekcjoner zwycięstw i sukcesów, nie pozwoli wrogowi tak po prostu odjechać.

Nadzieja SS-Oberscharführera szybko się ziszcza.

Bezbłędnie wychwytuje i rozpoznaje dochodzące gdzieś z tyłu wycie, podobne do skargi umierającego mastodonta. Nieco precyzyjniej: całej rodziny umierających w strasznych mękach mastodontów.

Gdy przed sobą widzi potężny błysk i gromowy huk, wie, że wrogowi nie uda się tak po prostu zniknąć.

Salwa czterdziestu niekierowanych rakiet, nawet wystrzelona w pośpiechu i bez koniecznej do osiągnięcia dobrego rezultatu staranności, może narobić ogromnych szkód; co nietrafione odłamkiem, obalić choćby podmuchem.

Rachuby Glückermanna są całkowicie prawidłowe. Pancerna kolumna oddalona już o spory dystans staje gwałtownie. Jej czoło niemal dotyka porażonej strefy. Ten bezruch kontrastuje ostro z dotychczasowym pędem, a także, a może przede wszystkim, z dymno–ogniowym pandemonium. W

tym staniu kilkudziesięciu pancernych potworów jest coś nieludzkiego, a jednocześnie po ludzku zrozumiałego: jakieś potężne wahanie, niepewność, może nawet rozpacz. Nic dziwnego. Jedna raketowa salwa najprawdopodobniej obróciła wniwecz cel założony przez Rosjan, złamała sens akcji, pozbawiła jakiegokolwiek kierunku dalszego działania.

Ten obrót sprawy, rzecz oczywista, bardzo jest na rękę żołnierzom Skorzenego, SS-Oberscharführera Georga Glückermanna nie wyłączając. Wszyscy dobrze wiedzą, co mają robić, wszystkich uskrzydla sukces artylerzystów.

Czołowa grupa bojowa właśnie wyjeżdża na ostatnią prostą. Dowódcy już widzą wroga kolumnę, w siatkach celowników pojawiają się godne zainteresowania obiekty.

Po pierwsze czołgi. Według meldunków obserwatorów osiem długolufych pojazdów o niskiej opływowej sylwetce. Kilkanaście gąsienicowych transporterów z piechotą. Zestawy przeciwlotnicze.

A także cel, który należy za wszelką cenę ochraniać: osiem wielkich ciężarówek przewożących rakietę. Dlatego Skorzeny przed akcją tyle czasu poświęca odprawom i wbijaniu do głów dowódcom poszczególnych grup celu operacji. Dlatego załogi czołgów zostają szczegółowo poinstruowane, co mogą i powinny niszczyć, a co mają bezwzględnie oszczędzać. W każdym z wozów bojowych w mapniku dowódcy znajduje się kartka ze szkicem. Może niezbyt dokładnym, może niezbyt idealnie oddającym rzeczywisty kształt raketowych platform, ale dobrze oddającym istotę rzeczy. Załogi są doświadczone w boju, wiedzą, o co toczy się gra. Nie mają problemu, by nawet wobec potężnego oporu przeciwnika wykonać zadanie.

Pluton królewskich tygrysów liczy cztery czołgi. Jest ubezpieczany przez sześćdziesięciu żołnierzy piechoty uzbrojonych w ciężką broń maszynową i pancerfausty. Stanowi szpicę, pierwszy niemiecki oddział, który dociera na plac boju. Ma najkrótszą drogę. Reszta, siedem grup o kombinowanym składzie, z obu stron otacza lotnisko. To stara niemiecka taktyka obustronnych kleszczy, klasyczna operacja okrążająca, która wielokrotnie przynosiła olśniewające efekty strategiczne na Wschodzie w '41 i '42 roku.

Skorzeny po konsultacji z dowódcami kompanii czołgów oraz dywizjonu dział szturmowych wie, jak to rozegrać. Nie można pozwolić wrogowi ochłonać i dać mu odskoczyć. Stąd atak z wielu kierunków, zamknięcie nieprzyjaciela w saku. Stąd ruchliwe, zmotoryzowane, dobrze uzbrojone oddziały piechoty, mające wykonać główną część zadania.

I przede wszystkim: czynnik zaskoczenia.

Teren sprzyja tego typu przedsięwzięciom. Lotnisko, punkt wypadowy rosyjskich sił, jest z dwóch stron otoczone lasem. Stwarza możliwość skrytego podejścia, utajenia, przynajmniej do pewnego punktu, zamiarów i kierunków działania. Szeroka piaszczysta droga pozwala z kolei szybko przemieszczać się w kierunku pola bitwy.

Tą właśnie drogą nadjeżdża awangarda oddziału. Czołgi stają. Długie lufy przez chwilę wachają przestrzeń, niczym myśliwskie psy łapiące trop ściganej zwierzyny.

Czterej dowódcy wbijają wzrok w peryskopy, czterej celownicowie sprawdzają ostatnie parametry strzału.

– Nieprzyjacielskie czołgi pięćset czterdzieści, azymut dwadzieścia pięć. Odłamkowy. Dowolny ogień! – mówi do logofonu dowódca.

Takie rozkazy załogi lubią najbardziej. To dowód zaufania do ich umiejętności, do rzetelnie wykonywanego żołnierskiego rzemiosła.

Cztery spusty lecą w dół. Cztery działa ryczą.

Cztery ciężkie pociski lecą do celu.

18

Podinspektor Jakub Tyszkiewicz jest człowiekiem doświadczonym. W przeszłości strzelał do ludzi. Do niego również strzelano. Znajdował się w niewoli. I, niestety, używano też przeciw niemu granatów hukowo-błyskowych.

Otrząśnięcie się z ich skutków nie jest proste ani bezbolesne. W głowie huczy, w uszach dzwoni, oczy dostrzegają wszystko z wyjątkiem rzeczywistości.

Rzeczywistość natomiast prezentuje się w sposób wysoce niezachęcający. W wozie dowodzenia, nowoczesnym amerykańskim cacku, cudzie militarnej technologii naszpikowanym po sufit wyrafinowanymi elektronicznym systemami, stoi czterech żołnierzy w maskujących kombinezonach i niedwuznacznie poszturchuje leżących na podłodze ludzi lufami karabinów. Nie pada ani jedno słowo. Nie musi. Wszyscy są zawodowcami i rozumieją sytuację. Zarówno Tyszkiewicz, jak i Krzeptowski, a także Amerykanie – Littell, adiutant oraz pięciu podoficerów z obsługi – wiedzą, że obecność czterech zamaskowanych żołnierzy uzbrojonych w broń szturmową wymierzoną prosto w jeńców nie sprzyja konwersacji.

Tyszkiewicz dochodzi powoli do siebie. Mimo oszołomienia dociera do niego położenie, w jakim się znalazł. Groza sytuacji, która rozwija się całkowicie niezgodnie z jakimkolwiek scenariuszem. Nie myśli na razie o fizycznym zagrożeniu, o życiu, które może stracić w najbliższej sekundzie. Zastanawia się nad skutkami utraty kontroli nad operacją.

Niespodziewany atak rakietowy na lotnisko może spowodować zniszczenie emitera. Ale przecież nie musi. Jest dużo dymu i huku, jednak skutki pozostają niewiadome. Możliwe, że rosyjska operacja będzie kontynuowana. Kolumna jest już niemal na miejscu. O ile emiter jest sprawny, za kilka minut operator odpali kopułę pola siłowego. I wtedy nie pomoże żaden ostrzał, chyba że nuklearny, co ciężko sobie wyobrazić. Tyszkiewicz nie sądzi, by Pentagon rozpatrywał scenariusz ataku z wykorzystaniem sił jądrowych na terenie sojuszniczego kraju. Ciężko o takim rozwiązaniu nawet pomyśleć.

Do tego dochodzi sprawca ataku rakietowego. Rozpoznanie przed rozpoczęciem akcji nie donosiło o żadnych obcych siłach czy nawet pojedynczych osobach kręcących się po terenie dawnej

sowieckiej bazy. Owszem, obserwatorzy nie zostali zbyt gęsto rozmieszczeni, mają polecenie obserwowania tylko wybranych sektorów terenu, a monitoring nie pokrywa całego obszaru. Ale Tyszkiewicz i Littell w tym akurat są zgodni: im większa liczba obserwatorów w terenie, tym większe ryzyko wpadki.

Co innego obserwacja elektroniczna. Predatory, obraz satelitarny, radar na pełnych obrotach przeczesują teren. Jednak do tej pory niczego podejrzanego nie wykryły.

A teraz jest już za późno.

Do akcji wkracza trzeci gracz. Uderza silnie i precyzyjnie, ma dobre rozeznanie w sytuacji. Co jest jego celem?

Jakub leży na stalowej podłodze wozu dowodzenia, stara się nie patrzeć ani na obcych żołnierzy, ani tym bardziej w przepastne otchłanie luf i klnie w duchu na cały świat, na premiera, który z powodów politycznych nie zapewnił dostatecznego wsparcia, na aroganckiego

I upartego Littella, na siebie wreszcie, bo co prawda okazał się i tak najbardziej z tej gromady polityków i żołnierzy przewidujący, ale jak widać – niewystarczająco.

Jeden z napastników rusza do przodu i podchodzi do pierwszego z brzegu technika. Sprawnymi ruchami obszukuje go, wyłuskuje broń, po czym przechodzi do następnej osoby. Do akcji włącza się drugi żołnierz. Proces rozbijania jest prowadzony na cztery ręce. Pozostali dwaj napastnicy stoją bez ruchu pod ścianami i uważnie obserwują jeńców. Myśl o oporze przychodzi Tyszkiewiczowi do głowy, jak zna Krzeptowskiego, przychodzi do głowy i Krzeptowskiemu, ale na myśleniu się kończy. Póki co nie ma żadnych szans odwrócenia sytuacji.

Nim w ciasnocie blaszanej przestrzeni pada choć jedno słowo, choć jedna komenda, która dałaby przybliżone pojęcie o tym, w jakim kierunku będą się toczyć najbliższe wydarzenia, od strony lotniska ryczy czołgowa salwa, od której aż drży powietrze. Pociski wybuchają, wielokrotna detonacja wywołuje gromowe echo.

Po sekundzie, jakby w odpowiedzi, odzywa się kilkadziesiąt innych luf. Spotęgowany grzmot uderza w wóz dowodzenia, a niebo rozjaśnia się łuną eksplozji.

19

Peryskop transportera ma ograniczone pole widzenia, a Kazakowcew nie chce się karmić wyobraźnią, bo ta, rozpędzona przez niedawne wydarzenia, podpowiada czarny obraz sytuacji. Nie chodzi o to, że generał jest z natury pesymistą. Lubi mieć po prostu swój punkt widzenia na wszystkie sprawy, które go dotyczą, i to punkt widzenia podparty szczegółową obserwacją i analizą zagadnienia.

Toteż nie bacząc na niebezpieczeństwo zarobienia kuli od wciąż czyhających gdzieś w ciemności snajperów, otwiera górną klapę wieżyczki, łapie lornetkę i wystawia głowę ponad wyłaz. Lornetka okazuje się niepotrzebna. Przed nim, nie dalej niż sto metrów, kłębi się dym. Powoli opada pył, dzwonią po pancerzach ostatnie kamienie i odłamki.

Emiter, kilka ciężarówek, maszt, ludzie nikną za nieprzeniknioną barierą. Szansa, że coś po napadzie ocalało, jest znikoma. Kazakowcew nie traci nadziei, pamięta, że na wojnie ludzie, pododdziały i całe armie nie z takich opresji wychodzą, jednak intuicja i doświadczenie podpowiadają mu, że najprawdopodobniej emiter zostaje zniszczony. Czuje wściekłość, czuje żal, czuje rozpacz.

Ale jednocześnie mózg generała majora Andierja Konstantynowicza Kazakowcewa pracuje na pełnych obrotach. Wie, że atak nieprzyjaciela nie ogranicza się już do dokuczliwego, ale w gruncie rzeczy nieszkodliwego ostrzału snajperów. Wróg ma znacznie poważniejsze argumenty w rękę. To oznacza, że zapowiada się poważna walka. Stawka zaś tej walki jest tak poważna, że utrata życia nawet wszystkich bojowników operacji „Jutrzenka”, wliczając jego samego, jest najmniejszym z problemów. To nie jest przecież zwykły międzynarodowy konflikt, choć na pierwszy rzut oka taki się może wydawać.

Tak czy inaczej, musi być posprzątane.

– Pododdział pancerny w tył zwrot – rozkazuje Kazakowcew. – Pierwszy pluton piechoty w tył zwrot. Zlokalizować nieprzyjacielskie źródło ognia i zneutralizować je.

To najważniejsza sprawa. Kolejny atak może przynieść już całkowitą klęskę.

Jednak nim osiem czterdziestopięciotonowych czołgów i kilka wozów BMP–2 zawraca, by pognać w miejsce, skąd nastąpił ostrzał, ze świstem nadlatuje kilka ciężkich pocisków i wybucha w akompaniamencie piorunowego huku i oślepiającego błysku. Pierwszy obrywa wóz dowódcy pododdziału pancernego.

Nieprzyjacielski celowniczy zna się na robocie. Wie, albo wyczuwa, co jest słabą stroną czołgu T–72. Trafia w miejsce zetknięcia się wieży z kadłubem. Pocisk nie przebija pancerza, mimo swojej znacznej masy i prędkości jest na to zbyt słaby, jednak powoduje bardzo nieprzyjemne dla załogi skutki. Wieża klinuje się, rezonans eksplozji powoduje, że wszyscy trzej czołgiści tracą przytomność. Ręce kierowcy spadają z drążków, czołg siłą inercji wykonuje ćwiartkę obrotu i nieruchomieje, tworząc półmetrowy wał ziemny na nieco namięklej trawiastej płycie lotniska.

Kolejny pocisk chybia. Dwa ostatnie trafiają w dwa następne czołgi i nie powodują większych szkód, oba odbijają się bowiem od obłych wież. Dowódcy czołgów bez rozkazu przepatrują teren.

Są!

Cztery ciemne, dalekie sylwetki. Dziwne. Czołgiści są dobrze wyszkoleni, na wrywki mogą opowiadać o wszystkich typach zachodnich wozów bojowych, mogą je bez pudła rozpoznać, mogą o każdym sporo opowiedzieć. Ale takich maszyn, jakie stoją w krótkiej tyralierze o pięćset metrów stąd, nie znają.

Zresztą nie ma czasu na zastanowienie. Ponownie biją wrogie działa. Cztery błyski, następujący po nich huk i cztery trafienia. Kolejny rosyjski czołg wypada z gry – gąsienica klekocze, po czym spada.

Wóz się zatrzymuje. Ale pozostałe w końcu dają głos. Ryczą studwudziestopięcio–milimetrowe działa.

Sześć pocisków leci w stronę niedalekich sylwetek. Dwa nie trafiają, cztery są celne. Nieprzyjacielskie czołgi giną w chmurze dymu i ognia. Bojowe wozy piechoty otwierają gęsty ogień z działek Wroga piechota, która zdążyła już zeskoczyć z transporterów i pokonać jedną trzecią dystansu, biegnąc po obu stronach drogi, odpowiada. Lecą ciężkie głowice granatników przeciwpancernych. Dwa bewupy stają, porażone kumulacyjnym ładunkiem. Kolejny czołg traci gąsienicę.

Mimo to piątka pozostałych wozów w asyście dwóch BMP-2 wyrывa do przodu, wprost na dymiące nieprzyjacielskie czołgi. Kaemy ujadają co sił, piechota wroga zalega na poboczach. Z uszkodzonych bewupów wysypuje się kilkunastu ocalałych żołnierzy i biegiem rusza w stronę nieprzyjaciela.

Biegną, strzelają z biodra, starają się osłonić czołgi. Nieprzyjaciół odgryza się gęstym, dobrze lokowanym ogniem. Ale już nie odzywają się granatniki. Czołgi z obróconymi o dziewięćdziesiąt stopni wieżami i strzelające z kaemów mijają dymiące wraki.

Gdy jedenastu żołnierzy Specnazu dopada nieprzyjacielskiej piechoty, ta w większości jest już niezdolna do walki. Padają pojedyncze strzały, gdzieś człowiek zwiera się z człowiekiem, odbywa się krótka i zawzięta walka wręcz. Ale to po prostu wykańczanie niedobitków.

Rosyjscy żołnierze nie wierzą własnym oczom. Wszyscy zabici mają na sobie niemieckie hełmy i mundury, a także niemiecką broń. Wyglądają, jakby przenieśli się z planu jakiegoś historycznego filmu.

Jednak to nie film. Płonące wraki pojazdów należących do obu stron konfliktu potwierdzają, że to okrutna rzeczywistość.

Kolejne ciężkie pociski padające wśród pozostałych na lotnisku pojazdów nie pozwalają się nad tym głębiej zastanowić. Walka wybucha ponownie.

Ze zdwojoną siłą.

20

SS-Obersturmbannführer Otto Skorzeny nie traci zimnej krwi. Nigdy. To fundament jego sukcesów. Słyszy meldunki i wie, że wszystkie jego królewskie tygrysy, potężne, siedemdziesięcotonowe maszyny, którym tak trudno dotrzymać kroku, które mają na swoim koncie tyle spektakularnych sukcesów, zostają zniszczone jedną czołgową salwą. Zaiste, potężne uzbrojenie ma przeciwnik, skoro tak odprawił pancerne kolosy. Również piechota ubezpieczająca pluton czołgów zostaje w zasadzie w całości zniszczona.

Ale następne meldunki mówią, że pozostałe pododdziały już dochodzą celu. Jako pierwszy pole bitwy osiąga dywizjon dział szturmowych Jagdpanther osłaniany przez zmotoryzowaną kompanię grenadierów pancernych.

Jagdpanther to cudo niemieckiej techniki pancernej końcowej fazy wojny. Ciężkie samobieżne działo, pomyślane jako niszczyciel czołgów, uzbrojone w osiemdziesięciośmimilimetrową

długolufą armatę, nie znajduje przeciwnika, któremu nie mogłaby dobrać się do skóry. Teraz dywizjon rozciągnięty w czterobaterijny szyk nadjeżdża na pole walki od strony starych magazynów. Piechota w biegu zeskakuje z transporterów. Cele znajdują się w odległości najwyżej dwustu metrów. Dym po salwie nebelwerferów opada. Zrzuceniem losu maszt z emiterem pola siłowego pozostaje nietknięty. Dymią za to dwie ciężarówki. Jedna z nich jest przewrócona na bok. Dookoła masztu kręci się kilkudziesięciu ludzi. Pełnym gazem podjeżdżają pojazdy wrogiej kolumny i ustawiają się w bezpośredniej bliskości masztu.

Dowódca dywizjonu nieruchomieje. Widzi cel operacji. Długi na trzydzieści metrów czternastokołowy transporter. Na lawecie podłużna, wysmukła rakietą. Dokładnie taka, o jakiej opowiadał Obersturmbannführer Otto Skorzeny. Z dymu i kurzu wyłania się kolejny transporter. Zwalnia i ostrożnie ustawia się w sąsiedztwie poprzednika.

Dowódca dywizjonu wydaje kilka zwięzłych rozkazów. Działony stają. Lufy szukają celu. Piechota biegnie co tchu. Strzelcy zdejmują z pleców długie ruty pancerfaustów. Jeszcze pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt metrów. To cud, ale na razie atak pozostaje niezauważony.

W końcu jednak nieprzyjaciół dostrzega zagrożenie. Transportery jak na komendę odwracają wieże w stronę dywizjonu. Dodają gazu. Chcą ochronić cenny ładunek, oddzielić go od wrogich sił, niczym owczarki stado owiec przed atakiem wilków.

– Działony, ognia! – krzyczy niemiecki dowódca.

Dwanaście armat huczy niemal równocześnie. Błyskają główce pancerfaustów. Terkoczą niezawodne MG-42.

Nieprzyjacielskie transportery giną w chmurze dymu. Nie sposób stwierdzić, ile pocisków trafia bezpośrednio, ale jest pewne, że wróg otrzymuje potężny cios. Może nie śmiertelny, może jeszcze wymagający powtórki, ale niewątpliwie osłabiający zarówno zasoby, jak i morale przeciwnika.

Artylerzyści bez rozkazu powtarzają salwę. Są ostrożni. Strzelają tylko do zidentyfikowanych celów.

Wiedzą, że nie mogą ryzykować trafienia w któryś z wozów przewożących rakiety. To – dosłownie – sprawa życia i śmierci.

Dymią lufy jagdpantherów, celowniczy uważnie obserwują przedpole. Kolejne pociski tkwią w komorach, gotowe polecieć ku nieprzyjacielowi. Jednak działa milczą. Mają za zadanie ubezpieczać akcję piechoty. To do niej należy zasadnicza część zadania.

Blisko dwustu grenadierów wbiega między nieprzyjacielskie wozy. Wróg jest oszołomiony atakiem, ale się broni. Nie wszystkie transportery zostały trafione. Kilka z nich, ulokowanych po drugiej stronie lotniska, strzela z wielkokalibrowych karabinów maszynowych i działek. Pociski znaczą łukowate tory świetlistym ściegiem. Są celne. Grenadierzy okupują postępy wysoką daniną krwi. Nie wiadomo skąd podjeżdża czterolufowy zestaw przeciwlotniczy i otwiera ogień do zaczajonego w pobliżu dywizjonu dział szturmowych. Przeciwpancerne pociski krzeszą iskry na skośnych pancerzach czołowych, rozbijają celowniki i peryskopy, ogłuszają załogi. Do tej stalowej

lawiny dołączają trzydziestomilimetrowe działka transporterów gąsienicowych. Te są bardzo groźne. Spada jedna z gąsienic, w kilku miejscach pancerze, choć pokaźnej grubości, pękają, co załogi odczuwają boleśnie. Dowódca wydaje rozkaz. Grzmią działka, dziesięciokilogramowe pociski znajdują drogę do celu, pelotka i dwa transportery giną w chmurze dymu.

Krztusząc się i kaszląc, niemal na oślep jeden z grenadierów dopada pierwszego transportera raketowego. Wspina się po wysokich schodkach. Otwiera drzwi...

I spada z przestrzelonym czołem. Kierowca szuka następnego celu. Makarów w jego rękę jeszcze dymi. Warczy seria z karabinu szturmowego. Kierowca pada w tył. Dwóch grenadierów wspina się po szczeblach. Wyrzucają martwe ciało na ziemię. Biorą na muszkę pobladłego ze strachu członka obsługi.

Wóz jest opanowany. Żołnierz, który siada za kierownicą, przez chwilę przygląda się desce rozdzielczej, gałce zmiany biegów, pedałom. Silnik chodzi na wolnych obrotach. W końcu esesman z wahaniem wciska sprzęgło, wrzuca bieg i lekko naciska gaz. Blisko pięćdziesięcotonowy wóz rusza zadziwiająco lekko.

Dowódca kompanii grenadierów śle w eter meldunek.

Słyszy go również znajdujący się trzy kilometry dalej i piętnaście metrów niżej Sturmbannführer Alfred Spilker. Uśmiecha się. Zasadnicza część operacji: przechwycenie broni strategicznej, kończy się sukcesem. O powrót do bazy się nie martwi. Oddziały pancerne SS są w stanie utorować sobie drogę. Na Wschodzie dokonują nie takich czynów.

– Możesz iść – mówi do informatora.

Ten schyla się, podnosi wypchany plecak i zarzuca na ramiona. Jest w cywilnym ubraniu.

– Zgodnie z umową. Masz do przejścia osiemset metrów tunelu. Potem skręć w lewo. Dwadzieścia minut marszu i trafisz do miasteczka. Ubezpieczenia wiedzą o tobie.

– Znam to miasteczko – odpowiada informator. Nazywa się Stanisław Cupryś i ma serdecznie dość. W plecaku spoczywa wynagrodzenie za przekazanie informacji: dwa kilogramy złota w starych monetach i sztawkach. Chciałby być jak najdalej stąd, mieć w końcu za sobą ciągnący się od pięciu lat koszmar.

– Idź. – Spilker stoi bez ruchu.

Nie żegna się. Gardzi zdrajcami, choć przyznaje, że bywają użyteczni. Tak jak teraz. Walczy ze sobą, by nie wyciągnąć pistoletu i nie strzelić temu człowiekowi w głowę. Dwunastu członków bezpośredniej osłony MDS-u stojących tuż obok z pewnością by nie protestowało.

Cupryś bez słowa odwraca się i odchodzi. Po krótkiej chwili niknie w półmroku tunelu. Echo odbija mdle dźwięki kroków.

Pistolet pozostaje na swoim miejscu.

Potem wszystko cichnie.

Jakub patrzy na Krzeptowskiego. Stara się zrozumieć, co tak naprawdę dzieje się na lotnisku.

Dochodzi stamtąd wściekła strzelanina. Co gorsza, wyraźnie da się odróżnić wybuchy ciężkich pocisków czołgowych. Wątpliwe, by Rosjanie zdecydowali się strzelać z armat do snajperów. W grę wchodzi zatem walka z kimś znacznie ciężiej uzbrojonym.

Z kim?

Niemożliwe, by w tak krótkim czasie zdołał na pole walki przybyć wezwany przez Tyszkiewicza odwód. Dopiero za kilka minut można spodziewać się pierwszego klucza śmigłowców – o ile oczywiście nie nastąpiły jakieś niespodziewane przeszkody w postaci na przykład awarii silnika. Ale to nie śmigłowce walczą. Jakub dałby sobie głowę uciąć, że w niedalekich ciemnościach rozgrywa się bitwa pancerna.

Co jest niemożliwe.

Chyba że...

Myśl, która przebiega mu przez głowę, jest tak nieprawdopodobna, że aż szkoda się nią zajmować dłużej niż przez sekundę. Szkoda czasu i nerwów. Jednak pomysł uporczywie kołacze się po otępiałym mózgu. Skoro możliwa była wyprawa w przeszłość Grobickiego, czy jest niemożliwa wyprawa z przeszłości w przyszłość? Przecież Amerykanie, co niechętnie i półgębkiem przyznaje Littell, wysłali w przeszłość ekipę ratunkową wraz z drugim emiterem. A tam: coś idzie nie tak, emiter dostaje się w niepowołane ręce...

Jakub porzuca te fantastyczne myśli. Wóz dowodzenia aż drży od dalekich eksplozji.

Huczą karabinowe strzały. Blisko. Bardzo blisko.

Dreszer uśmiecha się pod nosem i Tyszkiewicz się domyśla, o co chodzi. Zastępca Dreszera, zimnooki pułkownik, który nigdy nie przedstawił się nazwiskiem, dowodzi częścią operacji ze stanowiska polowego. Na pewno niepokoi go urwana nagle łączność. Bez dwóch zdań zarządza alarm. Każe sprawdzić swoim ludziom, co takiego wydarzyło się na stanowisku dowodzenia, że milczą wszystkie kanały porozumiewania się.

Oto efekty: terkoczą krótkie serie, które Tyszkiewicz bezbłędnie identyfikuje jako odgłosy wydawane przez pistolety maszynowe Heckler & Koch MP-5 oraz karabiny szturmowe M-4. Oba typy używane przez operatorów GROM-u. Odszczekują im się krótkie kałasznikowy Specnazu. Basowo huczą wybuchy granatów.

Dowódca napastników warczy niezrozumiały rozkaz. Czterej rosyjscy żołnierze podnoszą broń. Trzaskają bezpieczniki.

Ale ten gest nie zaskakuje leżących na podłodze jeńców. Przynajmniej część z nich doskonale zdaje sobie sprawę, co się za chwilę wydarzy. W zwyczaju tych ludzi nie jest pokorne spoglądanie śmierci w oczy.

Pierwszy reaguje sierżant radiotelegrafista. Podpiera się obiema rękami, podrywa jak na sprężynie i skacze. Seria trafia go w pierś i odrzuca, jednak sierżant robi dla reszty grupy rzecz

bezcenną – absorbuje uwagę napastników. Podrywają się następne dwie postacie. Jednej z nich udaje się złapać za lufę kałasznikowa i skierować ją w górę. Seria brzmi ogłuszająco, rozdziera powietrze, pociski rykoszetują z upiornym gwizdem, Littell, już w przykłęku, jęczy głucho i wali się na twarz, łuski dzwonią o stalową podłogę, w końcu iglica wali w pustkę i broń milknie. Krzeptowski szerokim zamachem zagarnia nogi kolejnego z napastników i ten, choć nie ułomek, pada na ziemię jak łan skoszony przez żniwiarza. Jakub, zasłonięty nieco przez kłębiący się tłum, skacze szczupakiem na przywódcę napastników. Trafia głową w pierś tamtego, Rosjanin traci równowagę i uderza plecami o stalową ścianę wozu dowodzenia. Ma na sobie kamizelkę kuloodporną, więc o żadnych poważnych obrażeniach nie ma mowy, ale traci oddech i orientację. Jakub wali go głową w nos, poprawia z obu pięści, jeszcze raz uderza czołem. Leci krew, broń wypada z bezwładnych rąk.

Po chwili wszystko cichnie. Słychać tylko chrapliwe, urywane oddechy śmiertelnie zmęczonych ludzi. Dym powoli opada. Drzwi się otwierają. Wpada przez nie światło kilku laserowych znaczników celu.

– GROM – słychać krzyk z zewnątrz.

– GROM – odkrzykuje z ulgą Dreszer.

Krwawi z rany na głowie, ale najwyraźniej poza tym jest cały i zdrowy.

Tyszkiewicz się podnosi. Trzyma w ręku kałasznikowa. Dyszy. Nie patrzy na przeciwnika, którego zabił gołymi rękami. Stara się skupić. Wie, że nie ma czasu do stracenia.

Bitwa dopiero się rozpala.

Gdy czołgi niszczą wrogie maszyny i wyrywają naprzód, Kazakowcew oddycha z ulgą. Niebezpieczeństwo, przynajmniej to bezpośrednie, jest zażegnane. Może chwilowo, może tylko na moment, ale przynajmniej pododdziały zyskują czas na przegrupowanie. Pierwszy meldunek, jaki dochodzi do generała, wywołuje na jego twarzy uśmiech ulgi. Emiter jest cały. W wyniku ataku raketowego ginie kilkunastu żołnierzy obsługi, zostają zniszczone dwie ciężarówki, ale maszt stoi, jak stał, a sam emiter pozostaje niedrażniony.

„Jutrzenka” odzyskuje sens, „Jutrzenka” może być kontynuowana, „Jutrzenka” świeci dawnym blaskiem.

– Obsługa emitera, przygotować się do uruchomienia kopuły! – krzyczy w mikrofon Kazakowcew. Tym krzykiem chce przyspieszyć reakcję podwładnych. Zdaje sobie sprawę, że drugiej szansy nie będzie. – Wszystkie pododdziały. W kolejności zajmować miejsce w perymetrze pola siłowego.

Zakodowany meldunek leci w eter. Dowódcy uwijają się jak w ukropie. Podjeżdżają piętnastotonowe ciężarówki z zapasami. Beteery piechoty. Wozy BMP. Transporter Kazakowcewa zajmuje miejsce na końcu grupy, najbliższej ciągnącego się nieopodal lasu.

I wtedy generał jednocześnie słyszy krzyk jednego z dowódców be-teerów i huk nieprzyjacielskiej salwy. Zaraz potem spada grad pocisków. Wybuchów jest wiele, zlewają się w jeden przerażający grzmot. Eksplodują pojazdy, gwizdzą odłamki, w tył generalskiego beteera uderza

jakieś oderwane i płonące koło. Po kilku sekundach salwa powtarza się i znowu nic nie widać, znowu ciężki dym zasnuwa pole walki.

W eterze: chaos. Meldunki krzyżują się, słysząc krzyki, przekleństwa i złorzeczenia. Nie sposób zorientować się w sytuacji. Jedno jest pewne: rosyjskie zgrupowanie otrzymuje kolejny cios, znacznie silniejszy niż pierwszy atak czołgów. Niemal wszystkie beteery i transportery BMP płoną. Do walki włącza się przeciwlotnicza szyłka, ale i ona milknie, trafiona. Kazakowcew musi odzyskać inicjatywę. Rozkazuje opuścić wozy i zaatakować nieprzyjaciela ręcznymi granatnikami przeciwpancernymi. Jego ludzie dysponują – w każdym razie dysponowali przed walką – pokaźną liczbą wyśmienitych RPG-7, bronią bardzo groźną, zwłaszcza na bliskich dystansach. Toteż po chwili pozostali przy życiu żołnierze wydostają się z uszkodzonych pojazdów, rozsypują w tyralierę i biegną. Po kilkunastu metrach spotykają nieprzyjacielską piechotę. Zatrzymują się zdumieni. Mundurów nie sposób w ciemności rozpoznać, ale hełmy, jakie mają na sobie żołnierze, wprawiają w zdumienie, a jednocześnie nie budzą żadnych wątpliwości. Takiego kształtu się nie zapomina. Każdy z rosyjskich żołnierzy widział go setki razy w filmach wojennych. Nie sposób się pomylić.

Najgorsze, że na zastanawianie się nie ma czasu. Te postacie wyjęte z filmu strzelają gęsto z karabinów bardzo przypominających swojskie kałasznikowy. Strzelają, co gorsza, celnie i gęsto. Wre walka na bliski dystans, twarzą w twarz. Rosjanie to żołnierze doświadczeni, nieraz mający kilka kampanii na koncie, ochotnicy, sprawdzeni i zaangażowani w sprawę. Wielu służyło w Specnazie. Ale i tamci nie ułomki. Nie żółtodzioby. Wiedzą, jak się atakuje i jak zwycięża. Nie dodają sobie odwagi okrzykami. Po prostu nacierają, w dobrym szyku, zgoła niemieckim porządku. I jest ich więcej, znacznie więcej.

Rosyjscy żołnierze się wycofują. Strzelają najgęściej, jak się da, ale tamtych jest zbyt wielu. I wbrew najgorszym obawom nie emiter jest ich celem. Ten zostaje zupełnie zignorowany. Celem nieprzyjacielskiego natarcia są rakiety balistyczne.

Wróg nie chce ich zniszczyć.

Wróg chce je zdobyć.

Kazakowcew zdaje sobie z tego sprawę, gdy słyszy w słuchawkach ostrzegawczy krzyk dowódcy Wojsk rakietowych pułkownika Wiktora Gołowki. Gołowko ma pod swoją komendą osiemdziesięciu ludzi obsługi i dziesięciu żołnierzy ochrony. Według regulaminu wszyscy odpowiadają głową za powierzony sprzęt. Toteż walczą i giną. Sam Gołowko jednocześnie krzyczy do mikrofonu radiostacji i strzela z karabinu szturmowego.

Kazakowcew dostrzega z przerażeniem, że jeden z rakietowych transporterów rusza do przodu i zaczyna zataczać obszerny łuk. Nim do generała dotrze treść tego przekazu, potężny siedmioosiowy pojazd nabiera pędu. Jedzie drogą, którą przed dziesięcioma minutami nadszła kolumna Kazakowcewa. Mknie wprost na dymiące wraki czołgów.

Operacja „Neuer Welt” przebiega zgodnie z planem, acz nie bez przeszkód.

Królewskie tygrysy ulegają zniszczeniu, niemal w całości ginie ubezpieczająca je piechota. Ale dowódca głównej grupy szturmowej melduje o wykonaniu najważniejszego zadania: przechwycenia wszystkich ośmiu zestawów raketowych. Do niewoli zostaje wziętych przeszło dwudziestu żołnierzy obsługi. Większa część woli zginąć, jednak pozostałych grenadierzy szybko pozbawiają możliwości stawiania oporu. Grupa wraz ze zdobyczą, osłaniana przez dywizjon dział Jagdpanther, właśnie zaczyna się wycofywać.

Ubezpieczenie w postaci plutonu czołgów Tiger i dwóch plutonów grenadierów oraz baterii samobieżnych zestawów przeciwlotniczych wycofuje się również.

Skorzeny doskonale rozumie, że choć panuje nad sytuacją, do odtrąbienia zwycięstwa jeszcze daleko.

Patrole meldują posuwanie się nieprzyjacielskiej grupy pancernej drogą prowadzącą od lotniska w kierunku schronu. To zapewne skutek ataku raketowego: nieprzyjacielski dowódca pcha swój oddział w celu wyeliminowania zagrożenia. Popelnia fatalny błąd: odsłania swoje siły strategiczne. I płaci wysoką cenę: ludzie Skorzenego przechwytyją bezcenny łup. A jednocześnie, paradoksalnie, położenie nieprzyjacielskiego ugrupowania jest bardzo korzystne: odcina bowiem oddział transportujący rakietę od podziemnej bazy. Sześć czołgów znajduje się gdzieś na trzykilometrowym odcinku polnej drogi pomiędzy lotniskiem a wjazdem do podziemi. Innego dojazdu nie ma; po lewej ciągną się zabudowania miasteczka, po prawej las. Terenowy gazik może i przejedzie; niechby transporter czy czołg. Ale niepodobna wymagać od zestawów raketowych, by przemykały wąskimi uliczkami lub na przełaj przez las. Toteż w eter lecą następne rozkazy: raketowa kolumna ma zwolnić, pluton tygrysów ma ją na pełnym gazie minąć, wysforować się na czoło i wziąć na siebie ciężar starcia z nieprzyjacielskimi czołgami. Tamtych sześć, ale i tygrysów sześć. Skorzeny wie, że ma do czynienia ze współczesnymi czołgami, może nie najnowszej generacji, ale i tak dalece odbiegającymi od tego, czym sam dysponuje. Toteż rozkazuje kilku małym grupom grenadierów uzbrojonych w pancerfausty skręcić w las i korzystając z wąskich drózek, przemykać zwinnymi półgąsienicowymi transporterami ile tchu w silnikach. Liczy na to, że jego ludzie zdołają oskrzydlić przeciwnika. Nawet supernowoczesny czołg trafiony z boku głowicą pancerfausta może ulec uszkodzeniu; kilka głowic może załatwić sprawę.

Grenadierzy gnają jak na polowaniu z nagonką. Kierowcy, choć to stare frontowe wygi, nigdy jeszcze nie prowadzili w takich warunkach: podczas ciemnej i deszczowej nocy, w nieznanym terenie, po lesie i na pełny gaz. Żołnierze siedzący wewnątrz blaszanych pudeł targani są wściekłymi podrygami, skokami i zmianami kierunku jazdy. Trzymają się burt ze wszystkich sił. Ale uskrzydla ich cel i zapach zwycięstwa. Czują, że mają inicjatywę, że pierwsza część zadania zostaje osiągnięta, że nieprzyjaciół, choć sprytny i dobrze uzbrojony, pozwala się zaskoczyć i podaje tyły.

Docierają na miejsce w momencie, gdy padają pierwsze salwy. Załogi celują i strzelają najszybciej, jak się da. Dystans nie przekracza pięciuset metrów, toteż mimo iż tygrysy nie mają celowników do walki nocnej, obie strony odnotowują trafienia.

Pole walki ponownie zasnuwa dym, płomień trafiań wzbija się w niebo, huk wyrywa bębunki. Kanonada się wzmacza, gdy do walki wchodzi działą szturmowe, stanowiące bezpośrednią osłonę kolumny raketowej, a także grenadierzy odpalający pancerfausty z bliskiej odległości. Nieprzyjacielskie czołgi, choć w półokrążeniu, walczą z jakąś upiorną stanowczością, pogardą śmierci, fanatyzmem. Starym wiarusom, weteranom frontu wschodniego, podnoszą się włosy na głowie: ileż razy doświadczali podobnego oporu, ileż razy kolejne fale sowieckich ataków załamywały się w krzyżowym ogniu karabinów maszynowych, wspartych moździerzami i artylerią, a one płynęły i płynęły, złożone z szarych szeregów szczelnie wypełniających bezkresną rosyjską przestrzeń aż po horyzont. Żadna ofiara nie była dla tych ludzi zbyt wielka.

Teraz sytuacja wygląda niemal tak samo. Odkąd na pole walki wkroczyły jagdpantery i grenadierzy z granatnikami, na każdy rosyjski czołg przypadają cztery lufy. I biją, biją celnie. Nawet jeżeli tylko co trzeci pocisk czyni grubym pancerzom szkodę, i tak nieprzyjacielskie wozy słabną. Pęka jedna, druga, piąta gąsienica, klinują się wieże, ślepną strzaskane przyrządy celownicze. Ale tamci strzelają, nawet jeżeli mają do dyspozycji tylko karabin maszynowy albo broń osobistą załogi. Rosyjska piechota, która na początku starcia opuszcza transportery, dobrze ukryta razi grenadierów z bliska, po czym zwierza się z nieprzyjacielem w walce wręcz. I tu szanse są równe, technika nie ma znaczenia. Nóż to nóż, bagnet to bagnet, saperka to saperka. Obojętnie, czy wyprodukowane siedemdziesiąt lat temu, czy przed tygodniem. Decydują umiejętności, zimna krew i determinacja. A tych ani jednej, ani drugiej stronie nie brakuje. Stał rozdziera skórę i mięśnie, zgrzyta na kościach, łamie je i miażdży. Słyszać chrapliwe jęki walczących i krzyk konających.

W końcu rosyjski opór słabnie. Wszystkie czołgi, piękne, niskie wozy pancerne, płoną. Nie strzela żaden. Pałą się również cztery tygrysy i kilka dział szturmowych. Kilkadziesiąt trupów zalega pole bitwy.

Ale droga jest wolna. Pomiędzy kolumną a podziemną bazą nie ma już żadnych godnych odnotowania sił nieprzyjacielskich. Nie ma nikogo, kto stawiałby opór.

Kolumna ponownie nabiera pędu. Ryczą silniki.

Może dlatego nikt nie zwraca uwagi na dochodzące z góry dźwięki. Zrazu delikatne, jakby nieśmiałe, ale nabierające mocy z każdą chwilą.

– Sekcja Alfa 1. Sekcja Alfa 1 – mówi do mikrofonu Tyszkiewicz.

Odrzuca karabin. Jest jedynym w wozie dowodzenia człowiekiem, który nie ma w ręku broni. Zwłoki napastników są wynoszone na zewnątrz.

– Tu sekcja Alfa 1, zgłaszam się – słyszy niewyraźny głos, który z trudem przebija się przez monotonny ryk silnika.

– Tu Alfa 2. Zgłaszam się – mówi bez wezwania dowódca drugiej grupy.

– Jak daleko do celu?

– Dwie minuty. Już widzę błyski.

– Uważaj, Alfa. Pojawił się niezidentyfikowany oddział, który prowadzi walkę z nieprzyjacielem.

– Niezidentyfikowany oddział? – pytają jednocześnie Alfa 1 i 2.

Tyszkiewicz rozumie ich zdziwienie, chciałby powiedzieć więcej, ale sam niewiele wie. Jak przekazać to, co mu chodzi po głowie, i nie wyjść na idiotę?

– Odbywa się tam walka przy użyciu ciężkiego uzbrojenia – mówi ostrożnie.

Dreszer przysłuchuje się tej nieporadnej wymianie zdań. Jego twarz nie wyraża żadnych uczuć.

– Najprawdopodobniej czołgów – dodaje Tyszkiewicz.

– Sekcje Alfa 3 i 4 jeszcze nie dotarły na miejsce. Będą za jakieś piętnaście minut – protestuje odruchowo Alfa 1.

– To nie są nasze czołgi, Alfa. – Tyszkiewicz niepotrzebnie się unosi.

Alfa nie jest niczemu winien. Robi, co do niego należy. To rząd, Amerykanie, podinspektor oraz Dreszer zawalili sprawę.

– Nie żyje – mruczy bardziej do siebie niż do kogoś konkretnie Krzeptowski i prostuje się.

Littel leży nieruchomo na stalowej podłodze. Ma zamknięte oczy i paskudną ranę na piersi. Jego zastępca patrzy przerażonym wzrokiem.

Tyszkiewicz na moment zapomina o zbliżających się do pola walki sekcjach Alfa. Śmierć głównego dowódcy strony amerykańskiej stwarza problemy i komplikacje, których nawet sobie jeszcze nie zaczął wyobrażać.

Rozgląda się. Trzech techników siedzi w swoich fotelach i patrzy to na niego, to na martwego generała. Czwarty sierżant obryzgał swoim mózgiem połowę jednej ze ścian. Piąty jest ranny i nie nadaje się do niczego.

Operatorzy GROM-u właśnie się wycofują. Zrobili, co do nich należało. Czekają na następne wytyczne.

Tyszkiewicz stara się skupić.

– Panie generale – odzywa się po angielsku do Dreszera.

Na dźwięk tych słów zastępca Littella podnosi głowę. Jeszcze jest błyśnięciem jak ściana. Lewy kącik ust drży.

– Proponuję, by objął pan w tej sytuacji dowodzenie całością operacji – mówi Tyszkiewicz.

Dreszer bez wahania kiwa głową. Patrzy na Amerykanina: na niego spadło dowodzenie sojuszniczym kontyngentem.

– Zgoda – mówi głucho pułkownik James Hartnett.

Wyraźnie nie jest gotów, by wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności. Woli, by Polacy dokończyli tę kompletnie spieprzoną akcję.

– Pańscy ludzie zostają mi podporządkowani – ni to pyta, ni to stwierdza Dreszer.

Pułkownik nie odpowiada. Gdzieś z oddali dochodzi bowiem gromowa artyleryjska palba o natężeniu wielokrotnie przekraczającym wszystko, co się do tej pory wydarzyło. Jest przytłumiona odległością, poszczególnych eksplozji nie daje się rozróżnić, zlewają się w jeden basowy, apokaliptyczny grzmot, ale Tyszkiewicz podejrzewa, że w walce bierze udział co najmniej dwadzieścia dział, może więcej.

Dreszer, nie doczekawszy się aprobaty pułkownika, stawia go przed faktem dokonanym. Łapie za słuchawki, zakłada na głowę i zaczyna wydawać do mikrofonu szereg rozkazów. Warczy na amerykańskich techników swoją nieco sztywno akcentowaną, ale wystarczająco zrozumiałą angielszczyzną. Żąda najnowszych danych z nasłuchu i obserwacji. Żąda rekonfiguracji łączności.

Chce bezwzględnej władzy. I dostaje ją.

– Nic tu po nas, Stasiu.

Jakub patrzy na Krzeptowskiego, po czym bierze spod ściany M-4. Upycha po kieszeniach magazynki.

Ma na sobie mundur połowy policyjnych antyterrorystów, kamizelkę kuloodporną i kask z zamontowanym noktowizorem. Krzeptowski bez słowa repetuje swój karabin. Amunicją obciąża kieszenie.

– Mamy większe kłopoty, niż nam się wydawało na początku. – Tyszkiewicz się odwraca. Dreszer dyryguje bitwą jak von Karajan orkiestrą symfoniczną. Ledwie zwraca uwagę na podinspektora.

– Jedzie pan sprawdzić – stwierdza generał. – Nie wiem, czy to rozsądne.

– Nie – potwierdza Jakub. – Będę meldował na bieżąco.

– Pułkowniku – mówi Dreszer do swojego zastępcy. – Dwie sekcje do dyspozycji pana podinspektora. I uważać na niego.

– Tak jest. – Tamten ma kamienną twarz.

Jakub kiwa głową. Bez słowa wychodzi razem z Krzeptowskim w noc. Wielkie krople deszczu uderzają o hełm, ale ich dźwięk ginie w huku bitwy. Ziemia drży. Niebo na wschodzie płonie. Osiem ciemnych sylwetek stoi bez ruchu i czeka na rozkaz.

Gdzieś z góry osiem świetlistych smug przecina deszczowe niebo. Eksplozje rozjaśniają mrok. Sekcje Alfa 1 i 2 włączają się do gry.

Generał major Andriej Kazakowcew nie umie się modlić. Nie umie odwołać się do sił wyższych, poprosić je o nadzwyczajną interwencję, o odwrócenie złego losu, o naprawienie nienaprawialnych błędów, których popełnienie zaważyło na całkowitej klęsce operacji „Jutrzenka”.

Stoi z kałasznikowem koło rozbitego beteera i strzela krótkimi seriami. Ma koło siebie dwunastu, może czternastu ludzi. W przeważającej większości rannych lub kontuzjowanych, poparzonych, ogłuszonych, pozbawionych amunicji.

A przede wszystkim wąpiących.

Nagły atak sił pancernych przeciwnika zaskakuje wszystkich. Nie są przygotowani na taką agresję. I choć Kazakowcew bezbłędnie rozpoznaje, że ich przeciwnikiem jest niemiecki oddział z końcowej fazy drugiej wojny światowej, nad którym ludzie Kazakowcewa górują uzbrojeniem, sprzętem, taktyką – dają się zaskoczyć i ulegają przewadze liczebnej przeciwnika. Cóż z tego, że Niemcy muszą wystrzelić pięć–osiem pocisków, by unieruchomić T-72? Co z tego, że tracą połowę swoich sił pancernych? Że ich piechota pada od gwałtownego ognia ludzi generała?

Nic.

Oddział Kazakowcewa rozpada się na części i ginie. Wróg niszczy emiter pola siłowego – generał na własne oczy widzi, jak działo szturmowe celuje i strzela do zawieszonego pięć metrów nad ziemią owalnego kokonu, który rozpada się na miliony szczątków – i przechwytuje cały oddział wojsk raketowych. Siły pancerne nieprzyjaciela zawracają i wraz z cennym ładunkiem oddalają się.

Kilka minut później na północy wybucha gwałtowna walka. Łączność się urywa. Kazakowcew nie może wywołać ani jednego czołgu, ani jednego bojowego wozu piechoty. Pomalu wszystko cichnie. Nieprzyjacielska piechota, która czyści teren lotniska z niedobitków rosyjskiego oddziału, odpuszcza sobie szturmowanie ostatniej reduty oporu: dwóch rozbitych transporterów, wokół których grupuje się ostatni tuzin żołnierzy mogących jeszcze utrzymać się na nogach. Grenadierzy wskazują do kołowogąsienicowych transporterów i odjeżdżają. Nad lotniskiem zapada względna cisza, przerywana tylko trzaskaniem płomieni i pojedynczymi wybuchami amunicji bądź paliwa. Jak okiem sięgnąć, pobojowisko zalegają wraki pojazdów, niekiedy szczepione ze sobą w śmiertelnym zwarciu, szczątki emitera i setki, setki pokrwawionych i poszarpanych wybuchami zwłok.

Generał nie jest w stanie opanować gorączkowej gonitwy myśli. Wie, że przegrał. Wie, że z takim trudem montowana operacja kończy się całkowitym fiaskiem. Nie ma żadnej „Jutrzenki”, nie ma również przyszłości. Przeszłość pozostaje niezmieniona.

Chyba że...

Generał prostuje się gwałtownie. Na północy warczą silniki śmigłowców. Niebo tną świetliste smugi rakiet. Wybuchy ponownie rozjaśniają deszczową noc. Nieprzyjaciel dostaje za swoje. Na pewno odczuwa boleśnie zadany cios. Kazakowcew niejedną wojnę widział i przeżył niejedną atak raketowy.

Wie, co oznacza dla niemieckiego oddziału...

... który przecież nie przyleciał w dzisiejsze czasy na latającym dywanie. A zatem... Gdzieś musi mieć ukryty emiter pola siłowego! Skąd go ma – mniejsza. Gdzie kryjówka? Niedaleko. Być może w tych samych podziemiach.

Polacy najwyraźniej włączają do walki coś bardziej konkretnego niż kilka zespołów snajperskich.

Śmigłowce zatrzymują Niemców. Gdyby się dowiedzieć, gdzie jest ukryty emiter...

– Żołnierze – mówi generał z nagłym przypływem energii. Wskakuje na pancerz beteera.

Transporter ma rozbitą wieżę, ale zachowuje zdolność poruszania się. Kazakowcew dopiero teraz dostrzega, że krwawi z rany na nodze. Nie czuje żadnego bólu. – Nie wszystko stracone! Mamy możliwość dokończenia naszego zadania. Mamy możliwość wygrania tej bitwy. Pójdziecie ze mną? Kazakowcew nigdy w ten sposób nie rozmawia. Zawsze po prostu wydaje rozkazy. Teraz patrzą na niego zaskoczeni. Jak jeden mąż kiwają głowami.

– Jestem z was dumny. – Głos generała brzmi czysto i dźwięcznie. Nikt nie zwraca uwagi na gęste krople deszczu i przenikliwy wiatr. – Pozbierać amunicję i do transportera. Śladem faszystów. Ruszamy!

26

Stanowisko dowodzenia Skorzenego znajduje się w opancerzonym transporterze stojącym mniej więcej w połowie drogi pomiędzy lotniskiem a wyjazdem z podziemnej bazy. Walka pomiędzy rosyjskimi czołgami a jego pododdziałami pancernymi rozgrywa się pół kilometra dalej, niemal na jego oczach.

SS-Obersturmbannführer widzi supernowoczesną technikę i znakomite możliwości Rosjan. Ale widzi też determinację i wyszkolenie swoich ludzi. Umiejętnie osaczają przeciwnika, okrążają go, unieruchamiają i eliminują celnymi strzałami. A potem zasypują nieruchome cele gradem pocisków. W końcu nieprzyjacielskie czołgi milkną, choć walczą i odgryzają się napastnikom do końca.

Droga zostaje oczyszczona. Kolumna rusza do przodu, ku bazie, ku podziemiom, ku szczęśliwemu zakończeniu operacji. Skorzeny spogląda na zegarek. Walka trwa stanowczo za długo. Przecież Polacy, gospodarze tego terenu, już z pewnością ogłosili alarm. Pewnie zewsząd ciągną jednostki policji i wojska. Obersturmbannführer nie ma pełnej wiedzy, jak dokładnie wyglądają w tych czasach procedury alarmowe, ile czasu zajmuje reakcja, nie wie nawet, gdzie stacjonują najbliższe siły zdolne powstrzymać jego armadę – informator, który kilka tygodni temu natchnął Spilkera pomysłem, gdzie i w jaki sposób wykorzystać dar od losu w postaci emitera pola siłowego, nie miał w tej materii precyzyjnych informacji – ale Skorzeny instynktownie czuje, że kończy mu się czas. Pogania swoich ludzi. Ochrona wskakuje do drugiego transportera. Pojazdy ruszają z kopyta i na przełaj starają się dogonić kolumnę.

I wtedy z nieba uderza grom.

Silniki transporterów wyją niemal na pełnych obrotach, deszcz bębni o hełm, powietrze tak szumi w uszach, że nikt nie słyszy warkotu lotniczych motorów. Po prostu nagle, bez żadnego ostrzeżenia gdzieś z góry lecą świetliste smugi i obramowują kolumnę, której centralny punkt stanowi osiem zestawów rakietowych. Te pozostają nietknięte. Zatrzymują się i płoną, nikną w chmurach eksplozji działa pancerne i kolejny, przedostatni tygrys. Obrywają gąsienicowo-kołowe transportery. Przeciwnik jest silny i dysponuje możliwościami zadania niezwykle precyzyjnego uderzenia.

Ale pozostali ludzie Obersturmbannführern nie tracą głowy. Poczwiście sprzężone dwudziestomilimetrowe działa przeciwlotnicze wysuwają ku niebu lufy. Otwierają ogień. Przeciwnik ledwie majaczy w ciemności, ale załogi nie żałują amunicji. Korowe smugi pocisków zapalających rozdierają niebo. Do walki włącza się trzeci flakvierling, zajmujący stanowisko bliżej wjazdu do podziemi. Ogień nie jest zbyt celny, ale zmusza nieprzyjacielskich lotników do zmiany kursu. Rakiety przestają trafiać, kolumna, pozostawiwszy za sobą kilka płonących wraków, przyspiesza, wyciskając z silników pełną moc. Działa pancerne z wolna zostają w tyle, ale nie ma to wielkiego znaczenia. Najważniejsze jest ukrycie w bazie wielkich transporterów z rakietami, zatrzaśnięcie wjazdu i odlot do macierzystych czasów, co wedle kalkulacji Skorzenego powinno nastąpić nie dalej niż za kwadrans.

To jest kwadrans na miarę zwycięstwa. Kwadrans, w pełnym tego słowa znaczeniu, na miarę nowych czasów.

Flakvierlingi zaprzestają prowadzenia ognia i również się wycofują. Nieprzyjacielski nalot zostaje przerwany, choć zapewne nie na długo. Kolumna ma do przebycia niewiele ponad kilometr.

Skorzeny wydaje rozkaz wszystkim pozostałym pododdziałom i zespołom obserwatorów, by natychmiast rozpoczęły odwrót do bazy.

27

Humvee trzęsie i podskakuje na nierównościach terenu. Kierowca prowadzi szybko, ryzykancko. Wie, że liczy się każda minuta. Strzelec obsługujący wukaem dziobie lufą przestrzeń; łowi ukrytego w ciemności przeciwnika. Wszyscy w każdej chwili spodziewają się ostrzału.

Tyszkiewicz mocno trzyma się uchwytu zamocowanego ponad framugą drzwi. To on nakazuje tę wariacką jazdę. Zdaje sobie sprawę, że operacja odzyskania emitery wymyka się całkowicie spod kontroli, gna w stronę nieoczekiwaną, nikt bowiem nie zakładał pojawienia się następnego uczestnika rozgrywki. Gracz ten, co gorsza, całkowicie przejmuje inicjatywę, działa szybko i zdecydowanie. Teraz najprawdopodobniej zmierza do swej kryjówki (Tyszkiewicz może się założyć, że znajduje się ona w podziemiach; pluje sobie w brodę, że wcześniej nie nakazał ich dokładnego zbadania, przede wszystkim odszukania wejść do podziemnego miasta; na swoje usprawiedliwienie może tylko dodać, że zabrakło mu czasu), w której może zniknąć na zawsze.

I wtedy Bóg jeden wie, co może się wydarzyć.

Humvee skacze na jakimś wykrocie. Podążający za nimi wóz wiozący drugą sekcję nie ma tyle szczęścia: musi ominąć wykrot i traci dystans.

– Kto to jest, twoim zdaniem? – pyta Krzeptowski. Zna Jakuba tyle lat, że doskonale zgaduje, co się dzieje w jego głowie.

– Nie uwierzysz. – Tyszkiewicz z kolei nie musi dopytywać o sens pytania. Jest on całkowicie jasny.

– Dziś w nocy uwierzę we wszystko.

– Goście z przeszłości.

Jakub mówi cicho, ale operatorzy, łącznie z kierowcą, słyszą. Świadczą o tym ich zdumione miny.

Jedynie strzelec kaemu jest nieświadomy panującej wewnątrz wozu atmosfery.

– A coś konkretniej? – Krzeptowski wali głową o stalową framugę drzwi i krzywi się.

– Nic nie wiem. To tylko domysły. Ale przecież nasi snajperzy nie strzelali do Ruskich z dział czołgowych.

– Raczej...

Nie można się dowiedzieć, co sądzi o takim postawieniu sprawy nadkomisarz Stanisław Krzeptowski, facet, którego gabaryty są wprost proporcjonalne do bieглиści w posługiwaniu się szarymi komórkami. W słuchawkach obu policjantów słychać podniecony głos.

– Tu Alfa 1, tu Alfa 1 – krzyczy dowódca sekcji.

– Melduj, Alfa 1. – Głos Dreszera jest spokojny, wyprany z emocji.

Przynajmniej jeden, który zachowuje zimną krew, myśli Tyszkiewicz.

– Na północ z prędkością co najmniej czterdziestu kilometrów na godzinę posuwa się kolumna pancerna. W środku osiem transporterów z rakietami Topol. A z przodu i z tyłu... – Wahanie, rozpaczliwa niemożność nazwania zaobserwowanej przed chwilą rzeczywistości.

– Mów, Alfa – pogania generał.

– Wozy bojowe wyglądające jak pojazdy niemieckie z drugiej wojny światowej. – Głos dowódcy jest niepewny i jakby zawstydzony

– Pojazdy z drugiej wojny? Jesteś pewien, Alfa?

– Tak. Jestem pewien. Zaraz potem zostałem ostrzelany z wielolufowych działek przeciwlotniczych. Kaliber co najmniej dwadzieścia milimetrów.

– Rezultat?

– Kilka trafień w dwa śmigłowce. Wszystkie podzespoły sprawne.

– A twoje działanie?

– Co najmniej sześć wozów pancernych trafionych.

– Kolumna posuwa się nadal?

– Zostawiła uszkodzone wozy i jedzie nadal na północ.

– Atakuj dalej, Alfa.

– Mają tam kryjówkę – mruczy do siebie Tyszkiewicz.

Krzepkowski kiwa głową i klepie kierowcę w ramię.

– Dodałbyś gazu? – pyta łagodnie.

Operator bez słowa przyspiesza.

Cud, że ta wariacka jazda nie kończy się katastrofą.

Jest ciemno, leje, w każdej chwili mogą dostać serię albo wpaść w jakiś dół. Ale kierowca szóstym zmysłem wyczuwa przeszkody, omija je, zdaje się mieć wrodzoną zdolność wyboru optymalnej trasy.

W końcu wyjeżdżają na drogę. Słyszą, jak sekcja Alfa 1 ponownie atakuje nieprzyjaciela. Cztery ciężkie śmigłowce Mi-24 odpalają rakiety. W eterze szum i przekleństwa. Ale Tyszkiewicz już nie musi dopytywać, gdzie znajduje się uciekająca kolumna. Ma ją najwyżej pół kilometra przed sobą. Łuna wybuchów i basowe drżenia ziemi wskazują to wyraźniej niż jakikolwiek przyrząd lokalizacyjny.

– Alfa 1, tu Delta 1. Jestem jakieś pół kilometra za kolumną – mówi Tyszkiewicz do mikrofonu. Ostatnie, czego by sobie życzył, to oberwanie salwą raketową wystrzeloną z własnego śmigłowca. – Dwa humvee.

– Widzę cię, Delta 1 – mówi pilot i Jakub czuje ulgę.

Jego dobry nastrój pęka kilka sekund później.

W słuchawkach słychać trzask, grzechot gwałtownej serii i krzyk. Straszny krzyk śmiertelnie ranionego człowieka. Alfa 1 przestaje odpowiadać.

Przed nimi niebo pocięte kolorowymi paciorkami przeciwlotniczych serii. Nieprzyjacieli odgryza się.

Zadaje rany. Zabija.

Zyskuje czas.

28

Glückermann biegnie przez las.

Dobywa resztek sił. Już nie widzi swoich, jednak nadal ich słyszy. Wie, że do mety blisko, że bez niego nie odjadą, nie tyle dlatego, że będą czekać (bo nie będą, taka zasada obowiązuje od początku akcji), ile dlatego, że nie zdążą zjechać do podziemi, zawrzeć za sobą wrót, ustawić się wokół tego dziwnego amerykańskiego pojazdu, otoczyć się niewidzialną kopułą i odlecieć do własnej epoki, zanim nie zdąży dobiec weteran kilkunastu bitew i kilkudziesięciu potyczek, SS-Oberscharführer Georg Glückermann.

Karabin trzyma wysoko przed sobą i gna ile tchu w płucach. Stara się omijać nierówności terenu, krzaki i wykroty, ale noc i bębniący o hełm deszcz zadania nie ułatwiają. Co i rusz potyka się,

raz nawet upada, boleśnie trąc policzkiem o jakąś spróchniałą gałąź. Nie może złapać oddechu, ale napędza go nadzieja, że już niedaleko.

W mroku majaczy niewielki betonowy kloc. Glückermann wie, co to, badając teren przed tygodniem, naniósł na mapę niewielki betonowy bunkier. Chce po prostu go minąć po prawej, gdy słyszy głos.

Męski głos, niewyraźny i przytłumiony, z pewnością nieposługujący się językiem niemieckim.

Glückermann zwalnia i podnosi karabin. Celuje w stronę bunkra. Pada w gęste zarośla. Stara się jak najciszej wciągać powietrze. Szum deszczu i nadal brzmiący w powietrzu basowy odgłos wielu silników skutecznie tłumią hałasy.

Męskiemu głosowi odpowiada drugi, kobiecy. Dziwne. Jeszcze dziwniejsze, że na to nakłada się głos dziecięcy. Cywile. Cholemi, przekłęci cywile w obszarze działań bojowych. Przyczyna kłopotów i bólu głowy. Glückermannowi w przeszłości zdarzało się strzelać do kobiet i dzieci, o ile wymagała tego sytuacja, ale nie chwali się tym i nie jest z tego dumny. Wie, że z cywilami zawsze są problemy.

Teraz nie ma czasu się nad tym głębiej zastanowić. Głosy milkną, zza bunkra wyłania się kilka postaci.

Zaskoczenie: tylko kobieta i dzieci są nieuzbrojone. Trzy inne sylwetki dzierżą w dłoniach broń, co Glückermann, właściciel pierwszorzędnego wzroku, rozpoznaje na pierwszy rzut oka. Grupa znajduje się w odległości najwyżej trzydziestu metrów. Trzydzieści metrów, nawet w ciemności i deszczu, to nie jest dla Oberscharfuhrera wielki dystans.

Seria. Od lewej do prawej. Poprawka. Kolejna seria, pięć, może siedem pocisków. Dwie postacie upadają, trzecia klęka za drzewem i strzela, Glückermann obdarowuje ją resztą zawartości magazynka.

Cisza.

Glückermann ostrożnie się podnosi. Zdaje sobie sprawę, że powinien natychmiast opuścić to miejsce i gonić kolumnę, której już prawie nie słyszać. Jednak nie chce dostać kulki w plecy. Doświadczenie uczy, że nieoczyszczone zaplecze może przysporzyć wielu kłopotów. Toteż zmienia magazynek i ostrożnie rusza do przodu.

Ale niepotrzebnie się obawia.

Na ziemi leży trzech zakrwawionych ludzi. Dwaj żołnierze i cywil. Nie dają znaku życia. Obok nich karabiny szturmowe nieznanego typu. Nieco dalej, w zaroślach kuli się kobieta. I dwoje przytulonych do niej dzieci. W ciemności nie można rozróżnić szczegółów, ale kobieta jest młoda i przerażona.

Glückermann przętyka ślinę. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu nie wie, co zrobić. Czuje, że nie powinien jej zostawiać przy życiu. Czuje, że to może się na nim zemścić. Z drugiej strony – to bezbronna kobieta z dziećmi. Tamten zabity cywil – pewnie mąż. Ona i tak ma dosyć.

Podejmuje decyzję. Robi krok. Podnosi karabin. Przykłada kolbę do ramienia.

Seria brzmi upiornie głośno.

29 grudnia 1939, Nowy Jork

Cisza się przedłużała. Nie ukrywam, było to dość denerwujące.

W końcu mężczyzna odłożył lupę na ladę. Podniósł głowę i przez dłuższą chwilę przyglądał mi się uważnie, po czym przeniósł wzrok na Wieteskę.

– Jakiś problem? – zapytałem.

W pomieszczeniu było chłodno, mimo to czułem spływający po plecach pot. Na domiar złego bolała mnie noga. Ból, stary znajomy, nie powalał o sobie zapomnieć. Tym razem objawiał się w postaci przykrego promieniowania rozchodzącego się wokół rany. Marzyłem, by się położyć.

– Pan nie jest Amerykaninem? – zapytał.

– Nie – odparłem.

Być może spodziewał się dalszych wyjaśnień, ale ich nie udzieliłem. Nie byłem w nastroju, nie widziałem takiej potrzeby, a także, wiedziony przezornością, uznawałem, że im mniej ten człowiek o nas wie, tym lepiej.

– Muszę znać pochodzenie tej rzeczy – powiedział po chwili.

Nie wytrzymał mego wzroku, więc po prostu przyglądał się leżącej na ladzie bransoletce. Oczyma wyobraźni widział ją na honorowym miejscu najlepiej wyeksponowanej gabloty swojego eleganckiego salonu usytuowanego przy najbardziej prestiżowej ulicy Nowego Jorku.

Na takie podejście właśnie liczyłem.

– Ile to jest warte?

Zawahał się, co uznałem za oczywiste. Nie zamierzał odpowiedzieć na pytanie, ile to jest naprawdę warte. Zastanawiał się po prostu, jak niską sumę jestem skłonny zaakceptować.

– Biorąc pod uwagę okoliczności... – zaczął.

Skinąłem głową, by potwierdzić, że doceniam, iż nareszcie zaczął rozumować jak biznesmen.

– ...nie więcej niż dwanaście tysięcy dolarów.

Westchnąłem ciężko, jak człowiek ciężko zawiedziony. Sięgnąłem w kierunku lady i wziąłem bransoletę. Była ciężka. Brylanty zamigotały w świetle lamp. Tamten błyskawicznie przykrył dłonią moją dłoń.

– Niech pan zaczeka – rzucił.

Oczy mu płonęły. Można w nim było czytać jak w otwartej księdze.

– Na co? – zapytałem.

Wieteska chrząknął, ale się nie odezwał. Takie było ustalenie, zanim przekroczyliśmy próg tego ekskluzywnego salonu: jego angielszczyzna natychmiast by nas zdradziła.

– Może... udałoby się znaleźć kupca za wyższą cenę.

– To znaczy?

– Muszę zadzwonić. Muszę się skonsultować.

– Oczywiście – powiedziałem możliwe najswobodniejszym tonem. Ból nasilił się. Wsparłem się nieco mocniej na lasce. – Proszę tylko pamiętać o dwóch rzeczach: że choćby na tej ulicy jest jeszcze kilkanaście takich sklepów jak pański oraz że... – Zawiesiłem teatralnie głos. Jubiler wprost zawisł wzrokiem na moich ustach – ... jeżeli się dogadamy, nie jest to ostatnia rzecz, jaką posiadam. Szczerze mówiąc, mam znacznie piękniejsze. I bardziej cenne.

– Ach tak – odparł tamten.

Spojrzał jeszcze raz na migoczące w moich rękach cacko. Wypomadowane wąsy poruszyły się. Nieudolnie ukrywał drżenie rąk. Nic dziwnego: czuł, że jest blisko transakcji życia.

– Tak. Jeżeli rozegra pan to odpowiednio, zapewni niezbędną dyskrecję – na tym ostatnim słowie położyłem wyraźny akcent – i zaproponuje zadowalającą cenę, będzie pan bardzo bogatym człowiekiem. Bez wysiłku, bez ryzyka, czysto i pewnie.

– Już jestem dość zamożny – zaprotestował odruchowo, ale był to próżny śpiew, spóźniona reakcja obronna.

Milczałem i uśmiechałem się lekko. Wiedział, doskonale wiedział, że nie o takim poziomie zamożności rozmawiamy.

– Proszę zaczekać – powiedział w końcu. Przekroczył Rubikon i stał się szczęśliwym człowiekiem. – Muszę zadzwonić.

Rozumiałem to. Nie chciałem jednak zostawić niczego przypadkowi.

– Oczywiście. – Miałem nad nim tę przewagę, że z pewnością nie widział tych filmów, na których wzorowałem swoje twarde odzywki. – Proszę tylko pamiętać, że jeżeli zadzwoni pan na policję, my z pewnością wyjdziemy z tego cało, natomiast dla pana skończy się to fatalnie. To samo dotyczy próby oszukania nas.

Wieteska mówił po angielsku nie najlepiej, rozumiał jednak niemal wszystko i miał ogromne wyczucie dramatyczne. Nim wypowiedziane przez mnie słowa wybrzmiały na dobre, rozchylił połę płaszcza, wyjął broń i z rozmachem położył na ladzie.

Jak już kiedyś wspomniałem, desert eagle nie jest pistoletem, lecz kieszonkową odmianą ciężkiej artylerii, z której można odstrzelić człowiekowi łeb, i nie jest to bynajmniej literacka przenośnia. Mój przyjaciel kapitan Jan Wieteska, najlepszy pilot śmigłowca, jakiego widziałem w życiu, od chwili kiedy użył jej po raz pierwszy, zakochał się bez pamięci. Nie licząc się z konsekwencjami, porzucił służbowego wista i na własny koszt zaopatrzył się w tę właśnie armatę. Kosztem dużego wysiłku przeszmugłował ją przez wiele granic podczas naszej pełnej przygód ucieczki z Polski (zanim trafiliśmy do Nowego Jorku, odbyliśmy długą i męczącą podróż koleją i samochodem przez Węgry do Rumunii, potem statkiem do Francji, a stąd, również statkiem, do Stanów Zjednoczonych) i teraz nie rozstawał się z nią ani na chwilę. Uważał ją za swego rodzaju polisę na życie.

Miał całkowitą rację. Polisa zadziałała. Jak zwykle zresztą.

Jubiler zbladł. Już nie udawało mu się ukryć drżenia rąk. Do tej pory myślał, zdaje się, że ma do czynienia z dwoma ludźmi, którzy nie bardzo mają pojęcie, jak kręci się ten świat. No cóż, lepiej, że mylił się teraz, niż gdyby miał się pomylić później.

– Ależ panowie – bąknął, starając się omijać wzrokiem broń. – Nie ma potrzeby...

– Tak myślałem – powiedziałem pogodnie. – Niech pan o tym pamięta, dzwoniąc. I proszę się pospieszyć. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Kwadrans później szliśmy niespiesznie jedną z głównych ulic miasta. Siąpił nieprzyjemny lodowaty deszcz, wiatr targał połami płaszczy. Mimo wszystko nie mieliśmy ochoty korzystać z taksówki; woleliśmy się przejść.

– Już myślałem, że się nie uda.

– A ja myślałem, że ludzie nie trzymają dwudziestu tysięcy dolarów w sejfie w ścianie – powiedziałem, czując w kieszeniach ciężar banknotów. Człowiek rzadko zdaje sobie sprawę, że duża suma pieniędzy w gotówce sporo waży i zajmuje немало miejsca.

– No – powiedział Wieteska. Spojrzał na mnie uważnie. – Coś nie wyglądasz na zadowolonego.

– Noga mnie boli – odparłem ponuro.

– Miękki się zrobiłeś ostatnio.

– Miękki?

– Powinieneś się cieszyć.

– Poważnie? Z czego?

– Że żyjesz. Że masz u boku ukochaną kobietę. Że udało się upłynnić pierwszą bransoletkę i pewnie da się upchnąć resztę. Mamy spokój z pieniędzmi do końca życia.

– Kradzionymi.

– Słucham?

– Nasz majątek jest kradziony.

– Ukradłeś coś komuś?

– Nie. Zabrałem złodziejowi.

Wieteska się zatrzymał. Chcąc nie chcąc, zatrzymałem się również. Odpoczynek dobrze mi zrobi.

– Chyba się przesłyszałem – niemal krzyczał. Ludzie płynący obok nas wartkim potokiem zaczęli się odwracać. – Masz jakiś problem?

– Nigdy nikomu niczego nie ukradłem – powiedziałem. Noga mnie bolała i bolały wyrzuty sumienia. – Jesteśmy bogaci. Tyle że to trefne pieniądze.

– Gadanie. To Cuprys z Łapickim to wymyślili. Oni ukradli. Co mieliśmy zrobić? Jechać do Warszawy i szukać właściciela?

– Może.

– Bzdury, kurwa, bzdury. – Naprawdę się zdenerwowałem. Wybijalem go z bezpiecznego schronienia, które sobie razem z Rozalką umościłem. Dylematy sumienia nie były mi do niczego potrzebne. – Skorzystaliśmy z okazji. Nazwijmy to zdobyczą wojenną.

– Możemy to tak nazwać. – Ruszyłem. Musiałem mocno wesprzeć się na lasce. Wiatr wiał prosto w twarz. Deszcz pomału zamieniał się w deszcz ze śniegiem. Sylwester zapowiadał się szampańsko. – Tylko że to niczego nie zmienia. Zwialiśmy z pola walki z kradzionymi pieniędzmi.

No, teraz się naprawdę rozzłościłem.

– Tu cię boli – syknął. Szedł tuż obok i szarpał mnie za rękaw płaszcza. – Mało ci walki i bohaterstwa? Mało ci, kurwa, zabijania? – Myślałeś o Wojtyńskim i reszcie? O tych, co zostali?

– Pogięło cię? Co oni mają do rzeczy?

– Zostali i walczą dalej. Nie zabrali dupy w troki i nie urządzają sobie życia za kradzione pieniądze. Kończą, co zaczęliśmy – stwierdziłem. Miałem dosyć tej rozmowy. Nie mogła do niczego doprowadzić. W każdym razie do niczego sensownego.

– Co ty zacząłeś – powiedział z naciskiem Wieteska. – To ty zaparłeś się jak muł, żeby prostować wojenne losy Rzeczypospolitej.

– Tym gorzej dla mnie. Ten odłamek powinien po prostu mnie zabić.

– Głupiś.

Wyglądało na to, że się obraził.

Tak zastała nas Nancy. Nadchodziła z naprzeciwka, starając się nie zwracać uwagi na wiatr i zacinający deszcz ze śniegiem. Po przyjeździe do Stanów zmieniła fryzurę, bardziej dopasowując ją do obowiązującej mody. Miała na sobie spódnicę nieco za kolana i gabardynowy płaszcz, który leżał jak szyty na miarę.

Wyglądała zachwycająco.

– Coście tacy nadęci? – zapytała pogodnie, gdy już zatrzymała się przed nami.

– Twój chłopak jest w złym humorze – warknął Wieteska.

– Ach tak. – Nancy zaczęła mi się uważnie przyglądać.

– Tak. Państwo pozwolą, że ich opuszczę. Mam do załatwienia niecierpiące zwłoki sprawy na mieście – powiedział Wieteska, odwrócił się na pięcie i zanurkował wprost w deszcz ze śniegiem.

Nim zniknął, dostrzegłem, że nawet jego plecy były obrażone. Musiałem dotknąć czulej struny.

– A jemu co? – zapytał Nancy.

Ruszyłem pomału w stronę hotelu, w którym się chwilowo zatrzymaliśmy. Nancy wzięła mnie pod rękę. Kiedyś ten gest wydawałby mi się staroświecki, teraz pasował jak ulał.

– Nie chce przyjąć do wiadomości skutków – odparłem.

– Żaden z was nie chce – powiedziała poważnie.

W jej głosie wyczułem pewną głęboko ukrytą nutkę pretensji. Nigdy nie powiedziała wprost, że się myliłem, a ona miała rację. Nie musiała. Wiedziała, że wiem, że miała rację. Co z tego wynikało? Nic.

Było za późno, by uniknąć skutków pewnych decyzji.

– Myślę o tym ciągle – powiedziałem bezradnie po dłuższej chwili. Neon pobliskiego hotelu majaczył w zapadającym zmroku kolorowym, ciepłym światłem. – Ciągle do tego wracam.

– Wiem – powiedziała ciepło. Była bardzo lojalnym człowiekiem. –I nic już nie poradzisz. Wtedy byłam przeciwna walce, całemu temu szaleństwu. Ale to już przeszłość.

– Pewnie nigdy nie wrócimy do domu.

– To zupełnie nieważne. – Mocniej ścisnęła moją rękę. Do hotelu, ciepłego i bezpiecznego schronienia, było nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. – Musisz cieszyć się tym, co jest. Musisz myśleć pozytywnie. Inaczej zagryziesz się na śmierć.

Racja. Myślenie pozytywne jest zawsze w cenie. Nie sądzę jednak, bym kiedykolwiek przestał zastanawiać się nad tym, co było. Oraz przestał się czuć jak dezterter.

A także, co być może najważniejsze, kiedykolwiek przestał marzyć, że wrócę.

2

28 września 2012, Borne Sulinowo

Ogarnęła mnie jakaś dziwna gorączka, aczkolwiek nie sadzę, by miała wiele wspólnego z fizycznym samopoczuciem. Zastrzyk wykonany przez Wieteskę spełniał zadanie, czułem się nawet lepiej niż po pierwszej próbie.

Po prostu miałem zbyt bogatą wyobraźnię. Zestawiłem wszystkie posiadane wiadomości z tym, co ostatnio zobaczyłem w podziemiach, z grozą ruszającej w nieznane kolumny pancernej, której zapach dało się jeszcze wyczuć w powietrzu. Skoro mój batalion rzucony w pierwsze dni wojny bez żadnego przygotowania był w stanie w tak znacznym stopniu wpłynąć na bieg wydarzeń, co może zrobić grupa świetnie przygotowanych fanatyków wyposażonych w wiedzę i broń atomową?

Jest w stanie podbić cały świat i w tym górnolotnym stwierdzeniu nie ma nawet grama przesady. Jest w stanie dokonać działań będących prawdziwą, choć upiorną alternatywą dla historii znanej z podręczników.

Nie brałem pod uwagę, że nie mam swobody ruchów, ponieważ maszerujący w milczeniu tuż obok nas operatorzy z pewnością nie pozwolą na jakiekolwiek samodzielne działania. Po prostu o tym nie myślałem. Jakaś przemożna siła pchała mnie do załatwienia ostatniej, najważniejszej sprawy w życiu.

Poczucie obowiązku? Wyrzuty sumienia? Nie próbowałem tego nazwać. Definicja nie miała żadnego znaczenia.

Poprzedzani przez dwóch szperaczy, doszliśmy do końca tunelu. Huk pancernej kolumny już dawno rozpląnął się w mroku nocy. Żołnierze uważnie sprawdzili wyjście, ale nie znaleźli żadnych niespodzianek. Wyszliśmy.

Noc była ciemna, pochmurna, deszczowa, znacznie chłodniejsza niż przed kilkoma godzinami, kiedy zapuszczaliśmy się z Wieteską w te niegościnne podziemia. Przed nami, w odległości może stu metrów, prostopadle do tunelu biegła polna droga. Ślady gąsienic prowadziły w jej kierunku, a potem skręcały w prawo, na południe. Ciemność i dość gęsty las skrywały przed wzrokiem szerszy horyzont zdarzeń.

Teraz już całkiem wyraźnie poczuliśmy drżenie. Ziemia zaczęła wibrować pod stopami, jakby gdzieś pod ziemią włączyć gigantyczny silnik Diesla.

– Czujesz? – zapytał stojącego obok Galasia.

– Czuję i słyszę – mruknął.

Johny poruszył się i zaczął popłakiwać przez sen. Najwyraźniej odreagowywał stres kilku ostatnich dni.

Przyjąłem to, szczerze mówiąc, z pewną ulgą. Jego spokój i opanowanie wydawało mi się nienaturalne, wręcz chorobliwe.

– Jakby czołgi – powiedział Kurcewicz.

– Tamci już za daleko. Nasi? – zapytał dowódca

Nie odpowiedział. Nasłuchiwał uważnie, starając się określić kierunek, skąd dochodził dźwięk. Jego operatorzy rozglądali się uważnie na boki przez podłużne tuby noktowizorów. Widać, że również wsłuchiwali się w narastający basowy huk.

– Delta 1, Delta 1, tu Sekcja 4 – dowódca mówił przytłumionym głosem.

O ile znam się na twardełach z GROM-u, był zaniepokojony. Głos miał opanowany, jakby mówił o prognozie pogody na jutro, ale nieco szybsze tempo wypowiedzanych słów świadczyło o tym, że po raz pierwszy, odkąd go poznałem, nie miał precyzyjnego obrazu sytuacji.

Cisza. Narastająca wibracja przekształciła się w ochrypły wielogłos. Dowódca nie sprawiał wrażenia, by ktokolwiek mu odpowiedział.

Zresztą w następnej sekundzie przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Niebo po prawej stronie pojaśniało gwałtownym błyskiem, grzmot wielolufowej i wielkokalibrowej salwy przykrył całkowicie dotychczasowe wrażenia dźwiękowe. Powietrzem targnął wstrząs. Nim wybrzmiało echo, gwałtownie rozgadały się lżejsze zabawki. Na moje nieco już sterane wiekiem ucho między innymi wukaemy kalibru dwanaście i siedem dziesiątych milimetra. Bardzo przyjemna broń. Seria kilku pocisków jest w stanie przeciąć człowieka na pół.

Tę część przedstawienia mniej więcej rozumiałem: Rosjanie w drodze do bazy, której centralnym punktem był zapewne ukradziony nam emiter, natknęli się na kumpli naszego małowównego wojskowego przyjaciela. Kumple zaatakowali, dzielne rosyjskie zuchy odpowiedziały ogniem, zaczęła się obustronna jatka.

Natomiast szczerze niepokoiłem się odgłosem nadciągającej z przeciwnej strony burzy. Logiczne, gdyby były to odwody kumpli naszego dowódcy. Kompania czołgów na przykład. Jednak dwa czynniki przemawiały przeciwko takiemu rozumowaniu. Po pierwsze dowódca operatorów nie

sprawiał wrażenia, jakby wiedział, kto nadjeżdża. Po drugie, w naszej rzeczywistości ciężko sobie wyobrazić postawienie w stan gotowości i wykorzystanie bojowe oddziałów pancernych użytych na polskiej ziemi. Siły specjalne, tak. Antyterroryści, tak. Ostatecznie lotnictwo. Śmigłowce. Ale czołgi? W takiej liczbie?

Wątpliwości nie było. Pomimo że rozpoczęta przed chwilą bitwa gwałtownie oddalała się od nas, przesuwając się na wschód, nadal huczało od niej w uszach. Wyraźnie słyszałem wiele, naprawdę wiele par gąsienic, i to bardzo ciężkich pojazdów.

Po chwili zacząłem również widzieć, choć Bóg mi świadkiem, wolałbym takiego widoku nie oglądać już nigdy więcej.

Koszmar sprzed pięciu lat powrócił, w samym sercu Polski, na początku drugiej dekady XXI wieku.

2

Tygrysy. Zwykłe i królewskie. Ciężkie samobieżne niszczyciele czołgów. Moździerze wielolufowe. Półgąsienicowe transportery. Zestawy przeciwlotnicze. Kilkadziesiąt pojazdów, może setka. Potężna siła. Potężna jak śmierć.

Chociaż ten filmowy koszmar przejeżdżał o dobrych sto metrów od nas, najwyraźniej podążając śladem Rosjan, a naszą skromną grupką nie interesując się w ogóle, wszyscy cofnęliśmy się o krok Nic dziwnego. Moi kumple i ja byliśmy steranymi życiem weteranami o zszarganych nerwach; nasi przyjaciele z GROM-u, choć najpewniej posiadali doświadczenie bojowe, nie mieli zapewne do czynienia ze zbrojnym skakaniem po epokach historycznych.

– Co to jest? – Dowódca odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy.

Być może słyszał o mnie coś niecoś i wydałem mu się najodpowiedniejszym człowiekiem do udzielenia odpowiedzi na tak postawione pytanie.

– O ile mnie wzrok nie myli, kolumna pancerna Wehrmachtu.

– Wehrmachtu? – zapytał, jakby miał kłopoty ze słuchem.

– Albo SS. W tej ciemności nie sposób odróżnić – powiedziałem lekko.

Byłem przerażony, a jednocześnie chciało mi się śmiać. Historia zataczała jakieś upiorne koło, nie mogło być inaczej. Nagle wszystko wydało mi się przerażająco logiczne i uporządkowane.

– SS – powtórzył. Sprawiał wrażenie człowieka pozbawionego poczucia humoru. Nie podjął mojego lekkiego tonu. – SS. Wehrmacht. Druga wojna światowa?

– Raczej jej ostatni rok. Te wielkie czołgi to tygrysy królewskie – poparł mnie Galaś. Starał się mówić cicho, by nie obudzić małego. – Niemcy zaczęli je produkować jakieś półtora roku przed zakończeniem wojny. Doskonała maszyna. Siedemdziesiąt ton. Uzbrojenie...

– Co to ma znaczyć? – zapytał dowódca.

Tym razem nie udało mu się utrzymać beznamiętnego tonu. Wyraźnie podniósł głos. No cóż, nawet gromowcy mają nerwy.

– Najwyraźniej mamy gości z poprzedniej epoki. Z Trzeciej Rzeszy.

– Skąd się wzięli?

– Nie wiem. To wasza operacja, nie moja. Wy tu na kogoś czekacie. Ja tylko przyszedłem uwolnić syna z rąk porywaczy.

Zamilkł. Niemcy już niemal znikali z oczu.

– Wpadliśmy w niezłe gówno – zauważył Galaś.

– Potworne – przytaknął Wieteska.

Wypadało się całkowicie z nimi zgodzić. Przeszła mi ochota na filuterne odpowiedzi. Miałem już w głowie gotowy plan działania.

Konkretnie: listę pytań, na które chciałbym uzyskać odpowiedź.

– Posłuchaj – powiedziałem do dowódcy. – Musisz mi powiedzieć, co wiesz o waszym zadaniu. W oddali bitwa nieco wygasła. Miałem przemożne wrażenie, że nie na długo. Ci, co zadecydowali o zabranii w nasze czasy kónigstigerów, mieli najpewniej zamiar ich użyć.

– Musimy iść – powiedział, ale w jego głosie nie było przekonania.

– Gdzie? – zapytałem. Wszyscy przysłuchiwali się uważnie, choć muszę przyznać, że operatorzy nie przestali obserwować terenu dookoła. – Gdzie chcesz iść? Do dowództwa, z którym straciłeś łączność?

Pokręcił głową. Rozumiałem go. To, czego od niego chciałem, dalece wykraczało poza zadanie, a nawet codzienną praktykę.

– Mam was odstawić koordynatorowi operacji.

– Podinspektor Tyszkiewicz? – strzeliłem.

Żołnierz spojrzał na mnie ze zdumieniem. Moi towarzysze również. Po chwili ten pierwszy kiwnął głową.

– Od strony wojskowej dowodzi mój najwyższy szef, generał Dreszer. A Tyszkiewicz koordynuje całość.

No, to dopiero bomba. Nazwisko Dreszera wywołało wśród moich towarzyszy, mnie samego nie wyłączając, większe wrażenie niż pojawienie się przed chwilą dzielnych zuchów z Waffen SS.

Szkoda, że nie było czasu głębiej się nad tym zastanowić. Jestem pewien, że wniosek, by udać się na poszukiwania pana generała, przeszedłby wśród moich towarzyszy przez aklamację. Na razie jednak musieliśmy zająć się poważniejszymi sprawami.

– To koniec? – indagowałem dalej, starając się zepchnąć z pierwszego planu szczupłą sylwetkę generała. – Odnaleźć i odstawić Tyszkiewiczowi? A twoi koledzy?

– Wiem tylko tyle, ile trzeba – odparł.

Uwierzyłem mu. Tak bywa. Nie ma potrzeby wtajemniczać wszystkich wykonawców w całość operacji.

– Posłuchaj. Posłuchaj mnie bardzo uważnie – powiedziałem. Górowałem nad nim wzrostem o głowę. – Mamy, i ty, i ja, znacznie poważniejszy problem niż odtransportowanie nas do punktu dowodzenia. Widziałeś czołgi. To naprawdę niemieckie wozy. To naprawdę SS. Albo Wehrmacht, ale stawiałbym raczej na to pierwsze. Elita. Wysłana z misją z przeszłości. Rosjanie, którzy nas przed chwilą opuścili, mają najprawdopodobniej broń atomową. Niemcy wyleźli spod ziemi i jadą ich śladem. Pytanie za sto punktów: po co?

Nie mogłem sobie wyobrazić lepszej scenerii dla zadania takiego pytania. Nim dowódca zdążył otworzyć usta, niebo po naszej prawej stronie rozbłysło, usłyszeliśmy głęboki basowy ryk, który tak dobrze znałem. Słyszałem go na własne uszy niespełna dwa miesiące temu, na początku sierpnia 1944 roku. Głowę bym dał, że to niemieckie moździerze rakietowe, zwane popularnie szafami lub krowami.

Rzeczywiście, ciemność przekroiły liczne smugi, przemknęły z ogromną prędkością ze wschodu za zachód, po czym eksplodowały gromko, mam wrażenie, że mniej więcej w okolicy lotniska. Przez dłuższy czas było jasno jak w dzień. Detonacje słychać było aż tutaj. Policzki owiał ciepły podmuch.

– Widzisz? – zadałem ostateczny cios. – Zaczyna się. Zaraz te czołgi dopadną Ruskich i zaczną się jatka na całego. A jeżeli Niemcom się uda przejąć broń atomową...

Tym razem wahania nie było. Umiał szybko podejmować decyzje.

– Co chcesz zrobić? – zapytał.

– Wyznacz dwóch żołnierzy – powiedziałem, po czym odwróciłem się do Kurcewicza. –

Zaopiekuj się Rozalką i chłopakami. Ukryjcie się gdzieś. Tu jest sporo opuszczonych bunkrów.

– Idę z wami – powiedział.

– Jesteś ranny.

– Ty też. Nawet bardziej.

– Ale ja jeden mniej więcej ogarniam, co się dzieje – odparłem z mocą. Odwróciłem się ponownie do dowódcy. – Daj mu karabin po waszym żołnierzu. On i twoi ludzie zaopiekują się kobietą i dziećmi. Jak skończymy, wrócimy po nich.

– A wy?

– Jesteśmy żołnierzami. Stoimy po twojej stronie.

– Co chcesz zrobić?

– Niemcy nie wzięli się z powietrza. Pójdziemy po ich śladach. Znajdziemy kryjówkę. Tam mają maszynkę, dzięki której się tu znaleźli. Musimy ich powstrzymać.

Przetrawił to sobie. Przeanalizował. Podał wszechstronnej krytyce. Był szybszy niż komputer. Naprawdę umiał podejmować decyzje.

Mówi się, że wyszkolenie jednego operatora GROM-u kosztuje milion dolarów. Możliwe, że pieniądze włożone w wyszkolenie tego akurat żołnierza były najlepszą inwestycją w dziejach Rzeczypospolitej.

Miałem cholerne szczęście (jak się nad tym głębiej zastanowić: wszyscy mieliśmy), że nie trafiliśmy na kogoś innego.

– Daj broń – zwrócił się do jednego z żołnierzy.

Ten zdjął dodatkowy karabin z ramienia, po czym wręczył Kurcewiczowi. W ślad za bronią właściciela zmieniły także trzy zapasowe magazynki. Dowódca wskazał dwóch żołnierzy.

– Pójdziecie z nimi. Ukryjcie się gdzieś niedaleko. Łączność na piątce. Znajdziemy was.

3

Dwie minuty później, po krótkim, acz dość burzliwym pożegnaniu (Johny całe szczęście spał głęboko, gwałtowność pożegnania dotyczyła Rozalki i Wieteski, który nie miał najmniejszej ochoty rozstawać się z cudownie odzyskaną żoną), maszerowaliśmy dziarsko, mając po prawej stronie pełną drogę.

Dwóch operatorów szło bliżej drogi, uważając na ślady. Były tak wyraźne, że nie sposób ich było przeoczyć nawet po ciemku i w stopniowo gęstniejącej mżawce.

Rozciągnęliśmy się w luźną tyralierę. Gotów byłem się założyć, że marsz nie zajmie nam zbyt wiele czasu. Jakikolwiek cel przyświecał niemieckiej wyprawie (pomysł z przechwyceniem broni atomowej oparłem w zasadzie wyłącznie na domysłach i próbach ułożenia rzeczywistości w logiczną całość), byłem pewien, że niemiecka kryjówka nie może znajdować się zbyt daleko. Niemcy znają te podziemia jak własną kieszeń, może nawet lepiej niż Rosjanie. Staszek Kolberg opowiedział mi kiedyś o uporczywie powtarzanych wśród dobrze zorientowanych ludzi plotkach, jakoby Niemcy, opuszczając to miejsce w roku '45, zamurowali, zamaskowali, a na wszelki wypadek zaminowali pewną część podziemi. Rosjanie, obejmując bazę w posiadanie, machnęli ręką na dalsze poszukiwania – widać to, co zostało, zaspokajało ich potrzeby. Mogłem więc wyobrazić sobie obszerną podziemną kryjówkę, w której Niemcy dokonali transferu czasowego i czyhali na okazję.

Skąd wiedzieli, kiedy, gdzie i na kogo uderzyć, w jaki sposób weszli w posiadanie emitera pola siłowego?

Nie miałem żadnych danych, by odpowiedzieć na to pytanie. Ta odpowiedź nie była w tej chwili ważna. Choć, nie ukrywam, na ten temat również miałem pewną, niewesołą niestety, teorię. Zza pleców dobiegał grzmot wielkiej bitwy. Modliłem się, by Kurcewicz wraz z przydzielonymi operatorami umiał uniknąć niebezpieczeństwa.

Idący kilkanaście kroków przed nami żołnierz podniósł dłoń. Najwyraźniej dostrzegł coś, czego nasze nieuzbrojone w noktowizory oczy nie zdołały wypatrzeć. Zatrzymaliśmy się...

... zobaczyłem, jak dowódca niemal w marszu składa się, naciska spust i strzela...

... gdzieś z przodu szybko, nerwowo szczeka kaem... ... kule gwizdzą w niebezpiecznej odległości od głowy... ... dwaj żołnierze, posuwający się bliżej drogi, jeden po drugim odpowiadają ogniem...

... daje głos jeszcze jeden kaem, umieszczony nieco dalej, ale za to na większej wysokości, być może na dachu bunkra, których było sporo w najbliższej okolicy...

... dowódca jęczy głucho, wypuszcza broń i upada, nie dalej niż kilka kroków od miejsca, gdzie rozpląszczam się na ziemi...

... dwaj pozostali operatorzy prowadzą na zmianę celny, gęsty ogień. Jeden z nieprzyjacielskich karabinów maszynowych (na słuch: MG-42, ale głowy nie dam) milknie gwałtownie...

... w zamian za to do walki włącza się snajper. Pojedyncza kula przelatuje gdzieś na prawo ode mnie i wbija się w plecy leżącego na ziemi operatora. M-4 wypada z bezsilnych dłoni...

... Galaś turla się i łapie karabin dowódcy. Wyjmuje mu z kieszeni magazynki, zdejmuje z helmu noktowizor i turla się z powrotem. Chwilę dopasowuje noktowizor, po czym składa się i zastyga w bezruchu...

... ostatni z operatorów próbuje zmienić stanowisko. Ponownie rozbrzmiewa strzał snajpera, niecelny, o czym świadczy grzybek podniesionej kulą ziemi dobry metr od operatora. Ten widać dostrzega błysk wystrzału, bo przymierza szybko i posyła w tamtą stronę dwie krótkie serie...

... snajper milknie, jednak celowniczy kaemu polewa całą okolicę szczodrze, nie pozwalając na podniesienie głowy...

... Galaś mierzy długo, odległość jest spora, jakieś dwieście metrów, co dla karabinu szturmowego kalibru pięć pięćdziesiąt sześć stanowi odległością znaczną...

... strzał. Drugi. Trzeci. Czwarty. Piąty. Pauza. Seria, tak od serca, do końca magazynka...

...cisza... .

... cisza...

... cisza...

– Czysto, panie pułkowniku – usłyszałem głos Galasia. – Były dwa kaemy i snajper.

– Jesteś pewien? – zapytałem słabo.

Upadając, musiałem urazić zranione przedramię. Nawet wszystkie medykamenty, którymi byłem nafaszerowany, nie były w stanie stłumić potężnej fali bólu. Walczyłem ze sobą, by nie odjechać w omdlenie.

– Trzy punkty. Wszystkie zlikwidowane.

– Chyba nasi przyjaciele oberwali – dobiegł mnie gdzieś z boku głos Wieteski.

Niewyraźna sylwetka wstała ostrożnie i poszła w stronę, gdzie ostatnio znajdowali się dwaj operatorzy GROM-u.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Galaś.

– Nie – odparłem i podniosłem się.

Musiałem się złapać pobliskiego drzewa, ale udało mi się utrzymać na nogach. Coraz bardziej byłem pewien, że kończy mi się czas.

– Powinieneś zostać. Możemy to załatwić we dwóch z kapitanem.

Odgłosy bitwy narastały. Co gorsza, miałem nieodparte wrażenie, że przesuwają się w naszą stronę.

– Nie – powiedziałem. Nie miałem ochoty na jakiegokolwiek dyskusję.

– Dwaj nie żyją, w tym dowódca. – Wieteska wynurzył się z mroku. Był obwieszony bronią, zapasowymi magazynkami i granatami. Przyjrzał mi się uważnie. – Jureczku, wyglądasz jak trup.

– Dzięki – mruknąłem i wyciągnąłem rękę.

Trzej pozostali żołnierze GROM-u wychynęli z ciemności jak duchy.

– Pistolet. Nie jestem w stanie strzelać z obu rąk, ale z jednej powinienem dać radę – powiedziałem do Wieteski.

Bez słowa sięgnął do pasa, po czym podał mi glocka.

– Możemy załatwić to sami – z uporem powtórzył Galaś.

Do towarzyszących nam odgłosów bitwy doszło wyraźne terkotanie silników helikopterów.

Najwyraźniej Dreszer wezwał kawalerię.

– Musiałbyś go zastrzelić – stwierdził Wieteska i ponownie spojrzał na mnie, jak entomolog spogląda na jakiś szczególnie atrakcyjny rodzaj owada. – Dasz radę?

– Nie traćmy czasu – powiedziałem i ruszyłem przed siebie.

Zachwiałem się, ale potem poszło już gładko. Mogłem być z siebie dumny.

– Weź to. – Wieteska dogonił mnie i wcisnął w dłoń noktowizor.

Niezdarnie założyłem go na głowę.

Okazało się, że cel naszych poszukiwań znajdował się bardzo blisko. Droga skręciła gwałtownie w lewo. Potem urwała się, a ślady gąsienic biegły dalej. Po może pięćdziesięciu metrach dostrześliśmy porośniętą trawą pagórek, a obok niego...

... ślady gąsienic ginące pod ziemią. Byliśmy na miejscu.

Nagle w ciemnym otworze zamajaczył jakiś człowiek. Padliśmy na ziemię, ale była to, zdaje się, zbędna ostrożność. Człowiek ów, ubrany po cywilnemu, poprawił plecak, natychmiast po opuszczeniu podziemi skręcił w lewo, w przeciwną stronę niż hucząca bitwa za plecami, i dziarskim krokiem pomaszerował przed siebie. Po kilku sekundach zniknął nam z oczu. Miałem nieodparte wrażenie, że w niewyraźnej sylwetce dostrzegłem coś znajomego.

– Jaki jest plan? – zapytał Wieteska, z zainteresowaniem oglądając wjazd do podziemi.

Oderwałem myśli od nieznajomego i przyjrzałem się uważnie pagórkowi. Świat w zielonkawym obrazie noktowizora był zimny i nieprzyjazny. Wokół żywego ducha.

– Ten wjazd musiał być jakoś zamaskowany – powiedziałem.

Rozgrywająca się za naszymi plecami walka weszła w nową fazę. Helikoptery potraktowały przeciwnika rakietami. Wybuchy zlały się w jeden grzmot, niebo rozbłysło jak gigantyczna lampa błyskowa, ku chmurom pomknęły grzyby eksplozji.

– Jakaś płyta na rolkach czy coś – mruknął Galaś. – Dziwne, że nikt nie pilnuje.

– Te dwa kaemy i snajper – odmruknął Wieteska. – To było ubezpieczenie.

– Pewnie jest ktoś w środku – powiedziałem.

– Dowiem się, jaki jest plan? – zapytał ponownie Wieteska. – Wygląda na to, że oni tu za chwilę będą z powrotem. Masz zamiar powstrzymać czołgi za pomocą M-4?

Gdzieś z tyłu wybuchła gwałtowna strzelanina. Znacznie bliżej niż bitwa pancerna, która zresztą zdawała się dogasać. Kilka serii przeorało powietrze, potem odezwało się kilka pojedynczych strzałów, po czym wszystko ucichło tak samo gwałtownie, jak wybuchło.

– Jeżeli damy radę opanować wejście i zamknąć je od wewnątrz, zatrzymamy tamtych. Przybędą ludzie Dreszera, wezwą posiłki i posprzątają.

– Wejście jest pilnowane – powiedział Galaś.

Trzej operatorzy skinęli głowami.

– Mimo to musimy je zdobyć. I to szybko.

Gwałtowna eksplozja targnęła powietrzem. Nasilił się ryk śmigłowców.

– Siedź tu – powiedział Wieteska, trzasnął zamkiem karabinu i ruszył ostrożnie do przodu. Cała piątka rozsypała się w krótką tyralierę. Lufy niecierpliwie przeszukiwały nocny mrok. Nie posłuchałem go. Odczekałem krótką chwilę i ruszyłem w ślad za towarzyszami.

Nerwy miałem napięte jak postronki, eksplozje i zbliżający się warkot silników nie pomagały w koncentracji, w głowie zaczęło mi się nieco mącić i byłem skłonny wyolbrzymiać każde, nawet błahe zdarzenie; mimo to do wlotu tunelu doszedłem bez przeszkód. Żołnierze GROM-u spenetrowali dokładnie otoczenie, ale nie wykryli przeciwnika. Wart nie było.

Wielki, szeroki na co najmniej dziesięć metrów otwór ział mroczną stęchlizną. Żadne światło nie rozświetlało ciemności. Tunel opadał łagodnie w dół. Galaś pstryknął kilkakrotnie latarką, po czym nachylił się ku nam.

– Wielka betonowa platforma, na szynach. – Wskazał majaczący w ciemności ziemny nasyp. – A ten pagórek to maskowanie. Sprytne.

– Trzeba znaleźć mechanizm – powiedział Wieteska. – Musimy to zamknąć.

– Pójdziemy w dół. Będziemy ubezpieczać – powiedział jeden z gromowców.

Brzmiało rozsądnie. Kiwnąłem głową.

Cała trójka bezszelestnie zniknęła w mroku. Galaś ponownie zapalił latarkę. Nie był to najlepszy pomysł, ale żeby znaleźć mechanizm zamykający wrota, musieliśmy mieć choć odrobinę światła.

– Jest – zawołał Wieteska.

Cienki promyk padł na okazałych rozmiarów wyłącznik elektryczny. Gruby kabel biegł po ścianie, po czym ginął za niewielkimi stalowymi drzwiami, umieszczonymi nieopodal wjazdu.

– Próbuje – mruknąłem.

Beton pod stopami zaczął lekko wibrować. Zdziwiłbym się, gdyby Niemcy znajdowali się w odległości większej niż kilometr.

Wieteska popatrzył przez chwilę na przełącznik, jakby ten mógł zdradzić mu jakieś tajemnice, po czym przekręcił go. Trzask był głośny niczym wystrzał, ale poza tym nie działo się nic. Wrota ani drgnęły.

– Chyba musimy się zwijać – powiedział Galaś.

Wyczułem w jego głosie niepokój. Spory niepokój. Strach właściwie.

– Jakoś to musieli otworzyć – nie poddawałem się.

– Może wyłączyli agregat. Wróć, odpalą go z powrotem, włączą zasilanie, zasuną tę górkę i po balu, panno Lulu.

– Musi być rezerwowy system, ręczny – powiedziałem.

Podszedłem do stalowych drzwi i nacisnąłem klamkę. Nie ustąpiła. Drzwi były zamknięte na klucz.

Podłoga i ściany tunelu już nie drżały. Falowały, wibrowały, żyły własnym życiem. W huku nadciągającej armady dało się rozróżnić podzwanianie gąsienic.

4

Co za pieprzony, gówniany pech.

Wiadomo, żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi. W czasie takiej bitwy nie jest wielką sztuką oberwać. Pociski artyleryjskie latają w różne strony, powietrze ze świstem tną odłamki lub części trafionych pojazdów, serie kameów też nie zawsze trafiają w cel, tylko lecą dalej, aż zabraknie im energii albo natrąfią na jakąś przeszkodę.

Ale żeby spadł na twoich żołnierzów twój własny helikopter?

Niestety, takie przypadki, jak widać, też się zdarzają.

Tyszkiewicz nie miał czasu na nic, dokładnie jak pięć lat temu w tym cholernym Nagum Thal, gdzie nieco mimo woli został kimś na kształt bohatera narodowego. Wtedy, w Afganistanie, też działo się kilka rzeczy naraz, człowiek myślał jednocześnie o kilku sprawach (o ochronie tyłka przede wszystkim; tak to niestety jest skonstruowane), kule cięły powietrze w najprzeróżniejsze strony i ogólnie był burdel na kółkach.

Teraz, po długich seriach wystrzelonych z nieprzyjacielskich działek przeciwlotniczych, w końcu oberwał jeden ze śmigłowców sekcji Alfa 1. Oberwał tak nieszczęśliwie, że pilot stracił nad nim kontrolę. Potężna wielotonowa maszyna zaczęła opadać kolistym ruchem, kręcąc się dookoła własnej osi, po czym z okropnym hałasem trafiła wóz wiozący drugą sekcję ludzi Tyszkiewicza, jakieś dwadzieścia metrów za prowadzącym humvee. Obyło się bez eksplozji, jednak siła uderzenia była tak potężna, że z samochodu pomimo dość solidnego opancerzenia została kupa sprasowanej i poskręcanej blachy. Kierowca Tyszkiewicza oczywiście natychmiast się zatrzymał i wszyscy wyskoczyli na zewnątrz, ale nie trzeba było dokładnych oględzin, by stwierdzić, że nikt nie mógł wyjść z tej katastrofy z życiem.

Dotyczyło to zarówno załogi śmigłowca, jak i pięciu jadących humvee operatorów GROM-u. Jakub zmełł w zębach przekleństwo, ale nakazał jazdę dalej. Drugi atak śmigłowców powstrzymał wrogie oddziały tylko na parę minut. Odgłosy wskazywały, że ponownie ruszają w drogę. Humvee nabrał prędkości. Jadąc równolegle do nieprzyjacielskiej kolumny – oddalonej może o dwieście metrów – dogonił ją i zaczął wyprzedzać.

– Tu Delta 2. Tu Delta 2 – rzucił do mikrofonu Tyszkiewicz.

– Tu Delta 1 – w słuchawce odezwał się głos Dreszera. – Mów, Delta 2.

– Dogoniłem nieprzyjacielski oddział. Rzeczywiście składa się z historycznych pojazdów. To nieprawdopodobne, ale tak jest.

– Te historyczne pojazdy zestrzeliły śmigłowiec, Delta 2. – W głosie Dreszera nie było żadnych emocji. Nigdy ich tam nie było.

– Gdzie Alfa 2 i 3? – zapytał po chwili Jakub.

Nie miał pomysłu, co robi, gdy zetknie się z nieprzyjacielskimi czołgami. Stare nie stare, miały wystarczająco dużo mocy, by zdmuchnąć jego ludzi z powierzchni ziemi.

– Są o kilka kilometrów od nas. Jadą z pełną prędkością.

Dobra wiadomość. Pod oznaczeniem kodowym Alfa 3 kryła się kompania czołgów wyposażona w dziesięć leopardów. Alfa 4 to dwie kompanie piechoty transportowane za pomocą kołowych transporterów opancerzonych Rosomak. Pododdział z pewnością stanowił siłę, która mogła powstrzymać nieprzyjaciela, cokolwiek planował.

Jednakże zarówno Dreszer, jak i Tyszkiewicz doskonale zdawali sobie sprawę, że by dać czas oddziałom Alfa 3 i 4 na przybycie na pole walki, muszą podjąć jeszcze jedną próbę spowolnienia przeciwnika.

Śmigłowce otrzymały rozkaz ponownego zaatakowania nieprzyjacielskich pojazdów. To, że jeden został zestrzelony, należy przypisać wyjątkowo pechowemu zbiegowi okoliczności i nieprawdopodobnemu szczęściu wrogiego celowniczego. Pozostałe Mi-24 pochyliły się w ciasnym zakręcie i ponownie weszły na kurs bojowy.

Ale tej nocy nic nie szło tak, jak powinno.

– Delta 1, tu Alfa 1. – Tyszkiewicz usłyszał w słuchawkach głos pilota, nowego dowódcy klucza. – Nieprzyjaciel zgrupował się wokół pojazdów rakietowych. Czołgi i działa samobieżne jadą burta w burtę z transporterami. Czy mam otworzyć ogień?

Jakub spojrzał na Krzeptowskiego i obaj pokręcili głowami z podziwu nad kunsztem nieprzyjacielskiego dowódcy. Liczył on po prostu na fachowość, rozeznanie sytuacji i przytomność umysłu atakujących go pilotów. Obrachował, że nie ośmielą się zaatakować jego wozów pancernych, gdyż ryzykują trafienie w jedną z rakiet. Owszem, nuklearna eksplozja zniszczyłaby nieprzyjaciela całkowicie, ale jakim kosztem? Najwyraźniej tenże anonimowy dowódca założył, że nikt nie podejmie ryzyka zwycięstwa za taką cenę.

Całkowicie słusznie.

– Wstrzymać ogień, Alfa. Powtarzam, wstrzymać ogień. – Dreszer w końcu się chyba zdenerwował. Głos nie brzmiał tak pewnie jak przed momentem. – Obserwować, nie tracić z oczu, w dogodnej sytuacji ostrzelać za pomocą uzbrojenia artyleryjskiego. Powtarzam: w dogodnej sytuacji.

W żadnym wypadku nie używać broni rakietowej.

– Zrozumiałem, Delta 1. Wstrzymać ogień. Tylko obserwacja. Atak artyleryjski w razie dogodnej okazji. – W głosie pilota czuć było ogromną, autentyczną ulgę.

– No, myślę – mruknął Tyszkiewicz.

Humvee przyspieszył, kołyszając i szarpiąc.

Nagle samochodem targnął wstrząs długiej serii umieszczonego na dachu kaemu. Gorące łuski poleciały do wnętrza, kierowca skręcił gwałtownie i zaczął hamować. W końcu wóz stanął, strzelec ponownie otworzył ogień, choć tym razem wystarczyło mu tylko kilka strzałów.

Zapadła jednosekundowa przeraźliwa cisza.

Wszyscy siedzący w środku otworzyli drzwi i pochyleni nisko wysiedli. Może dwadzieścia metrów przed samochodem w niewielkim wykrocie leżała kobieta. Skulona, z głową wtuloną w leśny piach, osłaniała własnym ciałem dwoje dzieci. Nie ruszała się.

Tyszkiewicz podszedł ostrożnie, czujnie rozglądając się na boki. Kilka kroków przed kobietą leżało skręcone ciało żołnierza w czarnym mundurze i charakterystycznym baniastym hełmie. W ręku ścisnął karabin szturmowy nieco podobny do kałasznikowa. Krwawił z wielkich poszarpanych ran na plecach i nie dawał znaku życia. Nic dziwnego. Seria z wukaemu jest w stanie narobić nieopisanych szkód nawet znacznie twardszym przeciwnikom niż ludzki organizm.

Trzydzieści metrów dalej następne ciało. Cywil. Bezbronny. Również wyglądał na nieżywego, co potwierdził skinieniem głowy jeden z klęczących nad nim operatorów.

– Tu jeszcze dwóch leży – dobiegł z ciemności głos Krzeptowskiego. – Dwóch naszych.

Jakub westchnął. Kobieta poruszyła się.

A potem wszystko rozegrało się bardzo szybko.

Dokładnie w momencie, kiedy Jakubowi przyszło do głowy, że jest mało prawdopodobne, by jeden Niemiec z drugiej wojny światowej pokonał w otwartej walce dwóch wyposażonych w noktowizory operatorów GROM-u, gdzieś niedaleko huknął strzał, kula gwizdnęła w bezpośredniej bliskości i wbiła się w czaszkę kierowcy humvee. Ten bezgłośnie upadł na ziemię. Krzeptowski i dwaj pozostali ludzie Tyszkiewicza zareagowali jak koty, w jednej sekundzie znikając z pola widzenia snajpera i składając się do strzału. Huknęły serie, w odpowiedzi znowu zabrzmiał pojedynczy strzał. Tamten był niedaleko i wyżej, najprawdopodobniej miał stanowisko gdzieś w koronie jednego z drzew.

Strzelec, który nie opuścił humvee i nadal zajmował pozycję przy wukaemie, nacisnął spust i długą serią obdarował spory wycinek lasu.

Korzystając z tej ogniowej osłony, Tyszkiewicz skoczył w kierunku wykrotu. Upadł na piach tuż obok kobiety. Miał nadzieję, że zniknął z pola widzenia snajpera.

- Nic pani nie jest? – zapytał niemal wprost w zasłonięte włosami ucho.
- Dzieci całe – odpowiedziała niezbyt przytomnie. – Ale Wojtek... kapitan Kurcewicz...
- Kapitan Kurcewicz? – Jakub już wszystko wiedział.

Ta kobieta to Rozalia Wieteska. Dwoje dzieci. Wszystko się zgadza. Gdzie reszta porwanych? Gdzie ośmiu żołnierzy, których wysłał w ślad za Grobickim i Wieteską do tych cholernych podziemi?

Zerknął odruchowo na zegarek. Za piętnaście trzecia. Niesamowitą rzeczą jest czas. Tyszkiewicz miał wrażenie, że żołnierze ruszyli za Grobickim kilka dni temu.

Ponownie zagrzmiała seria ciężkiego kaemu. Gdzieś niedaleko coś trzasnęło głośno i duży miękki ciężar upadł na ziemię.

- Ten gotów – krzyknął strzelec. – Zwijajmy się. Mamy kolejnych gości.

Tyszkiewicz podniósł głowę. Niewyraźną leśną dróżką, którą mknął humvee podczas niedawnej wariackiej jazdy, parły dwa półgąsienicowe transportery. Kierowcy wyciskali z silników pełną moc.

Żołnierz obsługujący kaem nie namyślał się wiele. Odwrócił lufę i wcisnął spust do oporu. Seria pocisków przeciwpancernych poleciała w stronę przeciwnika, pokrywając drobnymi, gęstymi eksplozjami szoferkę i przedział silnikowy. Pojazd stracił rytm, ale jechał dalej, być może już tylko siłą inercji. Co gorsza, nad szoferką spoglądała przed siebie dziurkowana lufa kaemu, obsługiwanego przez pochylonego nad nią żołnierza w głębokim, zakrywającym kark hełmie. Pozycja do strzału była zgoła niekomfortowa, transporter, nad którym kierowca najprawdopodobniej stracił kontrolę, zaczął właśnie zataczać łuk i nieuchronnie zmierzać ku zderzeniu z potężną, oddaloną zaledwie o kilkanaście metrów sosną, mimo to szybka seria zagrzechotała złowieszczo o stalowe płyty ochraniające operatora wukaemu. Jedna kula znalazła sobie drogę poprzez szczelinę pośrodku osłony i z impetem wbiła się w kamizelkę kuloodporną osłaniającą tors żołnierza. Kevlar wytłumił większość energii pocisku, jednak ta pozostała pchała żelastwo dalej, do wnętrza organizmu. Żołnierz oderwał ręce od tyłców broni, z rozmachem upadł plecami na dach auta, po czym stoczył się po pancernych blachach na ziemię.

Tyszkiewicz w przeraźliwie krótkim przeblysku zrozumienia uświadomił sobie, że mają do czynienia z jakimś zwijającym się oddziałem niemieckiego ubezpieczenia, który, inną drogą co prawda dąży do tego samego celu co reszta pancernych towarzyszy eskortujących rakiety. I że pozostaje im tylko ucieczka. Za wbijającym się właśnie z upiornym hukiem w drzewo transporterem podążał następny, za nimi terenowy łazik. Bóg wie, co jeszcze kryło się ciemności i deszczu.

Wiać z tego miejsca, oto zadanie na najbliższe sekundy.

Złapał Rozalię Wieteskę za rękę, poderwał ją do góry, chwycił mniejsze z dzieci, zasmartanego i rozpaczającego chłopca, nie więcej niż dwuletniego, pomyślał w jakimś idiotycznym przeblysku o swojej żonie, która w najbliższych dniach spodziewała się dziecka, i że ten chłopiec, jego syn, powinien mieć na imię Jan, ponieważ Jan Tyszkiewicz brzmi naprawdę okej, po czym pobiegł co sił do humvee. Słyszał, jak Krzeptowski strzela krótkimi seriami, jak ostatni pozostały przy życiu operator GROM-u osłania odwrót Krzeptowskiego i wdaje się w polemikę z kaemem strzelającym z kolejnego transportera, który pojawił się na polu walki; wrzucił chłopca na podłogę pomiędzy fotelem

kierowcy a tylnym siedzeniem, kątem oka dostrzegł, jak żona Wieteski razem ze starszym dzieckiem rzuca się w ślady małego, instynktownie starając się zająć miejsce jak najniżej, jak najdalej od latających w powietrzu kul, po czym usiadł za kierownicą i z rozmachem zatrzęsł drzwi. Silnik pracował na wolnych obrotach. Tyszkiewicz wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu. Koła szarpnęły i blisko trzytonowa maszyna skoczyła do przodu niczym wyścigowy koń. Krzeptowski wskoczył w biegu na siedzenie pasażera, gromowiec znalazł się w środku dwie sekundy później. Humvee był opancerzony i póki nie włączą się do akcji cięższe maszyny niż MG-42, stwarzał choć pozór osłony.

Tyszkiewicz opuścił na oczy noktowizor, ale nie widział prawie nic. Panowały kompletne ciemności, resztki księżyca skryły się za ciężką warstwą chmur, deszcz lał coraz mocniej. Samochód poruszał się po czymś w rodzaju ścieżki, nieznacznie zaznaczonego pomiędzy gęstymi drzewami szlaku, dobrego raczej dla grzybiarzy niż dla szalonej ucieczki przed koszmarną rzeczywistością. Mogli w każdej chwili wylądować na drzewie, w głębokim starym okopie lub wbić się w zapomniany bunker, pomimo to Jakub nie zwalniał. Krzeptowski wychylił się ostrożnie przez stanowisko strzelca kaemu.

– Odpadli – powiedział, gdy już usiadł z powrotem, ale w jego głosie nie było pociechy.

– Kurwa! – krzyknął Jakub i skręcił gwałtownie kierownicą.

Wozem zarzuciło, przez moment zdawało się, że wyląduje na boku.

Ciężki pocisk z rykiem przeleciał obok humvee i wybuchł o pięćdziesiąt metrów dalej, ogłuszając eksplozją wszystkich pasażerów samochodu. Z prawej nadjeżdżała kolumna pancerna. Była nie dalej niż trzysta metrów; uszczuplona niedawnymi starciami z siłami Rosjan i atakami polskich śmigłowców, ale nadal zdolna do obrony rakietowej zdobyczy i zadawania dotkliwych ciosów.

Celowniczy prowadzącego czołgu (tygrys, słowo daję – pomyślał Tyszkiewicz – na filmach są jakieś, kurwa, mniejsze) dostrzegł obcy pojazd i zareagował zgodnie z rozkazem: starał się usunąć z drogi jakiegokolwiek przeszkody czy zagrożenie. Spudłował, ale niewiele brakowało. Tyszkiewicz wyjechał na zrytą gąsienicami drogę i wduślił pedał gazu do dechy, wykonując drobne ruchy kierownicą i zmuszając wóz do oszalałego, nerwowego tańca. Byle nie jechać po prostej, byle nie utrzymać się temu sukinsynowi w celowniku.

Droga zaczęła opadać lekko w dół. Po bokach las zgęstniał, wykluczając jakąkolwiek alternatywną trasę ucieczki, ale Jakub nie zastanawiał się nad tym. Po prostu gnał jak szalony, próbując uciec nieprzyjacielskim pociskom.

Ponowny grzmot. Śmierć w ułamku sekundy pokonała krótką trasę i ponownie chybiła o włos. Biorąc pod uwagę, że czołg z drugiej wojny światowej nie posiadał systemów stabilizujących położenie lufy w czasie jazdy, w każdym razie na tyle dokładnych, by móc celnie strzelać, ten celowniczy był prawdziwym mistrzem w swoim fachu: w nocy, w niesprzyjającym, pofałdowanym terenie, do małego, szybko poruszającego się celu oddał w ciągu piętnastu sekund dwa strzały, które chybiły zaledwie o centymetry.

Ale Jakub był jak najdalszy od zachwytów nad umiejętnościami nieprzyjacielskiego czołgisty. Trzymał kierownicę z całych sił i starał się cokolwiek widzieć przed sobą. Jechał niemal na ślepo. Co gorsza, miał pewność, że poruszanie się po śladach nieprzyjaciela z tymże nieprzyjacielem na plecach może doprowadzić tylko do jeszcze większych kłopotów, na przykład do wpadnięcia wprost do jego kryjówki...

– Uważaj – krzyknął Krzeptowski, łapiąc się z całych sił uchwyty nad drzwiami.

Ostrzeżenie było ze wszech miar słuszne, spóźnione jednak, niestety.

Droga gwałtownie przechodziła w coś w rodzaju szerokiego wjazdu do tunelu, który na przestrzeni następnych kilkudziesięciu metrów nikał pod ziemią. Co gorsza, wlot ten właściwie był zasłonięty trawiastym pagórkiem, który ku zdumieniu wszystkich pasażerów (w każdym razie wszystkich, którzy obserwowali rozwój sytuacji, a nie wtulali nosy w stalowe płyty podłogi) poruszał się z lewa na prawo.

Zostało nie więcej niż cztery metry wolnej przestrzeni. Pagórek nie rozwijał może jakiejś ekscytującej prędkości, ale nieuchronnie i konsekwentnie zmierzał do całkowitego zamknięcia wlotu do tunelu.

Nie było żadnej innej drogi. Nie było żadnej innej możliwości ucieczki.

Żadnej alternatywy.

Tyszkiewicz kolejny raz szarpnął mocno kierownicą, wóz zareagował, jechał przez chwilę bokiem, ryjąc oponami i tak już zryty piach drogi, po czym z rozpaczliwym rykiem silnika, niemal rozdzierając pancerną burtę o betonowe obramowanie wjazdu, wślizgnął się w wilgotną i lepką ciemność.

5

– Strzelaj! – krzyknąłem do Galasia. – Rozwal ten zamek.

Stalowe drzwi wyglądały solidnie, ale nie sądzę, by ich zamek mógł oprzeć się celnie ulokowanej serii z karabinu szturmowego. Były kapral nadterminowy Józef Galaś fachowym okiem przyjrzał się zamkowi, stanął nieco z boku, mruknął: „Odsuńcie się”, po czym nacisnął spust.

Odbity od betonowych ścian huk, wizg rykoszetów, brzęk uderzających o podłogę łusek...

Drzwi podskoczyły, niczym potraktowane policyjnym taranem. Galaś złapał za klamkę, otworzył, poświecił latarką. Pomieszczenie: betonowe pudło. Piętnaście metrów kwadratowych. Wielki elektryczny silnik, właściwie rząd zespolonych silników, pęk grubych kabli nikałych w ścianie oraz ogromne stalowe koło zamontowane na całym systemie zębatek... , Następną minutę spędziliśmy niezwykle pracowicie. Ja trzymałem latarkę, a Wieteska z Galasiem, klnąc, złorzecząc i wzywając Pana Boga nadaremno, kręcili stalowym kołem. Mechanizm był rzecz jasna zardzewiały, do przesunięcia było wiele ton betonu i ziemi, ale mimo wszystko udało się rozpocząć mozolny proces zamykania wjazdu do tunelu. Koło zgrzytało, moi przyjaciele klęli, huk na zewnątrz przybrał postać

nieustannego grzmotu. Wyrząłem na zewnątrz. Nie sędzę, by czołowy pojazd był dalej niż o dwieście metrów.

Powietrze rozdarł huk wystrzału.

Działo czołgowe. Tygrys, mógłbym się założyć. Zbyt wielu odgłosów wydawanych przez tygrysie działa nasłuchiłem się niedawno, w czasie powstania, by teraz się pomylić. Potężna osiemdziesięciośmimilimetrowa armata strzelająca dziesięciokilogramowymi pociskami.

Wniosek: nieprzyjaciół dostrzegł zamykanie drogi odwrotu, próbę odcięcia go od bazy, czyli całkowitego przekreślenia możliwości osiągnięcia podstawowego celu operacji, jakim był powrót w czasy macierzyste. Strzela więc, by roztrzaskać niepotrzebną już zasłonę i siłą utorować sobie drogę.

Nie wiem, czy takie na pewno były intencje niemieckiego czołgisty, czy po prostu zabrakło mu zimnej krwi, pocisk bowiem eksplodował w lesie po prawej stronie wjazdu i sporo za nim. Zasłona minęła połowę drogi, prześwit z każdą chwilą się zmniejszał. Huknęło ponownie. Pocisk znowu eksplodował gdzieś w lesie. Kolumna była tak blisko, że naprawdę dziwiłem się tej niestaranności. Po chwili przestałem się dziwić: usłyszałem bliższy niż reszta ryk silnika, po czym ze skargą rozdieranej blachy wpadł do środka niewielki ciemny pojazd. Ledwie zdążyłem uskoczyć, koła przejechały może dziesięć centymetrów od moich stóp. Owionęło mnie ciepło silnika, po czym, nim choćby zdołałem podnieść broń, wóz zniknął mi z oczu.

Zasłona stanęła. Został może trzymetrowy prześwit. Za mało dla czołgu, ale transporter się zmieści. I ludzie oczywiście też.

– Co to było? – dobiegł mnie głos Wieteski.

– Kręć! Nie zatrzymuj się! – wrzasnąłem. Dudnienie silnika obcego pojazdu ucichło. Wóz musiał stanąć. – Oni zaraz tu będą.

Po kilku sekundach znajome zgrzytanie wróciło. Płyta kontynuowała podróż.

Ostrożnie podszedłem do wylotu i wyrząłem na zewnątrz, po czym natychmiast się cofnąłem. W zielonkawym świetle noktowizora prowadzący czołg – rzeczywiście tygrys, bez dwóch zdań – był nie dalej niż o pięćdziesiąt metrów. Lufą celował prosto w zmniejszający się otwór. Za nim powoli wyhamowywała stalowa masa kilkudziesięciu pojazdów.

Nie miałem czasu szczegółowo rozpoznawać składu nieprzyjacielskiej kolumny. Cofnąłem się w pośpiechu, starając się skryć za warstwą betonu. Otwór zmniejszył się do niecałych dwóch metrów.

Można było nim przejść wyłącznie na piechotę.

I rzeczywiście, z zewnątrz poprzez pomruk wielu motorów pracujących na wolnych obrotach usłyszałem wrzask niemieckich komend. Coś się zakotłowało, rozległ się tupot wielu nóg. Z pomieszczenia za stalowymi drzwiami dochodziły przekleństwa i zgrzyt wielkiego koła...

– Padnij! – usłyszałem zza pleców komendę (a może raczej dobrą radę) wykrzyczaną najczystsą polszczyzną. – Na ziemię!

Na wojnie nabiera się różnych nawyków, niekiedy całkowicie zbędnych, niekiedy jednak z gatunku tych, które ratują życie. To był właśnie ten przypadek. Bez namysłu, instynktownie upadłem

na beton, jednocześnie z miejsca, skąd dobiegł głos, rozległ się grzmot serii, struga pocisków przeleciała metr nad moją głową i uderzyła w pierwszą grupę nieprzyjacielskiej piechoty, która właśnie przekroczyła próg tunelu.

6

Wielkokalibrowy karabin maszynowy strzelał długimi seriami, przy wejściu kotłowało się coś zielonkawo, huk wystrzałów szedł w zawody ze świstem kul, nieprzyjaciel, zdaje się, odpowiedział ogniem, ja również strzelałem z pistoletu, wrota zamykały się powoli, ale nieubłagane, miałem wrażenie, że przez nieustanny łomot rozgrywającej się strzelaniny gdzieś z głębi tunelu przebiły się stłumione odgłosy innych serii, zmieniłem magazynek, jakaś zbłąkana kula rykoszetowała tuż obok mnie...

... gdy tunel został całkowicie i definitywnie zamknięty.

Kaem zamilkł, siłą rzeczy nieprzyjaciel również przestał strzelać. Kilkunastu żołnierzy leżało pokotem przy wejściu. Nie ruszali się i wyglądali na martwych; jednak umierający noktowizor w takiej ciemności nie dawał jasnego obrazu, więc stuprocentowej pewności nie miałem.

Tunel wibrował delikatnie, przenosząc drgania ziemi wywoływane przez stojące na zewnątrz pojazdy.

Usłyszałem za sobą delikatny szmer kroków. Cienki snop światła liznął mnie po plecach i pomknął w kierunku zatrzaśniętych wrót.

– Zostań, gdzie jesteś – usłyszałem. Kroki się zbliżyły. – Rzuć broń. Przed siebie.

Posłuchałem tej światłej rady. Jak mi się zdaje, nie był to głos, którego właściciel mógłby żywić wobec mnie wrogie zamiary. Pistolet zaszurał po betonie.

– W porządku, panie podinspektorze – powiedziałem w przestrzeń.

Światło latarki wróciło od wrót do mnie. Ktoś mnie obszukał, po czym klepnął w ramię.

– Możesz wstać.

Podniosłem się. Ciemna postać skierowała światło latarki wprost w moją twarz. Zmrużyłem oczy.

– George Walicki. Jerzy Grobicki. Ładny anagram – powiedziała.

– Podinspektor Tyszkiewicz – odparłem, nie wdając się w polemikę co do mego nazwiska..

Chrząknął. Obok pojawił się jego wysoki towarzysz. Wpatrywał się w ciemność. W sękatach łapskach pewnie dzierżył szturmowego M-4 z podczepioną pod lufą latarką. Stalowe drzwi drgnęły. Lufa karabinu uniosła się nieco ku górze.

– Swoi – powiedziałem. A w stronę drzwi, już znacznie głośniejsze: – Możecie wyjść! W porządku. Odrzwia uchyliły się nieco szerzej, wychynęła zza nich lufa karabinu, po czym ukazał się Wieteska. Po nim wyszedł Galaś, skupiony, czujny, skoncentrowany.

– To moi ludzie – powiedziałem na użytek Tyszkiewicza i Krzeptowskiego.

Lufa M-4 ani drgnęła.

– Niech rzuć broń. – Tyszkiewicz dyszał głośno.

– Rzućcie broń! – krzyknąłem. – To są nasi ludzie.

– Jak nasi, po co mamy rzucać broń? – Wieteska. On zawsze starał się wszystkiego dowiedzieć.

– Na wszelki wypadek – rzuciłem, uprzedzając odpowiedź Tyszkiewicza. – I pośpieszcie się. Nie mamy czasu.

Jakby na potwierdzenie tych słów z głębi tunelu dobiegły gwałtowne serie przechodzące w historyczną strzelaninę. A więc przed minutą rzeczywiście coś słyszałem. Bitwa nie była skończona. Jej zasadniczy etap mieliśmy przed sobą.

Moi serdeczni kumple najwyraźniej rozumowali podobnie. Podwójny trzask upadających na beton karabinów wskazywał, że posłuchali polecenia. Krzeptowski miękko ruszył do przodu.

– W porządku – powiedział po chwili. – To oni.

– Mówiłem – spojrzałem na Tyszkiewicza. Wskazałem za siebie. – Tam jest emiter pola siłowego.

Trzej operatorzy walczą z ochroną. Jeżeli Niemcy się przebiją przez zamknięty wlot, dojadą do mety i przeniosą się w przeszłość z bronią atomową.

– Trzej operatorzy? – zapytał.

– Tylko tylu zostało z tej ósemki, którą pan puścił moim śladem. Sadzę, że na zewnątrz saperzy już zakładają ładunki. Wysadzą wrota... Musimy opanować emiter. Wtedy odzyskamy kontrolę nad sytuacją.

– My? – zapytał.

– Gramy w tej samej drużynie. – Nawet w moich własnych uszach powyższe stwierdzenie nie brzmiało przekonywająco.

Podniósł karabin.

– W humvee jest kobieta z dziećmi – powiedział.

– Kobieta z dziećmi? – zapytałem. Jakieś straszne przeczucie ścisnęło mi serce.

– Nic im nie jest.

Ulga. I strach. Ciekawa mieszanka.

– Był z nimi jeszcze ktoś.

– Kapitan Kurcewicz i dwaj operatorzy. Natknęli się na Niemców. Nie żyją.

Przeczucia zaczęły się spełniać, obawa zamieniła się w pewność. Wojtek Kurcewicz nie żyje. Jedna z głównych postaci w moim życiu. Co czułem? Nie wiem. Chyba byłem zbyt odrętwiały, by w pełni dotarło do mnie znaczenie słów podinspektora.

Co gorsza, miałem przeczucie, że to nie koniec na dziś. Żeby zakończenie tej historii miało sens, żarna przeznaczenia musiały mieć dalej.

– My zajmiemy się resztą – rzucił Tyszkiewicz, nie zwracając uwagi na mój stan ducha. –

Zostaniecie przy samochodzie. – Możemy się przydać – zaprotestowałem.

– O ile się nie mylę, jest pan ranny. Oprócz tego ktoś musi zająć się kobietą i dziećmi.

– Ale my idziemy – powiedział Galaś w imieniu swoim i Wieteski.

Tyszkiewicz się nie wahał.

– Bierzcie broń.

Odwrócił się i pobiegł. Za nim Krzeptowski, Wieteska i Galaś. Po kilku sekundach cała czwórka zniknęła w ciemności, zanurzając się w huk strzelaniny.

Odległa wymiana ognia pomału wygasła. Możliwe, że operatorzy pokonali ochronę emitera i opanowali go. Prawdopodobny był niestety także inny scenariusz: że to ochrona emitera pokonała trzech gromowców i odzyskała kontrolę nad sytuacją.

Przyświecając sobie latarką, którą zostawił mi Tyszkiewicz, podszedłem do martwych żołnierzy leżących u wylotu tunelu. Pokrwawione, roztrzaskane ludzkie szczątki, ubrane w tak dobrze znane mundury Waffen SS. Głębokie hełmy, których nie sposób z niczym pomylić i nie sposób zapomnieć.

Historyczne uzbrojenie. Był rok 2012, a miałem do czynienia z autentycznym oddziałem niemieckim z czasów drugiej wojny światowej, szukającym w tej odległej od macierzystej epoce sposobów rozwiązania problemów swojego kraju i człowieka, który wpłatał ten kraj w nieuchronny kataklizm.

Sądząc po sprzęcie, ci ludzie musieli wyruszyć z końcowego kresu wojny, kiedy wiadomo było, że jest ona już przegrana. Ile fanatyzmu i ślepej wiary, a także pogardy dla śmierci trzeba mieć w sobie, by w tej sytuacji brać udział w takiej misji? Jak mocno trzeba wierzyć?

Surrealizm.

Jednocześnie najlepszy dowód na to, jak chory musiał być umysł, który wpadł na pomysł bojowego zastosowania wehikułu czasu. Okazuje się, że nie tylko my otrzymaliśmy oręż do naprawiania historii.

Wystarczył najmniejszy błąd i zyskali go również ludzie z przeszłości.

Schyliłem się z niejakim trudem i podniosłem z ziemi karabin. Sturmgewehr 44. Zgrabna, poręczna broń. Przodek swojskiego kałasznikowa. Niemcy zaczęli go produkować w '44 roku. Odłożyłem broń – jednoręcznemu nie zda się na nic. Jednego z martwych żołnierzy pozbawiłem za to parabellum i kilku granatów. Wystrzelanego glocka odrzuciłem precz.

Świecąc pod nogi, poszedłem w głąb tunelu. Wiało z niego mroczną grozą, ale panowała cisza. Grupa moich starych przyjaciół i nowych znajomych jeszcze nie doszła do celu. W ciemności zamajaczył niewyraźny kształt. Humvee.

– Rozalko, to ja, Jerzy – zawołałem. – Rozalko!

Tylne drzwi uchyliły się lekko i wyjrzała zza nich przestraszona i umorusana twarz żony Wieteski.

Przypomniła mi się sytuacja niemal równo sprzed pięciu lat, gdy moi żołnierze uratowali ją przed śmiercią w zgłiszczach spalonej wsi Mokra, gdzie toczyliśmy zażarte boje z niemiecką Czwartą Dywizją Pancerną. Wtedy patrzyłem na świat z pewnym niedowierzaniem, ale jednak życie wydawało

mi się dość proste. Tu my, tam oni, wiemy, co dobre, a co złe, ognia ze wszystkich luf, żołnierze. Sporo bym dał, by móc wrócić do dawnej bez troski.

Sporo? To znaczy ile?

Jeżeli trzeba by dać wszystko, dałbym? Ofiarowałbym, co najcenniejsze, by móc wrócić do dawnego życia? Naprawdę?

To była myśl. Wiedziałem, że się od niej nie uwolnię.

– Tak? – zapytała.

– Chłopcy w porządku? – zapytałem, podchodząc.

Światło latarki skierowałem w bok, by nie oślepić dziewczyny i pozwolić jej naocznie stwierdzić, że nie ma do czynienia z mistyfikacją. Po tylu przeżyciach jej nerwy musiały być napięte do ostateczności. Jak to się nazywa? Zespół stresu pourazowego? Jakoś tak. Ładna nazwa.

Termin ten tyczyłby się również mnie, gdyby nie to, że w tym wypadku nie miał żadnego znaczenia, nie odnosi się bowiem do martwych. Czy wkrótce martwych, co na jedno wychodzi.

O ile Rozalka przeżywała stres, była przestraszona i na granicy hysterii, ale po właściwej stronie przytomności umysłu, o tyle obaj chłopcy wpadli w tak głęboki szok, że przestali reagować na bodźce zewnętrzne. Patrzyli niewidzącymi oczyma przed siebie, nie odpowiadali na pytania, kulili się tylko i odwracali głowy, gdy starałem się przywrócić ich świadomości. Machnąłem ręką: fizycznie nic im nie dolegało; na leczenie traumy przyjdzie czas.

Ważniejsze było co innego.

Minęło kilka minut, odkąd Tyszkiewicz i spółka zapuścili się w głąb tunelu, a co najmniej drugie tyle, odkąd po tamtej stronie wjazdu zaparkowała niemiecka grupa bojowa, której celem nie było sterczenie w deszczu i chłodzie, tylko dostanie się do środka i uruchomienie emitera. Całkiem wyraźnie mogłem sobie wyobrazić, jak niemiecki dowódca rozkazuje saperom podłożyć ładunki wybuchowe, jak żołnierze rozciągają kable, jak kolumna w uporządkowany sposób cofa się na bezpieczną odległość, jak do końca kabla jest podłączana elektryczna zapalarka...

Podążanie w głąb podziemi było szaleństwem. Pozostanie na miejscu równało się samobójstwu.

– Rozalko – powiedziałem łagodnie. – Słyszysz mnie?

– Tak – odparła po chwili i spojrzała na mnie tymi swoimi nieprawdopodobnymi oczami, w których Wieteska zakochał się w pół minuty, gdy ujrzał je po raz pierwszy.

– Musimy stąd odjechać. Tu jest bardzo niebezpiecznie.

– A tam? – Machnęła w stronę ciemności.

– Musimy stąd odjechać. Ukryjemy się. Usiądź z tyłu z chłopcami. Samochód jest opancerzony. Gdy będą strzelać, kładź się na podłogę. Rozumiesz? Jak najniżej.

– Rozumiem – odpowiedziała i uśmiechnęła się.

Najwyraźniej wracała jej przytomność umysłu.

Pomogłem jej wsiąść, a sam, nim zająłem miejsce za kierownicą, posykurując z bólu, wymieniałem taśmę w wukaemie. Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć. Takie ciężkie maszynki czasami ratują człowiekowi życie.

Silnik zaskoczył od pierwszego przekręcenia kluczyka. Nie zapalałem reflektorów, opuściłem za to przed oczy noktowizor. Zielonkawy obraz był rozmazany i nieostry, widać bateria w tym przydatnym urządzeniu wyczerpywała się. Jechałem wolno, starając się zwracać uwagę na to, co mam przed sobą, a jednocześnie wsłuchiwać się w ciemność.

Pierwsze ryknęły wrota tunelu. Ładunek musiał być potężny, bo świat zakołysał się jak podczas trzęsienia ziemi. Zdążyliśmy odjechać co najmniej trzysta metrów, mimo to humvee aż podskoczył, pchnięty potężnym podmuchem. Huk był tak mocny, że poczułem się ogłuszony, choć przecież wcześniej mój zmysł słuchu został wielokrotnie zaatakowany i zdążyłem sobie wyrobić coś na kształt reakcji obronnej.

O tył wozu zagrzechotały kawałki betonu i stalowe części konstrukcji; pancierz wytrzymał, wóz zachował sterowność.

Poprzez wygasające echo eksplozji usłyszałem huk silników. Nieprzyjaciół szedł się do sforsowania wjazdu do tunelu, pomyślałem, że w tej łatwej przecież do przewidzenia sytuacji jedyną możliwością ucieczki jest znalezienie odnogi korytarza i zaszywanie się w niej, przyspieszyłem więc, ryzykując wjazd na jakąś barierę czy celowo ustawioną przeszkodę; bałem się przy tym, że któryś z towarzyszy poczęstuje mnie serią, nie bawiąc się w zgadywanki, kto taki depcze mu po piętach; wszystko to połączone z krzykami i płaczem dochodzącym z tyłu samochodu (nic dziwnego, stalowe wnętrza humvee było doskonałym wzmacniaczem dźwięku, pudłem rezonansowym o fantastycznych właściwościach akustycznych, więc eksplozja śmiertelnie wystraszyła moich współpasażerów) nie napawało optymizmem. Przyszło mi do głowy, że nadciągający od pewnego czasu nieuchronny finał rozegra się właśnie tu i tu właśnie przyjdzie mi zapłacić za wszystkie błędy, zaniechania i zwykłą głupotę...

... gdy poprzez znajome hałasy usłyszałem coś jeszcze. Gwałtownie narastający huk wystrzałów, serie dział i działek, gwałtowne ujadanie karabinów maszynowych, warkot silników helikopterów, świst odpalanych rakiet, eksplozje, eksplozje, eksplozje...

... niemiecki oddział walczył o życie, odpierał morderczy atak, skupiał wszystkie siły na obronie...

... być może była to szansa, jedyna szansa, wątpliwa nadzieja na przetrwanie...

... gdy dobiegł mnie, tym razem z przodu, od strony stęchłej i złowieszczej ciemności, odgłos gwałtownej strzelaniny. Nie tylko odgłos zresztą; akcja musiała rozgrywać się blisko, ponieważ dostrzegłem liczne błyski pojedynczych wystrzałów i serii. Tyszkiewicz, Krzeptowski oraz moi kumple wdali się najpewniej w walkę z ochroną emitera.

Zanim podjąłem decyzję, co dalej, o pancierz i przednią szybę zadzwoniły kule. Skręciłem gwałtownie i zatrzymałem wóz. Ciemność rozjaśnił błysk wybuchu granatu. W jego krótkim świetle

dostrzegłem leżących na betonowej podłodze i strzelających gdzieś w ciemność ludzi. Błysk wydobył z mroku potężną, jakże znajomą sylwetkę MDS-u, a wokół niej klęczących, stojących lub leżących kilka umundurowanych postaci.

Noktowizor słabł, mimo wszystko coś widziałem. Widziałem mianowicie, że przeciwnik planuje kontratak. Był liczniejszy, miał przewagę ogniową. Tyszkiewicz i spółka strzelali mierzonym, pojedynczym ogniem lub krótkimi seriami. Tamci polewali z całych magazynków, licząc na statystykę raczej niż na efekty celowania. Pociski rykoszetowały i z gwizdem przelatowały obok mnie, często bębniąc o maskę samochodu.

Ogień moich towarzyszy słabł.

Mając świadomość, że losy toczącej się na górze bitwy są wysoce niepewne i być może części sił niemieckich uda się jednak wśliznąć do podziemi, więc w każdej chwili z mroku może wychynąć opancerzona maska transportera albo, co gorsza, długa lufa tygrysa wspartego plutonem piechoty i że jedyną szansą na uratowanie czegokolwiek jest opanowanie emitera, uruchomienie go i otoczenie tego, co pozostało z oddziału Tyszkiewicza, tarczą pola siłowego, z niejakim trudem przecisnąłem się przez okrągły otwór w dachu humvee, złapałem niepewnie tylce wukaemu, skierowałem lufę w stronę nieprzyjaciela i nacisnąłem spust.

Odrzut broni wstrząsnął mną od stóp do głów. Ostra igła bólu przeszła ciało od rany na lewym przedramieniu aż do serca. Na chwilę zdjąłem dłonie z tyłców broni, walcząc z kolorową mgłą przed oczyma. Gdy ponownie otworzyłem ogień, ciemność w wielu miejscach rozbłyskiwała ognikami strzałów. Starąłem się gasić te płomyki, likwidować jeden za drugim, zasypywać każde nieprzyjacielskie stanowisko lawiną przeciwpancernych pocisków.

Nie wiem, ile to trwało. Być może poza mną już nikt nie strzelał. Być może tamci chcieli się poddać. Nie miałem nad tym żadnej kontroli. W pewnym momencie po prostu skończyła się amunicja, karabin zamilkł, cisza aż dzwoniła w uszach, właściwie nie cisza, tylko lepki półmrok wypełniony dochodzącymi z zewnątrz dudniącymi odgłosami wielkiej bitwy ...

... nie miałem oczywiście pojęcia, że na plac boju przybyły wezwane przez Tyszkiewicza posiłki, piechota nieco przed celem wysypała się z rosomaków i biegnąc co tchu przez las, domknęła pierścień okrążenia, na dany ze śmigłowca znak uderzono jednocześnie z lądu i powietrza, starannie wybierając cele, by nie dopuścić do przypadkowego trafienia jednej z atomowych rakiet, leopardy stłoczone na wąskiej leśnej drodze mogły atakować tylko w wysoce niekorzystny sposób, mianowicie jadąc jeden za drugim, w związku z czym zaangażowany w walkę mógł być tylko jeden czołg; ale i tak jego studwudziestomilimetrowa armata siała spustoszenie wśród pozostałych na chodzie dział szturmowych. Główne zadanie przypadło jednak piechocie i tym sekcjom polskich i amerykańskich sił specjalnych, którym udało się przeżyć rosyjsko-niemieckie starcie i przybyć na plac boju. W ruch poszły granatniki przeciwpancerne RPG-7 i carl gustaf, broń na krótkich dystansach dla czołgów zabójcza. Niemcy bronili się zaciekle i umiejętnie, odcieci od podziemi plutonem polskiej piechoty.

Niemiecki dowódca szybko zorientował się w sytuacji, nakazał bowiem odpierać atak, ale przede wszystkim szturmować wejście; czołowy tygrys został jednak trafiony kilkoma pociskami przeciwpancernymi i zablokował wlot do tunelu niemal całkowicie. Nie było ani czasu, ani środków, by go odholować, resztki grenadierów pancernych, artylerzystów, saperów i czołgistów broniły się rozpaczliwie; w ten kocioł wpadł generał major Andriej Kazakowcew z czternastoma ludźmi. Jego transporter dostał serię z rosomaka i zapalił się. Poparzonych i rannych żołnierzy wyciągnięto z płonącego wraku niemal w ostatniej chwili. Kazakowcew zmarł w drodze do szpitala, zabierając tajemnice operacji „Jutrzenka” do grobu. Po dwóch kwadransach krwawej jatki reszta oddziału, złożona z siedemdziesięciu Niemców z Obersturmbannführerem Otto Skorzenym na czele, w większości rannych i kontuzjowanych, oddała się do niewoli. Balistyczne rakiety M1 Topol zdobyto w nieuszkodzonym stanie, w związku z czym polski rząd stanął przed koniecznością ustosunkowania się do faktu, że dołączył do ekskluzywnego grona mocarstw atomowych. Problem dotyczył także jeńców: choć formalnie byli obywatelami Niemiec, a więc przyjaznego sąsiada pozostającego z Polską w jednym sojuszu militarnym oraz dobrowolnym zrzeszeniu państw europejskich, wyznawali jednak narodowosocjalistyczne poglądy i niezłomnie wierzyli w geniusz przywództwa Adolfa Hitlera. W kilka minut po zakończeniu walki zjawił się zastępca generała Littella pułkownik Hartnett i gromkim głosem domagał się od Dreszera natychmiastowego opanowania podziemi w celu odzyskania własności rządu amerykańskiego, jakim niewątpliwie był MDS...

To wszystko działo się na górze, poza moją percepcją.

Opuściłem stanowisko bojowe, wygramoliłem się z wozu i zataczając się, poszedłem przed siebie, trzymając w garści parabellum. Po kilkunastu krokach potknąłem się o leżące na betonie poharatane kulami ciało.

Wieteska. Zaraz obok Galaś, z niemal urwaną przez wybuch granatu głową.

Szczerze powiem, sądziłem, że moja reakcja będzie inna: żal, rozpacz, poczucie straty, wściekłość...

Tyle przeżytych lat, akcji, ciągłych niebezpieczeństw... Poczucie, że zawsze mogę na nich polegać. Oto dwaj przyjaciele dołączają do kapitana Kurcewicza. Czy hurtową stratę łatwiej opłakiwać? Czy raczej ogrom klęski i nieszczęścia jest już tak wielki, że świadomość stara się nie dopuszczać do siebie faktów? Relatywizować je.

Możliwe. Złapałem się na tym, że jestem pochłonięty nie roztrząsaniem straty, ale możliwą reakcją Rozalki, szczegółami opieki nad chłopcami...

... i wtedy, w nagłym przebieśnięciu zrozumienia, wszystko stało się jasne. Śmierć jest ułatwieniem. Ich śmierć.

Moja śmierć.

Jest przepustką do nowego życia. Banalne, ale w tym wypadku pasowało jak ulał.

Poszedłem dalej.

Wokół MDS-u beton opalizował krwawo, rdzawe plamy sięgały nawet burty potężnej ciężarówki. W mdłym świetle latarki naliczyłem kilkanaście zwłok w maskujących panterkach SS. Jedna z twarzy wydała mi się znajoma; gdybym się głębiej zastanowił, przypomniałbym sobie Hauptsturmführera Spilker, przebiegłego, inteligentnego gestapowca, do którego strzelałem w czasie powstania warszawskiego i który mi umknął. Teraz w końcu dosięgła go sprawiedliwość; czy była to kula wystrzelona z mojej broni, nie miało już żadnego znaczenia.

Chwiejnie wróciłem do samochodu i pomogłem wysiąść Rozalce. Wziąłem na ręce drżącego i płaczącego Johnyego i wróciłem do MDS-u.

– A Janek? – zapytała Rozalka.

– Jeszcze dzisiaj go zobaczysz. Obiecuję ci.

Zrozumiała. Po jej twarzy, brudnej i umorusanej, płynęły łzy.

Odgłosy bitwy wygasły. Zostało mi bardzo mało czasu. Niemal na ślepo wymacałem klamkę, otworzyłem ciężkie drzwi i znalazłem się wewnątrz centrum operacyjnego zwanego Mobile Defence System.

Uruchomiłem komputer. Podstawa kopuły pola siłowego była nastawiona na minimum. Włączałem kolejne aplikacje, odtwarzając z pamięci sekwencje ruchów, które pięć lat temu wykonywał jeden z techników z obsługi systemu.

Na zewnątrz coś się poruszyło. Ciemna sylwetka chwiejnie wstała. Podniosłem się z fotela i wyszedłem.

Tyszkiewicz był ranny w rękę, ale chyba niezbyt poważnie, bo patrzył na mnie całkowicie przytomnym wzrokiem. Rozglądał się za karabinem, ale nie dałem mu szans. Podniosłem parabellum na wysokość oczu. Zauważył ten gest. Znieruchomiał.

– Robię, co muszę – powiedziałem. Głos miałem schrypnięty i słaby.

– Wiedział pan, że siedzę wam na ogonie? – W jego głosie nie było ciekawości. Jakby stwierdzenie faktu.

– Po zatrzymaniu nie wziął pan od nas nawet odcisków palców, nie ścigał za zabójstwo policjanta, za to zamontował w naszym samochodzie monitoring.

– Znalazł pan?

– Owszem. Znalazłem.

– Ale przecież zmienił pan samochód.

– Miałem dwa urządzenia namierzające. Jedno pańskie, a drugie...

– Naszych przyjaciół. Tych, którzy porwali syna.

– Tak właśnie założyłem. Gdy zmieniłem samochód, chciałem uwolnić się od nich, natomiast pan miał dalej podążać moim tropem.

– Domyślał się pan?

– W pewnej mierze. Nie znałem oczywiście szczegółów. Ale wiedziałem, że już od Stanów jesteście śledzeni. Wpadłem na to, że chcecie za jednym zamachem odzyskać emiter...

Skinął głową.

– ... i zlikwidować rosyjską siatkę wywiadowczą.

– To nie była zwykła siatka – powiedział.

Bitwa na górze wygasła. W każdej chwili należało spodziewać się gości.

– Jeżeli mi pan powie, i tak nie będę miał szans nikomu...

– Spisek wewnątrz GRU. Restytucja stalinizmu za pomocą broni atomowej.

– W przeszłości?

– Prawdopodobnie mieli zamiar wylądować w '41 roku i wprowadzić w życie plan podboju Europy. Plan leżał w archiwach blisko siedemdziesiąt lat, został uruchomiony przez pewną grupę wewnątrz GRU w kilka miesięcy po waszym zniknięciu w 2007.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Amerykanie byli zmuszeni z nami współpracować i powiedzieli coś niecoś. Do CIA zgłosił się oficer GRU, który wpadł na ślad spisku wewnątrz swojej organizacji. Miał zapewne akceptację Kremla.

– A więc mamy do czynienia ze złymi Rosjanami i dobrymi Rosjanami.

– Jak zawsze nic nie jest białe lub czarne.

– Ostra gra. A Niemcy?

– Drugi emiter został wysłany z misją ratunkową w miesiąc po waszym zniknięciu. Być może zablądził, być może uległ awarii. Nie wiem. Został przejęty przez SS i wysłany wraz z ekipą w tym samym celu, w jakim zjawili się Rosjanie.

– Jasne. Muszę się zbierać.

– Nie bardzo wiem, co mam powiedzieć Amerykanom.

– Prawdę. Sterroryzowałem pana bronią i odfrunąłem w nieznanym kierunku.

Ponownie skinął głową, jakby ta dziecinna bajeczka wystarczała za całą argumentację. Może się domyślał, że jeżeli dobrze całą sprawę rozegram, jutro rano nie będzie potrzebował żadnej argumentacji, nie będzie bowiem problemu Amerykanów, MDS-u, broni masowego rażenia i spisków wewnątrz GRU.

Cały czas trzymając go na muszce (a właściwie jego i Krzeptowskiego, który w trakcie rozmowy wyłonił się z cienia i w milczeniu przysłuchiwał rozmowie), cofnąłem się, wszedłem do wnętrza wozu i zatrzęsnałem za sobą drzwi. Przez okno dostrzegłem, że obaj policjanci nie wykonują żadnego ruchu, za ich plecami natomiast robi się coraz jaśniej od licznych latarek, a może światel samochodu.

Usiadłem w fotelu głównego operatora, wywołałem właściwą aplikację i kilkakrotnie kliknąłem myszką.

Ciało przeszło znajome drżenie. Wóz oddzielił się od świata mocną barierą pola siłowego. Teraz nie musiałem się już spieszyć. Z zaciekawieniem obserwowałem gęstniejący na zewnątrz tłum ludzi w polskich i amerykańskich mundurach, gestykulujących, wygrażających, ale wyglądających na

całkowicie bezradnych. Gdzieś w tłumie mignęła twarz generała Dreszera, ale nie zwracałem na to uwagi. Poprosiłem Rozalkę o pomoc, wyjąłem z kieszeni ostatnią już strzykawkę, bez przykrości odnotowałem ukłucie nieco w bok od brody i świat przejaśniał, choć efekt działania adrenalinowej szczepionki nie był nawet w połowie tak dobry jak poprzednio. Mogłem się jednak skupić i to było w tej chwili najważniejsze.

Ustawiłem w komputerze datę lądowania, włączyłem program regulujący moc zasilania czerpaną z ukrytego w głębi trzewi MDS-u reaktora atomowego, spojrzałem Rozalce głęboko w oczy, rzuciłem okiem na dwóch skulonych pod ścianą małych chłopców, po czym energicznym ruchem wcisnąłem klawisz „enter”.

7

30 sierpnia 2007, droga miasteczko L.

– To byłaś ty, prawda? – zapytałem.

Silnik humvee mruczał usypiająco, ciemna wstęga szosy zamazywała się przed oczami. Jechaliśmy czwartą godzinę i niedługo powinniśmy się znaleźć na miejscu. Zastanawiałem się, czy dotrwam. Całe moje życie wisiało tylko na tej jednej myśli: wytrzymać jeszcze kilka godzin. Przekazać pałeczkę. Dać wybór.

I zakończyć działalność.

Po wylądowaniu zadziwiająco szybko wróciłem do przytomności. Nim Rozalka i chłopcy zdążyli stanąć na nogi, uruchomiłem samochód, zdemontowałem z dachu karabin maszynowy, odnalazłem kilka skrzyń z materiałami wybuchowymi, detonatory, kilkaset metrów kabla elektrycznego oraz zapalarkę, przepchnąłem skrzynie pod MDS i uzbroiłem zapalniki, a także umieściłem w samochodzie bęben z kablem. Gdy już wszyscy zajęli miejsca, ruszyłem powoli tak dobrze znanym, choć nienoszącym śladów walk korytarzem. Kabel rozwijał się powoli, aż w końcu dojechaliśmy do wrót.

Zgodnie z oczekiwaniami generatora nie dało się uruchomić, musieliśmy otworzyć wrota ręcznie.

Omal przy tym nie umarłem, mam wrażenie, że pod koniec operacji kołem kręciła głównie Rozalka. W końcu udało się uchylić wrota na tyle by można było wyjechać samochodem. Zanim podłączyłem zapalarkę do kabla, musiałem długo odpoczywać. W końcu zdjąłem z drutów izolację, zacisnąłem sprężyny, przekręciłem niewielką rączkę...

... huk był stłumiony, basowy, daleki. Po minucie z tunelu zaczął wydobywać się gęsty dym, a mnie przemknęła przez głowę myśl, że zrobiłem mały krok w stronę normalności. MDS ostatecznie wylądował na śmietniku historii – tam, gdzie jego miejsce.

Samochód ruszył na południowy zachód. Prowadziłem ostrożnie, nie przekraczając dozwolonej prędkości, mając świadomość, że wóz, postrzelany, z odartym boki i uszkodzonymi szybami bardzo rzuca się w oczy.

No cóż, mieliśmy szczęście i nie spotkaliśmy policji. Nie zatrzymywaliśmy się – było dość ropy w baku, by dojechać, zresztą poza przeznaczonymi na inny cel dwustoma dolarami tkwiącymi w jednej z kieszeni nie mieliśmy pieniędzy. Cały nasz majątek pozostał w roku 2012. Liczne spoczywające w portfelu karty płatnicze i kredytowe były warte mniej więcej tyle, ile plastik, z którego je wyprodukowano.

Tak, to zdecydowanie był nowy rozdział życia.

Rozalka spojrzała na mnie smutno.

– Wiedziałeś?

– Prawie od początku – odparłem. – To stało się tuż przed wyjazdem, kiedy przyszedł do domu taka zapłakana, prawda? I taka...

– Pijana – powiedziała. Po policzkach płynęły łzy.

– Byłaś bardzo nieszczęśliwa. Nie chciałaś wyjeżdżać. Poszedł do baru. Tam przysiadł się do ciebie mężczyzna. Był czarujący i pełen zrozumienia. Chętnie słuchał o twoich problemach. Stawiał alkohol...

Przytaknęła.

– Był naprawdę bardzo miły. Chciał pomóc. Nie mogłam wytrzymać. Musiałam się komuś wyżalić.

– Przecież Janek mówił ci, że absolutnie nie możemy nikomu zdradzić, kim jesteśmy i co mamy zamiar zrobić.

Ponownie przytaknęła. Łzy spływały po policzku.

– Chyba w pewnym momencie przestałam wiedzieć, co mówię. Za dużo wypiałam...

– Jasne. – Jakbym czytał podręcznik werbunku. Klasyczna, perfekcyjnie przeprowadzona operacja.

– Bałam się. Cały czas się boję. – Otarła policzek wierzchem dłoni, ale to nic nie pomogło. – Nie znam tych czasów. Nie wiem, czy uda mi się w nich żyć. Zwłaszcza że Janek...

– Powiedziałem ci. – Musiałem bardzo się skupić, by utrzymać samochód na drodze.

Dochodziła północ. Powietrze było cudownie czyste. Po rozgwieżdżonej, upalnej nocy zapowiadał się piękny letni dzień. Dzień nowego życia.

– Spotkasz go dziś. Będzie ten sam. Choć nie taki sam. I nie musisz mu niczego opowiadać. Masz czystą kartę.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem. Czy sobie z tym poradzę.

Ciekawe, co miała na myśli.

Nowego Wieteskę? Czy wyrzuty sumienia z powodu zdradzenia sowieckiemu agentowi daty naszego przylotu, co zapoczątkowało łańcuch usianych dziesiątkami ofiar wydarzeń i o mało nie

doprowadziło do ogólnoświatowego kataklizmu? Czy w końcu rzeczywistą możliwość ułożenia sobie życia, bez popełniania starych błędów?

Końcówkę podróży słabo pamiętam. Wiem, że dojechaliśmy do miasteczka L., w którym się wszystko zaczęło i, miałem nadzieję, wszystko również się zakończy. Przed miastem był motel, który znałem sprzed pięciu lat. Nie oferował luksusu, ale był czysty, a do właściciela można było mieć zaufanie.

Wynająłem Rozalce i dzieciom pokój na trzy dni, płacąc równo dwieście dolarów. Wyemitowano je w 2006 roku, nie narażałem się więc na niemądre pytania.

Długo trzymałem w ramionach śpiącego Johny ego. Pożegnałem się z Rozalką, a potem ruszyłem w drogę.

Do celu dotarłem na piechotę, bowiem kilometr wcześniej w humvee skończyło się paliwo. Wyłącznie siłą woli dowlókłem się pod trzypiętrowy blok, ignorując stary domofon, szarpnąłem za uchwyt drzwi, zamek puścił z nieprzyjemnym trzaskiem, w ciemności wszedłem na drugie piętro, przez chwilę stałem, bez powodzenia starając się uspokoić oddech, po czym nacisnąłem przycisk dzwonka przy drzwiach znajdujących się po lewej stronie.

ALTERNATYWA

1

Noc z 30 na 31 sierpnia 2007, miasteczko L.

Ta cholerna bezsenność.

Już drugą godzinę przewracałem się z boku na bok i sen nie nadchodził. Może tak bywa w momentach przełomowych. Może prawdziwy mężczyzna boi się konsekwencji swoich decyzji. W każdym razie – rozważa skutki. Kalkuluje koszty. Bierze pod uwagę ryzyko porażki.

Jestem prawdziwym mężczyzną. Właśnie koszty miałem na myśli, mówiąc o strachu przed konsekwencjami.

Przez niemal całe dorosłe życie byłem związany z wojskiem. Nie żeby pociągała mnie kariera. Raczej potrzeba ruchu, dynamika zdarzeń, poczucie sensownego działania. Szybko mi przeszło. Praktyka okazała się inna. Szkoda czasu na opisywanie rutyny dnia codziennego w jednostce wojskowej – wygląda jeszcze gorzej, niż to się czasami ogląda w telewizji bądź czyta w prasie.

Od dłuższego czasu tkwiłem w tej astralnej konstelacji wyłącznie siłą przyzwyczajenia. Kilkakrotnie podejmowałem decyzję o rezygnacji i w ostatniej chwili się wycofywałem. Byłem potem na siebie wściekły przez wiele dni. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego nie mogę się zdecydować, choć już dawno wyczerpałem ostatnie rezerwy motywacji.

Może po prostu się bałem.

Życie po cywilnej stronie rzeczywistości miało dla mnie właściwie tylko jeden aspekt. Nazywał się Nancy Whitman ten aspekt. Odkąd się rozstaliśmy, minęło ponad siedemnaście lat. To było tak dawno, że miałem prawo zapomnieć nie tylko szczegóły, ale także rzeczy ważne; nie zapomniałem ani jednego ani drugiego. Miałem od tamtego czasu wiele kobiet. Kilka z nich być może nawet kochałem.

Ale tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Gdy przypominałem sobie ten szelmowski uśmiech, to spojrzenie błękitno–szmaragdowo–turkusowych oczu, wiatr wyczyniający z tą krótko przyciętą fryzurą najdziksze ewolucje –zawsze wydawało mi się, że życie poza tym nie ma specjalnie sensu. Stąd wojsko; na krótką metę nie najgorsza maszyna do zapominania.

Ale w końcu, po tylu latach, doszedłem do wniosku, że tak dłużej się nie da. Nie da się udawać, że to, co robię, ma sens. Prawdopodobnie moja choroba uległa zaleczeniu. Historia młodości – zatarciu.

Uczucia – wyparowaniu.

Dymisja i rozpoczęcie wszystkiego na nowo. Oto cel na najbliższy ranek.

Mam trzydzieści sześć lat. Nie jestem takim znowu zgrzybiałym starcem. Może jeszcze zdążę. Może jeszcze nie jest za późno.

Możliwe, że jednak zdrzemnąłem się nieco, bo pukanie dotarło do mnie dopiero po dłuższej chwili.

Oprzytomniałem. Na zewnątrz panowała rozgwieżdżona ciemność. Zegarek pokazywał, że jest za piętnaście druga nad ranem. O tej porze nie miewałem gości. W każdym razie takich, którzy nie zwiastowaliby kłopotów. Jeżeli w jednostce następował alarm, niezapowiedziane ćwiczenia albo jeszcze jakiś inny przejaw gorliwości kadry dowódczej, wzywano mnie przez telefon. W dobie łączności komórkowej taki system był wystarczający.

Ktoś jednak po staroświecku dobijał się do drzwi, i to coraz natarczywiej.

Klnąc pod nosem, wstałem i ruszyłem w stronę przedpokoju. Uderzyłem biodrem o kant stołu; już dawno sobie obiecałem, że pozbędę się tego niepraktycznego i pokracznego klamota. Rozcierając bolące miejsce, dotarłem do drzwi. Wyrząłem przez wizjer. Na klatce było ciemno. Ale wiedziałem, że ktoś tam jest. Fizycznie wyczuwałem czyjąś obecność.

– Kto tam? – zapytałem.

Jeżeli to jacyś bandyci, może zorientują się po głosie, że nie warto ze mną zadzierać. Aż się zaśmiałem, gdy usłyszałem odpowiedź. Ktoś idealnie naśladował mój głos.

Koledzy!

Zapaliłem kinkiet, trzasnąłem zamkiem i otworzyłem drzwi. Ktoś dorównujący mi wzrostem postąpił o krok i wszedł w krąg światła. Ochota do żartów minęła jak ręką odjął. Z najwyższym trudem powstrzymałem się od głośnego okrzyku.

– Może zamknąłbyś drzwi? Chyba nie chcemy przyprawić sąsiadów o zawał? – usłyszałem.

Siedziałem na tapczanie i mrugałem oczami. Obraz, choć wyraźny i ostry, zdawał się falować. Patrzyłem na faceta stojącego pośrodku pokoju i byłem pewien, że postradałem zmysły. Myśli rozbiegły się we wszystkie strony jak oszalałe ze strachu wróble gonione przez jastrzębia.

– Jedno z dwojga – powiedziałem w końcu. – Albo należysz do snu, albo mam brata bliźniaka, o którym nic nie wiem. Innych możliwości nie widzę. Ostatnią kreskę wciągnąłem jakiś czas temu, a alkohol nigdy nie powoduje u mnie aż takich skutków.

Przybysz patrzył na mnie z uwagą. Twarz: postarzała, szara i spocona. Lewa ręka, zawieszona na byle jakim temblaku, owinięta brudnym, przesiąkniętym krwią bandażem. Czarny kombinezon pokrwawiony, poszarpany, umazany gliną. Od faceta śmierdziało krwią, prochem i śmiercią.

Co gorsza, głowę bym dał, że to byłem ja. A zatem zwariowałem.

– Nie każę ci zgadywać. Masz za mało danych. Jeśli myślisz, że jestem tobą, masz rację. Jestem. Starszym o pięć lat.

Wiedziałem, czułem, byłem pewien, że mówi prawdę. Widziałem go przecież. Jednak to musiał być sen. Takie rzeczy się nie zdarzają.

– Przecież to niemożliwe – powiedziałem. – Nie możesz być mną, bo ja jestem sobą. Nie może nas być dwóch naraz.

– Teoretycznie nie. Ale przecież tu jestem, całkowicie realny. Pozwolisz, że usiądę?

Zmiana tematu była tak niespodziewana, że w pierwszej chwili nie zareagowałem. Przybysz automatycznym ruchem, jakby znał to pomieszczenie od wielu lat, sięgnął po stojące przy stole krzesło. Obrócił je i usiadł. Może to złudzenie, ale miałem wrażenie, że odkąd tu wszedł parę minut temu, pobladł jeszcze bardziej. Naprawdę wyglądał na chorego.

– Jesteś mną? – Dopiero gdy wypowiedziałem to pytanie na głos, zdałem sobie sprawę, jak idiotycznie brzmi. – Jerzym Grobickim?

– Urodzonym 2 grudnia 1971 roku. Zawodowym oficerem Wojska Polskiego w randze majora, choć to się niebawem zmieni. Podać ci numer legitymacji wojskowej?

– Podać – powiedziałem odruchowo, po czym, nim zdążył odpowiedzieć na pytanie, dodałem: – Albo nie, nie odpowiadaj. Powiedz mi lepiej, co robisz w moim życiu.

– Próbuję je ratować – odparł i zamknął na chwilę oczy. Krople potu zalśniły w mdłym świetle żarówki.

– Ciekawe. – Byłem zdziwiony, że dałem się wciągnąć w tę idiotyczną rozmowę. Powinienem tego kogoś wywalić kopniakiem za drzwi. Albo zadzwonić po pogotowie. – Nie mam wrażenia, żeby moje życie było zagrożone. Owszem, może jest trochę nudne i stresujące, ale nie wymaga...

– Mamy sporo rzeczy do obgadania. A czasu mało. – Otworzył oczy i patrzył na mnie uważnie. Wyglądał, jakby nie słyszał moich ostatnich wynurzeń. – Mam nadzieję, że nie sprzedajesz focusa?

– Skąd...? – Pokręciłem głową.

Skąd facet wie, że mam starego ford focusa, którego zamierzałem już pięć razy sprzedać? Wie. Po prostu pamięta.

– A więc masz. Proponuję, żebyśmy pogadali po drodze.

– Nigdzie się nie wybieram.

Wstałem gwałtownie.

Zaczynałem mieć naprawdę dość. Moje poczucie humoru nie zawsze działa na najwyższych obrotach; w niektórych sytuacjach osiąga poziom zerowy.

– Nie wiem, co robisz w moim życiu. Może rzeczywiście doznałem rozdwojenia jaźni i widzę siebie samego starszego o pięć lat. Źle spałem, jest upał, a zawsze się nie najlepiej czuję, gdy jest za gorąco...

– Po prostu zejdźmy do samochodu.

Również wstał.

Byliśmy identycznego wzrostu. Identycznej budowy. I mieliśmy jednakowe szaleństwo w oczach.

– Nie.

– A jednak pójdziemy.

Rozchylił połę kurtki i wyciągnął pistolet.

Parabellum, o ile mnie wzrok nie mylił. Piękny okaz. Pomyślałem, że jestem ostatnim idiotą, mój prywatny heckler & koch USP leżał spokojnie pod poduszką, a regulaminowa broń, wysłużony wist, spoczywała na dnie szafy, przywalona kilkoma warstwami ubrań. Kawalerskie gospodarstwo, psiakrew!

– Chcesz użyć broni? – zapytałem.

– Tylko jeśli będę musiał.

To była najbardziej stanowcza deklaracja, jaką usłyszałem tej szalonej nocy. Uwierzyłem mu. I nie miało znaczenia, że ewentualna strzelanina ściągnie wścibskich sąsiadów. Mój gość zdawał się nie zwracać uwagi na tego typu drobne niedogodności.

Po prostu wiedziałem, że jest w stanie mnie zmusić. Znałem się przecież.

Niespiesznie się ubrałem, kombinując, czy nie sięgnąć głębiej i nie wyciągnąć wista. Jednak nim doszedłem do bardziej konkretnych wniosków, mój nocny gość podszedł, odsunął mnie lekko łufą pistoletu, sięgnął głęboko i wist załśnił metalicznie w jego ręku. Po krótkiej chwili USP powiększył ten już i tak spory, wzięwszy od uwagę kontekst sytuacji, arsenał. Oba pistolety zniknęły w niewielkiej torbie, którą przybysz miał przewieszoną przez ramię.

Włożyłem kurtkę, zaciągnąłem suwak i spojrzałem na niego pytająco. – Idziemy – powiedział.

Było jak w amerykańskim filmie: ja prowadziłem, a on siedział z lufą przytkniętą do oparcia siedzenia na wysokości odcinka lędźwiowego mojego kręgosłupa. Tak szczerze: nie widziałem tej lufy, ale zakładałem, że tam jest, oparta o szorstki materiał pokrywający siedzenie i gotowa do akcji, podobnie jak gotów do akcji był przybysz.

Pusto; tak zwykle bywa w prowincjonalnym miasteczku o drugiej nad ranem. Latarnie oświetlały ulice i fasady domów, ja natomiast ciągle nie mogłem się obudzić z tego surrealistycznego majaku.

Szczypanie nie miało tu nic do rzeczy. Takie starożytne metody rodem z poradników naszych babek nie pomagają na paranoję.

– Jedź w stronę Leśna – dobiegł mnie jego głos.

Może miałem omamy, ale wydawało mi się, że nieco słabszy niż przed kwadrantem. Może sobie tylko wmawiałem, że gość słabł. Że słabłem.

– A co jest w Leśnie?

– Na razie jedź. Okaże się na miejscu.

– Uwielbiasz tajemnice, co?

– Już nie – odparł.

Tym razem wątpliwości nie było: rezygnację dało się rozpoznać z odległości kilometra.

Wyjechałem poza miasto. Droga była ciemna i kręta, więc nie rozwijałem jakiegś nadmiernej prędkości. Nigdzie mi się, szczerze mówiąc, nie spieszyło.

– Czyli uwielbiałeś, ale już nie... – kontynuowałem najbardziej dobrotliwym z tonów.

– Za kilka godzin spotkasz Nancy.

– ... uwielbiasz – dokończyłem z rozpędu. Musiałem odczekać kilka długich chwil, nim dotarło do mnie, co powiedział. – Nancy? Nancy Whitman?

– Teraz nazywa się Sanchez. Po mężu.

Kolejna bomba. To się nazywa rozwój wydarzeń na wciśniętym do dechy pedale gazu. – Nie żartuj na ten temat. To prehistoria...

– Może byłbyś łaskaw ruszyć tym swoim leniwym mózgiem, co? Po prostu słuchaj i wyciągaj wnioski.

– Nie mogę ci wierzyć. Nie jesteś prawdą.

– Ocknij się, do cholery. Zrobisz ze swoim zasranym życiem, co będziesz uważał za stosowne. Chcę ci powiedzieć, co ja z nim zrobiłem. A ty wybierzesz.

Już chciałem protestować. Zaprzeczyć. Wybić go z misjonarskich zapędów. Ale powstrzymałem się. W jego głosie usłyszałem nuty, których nie znałem. Były dla mnie nowością. Były wręcz obce mojej naturze.

– Słucham – powiedziałem po chwili.

– Będzie stała na czele specjalnego oddziału amerykańskiej piechoty morskiej.

– Nancy? – Aż się odwróciłem. Jego oczy błyszczały w ciemności. Moje zapewne też. – Nancy

Whitman? Żołnierzem?

– Sanchez, mówiłem ci. Żołnierzem, i to nietuzinkowym. Jej dowództwo ma do niej takie zaufanie, że powierzyło jej ochronę pewnego ściśle tajnego eksperymentu. Na dodatek mającego mieć zastosowanie w warunkach bojowych.

– W warunkach bojowych w Polsce? – Uśmiechnąłem się.

Coraz bardziej przyzwyczajałem się do tej idiotycznej sytuacji. I coraz pewniej się czułem podczas tej idiotycznej rozmowy.

– W Afganistanie – odparł.

– Do którego, jak wiadomo, najkrótsza droga prowadzi przez Polskę.

– Za kilka tygodni Polska wyśle do Afganistanu uderzeniową jednostkę wojskową. W jej skład wejdzie oddział dowodzony przez Nancy.

– Amerykanie podporządkowani Polakom? Musisz zmienić rodzaj narkotyków. Te, których używasz, ci szkodzą.

– Ta polska jednostka będzie pierwszym w Afganistanie oddziałem wyposażonym w czołgi, ciężką artylerię i tak dalej. Będzie prowadziła działania znacznie bardziej zbliżone do klasycznej operacji wojskowej niż te asymetryczne bzdury, w które bawią się Amerykanie. Talibowie bardzo się doznobili. A Amerykanie wolą eksperymentować na cudzej skórze niż na swojej.

– To mnie nie dziwi. I jest szalenie ciekawe, naprawdę. Tylko powiedz mi, co ja mam z tym wspólnego.

– Odbierzesz Nancy wraz z jej ludźmi z lotniska, a potem Dreszer zrobi cię dowódcą tej jednostki. Bardzo ładnie się zresztą nazywa: Pierwszy Samodzielny Batalion Rozpoznawczy.

– O kurwa – westchnąłem. I na tym na razie moja pogłębiona refleksja się zakończyła.

Może tak bywa, gdy ktoś opowiada ci o twoim życiu rzeczy, o których nie masz zielonego pojęcia. Czujesz, że mogą być prawdą, intuicja podpowiada, że być może rzeczywiście się wydarzą, czemu nie, jednak rozum się broni. Nie istnieją żadni przybysze z przyszłości, nawet jeżeli wydają, mówią i zachowują się tak jak ty, nawet jeżeli ich wiedza jest równa twojej. Ba! Większa od twojej.

– Chyba czegoś nie wiesz – powiedziałem po naprawdę długim namyśle.

Silnik szumiał miarowo, stary focus sprawnie połykał kilometry, do Leśna zostało piętnaście minut drogi.

– Wiem. Zamierzasz złożyć dymisję. Ale gdy zobaczysz Nancy, a Dreszer cię awansuje i da dowództwo batalionu, zmienisz zdanie.

– Nie... – Pokręciłem głową, po czym się zatrzymałem.

Co będzie, jeśli rzeczywiście zobaczę Nancy? Co się wydarzy, gdy stanie przede mną z rozwianymi blond włosami, spojrzy na mnie tymi swoimi nieprawdopodobnymi oczami i zapyta: „To jak, Dżazi, podobno mamy razem walczyć?” Odpowiem: „Nie, moja ty dawna miłości, ponieważ właśnie podjąłem decyzję, że odchodzę z wojska”?

He, he.

– Zmienisz zdanie i przyjmiesz dowództwo. Nancy i jej oddział będą ci podporządkowani. Będziesz miał nadzieję, że ją odzyskasz, a przy okazji nareszcie powojujesz sobie za wszystkie czasy.

– To może mieć sens – zgodziłem się nieoczekiwanie. – Gdyby było prawdą.

– Nie musisz mi wierzyć na słowo. Za parę godzin się przekonasz.

Oczywiście. Nie ma jak empiria.

– No dobrze. Nie wiem, skąd się wziąłeś i co tutaj robisz. Rzeczywiście za parę godzin będę wiedział, czy zmyślasz, czy mówisz prawdę. Ale możesz mi łaskawie powiedzieć, czego ode mnie chcesz?

Tym razem to on nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Gdy się w końcu odezwał, głos był tak cichy, że musiałem wytężyć wszystkie siły, by go usłyszeć.

– Musisz posłuchać bardzo uważnie. MDS. Mobile Defence System. Maszyna do diabelskiej kreacji rzeczywistości. Ona stanie się przyczyną wszystkich twoich kłopotów. Albo jeżeli spojrzysz na to odpowiednio, gigantyczną szansą. Wszystkie totolotki świata są wobec niej niczym.

4

Mam niezłą kondycję, więc wejście pod Czarcia Górę nie sprawiło mi specjalnych kłopotów. Idący za mną przybysz ciężko dyszał, widać było, że ma niejaki kłopoty z utrzymaniem tempa; nie poprosił jednak, bym zwolnił; gdyby poprosił, uznałbym to za niezwykle.

Czarcia Góra nie nazywa się w rzeczywistości Czarcia Góra, tylko Bogdanka. Miejscowi nadali jej jednak nazwę, ich zdaniem, lepiej pasującą do otaczającej wzniesienie legendy. Klechdy ludowe głosiły, że miejsce to odwiedzał w przeszłości diabeł. Czy tak było, ciężko orzec; prawdą jest natomiast, że góra cieszyła się złą sławą. Kilka osób przepadło tu bez wieści. Teren był najeżony rozpadlinami; mówiono, że niektóre z nich sięgają kilkuset metrów w dół. Część z nich znałem; w czasach kiedy naprawdę dbałem o formę, zjeździłem okolice Bogdanki rowerem. Nawet nie tak dawno.

Nie wiem, czy idący za mną człowiek miał w ręku broń. Nie widziałem jej, gdy wysiadaliśmy z samochodu. Nie sądziłem, by potem pojawił się jakiś powód; zresztą myślałem o czymś zupełnie innym niż luger P08 w ręku mojego alter ego.

Zdażył mi opowiedzieć całą historię.

Spisek Dreszera. Walki we wrześniu '39. Dokonany przez Cuprysia napad na Urząd Skarbowy w Warszawie. Uszkodzenie MDS-u przez nalot Luftwaffe. Ewakuacja do Stanów. Konspiracyjna walka Wojtyńskiego. Rozgrywka toczona wokół emitera. Śmierć Nancy. Zwycięskie powstanie warszawskie.

Powrót. Walka ze spiskiem GRU. Dwuletni syn.

Choć opowieść wydawała się literacką bajką, słuchałem jej łapczywie, niemal połykając słowa. W wyborach przybysza widziałem własne wybory; w decyzjach, które podejmował – własne decyzje. Błędy, które popełniał, były moimi błędami.

Wiedziałem już, że ta historia wydarzyła się naprawdę. W jego życiu była przeszłością; w moim – zacznie się za kilka godzin. Czy pójde drogą wskazaną przez przybysza? To moja własna droga. Ale czy można nią przejść dwa razy? Czy jest konieczne dokładne odwzorowanie tej historii w sytuacji, gdy mam wiedzę, jak będzie, a zatem mogę, przynajmniej teoretycznie, uniknąć błędów i wytyczać swoją ścieżkę nieco inaczej?

Lepiej?

Nie miałem czasu się nad tym głębiej zastanowić. Ledwo zdołałem przyswoić i uporządkować fakty przedstawione przez kroczącego za plecami mężczyznę. Wyciąganie wniosków musiałem odłożyć na później.

– Jesteśmy na miejscu – usłyszałem.

Stałem.

Byliśmy jakieś sto metrów od szczytu wzniesienia. Teren był porośnięty niewielkimi krzakami, pełen wykotów i rozpadlin. Księżyc oświetlał to miejsce w całkiem stosowny do panującego nastroju sposób; zimne światło uwypuklało każdą nierówność, długie cienie zdawały się żyć własnym martwym życiem.

Odwróciłem się.

Przybysz dyszał i wydawał się zadowolony z faktu, że wspinaczka się skończyła. Krzywił się, a pot błyszczał w trupim świetle księżyca.

– I co teraz? – zapytałem.

– Morału tej bajki nie będzie. Musisz sam go sobie dopowiedzieć. Dałem ci do ręki karty. Może nie być trupów, zabijania, twojego nieszczęścia, niepotrzebnej adrenaliny.

– Ale przecież... – Zawahałem się. – Nie uważasz, że wtedy... w '39... jednak zrobiłeś sporo dobrego...?

– Po pierwsze nie wiesz, czy tobie też się uda. Po drugie...

–No?

– Bilans nie wyszedł dodatnio, moim zdaniem. W rubryce „winien” jest trochę więcej niż w „ma”.

– Ciekawe. – Naprawdę zacząłem się nad tym zastanawiać. Możliwe, że myślałem na razie o przygodowej części historii. Możliwe, że nie docierały do mnie skutki. – Mógłbym się lepiej przygotować. Wziąć więcej amunicji. Wejść we współpracę z Dreszerem...

– Rób, jak chcesz – odparł. Był na skraju omdlenia. – Przedstawiłem ci logiczny ciąg wydarzeń. Jeśli zmienisz bieg u podstawy, rzeka popłynie inaczej. Twoja rzeka. Jeśli nie... – Każdy z nas steruje życiem po swojemu. Ty swoim, a ja swoim.

– To jedno i to samo.

Zachwiał się. Omal nie pobiegłem go podtrzymywać. Wzbudzał we mnie przedziwną mieszaninę czułości i niechęci. Strachu i fascynacji.

– Różni nas tylko skala doświadczeń – powiedział.

– Za pięć lat będę miał twoje doświadczenia.

– Czy ty w ogóle cokolwiek rozumiałeś z tego, co mówiłem?

Myślałem i myślałem. Ciekawa rzecz. Umysł jednak odrzucał tę historię. Bronił się przed nią: przecież każdy ma swoje przeznaczenie. Ścieżkę, którą kroczy.

– Opowiedziałeś mi jeden z wariantów mojego przyszłego życia. Twój wariant. Musiałoby się spełnić bardzo wiele czynników, żeby stał się moim. Musi rzeczywiście przyjechać Nancy. Dreszer musi rzeczywiście chcieć wpuścić wirusa do MDS-u – o ile on w ogóle istnieje, a nie jest wytworem twojej chorej wyobraźni.

– Chciałbyś – mruknął i rozejrzał się, po czym zerknął na zegarek.

– Spieszysz się gdzieś? – zapytałem.

– Ty się spieszysz. – Ponownie się rozejrzał. Szybkim ruchem wyciągnął zza paska pistolet.

– Zgłupiałeś?

W jednej chwili dotarło do mnie, że przybysz nie sprawiał wrażenia szaleńca. On był szaleńcem.

– Stań tam. – Wskazał lufą miejsce oddalone o kilka metrów w bok.

– Nie musisz tego robić.

– Stań tam, do cholery – podniósł głos, a ja usłyszałem tak dobrze znane z własnego życia nuty.

Koszmar nie chciał się skończyć, ba, właściwie miałem wrażenie, że zaczęła się nowa jego faza.

– Czego ty właściwie chcesz? – wrzasnąłem.

Nie powiem, żebym się bał. Po prostu trząsłem się jak osika na wietrze.

(... nazywam się Jerzy Grobicki. Mam czterdzieści jeden lat. Umieram...)

– Chcę, żebyś nie robił więcej głupstw – odparł, leniwym ruchem podniósł pistolet i pociągnął za spust.

Huk odbił się echem od skał.

Księżyc nadal oświeślał polanę martwym, zimnym blaskiem.

– Panie majorze. – Głos jak zza światów. – Panie majorze, chyba leć.

Był straszny upał, który otulał mnie jak watą cukrową. Zapadłem się w nim tak głęboko, że minęła dobra chwila, nim się ocknąłem. Wcześniej próbowałem uporządkować i zrozumieć to, co się stało w ciągu ostatnich kilku godzin.

Powrót z Czarnej Góry jawił się w mej pamięci jako szara plama. Nie pamiętałem drogi, nie pamiętałem, o czym myślałem, nie wiedziałem, jakim cudem nie spowodowałem wypadku drogowego. W głowie kotłowała się historia opowiedziana mi przez przybysza, w uszach

rozbrzmiewał huk strzału, a potem, po kilkunastu sekundach, miękki odgłos upadającego na dno rozpadliny ciała.

Gdy to do mnie w końcu dotarło, choć przecież nie wierzyłem w jego istnienie, poczułem się straszliwie samotny.

Telefon zadzwonił, gdy otwierałem drzwi wejściowe. Obiecywałem sobie wczoraj, że go wyłączę, właśnie na okoliczność jakiegoś niespodziewanego alarmu. Ponieważ podjąłem decyzję, że definitywnie kończę z wojskiem, nie chciałem, by cokolwiek odciągało moją uwagę od istoty tego, co miałem rano zakomunikować generałowi Dreszerowi.

Jednak gdy kładłem się spać, zły i sfrustrowany, myśląc o kilku rzeczach naraz, zapomniałem tego zrobić, potem, gdy obudził mnie nocny gość, tym bardziej. Teraz o piątej nad ranem uparty aparat zanosił się wesołym dźwiękiem, jakby chciał postawić na nogi nie tylko mnie, ale również połowę klatki schodowej.

Zdążyłem odebrać w ostatniej chwili. Może zbyt długo zeszło mi przy otwieraniu drzwi; trzęsące się ręce nie są nigdy sprzymierzeńcem precyzyjnego trafienia w dziurkę od klucza.

– Grobicki – rzuciłem w słuchawkę.

– Major Jerzy Grobicki? – zapytał męski głos. Podejrzanie rześki, biorąc pod uwagę porę dnia.

– Przecież mówię.

– Dzwonię z dowództwa brygady. Kod zero siedem, dwanaście, trzydzieści sześć.

– Zrozumiałem. Mój numer dziewięćdziesiąt cztery, piętnaście, dwanaście.

– Proszę natychmiast udać się do koszar, postawić na nogi drużynę alarmową, pobrać uzbrojenie i ostrą amunicję. Następnie uda się pan na lotnisko. Za dwie godziny przyleci tam pewien amerykański oddział ze sprzętem. Pana zadaniem jest bezpieczne odtransportowanie tego oddziału do koszar. Czy wszystko jasne?

–Ale...

– Odpowiada pan głową za wykonanie zadania. Proszę się potem zameldować u dowódcy brygady. Do widzenia.

Usłyszałem trzask odkładanej słuchawki. Rozmówca, jak widać, nie zamierzał się wdawać w żadne polemiki. Zresztą jeśli mam być zupełnie szczery, nie chciałem z nim dyskutować. Zajęty byłem bowiem zbieraniem walającej się po podłodze szczęki.

Pierwsza z szalonych wizji przybysza zaczęła właśnie stawać się ciałem. Według niej mam spotkać się z Nancy – i amerykański oddział właśnie nadjeżdża. Czyżby moje życie rzeczywiście miało się potoczyć tak, jak opowiedział nocny gość?

Dał mi wiedzę, dał dane, asumpt do przemyśleń, materiał do wyciągania wniosków. Jednak moja wola pozostała wolna. Nadal mogę zrobić to, co uważam za najsluszniejsze.

Za pomocą tej budującej konkluzji wróciłem do rzeczywistości. Znowu we właściwym świetle zobaczyłem baraki, pas startowy i stojącego przede mną człowieka. Kapral nadterminowy Józef Galaś

mówił coś, pokazując punkt za moimi plecami. Na brzydko–przystojnej, szabrawej gębie miał jak zawsze wymalowany ironiczny uśmieszek. Dopasowałem ruch ust do dźwięków i usłyszałem:

– Melduję posłusznie, że lecą te jankeskie patalachy. – Galaś zuł gumę i mrugał do mnie całkowicie nieregulaminowo. –I nawet nie im nie nawaliło ani nie zestrzelił ich afgański scud, i chłopcy od Osamy też im nie dali rady. Widzi pan major? A spóźnili się tylko cztery godziny.

Spojrzałem na niego krzywo. Kevlarowy hełm pokryty maskującą tkaniną, polowy mundur, amerykańska kamizelka kuloodporna, karabinek automatyczny Beryl, pas z zapasowymi magazynkami i granatami – kapral był wystrojony jak na wojnę. Stojący za nim żołnierze –trzecia drużyna z piątej kompanii – także. W tle stały dwa transportery z groźnie sterczącymi lufami wielkokalibrowych kaemów. Ja również dźwigałem sporo sprzętu i uzbrojenia – całkowicie zbędnego, jak sądzę.

– Irackie scudy? – zapytałem. – Czy ty wychylasz w ogóle głowę poza tę swoją radiostację, Galaś? Regularna wojna w Iraku skończyła się już jakiś czas temu. I one nie służą do zestrzeliwania samolotów.

– Tak sobie tylko gadam, bo nudno. – Galaś uśmiechnął się szeroko. Wolałbym, żeby tego nie robił: przypominał zaspanego hipopotama z amerykańskiej kreskówki. – Ale niech pan major posłucha.

– Słucham, słucham – mruknąłem. Pot spływał mi po plecach nie strumieniem, ale rzeką.

– No – podsumował kapral i osłonił ręką oczy.

Założyłem okulary przeciwsłoneczne – w ramach kontestowania przasných warunków panujących w wojsku nie tylko używałem prywatnego drogiego niemieckiego pistoletu, ale również pozwoliłem sobie na ekstrawagancję w postaci zakupu luksusowych szkieł renomowanej firmy Ray Ban – i spojrzałem w stronę, skąd dochodził całkiem już wyraźny pomruk.

Na horyzoncie pojawiła się maleńka kropeczka, która dość szybko się powiększyła, by w końcu przyjąć gigantyczne rozmiary transportowca C-5 Galaxy. W tkwiącej w moim uchu słuchawce, która była zakończeniem przytroczonego do pasa supernowoczesnego cyfrowego systemu łączności, zatrzeszczało jak w przedwojennej łącznicy polowej, po czym wśród buczenia i trzasków usłyszałem słaby głosik:

– Orzeł 1, tu wieża, przesyłka podchodzi do lądowania.

Bystrzaki w tej wieży. Wskazanie radaru najpewniej oderwało ich od pokera.

Pilot transportowca ostrożnie okrążył lotnisko i starannie ustawiając się pod wiatr, usiadł stutonową maszyną na lekko wklęsłym i przykrótkim „runwayu” lotniska. Samolot wyhamował i zatrzymał się niemal na wprost mojego oddziałku. Silniki zwolniły bieg, hałas osłabł, z lekkim zgrzytem zaczęła opadać rampa ładunkowa. Nie zdążyła nawet wykonać do końca biegu w dół, gdy na jej szczycie pojawiła się grupka ludzi i zaczęła niespiesznie opuszczać samolot.

Kiedy rampa zakotwiczyła na betonie lotniska i grupa piechurów znalazła się poza maszyną, z wnętrza doleciał dźwięk odpalanego wielkiego diesla i potężna ciężarówka zjechała na beton.

Dawno nie widziałem takiego samochodu; właściwie ciągnika z wielką naczepą i umieszczonym na niej kontenerem. Na dachu leżał na płask stalowy kilkumetrowej długości kokon, połyskując metalicznie w promieniach słonecznych.

A więc to jest słynny zmieniaacz rzeczywistości.

Kolejny z elementów piekielnej układanki sprzedanej mi przez przybysza wskoczył na swoje miejsce.

Przestałem już wątpić. Zacząłem się natomiast bardzo intensywnie zastanawiać, jak wykorzystać posiadaną wiedzę. Jak zareagować.

Jakie, do cholery, podjąć decyzje?

Na czele drużyny marines (która wyglądała po prostu jak drużyna marines) kroczyła Nancy.

Workowały mundur skrywał szczegóły sylwetki, ale i tak można było dostrzec, że figury mogłaby jej pozazdrościć niejedna aktorka. Blond czupryna wymykająca się spod hełmu, błękitno-turkusowoszmaragdowe, roześmiane oczy, lekko nieregularne rysy twarzy i usta jakby stworzone do całowania – wszystko składało się na zapierający dech w piersi obraz, którego się nie zapomina, mimo że od naszego ostatniego spotkania upłynęło niemal osiemnaście lat.

Włożyłem ogromny wysiłek, by utrzymać na wodzy mięśnie twarzy.

– Ale dupeczka, panie majorze, no ja nie mogę, do czego to dochodzi. – Galaś cmoknął ze znużeniem.

Spojrzałem na niego z morderstwem w oczach, nie bacząc, że niczego nie może dojrzeć przez fotochromatyczne lustrzanki.

– Ani słowa na ten temat, zrozumiano? – warknąłem.

Kapral spojrzał na mnie zdumiony. Nigdy się tak do niego nie odzywałem. Lubilem go i ceniłem jego fachowość. Dzielili nas różnica pochodzenia, wykształcenia i stopnia, ale można powiedzieć, że byliśmy zaprzyjaźnieni.

– Melduję posłusznie, że tak jest – mruknął na wszelki wypadek i chyba się chwilowo obraził. Musiałem mieć naprawdę dziwną minę.

Obiekt naszej dyskusji stanął krok przede mną.

No, jeżeli ja miałem dziwną minę, jej miny nie da się opisać. Nie była uprzedzona, co ją czeka na lotnisku. Wysiłki, by opanować zaskoczenie, spełzły na niczym. Twarz wykrzywiła jej się w jednym wielkim „oooooch”.

Wyciągnąłem dłoń. Z wahaniem, jakby sennie, podała mi swoją. Dłonie miała drobne i długopalce, jednak uścisk należał do silnych i zdecydowanych. Zawsze tak było i tak to zapamiętałem. Delikatna, bardzo kobieca powłoka, piękny umysł i stał w środku.

– Major Jerzy Grobicki – powiedziałem oficjalnym tonem na użytek stojących obok żołnierzy.

Biorąc pod uwagę kontekst sytuacji, nie wypadło to chyba najgorzej. Głos miałem nieco schrypnięty i przytłumiony, ale zawsze mogłem wytłumaczyć się lekkim przeziębieniem, które nawet w takim upale czasami się zdarza.

– Kapitan Nancy Sanchez. – Obdarzona przyjemnym dla ucha sopranem, mówiła po angielsku ze śpiewnym amerykańskim akcentem, prosto z dalekiego południa Stanów. Wyraźnie wyczułem w jej głosie drżenie. – Miło mi.

– Otrzymałem rozkaz eskortowania waszego oddziału do koszar brygady.

– Za kilka minut będziemy gotowi.

Po początkowym zaskoczeniu zdumiewająco szybko odzyskała pewność siebie. Uśmiechnęła się, odpowiedziałem grymasem, który od biedy można było uznać za uśmiech. Z trudem oderwałem od niej wzrok.

Z samolotu na płytę lotniska zjechały dwa humvee z zamontowanymi nad szoferką sześciolufowymi karabinami maszynowymi minigun oraz ciężarówka z zapasami. Marines szybko zajęli miejsca w samochodach, kilku członków załogi MDS-u wsiadło do niego przez niewielkie drzwi z boku kontenera, moi ludzie także wskoczyli do transporterów.

– No cóż, pani kapitan... Sanchez – powiedziałem. – Możemy ruszać. Zapraszam do samochodu. Będziemy mogli po drodze omówić zasady współpracy pomiędzy jednostkami.

– Dziękuję za propozycję, panie majorze, ale zostanę ze swoimi ludźmi. – Odmowę złagodziła promiennym uśmiechem. – Muszę ich pilnować. Są pierwszy raz w Polsce, nie chciałabym, żeby się pogubili...

– Nalegam.

Zdjąłem okulary i spojrzałem jej prosto w oczy. Uciekała wzrokiem. Była wyraźnie zagubiona. – Mamy naprawdę kilka spraw do omówienia – powiedziałem z naciskiem.

W końcu na mnie spojrzała. Mijały wieki, całe epoki historyczne, na jej twarzy odbiły się niemal wszelkie możliwe uczucia. Czas stanął w miejscu, nie słyszałem niecierpliwego pomrukiwania silników, szeptów patrzących na nas żołnierzy, nie czułem wszechogarniającego upału.

– Dobrze – usłyszałem. Dawno żadne słowo nie sprawiło mi tyle radości. – Pojadę z panem, majorze.

– Doskonale. – Z trudem powstrzymałem się, by nie zacząć podśpiewywać. – Proszę do samochodu.

Podeszliśmy do stojącego na czele kolumny honkera. Otworzyłem drzwi.

– Przesiadaj się do Galasia – oznajmiłem siedzącemu za kierownicą szeregowemu.

– Tak jest, panie majorze.

Żołnierz wyskoczył na zewnątrz, niezdarnie skłonił się Nancy, po czym pobiegł w stronę stojącego nieco dalej transportera. Miałem wrażenie, że nowy układ całkiem mu odpowiadał.

– Proszę.

Obszedłem samochód i otworzyłem drzwi od strony pasażera. Nancy wydeła wargi i wsiadła do środka.

– Przypadek? – zapytała, gdy ruszyliśmy.

Humvee i amerykański cud technologii na kółkach wionęły chmurą ciężkich do wytrzymania spalin i podążyły naszym śladem. Kolumnę zamykał jeden z moich transporterów.

– Całkowity – odparłem. – O tym, że przylatujecie, dowiedziałem się trzy godziny temu.

To była w pewnym sensie prawda. Tyle tylko, że przed słówkiem „dowiedziałem się” nie dodałem słówka „oficjalnie”.

– Co teraz? – zapytała po chwili.

Nic takiego, moja słodka. Wyjazd na poligon. Sabotaż systemu. Walki z Niemcami w '39. Ameryka. Twoja śmierć w powstaniu warszawskim.

Mam ci to wszystko opowiedzieć?

Gdyby sytuacja była choć trochę normalna, zapewne moje pierwsze pytanie powinno brzmieć: „Dlaczego, do cholery, wtedy mnie zostawiłaś?”. Powinienem wobec niej prezentować urażoną dumę, może nawet nie chciał jej znać. Zbyt dużo wysiłku kosztowało mnie, by zapomnieć.

Ale nocne opowieści przybysza całkowicie zmieniły moje postrzeganie świata. Najważniejszą sprawą obecnie nie było: jak odegrać się za dawne cierpienia, lecz co zrobić, by uniknąć przyszłych błędów.

A jednocześnie jak przebić się przez mur – udawanej, mam nadzieję – obojętności siedzącej obok mnie kobiety.

– Silnik się przegrzewa – mruknąłem i zdjąłem nogę z gazu.

Honker zaczął szarpać. Wrzuciłem luz, po czym zatrzymałem się na poboczu. Długa na dwieście metrów zbrojna kolumna stanęła pośrodku drogi, całkowicie ją blokując.

Nadbiegł Galaś.

– Coś się stało, panie majorze?

– Niespecjalnie. W tym upale silniki wariują.

Galaś nawet mrugnięciem nie dał poznać, co myśli o silnikach, które wariują po przejechaniu niespełna dwóch kilometrów. Zamiast tego spojrzał na Nancy, po czym w oczach mignęło mu zrozumienie.

– Dogonimy was – powiedziałem.

– Ale... – Formalności musiało stać się zadość. Jego obowiązkiem było zaprotestowanie. Dyscyplina rzecz święta.

– Do koszar masz pięć minut drogi. Jedź prosto do hangaru B. Dam odpocząć temu złomowi i zaraz was dogonimy.

– Melduję posłusznie, że tak jest.

Kapral zaszalutował regulaminowo i wskoczył na pancerz transportera.

Właśnie popełniłem poważne wykroczenie. Zostawiłem bez dowództwa misję, która zapewne była klasyfikowana jako ściśle tajna. Najprawdopodobniej nie skończy się tylko na naganie.

Jednak zanim zdążyłem w świetle żaru rozpalającego wyobraźnię obejrzeć konsekwencje mego improwizowanego planu, do gry włączyła się kapitan piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych

Nancy primo voto Sánchez, de domo Whitman. Energicznie wysiadła z samochodu, podniosła dłoń, by kierowca transportera ani myślał ruszać w drogę, po czym spojrzała na mnie ostro.

– Co to za gierki? – zapytała.

– Żadne gierki – odparłem.

Już wiedziałem, że muszę rzecz załatwić w innej kolejności, niż to sobie zaplanowałem kilka minut temu. Falstart, psiakrew. Trzasnąłem klapą komory silnika, wsiadłem do samochodu i, może nieco zbyt teatralnie, krzyknąłem:

– Pani kapitan będzie łaskawa wsiadać. Jedziemy.

Spojrzała na mnie z niesmakiem. Do koszar nie odezwała się ani słowem.

6

– Proszę, majorze, niech pan wejdzie – sekretarka generała przyzwalająco skinęła dłonią – ale szef nie bardzo w humorze... – Skrzywiła się.

Hiobowe wieści o złym humorze generała zwykle działały na mnie wysoce niekorzystnie. Z reguły czułem ucisk w żołądku i drżały mi ręce, prezentowałem także podejrzaną chrypkę. Tym razem jednak było inaczej. Decyzja, dojrzewająca we mnie od wielu miesięcy, właśnie została podjęta.

Bez większego sukcesu spróbowałem wygładzić pognieciony mundur i lekko zapukałem do drzwi.

– Wejść – usłyszałem ze środka.

– Panie generale, major Grobicki melduje się...

– Dobra, dobra. – Generał nawet nie podniósł głowy zza biurka.

W niedużym, urządzonym w stylu późnego Gierka gabinecie byłem zaledwie kilka razy. Ustawione pod ścianami regały uginały się od książek – Clausewitz, Napoleon, Sun Tzu, Kutrzeba, taktyka, strategia, filozofia, medycyna. Sporo tego było. Poza książkami pokój prezentował się zgoła nikczemnie. Stare biurko, lampa na cienkim metalowym patyku z poprzepalanym abażurem, dwa krzesła i okazałych rozmiarów sejf składały się na to ponure i zakurzone miejsce. Piąta Brygada Pancerna może i była jednostką skazaną na nowoczesność, kompatybilną z NATO-wskimi standardami, dostającą największe przydziały amunicji na ostre strzelania, ale jej dowódca najwyraźniej hołdował zasadzie, że spartański wystrój miejsca pracy pomaga w koncentracji. Jedyne laptop stojący na biurku był niechętnym ustępstwem na rzecz nowoczesności. Zacząłem już rozglądać się za telefonem na korbkę, kiedy szef przywołał mnie do porządku.

– No, niechże się pan tak nie czał. – Niecierpliwym ruchem wskazał niewygodne krzesło na wprost biurka.

Generał Lucjan Dreszer był człowiekiem niewysokim, szczupłym i przywykłym mierzyć rozmówców ostrym spojrzeniem niebieskich oczu. Rozmawiając z nim, za każdym razem czułem się jak student zawałający najważniejszy egzamin na roku. W zamierzchłej przeszłości, będąc świeżo

upieczonym absolwentem Wyższej Szkoły Wojsk Pancernych, snuł się po mocno zaprzyziałych garnizonach Polski B.

Chociaż był – zdaniem peerelowskich generałów wychowanych na sowieckich wzorach – zbyt samodzielny i elastyczny w podejściu do ścisłych rozkazów, udało mu się parokrotnie jako dowódcy kompanii czy batalionu błysnąć na ćwiczeniach. Jego kariera nabrała przyspieszenia po '89 roku, a zwłaszcza po wejściu Polski do NATO. Dowódcą Piątej Brygady Pancernej został dwa lata temu. Od tej pory brygada modernizowała się w przyspieszonym tempie.

Na trzecim krześle siedział pułkownik Karski, dowódca pułku. Mój, jak to się mówi, bezpośredni – już całkiem niedługo – przełożony. Kompletne przeciwieństwo Dreszera – gruby, gęba nalana, włos rzadki.

Siedział jak mumia egipska i, o ile go znam, będzie tak trwał do końca spotkania. W moich planach króciutkiego jak mgnienie oka. Zdecydowałem się radykalnie zaburzyć scenariusz przygotowany przez moich drogich przełożonych.

– Panie generale, chciałbym z panem porozmawiać w cztery oczy – powiedziałem.

Dreszer nawet nie podniósł wzroku znad papierów.

– Później – mruknął.

– Teraz – odparłem. – Chyba że chce pan o wirusie, majorze Łapickim i kapralu Cuprysiu rozmawiać przy świadkach.

No, tym razem reakcja była, a jakże. Dreszer wbił we mnie wzrok bazyliuszka. Powinienem płonąć żywym ogniem. Tyle że dziś byłem żaroodporny.

– Cóż to ma znaczyć? – wycodził przez zaciśnięte zęby – Cóż to za historia z Łapickim i Cuprysiem?

Wytrzymałem spojrzenie. W szermierce na płonące spojrzenia jestem niezły. Może nie tak dobry jak w walce na pięści i kopniaki, ale zawsze. Mam dość głęboko ukryte pokłady silnej woli. Czasami wydobywają się na zewnątrz i dochodzą do głosu. Jak teraz na przykład.

Cisza zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Karski mrugał, rozglądał się dookoła, ocierał kark chusteczką i niczego nie rozumiał. On nigdy niczego nie rozumiał, jeżeli życie odbiegało od instrukcji, regulaminu lub planu.

– Panie pułkowniku, proszę zostawić nas samych – odezwał się w końcu generał, kiedy naprawdę zacząłem sądzić, że przyjdzie mi w tym gabinecie nocować.

– Tak jest.

Karski miał tak zawiedzioną minę, że o mało nie parsknąłem śmiechem. Utrzymanie mięśni twarzy pod kontrolą to naprawdę nie lada wysiłek.

Gdy drzwi zamknęły się za tym grubym durniem, Dreszer poderwał się jak na sprężynie. Po raz pierwszy w życiu widziałem go zdenerwowanego. Ale nim odpalił program zdmuchnięcia mnie z powierzchni ziemi, odezwałem się:

– Myślę, że mamy do wyboru dwa scenariusze. Oto pierwszy: rezygnuje pan ze swoich planów, że tak powiem, ingerencji historycznych. Odwołuje pan Łapickiego i Cuprysia i każe im siedzieć jak mysz pod miotłą. Płyta z wirusem zostaje utopiona w najbliższym zbiorniku przeciwpożarowym. Ja składam natychmiastową dymisję. Batalion jedzie do Afganistanu, tam walczy ku chwale ojczyzny, pan zbiera zasłużone gratulacje i pochwały za perfekcyjne przygotowanie jednostki. Jak się to panu podoba?

Moje życie zjeżdżało gwałtownie po równi pochyłej. Nie dość, że nie dałem dojść do słowa swemu najwyższemu przełożonemu, to jeszcze w zasadzie szantażowałem go. Owszem, w słusznej, jak mi się zdawało, sprawie, ale to zawsze jest ogromne ryzyko postawić się szefowi. Zwłaszcza w taki sposób.

Co ciekawe, chyba nigdy w życiu nie czułem takiej euforii.

– A drugi scenariusz? – warknął.

Zwykle ogorzała twarz świeciła bladością. Założę się, że dłonie wsparł o blat biurka, by ukryć ich drżenie.

Wyjąłem z kieszeni komórkę.

– Dzwonię po żandarmerię. Poprosiłem kilku moich przyjaciół, by mieli pana ludzi na oku.

Założę się, że przy dokładnym przeszukaniu w rzeczach jednego z nich znajdzie się płyta instalacyjna z oprogramowaniem wirusowym, które zmieni MDS w powolne pana totumfackim narzędzie. Tak czy siak, kapitan Sanchez nie dopuści ani pana, ani w ogóle nikogo postronnego do urządzeń systemu.

Jest uprzedzona o wszystkim. Ma rękę na słuchawce telefonu i Rammstein na linii.

– Nie wiem, skąd wziął pan te wszystkie bzdury. Nie ma pan żadnych atutów, majorze. – Dreszer jakby nieco się odprężył. Próbował znaleźć awaryjną ścieżkę dla swojego planu.

– Nie mam dowodów. – Kiwnąłem głową. – Ale pan wie, że mówię prawdę. Nawet pan przecież nie zaprzecza. Mogę panu popsuć całą operację. Jej istota polega przecież na zaskoczeniu przeciwnika. Więc jaka jest decyzja, panie generale?

Patrzył to na mnie, to na telefon komórkowy, który niedbale trzymałem w dłoni.

– Który z nich zdradził? – zapytał po chwili.

Jakoś dziwnie ochrypl przez ostatnich kilka minut.

– To już musi pan wykryć sam – odparłem pogodnie.

Zapadło długie milczenie.

– Wspominał pan o rezygnacji? – odezwał się w końcu.

– O siódmej nie mogę, Jureczku. Umówiłem się z chłopakami, wiesz, z okazji wyjazdu na wojnę zawsze się warto napić, no nie?

Wieteska patrzył na mnie krzywo i uśmiechał się. Ale chyba go zaciekawilem.

– Zaryzykuj. Poznasz kobietę swojego życia.

– Ale ma przyjść Krysia, ta z logistyki.

– Pieprzyć Krsię, Johnny...

– No właśnie – ucieszył się. – Dokładnie o to chodzi.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Chodzi o miłość. Przyjdź, mówię ci. Motel Arizona. O siódmej.

W razie czego zwracam koszty przejazdu.

Tym razem spojrzał na mnie ze zdumieniem. Wyczuł, że pomimo lekkiej formy mówię poważnie. Tyle że ni cholery nie mógł odgadnąć, co mam na myśli. Gdyby zdawał sobie sprawę, że sam nie wiem...

choć wiem...

– Co ty kombinujesz, Jurek? Co to za kobieta?

Ale już nie słuchałem. Ponad jego głową zobaczyłem Nancy. Stała koło MDS-u i wydawała swoim ludziom polecenia.

– Na razie – powiedziałem i szybkim krokiem poszedłem w jej stronę.

Szczerze mówiąc, niemal biegłem.

– Pięknie wyglądasz.

Spojrzała, uśmiechnęła się, poczułem ciepło koło serca.

– Od tego się zaczyna rozmowę z kobietą, której się pewien czas nie widziało, a której chce się sprawić przyjemność – odparła i przekręciła lekko głowę. Wiatr rozwiewał włosy.

– Trzeba było tak zacząć – przytaknąłem. – Jak zwykle mam refleks szachisty. Ale naprawdę wyglądasz świetnie. Dużo lepiej niż wtedy, gdy widziałem cię ostatni raz.

– Wtedy byliśmy dziećmi – odparła.

Usłyszałem w jej głosie usprawiedliwienie. Najprostsza rzecz: zrzucić dawne okrucieństwo na barki młodości.

– Jak tam Ernesto? Złożył już papiery rozwodowe? – strzeliłem.

I trafiłem. Jej twarz pobladła mocno, oczy pociemniały. Ernesto Sanchez, mąż Nancy, wysoki rangą oficer Sto Pierwszej Powietrznodesantowej, miał poważny problem z moją dawną dziewczyną. A ja nie miałem nic przeciw temu.

– Skąd wiesz? – zapytała. – To nie jest tajemnica...

– Skomplikowane – powiedziałem. – Wiem o twoim i swoim życiu rzeczy, których nie powinienem wiedzieć.

– Jesteś wróżką? – Jeszcze nie mogła ochłonąć.

Dzisiejszy dzień przynosił jej same zaskoczenia.

– Chciałbym, żebyś mi poświęciła godzinę. Chcę ci coś pokazać.

Nareszcie wiedziałem, co zrobić. Jak załatwić na skróty to, co muszę załatwić.

– Pokazać? – Rozejrzała się. Jej ludzie kręcili się wokół MDS-u, a wyznaczona przeze mnie drużyna alarmowa gapiała się na ten niecodzienny show z zainteresowaniem. – Mamy dopilnować montażu IVIS-u w waszych czołgach i transporterach, zintegrować go, przetestować...

– Tylko godzinę – powiedziałem. – Następnej okazji może nie być. Już nie jestem żołnierzem. Miałem dowodzić batalionem i twoimi ludźmi na misji w Afganistanie, ale przed dziesięcioma minutami złożyłem rezygnację.

Za dużo tych newsów. Jej cierpliwość była wyraźnie na wyczerpaniu.

– Dżazi, o co chodzi? Co to za gra? Zrezygnowałeś ze względu na mnie?

– I tak, i nie. Poświęć mi godzinę, wszystkiego się dowiesz.

Tym razem wahanie było krótkie. Podeszła do sierżanta, przekazała mu kilka poleceń, po czym wróciła.

– Więc?

– Chodź.

Poprowadziłem ją na parking, wskazałem miejsce w samochodzie. Po chwili wyjechaliśmy poza teren jednostki.

Wyglądała ślicznie. Wyglądała tak, że zapomniałem o traumie, którą kiedyś spowodowała. O nieprzespanych nocach. O beznadziejnych poszukiwaniach. O rozpaczach.

Z opowieści przybysza wiedziałem przecież, że jest nam pisana wspólna przyszłość. Przyszłość, która może mieć miejsce. Przybysz za tę moją i Nancy przyszłość zapłacił najwyższą cenę. Umarł, byśmy mogli żyć.

Już chociażby z tego powodu chciałem to rozegrać jak należy.

– Co teraz? – zapytała.

– Jeszcze chwilę – mruknąłem. – Zaraz będziemy na miejscu.

Skręciłem w prawo, wjechałem na niewielki parking i zatrzymałem samochód. Motel Arizona. Polskie marzenie o lepszym świecie.

– Kocham cię – powiedziałem.

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Bardzo. Zawsze cię kochałem.

Nie dałem jej ochłonać.

– Muszę cię prosić o jedną rzecz – dodałem szybko. – To, co zobaczysz, będzie...

Raczej nie usłyszała ostatnich słów. Patrzyła przez szybę na niewielki skwerek, przylegający do parkingu. Na nim plastikowa zjeżdżalnia, karuzela, piaskownica. Zestaw minimum, gdy właściciel chce pokazać, że zależy mu na gościach z dziećmi.

Obok piaskownicy stała młoda kobieta o bujnych kształtach, pszenicznych włosach i słowiańskiej pięknej twarzy. Dokładnie taka, jaką opisał nieznajomy Żona (przyszła żona?) kapitana Jana Wieteski.

Obok chudy chłopiec, może dziesięcioletni. A na zjeżdżalni...

... najwyżej dwuletni malec o rysach tak bardzo podobnych do matki...

– Kto to jest? – Nancy szarpie mnie za rękę. Właściwie krzyczy. – Kim jest ten chłopiec?

Wiem. A ona wkrótce się domyśli.

I wtedy dziecko dostrzega samochód i siedzących w nim ludzi. Patrzy, a potem biegnie.
Uśmiechnięte.

Promienne.

Słyszymy:

... „mama”...

... radosny, zaraźliwy śmiech...

... moje niewyraźne słowa: „nasz syn”...

Widzę łzy lecące ciurkiem po ogorzałej twarzy Nancy.

Mam całe życie, by jej o tym opowiedzieć.

Posłowie

To już koniec, miły Czytelniku.

Historia zatoczyła koło. Podpułkownik Grobicki dostał od życia nową szansę. Czy ją wykorzysta? Czy my, będąc na jego miejscu i wiedząc tyle co on, wykorzystalibyśmy ją? To pytanie o jakość każdej przeżywanej przez nas chwili i każdy odpowiedzieć zapewne musi sobie sam. Tak sądzę.

Chciałbym podziękować mojej żonie Kasi za wnikliwą i krytyczną analizę tekstu oraz za zmuszenie mnie do wzmożonego wysiłku i zniechęcenie do spoczywania na laurach.

Dziękuję również dr. Bohdanowi Firkowi, Sebastianowi Prociowi i Andrzejowi Dudziukowi za pomoc merytoryczną.

Spis treści

5 Koniec

7 ŚLEDZTWO

9 Rozdział I. Cargo

32 Rozdział II. Przesłuchanie

59 Rozdział III. Poszukiwania

98 Rozdział IV. Droga

120 Rozdział V. Borne

154 Rozdział VI. Powstanie

175 Rozdział VII. Pułapka

205 WALKA

273 REZULTAT

321 ALTERNATYWA

351 Posłowie__